

**Grzegorz Mathea**

# **IV Rzeczpospolita**

2005

**trident**

**Wydanie polskie**

**Data wydania:**

2005

**Ilustracja na okładce:**

Tomasz Jędrzejowski

**Wydawca:**

Niezależna Oficyna Wydawnicza NOWA Sp. z o.o.

Biuro Handlowe

ul. Nowowiejska 10/12

00-653 Warszawa

e-mail: [redakcja@supernowa.pl](mailto:redakcja@supernowa.pl)

ISBN 83-7054-172-0

**Wydanie elektroniczne**

Trident eBooks

# Rozdział 1

Wiatr zerwał się nagle i niespodziewanie. Stare spróchniałe drzewo zatrzeszczało przeraźliwie, w pobliskim magazynie chemicznym szyby zadzwoniły w oknach. Zimowe wietrzyisko wzbilo tuman śniegu, który wzniosł się na wysokość kilku metrów, po czym łagodnie opadł na ziemię.

Jeszcze tego brakowało – pomyślał stojący na „trójce” podchorąży Szymaniak, spoglądając na swój tani elektroniczny zegarek. – Szlag by to trafił...

Dopiero pół godziny warty, a Szymaniak już miał dosyć. Kumple na wartowni pewnie kończą oglądać drugiego pornola, a on stoi jak idiota na środku placu szumnie zwanego „parkiem wozów bojowych”.

Szymaniak z satysfakcją zauważył, że plac liczy sobie 254 kroki wszerz i 181 kroków wzdłuż. Potwierdziły się tym samym obliczenia poczynione w czasie poprzedniej warty, kiedy to znów warował na „trójce”. „Trójka” była w miarę spokojna – oficer dyżurny siedział w drugim rogu szkoły i zanim dowlókl się z całym orszakiem inspekcji, można było spokojnie podnieść się z pieńka i utopić szluga w śniegu, po czym dziarsko zameldować, że „w czasie pełnienia służby nic ważnego nie wydarzyło się”.

Szymaniak ruszył wzdłuż muru. Zimne wietrzyisko niemiłosiernie wdzierało się pod „bechatkę” – ciężką kurtkę podszytą chyba ołowiem. Podchorąży uśmiechnął się do swoich myśli. Ołowiem? Bechatka jest cięższa niż ołów. W każdym razie cięższa od tego dziwnego fartucha, który doktor major Rzeźba kazał Szymaniakowi włożyć poprzedniego dnia, gdy prześwietlał mu ząb. Szymaniak uśmiechnął się po raz wtóry na myśl o tym starym durniu, który był lekarzem całego rocznika. Felczer jak ze Szwejka, z wiecznym kiepem w ustach, pochylony nad książką wpisów chorobowych i wiecznie mamroczący coś do siebie. W sumie nie jest zły, skonstatował Szymaniak, dochodząc do końca muru i robiąc w tył zwrot. Po weselu brata dał mi trzy dni zwolnienia z zajęć. Zdaje się... na obrzęk jądra lewego. Tak, doktor major Rzeźba zawsze wystawiał zwolnienia na obrzęk jądra lewego – to lewe jądro znał chyba każdy, nawet nasi oficerowie, którzy kiedyś kończyli ten syf. Swoją drogą ciekawe, co by było, gdyby naprawdę przyszło mu kogoś leczyć, zastanawiał się Szymaniak, wymijając slalomem BWP – Bojowy Wóz Piechoty. Wóz tylko z nazwy, bo rdza nie pozwoliłaby mu przejechać nawet kilku metrów. Złom nie złom, ale najważniejsze, że

odnotowany w ewidencji, wnioskował Szymaniak. Cholerna biurokracja... nie wystrzeli ani razu, ale kwity się zgadzają i o to chodzi. Wyszczерzył się, ale uśmiech zgasł mu nagle, gdy spojrzął kątem oka na pagony swojej bechatki. Szlag by go trafił, sukinsyna, pomyślał o magistrze Trzmielińskim. Nie zaliczył jednych głupich ćwiczeń z fizyki i Szymaniak nadal chodzi starszym kapralem. Inni na roku mają już plutonowego, a on...

Która to? Pół do drugiej, kurwa mać! Jeszcze półtorej godziny stania na tym cholernym mrozie! W sumie dobrze, że zabrał zegarek elektroniczny – analogowy na wartę gorszy, bo widać te cholerne nieruchome wskazówki...

Szymaniak przerwał wnikliwe analizy, bo zdawało mu się, że słyszy jakiś szmer. W zasadzie powinien zdjąć kałacha z ramienia, ale to pewnie Pachoński z „czwórki” łązi pod magazynem. Zresztą, rozumował Szymaniak, rękawice są za grube i palec nie sięgnie spustu. A po co zdejmować karabin, skoro i tak nie będzie się strzelać? Zresztą kto zdejmuje rękawice w taki mróz?

Przeszedł jeszcze kilka kroków, gdy nagle kątem oka dojrzał cień, który szybko zbliżył się do niego. Szymaniak zdążył jeszcze pomyśleć, że Pachoński jest dziś nadzwyczaj ruchliwy. Chciał krzyknąć, żeby tamten wypieprzał na swój posterunek, ale zauważył, że osobnik stojący przed nim nie ma na sobie munduru, tylko jakiś wytarty dzins.

– Ani słowa – warknął obcy – dawaj broń!

Szymaniak leniwie pomyślał, że chłopaki z czwartego roku robią sobie wyjątkowo kretyńskie dowcipy. Żeby włazić na posterunek pilnowany przez uzbrojonego wartownika? Przecież gdyby wartę trzymał pierwszy rocznik, jakiś niedoświadczony nowicjusz mógłby zacząć strzelać! Mają szczęście, że na „trójce” stoi doświadczony Szymaniak, który niejedną wartę już odwalił.

Po sekundzie zdziwienie przerodziło się w lekki niepokój, gdy Szymaniak zorientował się, że „żartowniś” trzyma w lewym ręku coś, co do złudzenia przypominało pistolet. Za plecami usłyszał chrzęst. Następną sekundę wypełniła Szymaniakowi myśl, że wypadaloby krzyknąć: „Stój, służba wartownicza, kto idzie?”, jak wielokrotnie go uczono, ale głos dziwnie uwiązał mu w gardle. Mdłe światło reflektorów oświetlających plac zawiroowało nagle i Szymaniak przestał wreszcie odczuwać dotkliwe zimno. Dziwne, bo przecież leżał teraz w śniegu, a dwóch kolesi gapilo się na niego z góry. Jeden z nich pochylił się i szarpnął go za rękaw, co według Szymaniaka było oczywiste – musi szarpnąć, żeby pomóc mu wstać. To nieregulaminowe, żeby wartownik leżał sobie na ziemi. Przecież zaraz może nadejść oficer dyżurny z inspekcją i co wtedy? Przybysze chyba to rozumieli, bo jeden z nich podniósł jakiś przedmiot – chyba jego karabin. Szymaniak wolałby, żeby nikt nie ruszał jego broni, ale w końcu to logiczne – nie będą go podnosić razem z karabinem, bo za ciężko. Najpierw karabin, potem on. Ciemność...

\* \* \*

– Ręce! – krzyknął Wyższy. – Najpierw ręce!

Niższy z trudem wiązał ręce leżącego na śniegu – krępując nieprzytomnego wojaka, nie mógł opanować drżenia własnych rąk. Strach czy podniecenie? Chyba jedno i drugie.

– No rusz się, człowieku – warczał Wyższy. – Nie jesteś na wczasach!

– Coś ty taki nerwowy? Twoja panna ci nie daje czy co? – odparował Niższy.

– Zejdź z mojej panny, dobra?

Przerwali, bo zza pleców dobiegły trzy głuche odgłosy. Trzech kumpli przeskoczyło przez mur i dobiegło do pozostałej dwójki. Jak zahipnotyzowani gapili się na leżącego w śniegu żołnierza.

– Chodźmy – szepnął Wyższy, widząc, że jego nieduży kompan uporał się wreszcie z więzami. – Zani powinien już tam być!

Błysk latarki w krzakach za magazynem potwierdził jego słowa. Unosząc zdobyczny karabin, zdarty z głowy wartownika hełm i puchową kurtkę bechatkę, pobiegli co tchu w stronę światła, rzuciwszy wpierw litościwie nieprzytomnego podchorążego na kupę chrustu i nakrywszy go gałęziami. Chichocząc z radości wyminęli niższy magazyn i niemal wpadli na siedmioosobową grupę Zaniego, który dał im ręką znak, żeby się uciszeli. Kałasznikow w jego ręku świadczył o tym, że wartownik z „czwórki” również zalegał związany w śniegu. Zani poprowadził resztę – służył tu kiedyś jako zwykły żołnierz i znał tutejsze zwyczaje. Cicho jak cienie ruszyli wzdłuż długiego budynku magazynów, kryjąc się za niewysokim metrowym murkiem.

Przed nimi leżał oświetlony, pokryty śniegiem plac apelowy. Z prawej strony czernił się masywny budynek kina, z lewej dwupiętrowy pusty blok byłych koszar. Wzdłuż kina spokojnym i leniwym krokiem łąził kolejny wartownik. Zani spojrzał na zegarek. Feri spóźnia się jak zwykle, pomyślał ze złością, nie powinienem był powierzać mu tego zadania...

Nagle drgnął. Szczupła sylwetka wartownika wydała mu się dziwnie znajoma. I do tego ten kaczy chód...

– Błazen – szepnął do siebie.

– Co takiego? – szepnął Wyższy Ortalion.

– Nic, nic... zaczekajcie na mnie.

Zostawił kałasznikowa i ściskając w ręku pistolet, ruszył w kierunku wartownika. Obaj Ortalionowie patrzyli zdumieni, jak Zani podchodzi do żołnierza jakby nigdy nic.

– Gdzie on jest? – zapytał Zani.

– Za budynkiem... z rozbitą głową.

– A twoi ludzie?

– Za samochodem.

– To jego mundur?

– A jak!

– Eeech, ty błaznie.

Zani mimo wszystko uśmiechnął się, ściskając Feriego, ubranego w za mały mundur i hełm, który śmiesznie kolebał mu się na głowie. Jego sekcja miała unieszkodliwić wartownika na posterunku numer 2. Mimo obaw Zaniego wywiązała się z zadania wzorowo i nieszczęśnik mający służbę na „dwójce” zaległ w śniegu z rozbitym łbem, odarty z munduru. Zza zaparkowanego pod kinem stara wyszli czterej kolejni członkowie grupy. Dwaj wyciągnęli z zasy nieprzytomnego wartownika i wrzucili go na pakę ciężarówki jak worek ziemniaków.

– Najgorsze jeszcze przed nami – szeptał Zani jak stary komandos, gdy jego ludzie zebrali się przy nim. – Musimy zdjąć jedynekę. Feri, wiesz, co robić.

Feri kiwnął tylko głową, z trudem ukrywając niezadowolenie, i zrzucił z siebie hełm oraz bechatkę. Zgodnie z planem on i jego ludzie mieli wycofać się z powrotem za strzelnicę i ubezpieczać awaryjną drogę ewakuacji. Zani nieprzypadkowo właśnie Feriemu powierzył to zadanie – obawiał się, że niepewny i wahający się kumpel w chwili zagrożenia może stracić głowę.

Sekcja Feriego wycofała się we względnej ciszy wzdłuż długiego kompleksu budynków warsztatowych, unikając rozświetlonych reflektorami miejsc. Zani odprowadził ich wzrokiem, wciągając wojskową kufajkę, po czym skinął na Artiego i Wyższego Ortaliona. Ruszyli we trójkę w kierunku narożnika kina.

– Spójrzcie tam! – szepnął Zani, wskazując budynek hotelu garnizonowego, majaczący w ciemności po przeciwnej stronie placu.

Wytrzeszczyli oczy i po chwili dostrzegli charakterystyczny, pękaty cień spacerującego wartownika. W przerwie między hotelem a kasynem żołnierz był świetnie widoczny, bo uliczne latarnie za ceglanym murem świeciły jasno. Wypolerowany hełm błyszczał jak bombka choinkowa. „Ci kretyni oficerowie – uprzedził ich Zani – każą im polerować hełmy kremem Nivea, żeby ładnie wyglądały na defiladzie”.

Bombka przechadzała się tam i z powrotem bez wyraźnego celu, błyskając to hełmem, to bagnetem. Chrząst głąnów na śniegu niósł się daleko w nocnej ciszy, a niezliczone klamerki, zapinki, sprzączki oraz inny metalowy szmelc, należący do wojskowego oporządzenia i przynoszący wątpliwy zaszczyt projektantowi, pobrzękiwały wesoło niczym dzwonki reniferów Świętego Mikołaja.

Zani podniósł rękę i syknął na Wyższego Ortaliona:

– Przygotuj się!

Ortalion w pośpiechu dopinał na sobie przymały mundur, zarzuciwszy na ramię chlebak z maską przeciwgazową i karabin. Zani obciągnął kufajkę i obaj ruszyli środkiem placu apelowego, odprowadzani wzrokiem przez Artiego. Szli, tłumiąc bulgotanie adrenaliny i oddychając ciężko.

Bombka przystanąła zdezorientowana, ale miarowy krok i puchate kurtki chyba ją

uspokoiły, bo zrobiła trzy defiladowe kroki do przodu i spięła pośladki w błogim oczekiwaniu. Zani, zgodnie ze swymi przewidywaniami, usłyszał donośnie:

– Stój, służba wartownicza, kto idzie!?

Bombka zadała mechaniczne pytanie, spodziewając się zapewne, że to oficer i jego pomocnik przeprowadzają rutynową inspekcję posterunku. Pękaty wartownik był pewien, że po wymianie regulaminowych grzeczności oficerowie odnotują w raporcie jego wzorowe zachowanie. Pomyślał, że może dzięki temu dowódca da mu upragnione czterdzieści osiem godzin przepustki i Bombka nie będzie musiał oddawać honorowo krwi w zamian za cenne godziny urlopu.

– Oficer dyżurny! – bez zająknięcia odparł Zani.

– Oświetlić twarz! – kontynuował regulaminową konwersację Bombka, widząc się już oczami wyobraźni w ramionach swej pulchnej ukochanej.

Zani wyjął z kieszeni swój duży telefon komórkowy, przystawił do twarzy i stęknął smętnie, przeklinając tandetne baterie i dzisiejsze latarki, które nie świecą.

– Cieszy mnie pańska czujność! – rzekł poufale. – Podejdźmy do płotu, zidentyfikuje mnie pan w świetle latarni.

Bombka pomyślał, że to chyba nie do końca zgodne z normą, ale przecież to oficer dyżurny, a po drugie komu w życiu nie zepsuła się latarka? Ruszył więc przodem pod mur uczelniany, zastanawiając się, czy z uwagi na fakt, że wartownię zdają o osiemnastej, zdąży jeszcze na pospieszny przez Kalisz o 19.25. Taniej by było zwykłym osobowym, ale...

Nie skończył myśli, bo nagle poczuł uderzenie w kark, które jednak wcale nie bolało. Resztką świadomości próbował się podnieść na rękach, ale po drugim ciosie opadł bezwładnie.

Wyższemu robiło się na przemian gorąco i zimno, kiedy patrzył na nieruchome ciało grubasa, którego Zani sprawnie oplątywał bieliźnianym sznurkiem.

– Co się gapisz? – warknął Zani. – Idź na chodnik i maszeruj, jak cię uczyłem.

„Jedynka”, jak tłumaczył Zani, była najważniejszym posterunkiem, bo z okien swojej kanciapy oficer dyżurny mógł obserwować wartownika, gdy ten spacerował między budynkami. Teraz więc Wyższy Ortalion pełnił straż, chodząc miarowym, drobnym kroczkiem jak Claudia Schiffer na wybiegu. Długonogi Wyższy spędził kilka godzin, trenując pod okiem Zaniego ten charakterystyczny dla wartowników nonszalancki chód, przypominający dreptanie pijanego lunatyka.

Zani wychylił się zza budynku i błysnął latarką w kierunku strzelnic. Pomiędzy majaczącymi na horyzoncie strzelnicami ujrzał trzy krótkie błyski. Cichy już jest – pomyślał.

Ostatnia, czwarta sekcja pod komendą Cichego miała unieszkodliwić żołnierza dyżurującego na strzelnicy. W przeciwieństwie do pozostałych nie był on wartownikiem, a jego ambitna rola polegała na zamknięciu się wewnątrz budynku strzelnicy, gdzie spoczywał w objęciach Morfeusza. Zani trochę obawiał się o los żołnierza, którego impulsywny i

nieobliczalny Cichy mógł zatłuc gołymi rękami. Obawy okazały się płonne, bo zaspany szwej zgodnie z przewidywaniami nie stawiał żadnego oporu. Cichy nie użył tym razem pięści, a jedynie przyduśił kapralinę do ziemi i zakneblował jego własnym beretem, po czym zgodnie z planem zaległ wraz z dwoma kumplami między skarpami strzelnic.

Zani zostawił Wyższego Ortaliona na Jedyńce” i ruszył z powrotem przez plac apelowy na posterunek numer dwa. Tu miał nastąpić najtrudniejszy moment akcji. Zani tłumaczył ludziom swój plan niemal przez dwa tygodnie.

– Punkt trzecia w nocy następuje zmiana warty – mówił wtedy swoim mocnym głosem, ustawiając na styropianowej makiecie malutkie żołnierzyki, chyba Szkotów. – Z wartowni wyjdzie zmiana: czterech zmienników i jeden dowódca. Wyminą Jedyńkę”, którą zmieniają jako ostatnią, i skierują się na „dwójkę”. Gdy zasłoni ich budynek kina – palec Zaniego wędrował po makiecie – będą nasi. Żadnych podstępów i figli, panowie: podchodzimy na bezczelnego z bronią, kneblujemy towarzystwo i zakładamy ich kurtki i hełmy. Czekamy jakieś pięć minut i wracamy na wartownię. Zmieniamy jedynkę”, sprawdzamy przed budynkiem broń na stojaku i powolutku wchodzimy do środka. Panowie! To najtrudniejszy moment. Oficer dyżurny będzie nas miał jak na talerzu... Jeśli zauważy coś dziwnego, to po nas.

Pamiętali, jak Zani wbijał im do głów najdrobniejsze szczegóły, jak maszerowali po Lesie Kabackim imitując ruchy zaspanych wartowników, jak kolejno podchodzili do pieńka robiącego za stojak i mechanicznie wykonywali ruchy: odpiąć magazynek, przeładować, przytrzymać, odpuścić, odstrzelić, załączyć magazynek. Broń Boże na odwrót, bo wtedy pada strzał i huk budzi pół szkoły, nie mówiąc o oficerze, który widzi wszystko jak na dłoni.

– Oni będą półprzytomni – wyjaśniał Zani – trzecia w nocy to dla nich najgorszy okres; zaspani, powolni, nie będą stawiać większego oporu, zwłaszcza z kałachem przy głowie.

Wtedy uśmiali się wszyscy, teraz jednak nikomu nie było do śmiechu. O zimnie niemal już zapomnieli, ściskając w ręku zdobyczne kałasznikowy i kilkanaście sztuk innej broni: pałki, noże, wiatrówki i myśliwski sztucer.

Zani rozstawił ich w trzech grupach: pierwsza zajęła miejsce za narożnikiem magazynu, naprzeciwko ulokowała się druga. Sam Zani z trzema ludźmi przycupnął za ciężarówką, którą jakiś inteligent podstawił przed tylnym wyjściem z kina, zasłaniając wartownikowi widok na to, czego ów miał „czujnie strzec i zdecydowanie bronić”. Utworzyli w ten sposób w miarę foremny trójkąt prostokątny, którego środek wyznaczała stercząca samotnie budka wartownicza. W tę geometryczną pułapkę wpaść miała nadchodząca zmiana warty.

Czas dłużył się niemiłosiernie, bo do trzeciej pozostało jeszcze prawie czterdzieści minut. Przedtem działali nerwowo w obawie, że zabraknie im czasu, teraz przeklinali jego nadmiar. Zani, ściskając w ręku pistolet – starą ruską tetetkę, pamiętającą chyba czasy Stalingradu – zerkał nerwowo na boki, czy któryś z chłopaków nie rzuca się w oczy.

Wreszcie do ich uszu dobiegł stłumiony hałas, jakby ktoś trząsał po nocy żelazną furtką.



To nowa zmiana sprawdzała broń. Zaraz ruszą w kierunku „dwójki”...

Ruszyli. Miarowy z początku krok – na wypadek, gdyby oficer patrzył – stopniowo tracił rytm. Wyższy Ortalion, jak miał przykazane, stanął w drugim końcu posterunku i pomachał tylko zmianie jak amerykański prezydent przed wejściem do Air Force One. W świetle latarni błyszcząły bagnety kołyszące się w rytm kroków. Dowódca zmiany – zwany regulaminowo rozprawdzającym, a gwarowo „rozpylaczem” – szedł na początku z karabinem przewieszonym przez plecy. W ten sposób był praktycznie bezbronny, bo zanim wyplątałby się ze wszystkich pasków i rzemieni, byle dzieciak z drągiem mógł go spokojnie obezwładnić.

Zmiana minęła chodnik prowadzący do kina. W tym miejscu droga lekkim łukiem skręcała w lewo. Wartownicy szli wzdłuż krawężnika niedbałym krokiem, wiedząc, że z tej odległości dyżurny ich nie widzi. Jeszcze sto metrów... Zani wytarł spoconą rękę, w której ślizgała mu się kolba pistoletu. Jeszcze siedemdziesiąt... Serce mu waliło i pomyślał, że bądź co bądź dowódcy nie przystoją takie nerwy. Pięćdziesiąt...

Wbił wzrok w maszerującego na czele rozpylacza. Oby chłopcy wytrzymali napięcie, oby żaden nie wyrwał się przedwcześnie... trzydzieści, dwadzieścia... dziesięć... są.

Zmiana przystanęła, zbijając się w gromadkę dla lepszej ochrony przed chłodem. Rozpylacz rozejrzał się dookoła i nie dojrawszy wartownika, omiół pobieżnie posterunek latarką. Pozostała czwórka przestała interesować się dowódcą, no bo w końcu to jego zadanie szukać palanta, który kima gdzieś pewnie za rogiem zamiast czekać na zmianę.

– Wartownik! – syknął cicho rozpylacz. – Ruchy!

Odpowiedział mu cichy, niemal niedosłyszalny gwizd. Za ciężarówką i magazynem zakotłowało się nagle. W mgnieniu oka wokół gromadki zmarzłaków i jej wystraszonego dowódcy wyrosło kilku ośnieżonych ludzi z wycelowaną bronią.

– Co wy? – wyjąkał rozpylacz, tradycyjnie już bardziej zdziwiony niż przerażony. – Upiliście się czy co?

– To goście z czwartego rocznika – odezwał się jeden ze zmianowych. – Słyszałem, że w zeszłym roku...

Nie dokończył. Zani błyskawicznie podbiegł do rozpylacza i straszliwym ciosem uderzył go kolbą pistoletu w twarz. Rozpylacz zgiął się w pół, wydając z siebie jakiś nieludzki, dziwaczny charkot, po czym runął na ziemię. Gaduła zmianowy urwał w połowie zdania i cała stojąca jeszcze czwórka zorientowała się, że coś jest chyba nie tak.

Zani, dysząc ciężko, wycelował swoją tetetkę w głowę gaduły i warknął:

– Dostyc żartów, skurwiele! Broń na ziemię, bo zajebię!

Nie dokończył zdania, gdy cztery kałachy bezszelestnie opadły w śniegowy puch. Zmianowi gapili się na ludzi Zaniego jak na senne zjawy, wciąż nie mogąc uwierzyć, że to się dzieje naprawdę.

– Rozbierać się! Szybko! – rozkazał Zani.

Podchorążowie popatrzyli na niego ze zdumieniem. Tak, to na pewno sen, taki głupi,

nierzeczywisty... Zaraz pewnie ogłoszą pobudkę, zaraz pewnie trzeba będzie wstać...

Nie, to nie sen. Na widok podniesionego pistoletu ocknęli się z odrętwienia. Drżącymi rękami zaczęli rozpinać bechatki, zdejmować hełmy i buty, wszystko naraz. Nie czuli zimna – było im gorąco, niemal duszno.

– Martinez, przebieraj się! – Zani nadal recytował bezbłędnie kolejny punkt swojego planu.

Martinez odepchnął jednego ze zmiany i zaczął zbierać porzucane przez niego łachy. To samo zrobili inni. Reszta zgodnie z planem zaczęła wiązać zupełnie już oglupiałych wartowników. Przez najbliższe minuty posterunek nr 2 wyglądał jak zaśnieżony wybieg dla modelek. Wszędzie walały się ciuchy, które jedni zdejmowali, a drudzy zakładali. Przypominało to jakiś obłądny, piekielny taniec pod akompaniament cichych przekleństw i przyspieszonych oddechów.

– Szybciej, na miłość boską! – poganiał Zani.

Martinez zaczął przebierać się w łachy nieprzytomnego rozpylacza. Rozebranie go nie było łatwe, bo uderzony kolbą w twarz leżał w nienaturalnej pozycji z karabinem przewieszonym przez plecy. Martinez szarpał go bezceremonialnie, zdzierając z niego odzież. Radził sobie całkiem nieźle, bo jako były blokier z warszawskiego Gocławia miał sporo wprawy w ściąganiu obuwia i ciuchów z nieprzytomnych frajerów. Bechatka wykonana w standardowym rozmiarze nie sprawiła mu żadnych problemów, gorzej poszło z butami, zbyt małymi jak na jego długą stopę. Martinez stąpnął i grymas bólu wykrzywił mu twarz.

– Co z nimi? – Arti, teraz w mundurze wartownika, trącił butem jednego z dygocących zmianowych, którzy powiązani leżeli w bieliźnie na śniegu. – Zamarzną tu...

Zani zastanowił się przez ułamek sekundy.

– Wrzucie ich na pakę pod brezent. – Wskazał na stojącą opodal ciężarówkę. – Jeden zostaje ich pilnować.

Rozkaz wykonano od razu i po chwili zszokowana zmiana leżała jeden na drugim na pace stara jak worki z mąką.

Zani spojrział na zegarek. Cała akcja trwała nie więcej niż sześć-osiem minut. W tym czasie zmiana powinna obejść już wszystkie posterunki i wracać na wartownię. Nowi „wartownicy” ustawili się gęsiego i komendant wydał już nieco głośniejszy rozkaz: „Zmiana, za mną marsz!”

Ruszyli spokojnym, nieco flegmatycznym krokiem, który z takim mozołem ćwiczyli od kilku dni, w kierunku wartowni i coraz bardziej niecierpliwie się Wyższego. Po chwili wyszli zza budynku kina na prostą, gdzie w świetle latarni byli już doskonale widoczni. Zani znów ze złością stwierdził, że krew zaczęła mu szybciej pulsować. Serce zabiło mu jeszcze mocniej, gdy z satysfakcją stwierdził, że światło w dziupli oficera dyżurnego jest przygaszone, a na oknach zaciągnięte są story. Jak w burdelu, pomyślał Zani, bo istotnie to jest burdel...

Jeszcze chwila i grupka Zaniego zatrzymała się przy hotelowym narożniku, gdzie jako ostatni na zmianę oczekiwał Wyższy. Dołączył do grupy, a na posterunku został Arti, który miał łączyć tam i z powrotem, omijając latarnie. Zani zrobił regulaminowy w prawo zwrot i rozpoczęła się najtrudniejsza część planu.

Podprowadził grupę do stojaka na broń, oświetlonego jak Pałac Kultury. Byli stąd doskonale widoczni zarówno z okna dyżurki oficera, jak i z wartowni. Szczęściem stali odwróceniem do niej plecami. Pierwszy do stojaka podszedł Niższy, mechanicznie wykonując wyuczone w czasie ćwiczeń ruchy: magazynek, odbezpieczyć, przeładować, odstrzelić, zabezpieczyć, założyć magazynek... Szczęknięcie zamka Zani potwierdzał każdorazowo słowem: „Przejrzałem”. Podchodzili po kolei, szczękając kałachami, kontrolowani przez Zaniego, gotowego w każdej chwili przerwać procedurę w przypadku jakiegokolwiek fuszerki.

Po zakończeniu przedstawienia Zani dał w lewo zwrot i cały patrol ruszył do drzwi wartowni. Twarze chłopaków były niewidoczne, bo szli gęsiego za szefem. Zani nasunął hełm na oczy i zapukał do drzwi. Serce waliło mu jak szalone, bo teraz cały plan mógł spalić na panewce. Gdyby otwierający drzwi przyjrzał mu się dokładnie, to koniec. Zani stał przez chwilę, zbierając się na odwagę i nagle spostrzegł, że drzwi są... otwarte. Nie, tego nie było nawet za jego czasów! Pchnął obite blachą odrzwia i cała grupka weszła do środka.

Korytarz wartowni tonął w półmroku. Panowała cisza jak makiem zasiał i Zani z radością stwierdził, że większość ludzi śpi jak zabita. Z lewej strony w małym pokoiku, należącym do dowódcy warty, grało cicho radio Unitra, pamiętające chyba czasy Rokossowskiego. Przy biurku, bokiem do drzwi, siedział pochylony drażal z dystynkcjami sierżanta podchorążego i pisał coś w książce meldunkowej.

– Zamykajcie drzwi, bo wieje – powiedział, nie odrywając oczu od książki.

Zani pchnął lekko drzwi, wszedł do środka i stanął tuż przy siedzącym sierżancie.

– No, co tam jeszcze – dowódca zniecierpliwiony podniósł głowę do góry i spojrzał na Zaniego – wszystko w porz...

Przyjrzawszy się uważnie, urwał, a na jego twarzy odmalowało się zdziwienie.

– A wy tu skąd? – zapytał niepewnie. – Z której kompanii?

– Z burej – odpowiedział Zani z ujmującym uśmiechem.

Dowódca chciał coś jeszcze powiedzieć, ale Zani błyskawicznie podniósł zdjęty uprzednio z pleców karabin i zamachnął się, żeby uderzyć drażala kolbą. Ten jednak w przypływie desperacji odepchnął Zaniego, który upadł jak długi, blokując dostęp pozostałym. Stojący najbliżej Wyższy rzucił się w kierunku drażala, który odskoczył pod ścianę i sięgnął ręką do kabury, szarpiąc za jej zapięcie. Wyższy, niemal tratując Zaniego, runął całym ciężarem na sierżanta, obalił go na ziemię i chwycił za gardło. Jako mechanik samochodowy miał silną łapę i zamiast krzyku rozległ się tylko stłumiony charkot. Zani podniósł się ociężale. Kątem oka spostrzegł, że duszony sierżant ostatkiem sił wyszarpnął z kabury pistolet i uderzył kolbą w szczękę Wyższego, który poderwał ręce do twarzy.

Zani nie wahał się ani chwili. Chwycił porzuconego kałacha i z całej siły dźgnął drągala bagnetem w odsłoniętą szyję. Żołnierz nie wydał z siebie żadnego jęku ani krzyku, zwiotczał tylko i zsiniał momentalnie. Z rozdartej aorty krew zaczęła tryskać pulsacyjnie, chlapiąc na przerażonego Wyższego Ortalion, który odskoczył w odruchu wstrętu i zszokowany wpatrywał się w swoje zakrwawione ręce.

Zani pierwszy odzyskał równowagę. Chwycił leżące na łóżku prześcieradło i zaczął tamować krew rannego. Prześcieradło błyskawicznie nasiąkło krwią. Na pierwszy rzut oka widać było, że jest już po wszystkim. Zani wstał i gestem nakazał Ortalionowi milczenie. Obaj wyglądali jak rzeźnicy w zachlapanych czerwienią bechatkach. Zani wypchnął Wyższego za drzwi i zamknął je powoli.

Martinez i Niższy przerażeni patrzyli na dwóch zakrwawionych kompanów, ale Zani nie dał im wiele czasu na myślenie. Całe zajście trwało może z minutę i było wystarczająco głośne; nie mogli ryzykować. Reszta nieświadomej niczego warty spała w sali na końcu korytarza, ale tuż obok kanciapy dowódcy znajdowała się świetlica. Zani wpadł do sali, gdzie przed telewizorem drzemało kilku podchorążych. Rozjuszony widokiem krwi, nie tracił czasu na zbędne podchody, tylko z miejsca wyrzwał kolbą w głowę najbliższej siedzącego. Ten padł na ziemię jak kukła, nie wydając z siebie żadnego odgłosu. Pozostałych czterech poruszyło się leniwie.

– Kłaść się na ziemię, wszyscy! – syknął Zani.

– Nie pajacuj – przeciągnął się, ziewając, jeden z wartowników. – Lepiej...

Spojrzał na zakrwawioną postać Zaniego i z miejsca odebrało mu mowę. Reszta ze zdumieniem gapiała się na swojego towarzysza, leżącego na podłodze z rozbitą głową.

– Na ziemię – powtórzył Zani – i ani słowa. Kładli się powoli, jakby z niedowierzaniem, patrząc sobie wzajemnie w zdumione twarze.

– Martinez, Niższy, wiązać sukinsynów. – Zani wydawał polecenia automatycznie, tocząc dookoła dzikim wzrokiem.

Tamci rzucili się na leżących i skrepowali ich bieliźnianym sznurem, którego zapas każdy miał przy sobie. Zani tymczasem przeładował kałasznikowa i ruszył korytarzem do sali, gdzie spała reszta warty. Tam pewnie będzie z dziesięciu chłop, kombinował. Zatrzymał się przed jedynymi zamkniętymi drzwiami i lekko nacisnął klamkę. Ciężkie, obite blachą drzwi ustąpiły bezszelestnie. Zani zrozumiał teraz, dlaczego pomimo hałasów nikt nie zareagował na szarpaninę z dowódcą.

Pokój wypełniała ciemność. Zani odczekał chwilę, żeby oczy mu się przyzwyczyły. Zaczął rozróżniać kontury łóżek i śpiących na nich, owiniętych kocami postaci. Izbę wypełniał zaduch, bo zakratowane okno było zamknięte. Zani jak najciszej zamknął drzwi i zawrócił do pomieszczenia między świetlicą a pokojem dyżurnego. Pchnął uchylone drzwi i wszedł do środka, macając po ścianie w poszukiwaniu kontaktu. Zajęło mu to chwilę, bo zgodnie z logiką wojskową włącznik znajdował się za skrzydłem uchylonych drzwi. Zani

zapalił światło i cmoknął z zadowoleniem – na stojakach przy ścianach stały równiutko kałasznikowy, a pod nimi niczym gwiazdkowe prezenty piętrzyły się magazynki, maski przeciwgazowe i bagnety. Zani patrzył na to wszystko, widząc już w duchu spełnienie swoich marzeń.

Nie pomarzył jednak za długo, bo ściszone odgłosy w świetlicy ustały i za jego plecami stanął Martinez. Bez słowa, samym gestem oznajmił szefowi, że zadanie wykonane. Zani wyszedł na korytarzyk i na czele swojej piątki bezceremonialnie wmaszerował do sypialni, rzucając swym kompanom po drodze krótkie: „Dwunastu”.

Pot lał się ze spiskowców strumieniami, bo nie było czasu na ściągnięcie bechatek – zresztą nie powinni się rozbierać, bo na wartowni nie mieli przecież zabawić zbyt długo. Wyższy i Martinez – jeden ze sznurem, drugi z kałachem – zbliżyli się do pierwszego z brzegu chrapiącego studencika wojskowego. Wyższy usiadł mu na plecach, a Martinez zdzielił go w łeb karabinem. Tę chałupniczą czynność powtórzyli jeszcze kilka razy, stopniowo nabierając coraz większej wprawy. Właśnie zamierzali wziąć się za kolejnego śpiocha, gdy wojak na przeciwległej pryczy poruszył się i ziewnął rozkosznie jak kociak.

– Która godzina? – zapytał rozespany, starając się dostrzec, któż to nad nim stoi w ubraniu. – Już czas?

Retoryczne pytanie kocura pozostało bez odpowiedzi, tylko Martinez – ujęty zapewne mikrą posturą żołnierzyka – zamiast rąbnąć go kolbą kałacha, delikatnie, niemal z gracją podsunął mu lufę pod sam nos.

– Zwariowałeś? – zaperzył się kocur. – Przecież to może wystrzelić!

Zakrwawiony Zani, który tej nocy doznał już chyba wszelkich możliwych uczuć ludzkich – od śmiertelnego strachu po dziki szal – teraz dla odmiany mało nie parsknął śmiechem.

– Cicho bądź, młodzieńcze, bo skończysz z dziurą w głowie – wycedził Martinez, siląc się na styl bondowski.

– Dosyć tego. – Kocur podniósł się leniwie z pryczy, wciąż rozcierając zaspane gały. – Wynocha stąd, łajzy. Nie dość, że włazicie w bechatkach do sypialni, to jeszcze...

Nie dokończył, bo Martinez, widząc kątem oka, że konwersacja rozbudza jeszcze nie skrepowanych wartowników, rąbnął go dla odmiany lufą w podbródek. Rozległ się suchy trzask i mikrus zaległ z powrotem na rozmamłanym wyrze ze złamaną szczęką i kilkoma wybitymi zębami.

– Resztę kolbami – rzucił Zani, widząc, że nakryte kocami sylwetki zaczynają się niemrawo poruszać.

Komando rychło zabrało się do dzieła i po chwili wartownia padła. Pozostało już tylko obezwładnić oficera dyżurnego i jego pomocnika, którzy drzemali zapewne za zasłoniętymi storami w swej kanciapie.

Zani wyszedł razem z Niższym, zostawiając trzech ludzi na wartowni. Wstąpił jeszcze do świetlicy i wymienił zakrwawioną bechatkę na jedną z wiszących na krześle. Sprawdził

pobieżnie swój wygląd, założył kałacha na plecy, wcisnął tetetkę do kieszeni kurtki i nacisnął klamkę drzwi.

Od kanciapy oficera dyżurnego dzieliło ich około trzydziestu metrów. Zani z ulgą stwierdził, że story nadal są zasunięte. Zimny, przenikliwy wiatr działał orzeźwiająco. Zani obciągnął kurtkę i ruszył w stronę dyżurki. Za nim regulaminowo kroczył Niższy z kałachem na ramieniu. Wokół ani żywej duszy – mróz i silny wiatr dawno już zapędziły wszystkich do ciepłych budynków. Zani przypomniał sobie, że w ten sam sposób Jerzy Waszyngton zaskoczył heskich najemników pod Trenton. Teraz, dwieście lat później, historia się powtarza...

Dotarli na miejsce i Zani nacisnął klamkę drewnianych drzwi. Weszli do wąskiego korytarzyka, na końcu którego, po lewej stronie, znajdowało się wejście do dyżurki.

Pokój, ciepły i mroczny, wyglądał całkiem przytulnie. Zani nie spodziewał się tego po surowym wojskowym wnętrzu. Na biurku paliła się tylko mała lampka. W obrotowym głębokim fotelu drzemał gruby oficer – zapewne dyżurny. Zani dostrzegł w półmroku dystynkcje pułkownika. Obok na drewnianym krześle siedział pomocnik – podchorąży z trzeciego czy czwartego rocznika – i rozwiązywał krzyżówkę. Czynność ta pochłonięła go w takim stopniu, że tylko przelotnie spojrzał na Zaniego i Niższego, po czym kontynuował wpisywanie literek w kratki. Zani spodziewał się raczej standardowego zdziwienia, gdy tymczasem spotkał się z kompletną ignorancją. Niższy smarknął dość hałaśliwie i pomocnik z grymasem szczerzej niechęci oderwał się od krzyżówki. Rozcierając zmęczone oczy obiema dłońmi, rzucił:

– No co tam? Wszystko w porządku?

Chociaż Zani po rocznej służbie w tej jednostce spodziewał się takiego zachowania, teraz się zirytował. Oto miał przed sobą kadre Wojska Polskiego w osobie chrapiącego grubasa i młodego nudziarza, którzy drzemali tu sobie razem dla chwały Rzeczypospolitej.

– No co jest, młodzież? – Pomocnik demonstracyjnie zamknął krzyżówkę i rzucił długopis. – Mowę wam odjęło?

Zani zastanawiał się przez chwilę, czy nie zażądać od śpiących księżniczek podniesienia rąk do góry i oddania broni, ale oczyma wyobraźni widział już, jak każą mu się wynosić i grożą, że za pijaństwo na służbie i głupie kawały grozi prokurator. Bezceremonialnie podszedł więc do stołu i jednym ruchem ręki zrzucił na ziemię dwa służbowe radiotelefony, zgarniając przy okazji dwie szklanki, cukiernicę i kilka porno pisemek, za pomocą których obie księżniczki uzupełniały na służbie swoją ogólnowojskową wiedzę. Potem odwinął się i z całej siły wyrznął w zęby pomocnika, który wielce zdziwiony przewrócił się z krzesłem na podłogę. Niższy zarepetował broń i wymierzył w głowę oszołomionego upadkiem żołnierza.

Brzęk tłuczonych szklanek i huk padającego krzesła mogłyby obudzić umarłego, ale Pan Oficer Dyżurny jedynie odemknął lewe oko i łypnął nim kilkakrotnie niczym Japonka na trójwymiarowej pocztówce. Potem przeciągnął się leniwie, drapiąc się w obszerną klatkę

piersiową, charknął, stęknął, mlasnął i dopiero wówczas rozejrzał się po pokoju.

Na widok tetetki Zaniego otrzeźwiał nieco, przesunął zwałiste cielsko do przodu i oparł obie dłonie na biurku. Biurko zatrzeszczało alarmująco, a oficer dyżurny sapnął.

– Co się stało, podchorążowie? – zapytał popatrując to na Zaniego, to na Niższego, to na swego leżącego pomocnika. – Co mu się stało?

– Ręce do góry, pułkowniku – rzekł dobitnie Zani, niemal cytując kwestię ze *Stawki większej niż życie*. – Tylko bez kawałów.

– Co się dzieje!?! – krzyknął oficer, z zadziwiającą lekkością zrywając się z fotela. – Co wy...

Wstając, hałaśliwie uderzył wielkim brzuchem w biurko. Niższy, do tej pory wpatrzony w przerażonego pomocnika, teraz instynktownie odwrócił się i skierował lufę na grubasa. Leżący na ziemi pomocnik w przypływie odwagi bądź głupoty odepchnął Niższego i wyszarpnął z kabury swój służbowy P-64. Głupiec! Gdyby pamiętał, ile czasu na strzelnicy zajmowało odbezpieczenie i przeładowanie tego złomu... nie mówiąc już o wycelowaniu!

Zani nie spieszył się. Kabura grubasa znajdowała się nad jego pośladkami, bo pas w czasie snu przesunął się na obłym ciele. Zani odwrócił się spokojnie i lekkim, zgrabnym ruchem wymierzył pistolet w pomocnika, doskonale widocznego w świetle lampki biurkowej. Wstrzymał oddech i płynnie ściągnął język spustu. Płynnie i powoli. Suchy trzask wstrząsnął powietrzem... ręka Zaniego odskoczyła, uniesiona lekko odrzutem do góry. Zapach prochowego dymu momentalnie wypełnił kanciapę. Pomocnik spojrzał na Zaniego jakby zdziwiony. W kąciku jego ust pojawiła się krew, najpierw kropla, potem gęsty strumyczek. Ostatkiem sił podniósł jeszcze zabezpieczony pistolet, lecz Zani strzelił po raz drugi i żołnierz padł na wznak, rozruciwszy ręce. Zani nie czuł nic, tylko ten irytujący smród prochu. Jak przez mgłę ujrzał siebie w trzeciej czy czwartej klasie, kiedy na pracach technicznych palili pieczołowicie zdrapywaną z zapalek siarkę... Czy wtedy nie śmierdziało tak samo?

Otrząsnął się. Stojący za biurkiem grubas zwiotczał, jakby skurczył się pod wpływem tego widoku. Otworzył kilka razy usta, patrząc na stojącego przed nim spiskowca. Zani odwrócił się jednocześnie z Niższym, który wymierzył swój karabin w zwałistą sylwetkę. Zani odepchnął lekko lufę jego kałasznikowa i podniósł swój dymiący pistolet.

– Masz dzieci? – zapytał cicho.

Pułkownik nie zmieniając wyrazu twarzy, a jedynie kolor, wyjąkał:

– Nie, błagam...

– Masz dzieci? – warknął Zani. – Odpowiadaj!

– Mam, mam – przytaknął gorliwie grubas, z trudem łapiąc powietrze w otłuszczone chrapy.

– To myśl o nich... przez cały czas.

Za drzwiami zatupotały kroki i Zani z Niższym odwrócili się błyskawicznie. Do środka wpadł zwabiony strzałami Arti. Powoli podszedł do trupa i żując gumę, zauważył

beznamiętnie:

– Nie żyje.

– Zabierz grubasowi broń. – Zani pchnął go lekko i Arti wprawnie wyciągnął pistolet z kabury oficera.

Zani podszedł do wciąż ogłupiałego pułkownika i trącając pistoletem jego brzuszysko, zapytał:

– Gdzie wyłącznik alarmu magazynu broni?

– Co? Nie wiem... chyba... – dyżurny bezradnie rozejrzał się dookoła. – Nie wiem... może...

– Gdzie! – wrzasnął Zani. – Nie trzęś się, tylko gadaj!

– Nie wiem... to jest w instrukcji... chyba... mówili coś...

– Związać i zakneblować tego durnia – rzucił komendant.

Niższy z Arturem rzucili się na grubasa, który trząsał się cały, bredząc pojedyncze słowa bez ładu i składu. Potulnie dał się omotać sznurem i zakneblować gałganami, które Niższy miał w kieszeni spodni.

Zani tymczasem rozejrzał się po pomieszczeniu. Na ścianie obok mapy jednostki wisiała zaplombowana gablotka z kluczami, a obok niej metalowa skrzynka. Zani spróbował ją otworzyć, ale była zamknięta. Mocował się z nią bezskutecznie przez chwilę, wreszcie wziął od Niższego karabin i bagnetem podważył drzwiczki. Rozległ się cichy trzask wyłamywanych zawiasów, blaszane wieko odpadło, odsłaniając wnętrze. Był to rodzaj szafki kablowej ze świecącymi plastikowymi przyciskami. Przyciski stanowiły włączniki i wyłączniki alarmów w kwaterze głównej, garażach wozów bojowych, magazynach chemicznych i w magazynie broni znajdującym się w koszarach. Zani podniósł rękę, wahał się przez chwilę, wreszcie wyłączył przycisk opisany jako „Mag. broni 18”. Przycisk zmienił kolor z czerwonego na zielony; jednocześnie zgasła kontrolka na tablicy świetlnej wiszącej nad biurkiem oficera dyżurnego, który dzięki niej mógł kontrolować alarmy na terenie całej szkoły. Oczywiście wtedy, gdy nie spał.

Zani zerwał teraz plombę i podniósł bagnet, by wyłamać drewniane drzwi gablotki z kluczami, ale Arti, grzebiący w szufladzie, podał mu pęk kluczy różnych rozmiarów. Zani spróbował je dopasować. Za trzecim razem zamek szczęknął, udostępniając spiskowcom zawartość gablotki. Zani pobłogosławił w myślach wojskową manię oznaczania wszystkiego – od samolotów bojowych po onuce. Zgodnie z jego przewidywaniami wszystkie wiszące klucze były opisane, a jeden z nich nosił upragnioną etykietę „Mag. broni 18”.

– Arti zostaje – rzucił Zani. – Pilnuj tego... tego... prosiaka.

Arti flegmatycznie skinął głową i rozsiadł się w głębokim fotelu, w którym do niedawna spał człowiek odpowiedzialny za bezpieczeństwo całej uczelni.

Zani wraz z Niższym wyszli przed kanciapę. Nie musieli się już specjalnie kryć, bo oficer dyżurny był ostatnim, który mógł im przeszkodzić. Zostali jeszcze co prawda dyżurni



kompanii w koszarach, ale ci spali zapewne smacznie w swych łózkach lub w najlepszym przypadku przy biurkach na koszarowym korytarzu.

Spiskowcy przebiegli cicho wzdłuż hotelu. Wielki, szary budynek koszarowy, przed którym przystanęli, krył w sobie magazyn broni i amunicji całej Oficerskiej Szkoły Piechoty. Na każdym piętrze kwaterował jeden rocznik podchorążych, każdy liczący około siedemdziesięciu studentów. Skład broni i amunicji znajdował się w piwnicy koszar i strzeżony był przez pancerne drzwi, system alarmowy oraz kamerę przemysłową. Alarm był wyłączony, drzwi powinny ustąpić przed zarekwirowanym u oficera kluczem „Mag. broni 18”, a monitor od kamery przemysłowej znajdował się... w kanciapie oficera dyżurnego. Tak więc Arti mógł sobie umilać pilnowanie jednego pułkownika i jednego nieboszczyka, oglądając na żywo akcję obrabiania magazynu broni.

Zani błysnął latarką i po chwili dostrzegł barczystą sylwetkę Cichego, zbliżającego się z dwoma towarzyszami od strony strzelnic.

– Cztery piętra i czterech dyżurnych, po jednym na każdej kompanii – instruował Zani, chociaż każdy znał tę kwestię na pamięć. – Albo śpią przy stoliku, albo na świetlicy przy telewizorze. Czterech...

Komando przyczaiło się przed wejściem za krzaczkami łysego żywopłotu. Do środka weszli tylko Zani, Niższy Ortalion i Cichy. Drzwi skrzypnęły niemilosiernie i cała grupa zamarła, niemal zachłystując się adrenaliną. Koszary jednak trwały nieruchomo, wypatrując w mrok ciemne oczodoły okien. Na zamknięcie drzwi Zani zużył minutę.

Stali we trzech w ciemnym przedsionku śmierdzącym piwniczną stęchlizną, na wilgotnych kartonach, którymi wyłożono podłogę. Oczy przyzwyczajone do ciemności szybko wypatrzyły schody. Ledwie kilka stopni dzieliło ich od wejścia na koszarowy korytarz pierwszego z roczników. W prześwicie między drzwiami paliła się lampka biurkowa. Zani ostrożnie zdjął buty, w samych skarpetach bezszelestnie wszedł na półpiętro i przytknął oko do szpary w drzwiach. Ujrzał stolik z zapaloną lampką i puste, odsunięte, drewniane krzesło. Pchnął lekko drzwi i wraz z Cichym weszli na korytarz, którego oba końce nikły w ciemnościach.

Sale żołnierskie były zamknięte na głucho, zza drzwi dochodziły stłumione odgłosy chrapania. Zani postąpił naprzód, gdy nagle usłyszeli wraz z Cichym miarowy odgłos zbliżających się kroków. Z ciemności wyłonił się dyżurujący na kompanii studencik z białoczerwoną opaską na lewym ramieniu. Cichy poruszył się niespokojnie i chciał wyciągnąć ukryty w kurtce pistolet, ale Zani chwycił go za rękaw i wypchnął z korytarza na schody. Sam również wyszedł, odwracając się od dyżurnego i gestem dając mu znak, żeby się zbliżył.

– Papierosa masz? – zapytał poufale. – Zimno, cholera, jak na Syberii...

Dyżurny uśmiechnął się, kiwając głową, i sięgnął do wewnętrznej kieszeni munduru po paczkę niezbyt wytwornych, ale za to dobrych stołecznych. Zamierzał już poczęstować Zaniego, gdy nagle ze zdumieniem zauważył, że stojący przed nim osobnik... jest w samych

skarpetach.

– Co wy – wyjąkał zdumiony. – Na bosaka chodzicie?

Zani wiedział już, że groźenie bronią nic nie da. Ten bałwan też pewnie pomyśli, że to pijackie wygłupy kolegów z wyższego piętra, i narobi hałasu, każąc wynosić się z jego kompanii. Zani chwycił dyżurnego za kołnierz i silnym szarpnięciem pociągnął za sobą na schody. Ten nabrał już powietrza do krzyku, ale niezawodny Cichy złapał go żelaznym uściskiem za gardło i dyżurny wydał z siebie tylko stłumiony syk. Szamotali się przez chwilę, a tymczasem Zani wyszarpnął z kieszeni pistolet i kilkakrotnie uderzył dyżurnego kolbą w tył głowy.

Ucichli i nasłuchiwali, czy szamotanina zwróciła czyjaś uwagę. Nagle nad ich głowami skrzypnęły drzwi i odezwał się cichy głos:

– Skawiński, to ty?

Milczenie trwało przez kilka sekund. Zani już otwierał usta, gdy nagle Cichy równie stłumionym głosem odparł:

– Tak, to ja. Chodź, pomóż mi. Mam tu gościa z waszej kompani, nawalonego jak stodoła. Zejdź tu, zanim oficer przylezie z inspekcją.

Słowo „inspekcja” wywarło widać wrażenie na dyżurnym z góry, bo rozległy się kroki i w smudze światła pojawiła się człapiąca postać bez pasa, w rozpiętej bluzie.

– Co to za jeden? – zapytał schodzący, a nie uzyskawszy odpowiedzi, gadał dalej. – Pewnie Szalewicz... Gamoń zawsze się uchła, a potem wnoś to bydlę na piętro.

Dyżurny zszedł na półpiętro, wyteżając wzrok. Z pewnym zdziwieniem dojrzał dwie stojące sylwetki, ale jako drugorocznik widział już niejedno i nie przejmował się zbytnio. Bez słowa pochylił się, by chwycić leżącego, gdy nagle poczuł ostre pchnięcie w bok. Przed oczami zawirowały mu sinoczerwone płaty; zamachnął się jeszcze, chwytając powietrze, i zapadł w ciemność.

Zani otarł pot z czoła i odetchnął. Mało brakowało, a jeden głupi wrzask postawiłby na nogi ze stu chłopów. Dręczyła go też urażona ambicja i złość – gdy on panicznie szukał wyjścia z sytuacji, Cichy spokojnie wymyślił na poczekaniu bajeczkę o pijanym koledze. Zaniemu momentalnie przyszło do głowy tysiąc lepszych pomysłów, ale niestety po fakcie.

Oddychał jeszcze chwilę, próbując uspokoić nerwy, żeby nie dawać złego przykładu podkomendnym. Cel był już na wyciągnięcie ręki.

– Cichy, na górę. – Zani lufą pistoletu wskazał schody. – Sprawdź, czy na trzecim i czwartym piętrze ktoś dyżuruje.

Cichy niechętnie wlaź na schody. Znał dobrze Zaniego i wiedział, że komendant bywa zawistny nawet o duperele. Teraz dokonał swojej małej zemsty – wysłał go na górę, a sam zejdzie do magazynu broni, by cieszyć się zwycięstwem.

Niższy Ortalion tymczasem po związaniu obu dyżurnych zszedł do wyjścia i dał znać czekającym na zewnątrz. Do przedsiönka weszło kilku ludzi. Milczeli i starali się nie

hałasować. Zani skinął na Ortaliona i razem zeszli do piwnicy. Ortalion zapalił latarkę i oświetlił pancerne drzwi. Z framugi wychodził niewielki kabel, który pnąc się ku górze zniknął tuż pod sufitem. Kabel alarmu. Zani wyjął pęk kluczy oznakowany „Mag. broni 18” i wsadził pierwszy z nich do zamka. Nie pasował, więc Zani użył drugiego. Zamek szczęknął hałaśliwie, echo poniosło ściszony odgłos w górę klatki schodowej. Zani nacisnął klamkę i weszli do wąskiego, zatęchłego korytarzyka. Po obu stronach znajdowały się drzwi, ale tylko na jednych dyndała plastelinowa plomba umieszczona w kapslu po piwie. Zerwawszy to arcyważne zabezpieczenie, Zani wyjął drugi klucz i upewniwszy się, że z tych drzwi również wystaje kabel, przekręcił zamek i wszedł do środka. Obaj z Ortalionem zapalili latarki i rozejrzeli się dookoła.

Znaleźli się w dużym, lecz niskim pomieszczeniu o wymiarach klasy szkolnej. Wzdłuż ścian na drewnianych stojakach stały równo ustawione karabiny kbk AK wraz z zapasowymi magazynkami i przyrządami do czyszczenia. Pod nimi w szafkach piętrzyły się sterty masek przeciwgazowych, bagnety, apteczki i opatrunki – wszystko ułożone równo, niczym na sklepowych półkach. Dokładnie jak w supermarkecie, pomyślał Zani, nie dość, że wszystko w zasięgu ręki, to jeszcze ochrona do bani. Po lewej stronie zbrojowni wzdłuż ścian stało osiem ręcznych karabinów maszynowych PK kaliber 7,62 mm i osiem granatników przeciwpancernych RPG-7. Poniżej w przegródkach tkwiło kilkanaście pistoletów P-83 z zapasowymi magazynkami. Na podłodze wzdłuż ścian piętrzyły się zielone skrzynki z amunicją i granatami ręcznymi.

Obaj spiskowcy stali przez chwilę w zatęchłym, cuchnącym olejem pomieszczeniu i wdychali ten smród niczym najwonnejsze perfumy, przypatrując się w niemym podziwie zgromadzonej w magazynie broni. Z zachwyty wyrwał ich Wyższy Ortalion, który wbiegł do magazynu i wpadł prosto na Zaniego.

– Komendancie... – szepnął i dopiero teraz dostrzegł zawartość „sezamu”. – Rany boskie, ile tego...

– Leć po chłopaków – bezceremonialnie przerwał mu Zani, nawet się nie odwracając. – Tylko cicho, do cholery...

Po chwili w magazynie zaroilo się od spiskowców, którzy, rozdziawiając gęby, radośnie wpatrywali się w zdobycz. Niższy Ortalion, niczym szatniarz z hotelu Bristol, uroczyście zdjął pierwszego z brzegu kałasznikowa i wręczył koledze. Rozdzielał broń na lewo i prawo jak prorok błogosławiący wiernych, dopóki wierni nie odepchnęli go od półki i sami nie zaczęli ładować żelastwa na plecy. Zani wyszedł przed koszary i stanął przy wyjściu.

Pierwszy wytoczył się Niższy Ortalion; obwieszony kałasznikowami wyglądał jak futurystyczna, szkaradna choinka wycięta z obrazów Picassa. Minał Zaniego i powolutku ruszył za koszary w stronę ceglanego muru, oddzielającego teren jednostki od ulicy. Tuż za budynkiem znajdowała się furтка, zwykle obwiązana łańcuchem i zaryglowana kłódką. Łańcuch spoczywał teraz w śniegu, rozcięty nożycami. Za furtką, tuż przy murze, stały dwie

zaparkowane furgonetki. W szoferkach czekali Roman i Bibi, którzy jako jedyni z oddziału mieli doświadczenie w prowadzeniu takich wozów. Grubasek Bibi siedział spokojnie za kierownicą, natomiast drugi kierowca wiercił się i pocił ze strachu. Dwa volkswageny wany miały służyć do transportu broni, a w przypadku niepowodzenia – do szybkiej ewakuacji.

Ortalion przeszedł przez furtkę, grzęznąc w śniegu zalegającym wzdłuż muru. Dotarł z trudem do kierowcy, który otworzył tył furgonetki i rzucił się wypłatywać Ortaliona ze stalowej uprzęży. Zgodnie z rozkazem Zaniego wewnątrz paki wymoszczono kocami i szmatami, żeby zgromadzona broń nie robiła za dużo hałasu.

Zani obserwował swoich ludzi, którzy mozolnie wynosili z koszar broń i wyposażenie. Wszystko odbywało się w pośpiechu, ale chłopcy zachowali porządek i – co najważniejsze – kompletną ciszę. Czasem tylko szczęknięło żelazo czy tupnął podkuty but, ale odgłosy nikły w mrokach nocy. Po kilkunastu minutach rozpoczął się załadunek drugiego vana. Zani polecił rozłożyć broń i amunicję proporcjonalnie w obu samochodach, żeby w razie utraty jednego nie zostać bez naboju. Praca szła sprawnie i szybko, ale komendant trząsał się z niecierpliwości i obawy, że w ostatniej chwili coś może się nie udać. Raz po raz nerwowo spoglądał na fronton koszar. Okna pozostały jednak ciemne jak w wymarłym, opuszczonym domu.

Wiatr przycichł nieco. Obwieszeni bronią spiskowcy wyglądali teraz jak zjawy. Zani ruszył jeszcze na chwilę do magazynu, żeby zobaczyć, ile broni wyniesiono. Na schodkach wyminał dwóch ludzi, mocujących się z drewnianą skrzynką amunicyjną. Niższy Ortalion stał oparty o mur i gryzmolił coś na kartce papieru.

– Powinno wystarczyć – rzekł do Zaniego. – Najważniejsze, żeby starczyło amunicji.

Zani kiwnął w milczeniu głową i rozejrzał się dookoła. Niemal połowa sprzętu została w magazynie. Zaniemu żal było porzucić tak ciężko zdobyty łup, ale nie miał wyjścia. W busach musieli się zmieścić jego ludzie.

– Spadamy – rzucił szeptem i klepnął Ortaliona w ramię.

Ortalion ruszył za nim, zamykając drzwi i gasząc światło, jak nakazują dobre obyczaje. Po drodze zawrócili jeszcze kilku nadgorliwców i poszli do busa. Zani wyjął telefon i wysłał sygnał do Cichego, który z kałachem w dłoniach siedział na drugim piętrze. Krótkie sygnały poleciały również do Artiego, który pilnował oglupiałego oficera dyżurnego, i do reszty chłopaków.

Komando zaczęło wsiadać do obu pojazdów, co nie było sprawą prostą ze względu na ładunek. Chłopcy upchali się jakoś, a Zani osobiście zamknął tylne drzwi. Czekał jeszcze nerwowo, chodząc wokół samochodów. Po dłuższej chwili spokojnym, niemal spacerowym krokiem nadszedł flegmatyczny Arti, który zebrał pozostałych chłopaków z wartowni i „dwójki”, zgarniając przy okazji broń wartowników. Arti bez słowa oddał karabin Zaniemu i ucisnął mu dłoń. Wraz z czterema ludźmi miał jechać swoim fiatem, zaparkowanym ulicę dalej.

Zani dał znak Bibiemu. Pierwszy bus zapalił silnik i ruszył wolno naprzód. Zani wskoczył do szoferki drugiego i szturchnął w bok dygoczącego ze strachu Romana.

– Jazda!

Silnik zaskoczył bez problemu i chociaż Romanowi drżały ręce, zdołał w końcu wrzucić bieg i ruszył za światłami furgonetki Bibiego. Zani otarł złane potem czoło. Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale nagle osłabł i osunął się na siedzeniu, uderzając głową w boczną szybę.

– Szefie, co ci jest? – przerażony Roman pociągnął Zaniego za rękaw. – Jesteś ranny?

– To nic, to nic... – szeptał Zani, odchylając głowę do tyłu i oddychając ciężko – udało się, udało...

Oczyrna wyobraźni ujrzał siebie w podstawówce, jak biegnie z piłką przez środek boiska. Chłopaki ustępują mu z drogi, bo z rozpędzonym Zanim nie ma żartów. Odpycha kilku, przebijając się w stronę bramki, oddycha szybko, mobilizuje resztki sił. Bramkarz, do tej pory siedzący z nudów na ziemi, zrywa się nagle i patrzy z przerażeniem na małego szatana, który gna wprost na niego. Zani nie widzi już nic, tylko kwadrat bramki... jeszcze piętnaście metrów, jeszcze dwanaście... grymas strachu na twarzy rudego piegusa, który jako ostatnia klasowa ofiara zawsze stawiany był na „budzie”... jeszcze dziesięć... Zani kopie piłkę z całej siły, rudzielec uchyla się instynktownie chowając twarz w dłoniach. Piłka wpada w siatkę, ale Zani nie widzi tego... pada tuż koło bramkarza, ryjąc twarzą w zalegający boisko żwir... łapie oddech... nie może oddychać... ostatkiem sił szepcze: Udało się... udało...

## Rozdział 2

Miarowy stukot kroków odbijał się od wypolerowanej posadzki. Odgłos narastał, potęgowany echem długiego korytarza. Zza rogu wyłonił się dwudziestopięcioletni młodzian w czarnym jak smoła garniturze, dźwigający pod pachą naręczne papierzysk. Szedł powoli, z godnością, stawiając stopy dokładnie wzdłuż linii dzielących jaśniejsze i ciemniejsze marmurowe płyty podłogi. Wzrok, utkwiony w perspektywie korytarza, czasem tylko zniżał się lekko, kontrolując, czy ciało nie zbacza z precyzyjnie ustalonego kursu.

Wyminał biegnące spiralnie w dół schody i wkroczył dostojnie na czerwoną wykładzinę. Stukot kroków natychmiast ucichł i tylko echo niesło go jeszcze w dal. Młodzieniec maszerował wyprostowany, z głową lekko zwróconą w lewo, wzdłuż filarów marszałkowskiego korytarza, które jego wyobraźnia rychło zamieniła w szereg wyprężonych przed nim żołnierzy prezentujących broń. Tu i ówdzie odklonił się nieznacznie mijającym go pracownikom, niemal nie zauważając ich istnienia, to znów posłał starannie wyćwiczony uśmiech w kierunku którejś z licznych tu uroczych niewiast.

Nad budynkiem Sejmu wisiała ciężka atmosfera wyczekiwania i niepokoju. Cały personel, poganiany osobiście przez Szefową Kancelarii Sejmu – korpulentną panią minister Żukowską – uwijał się niczym w ukropie przed jutrzejszą uroczystością zaprzysiężenia prezydenta elekta Starynkiewicza. Zamiłowanie nowej głowy państwa do blichtru i pompy było powszechnie znane, więc budynek parlamentu przy Wiejskiej od przeszło tygodnia przechodził generalne sprzątanie. Konserwatorzy, sprzątaczk i murarze mijali się na korytarzach z agentami ochrony i oficerami wywiadu, kucharze sejmowi plotkowali z szoferami dostojników, a wszystkim przeszkadzała Straż Marszałkowska, która daremnie próbowała zapanować nad tym bałaganem.

Młodzieniec wyminał kilku dwumetrowych funkcjonariuszy, którzy dokonywali wnikliwego przeglądu paprotek ustawionych pod ścianami jedynej w Sejmie palarni, i szedł dostojnie dalej, zagubiony w myślach. Ocknął się dopiero przed drzwiami swojego pokoju. Brutalna rzeczywistość w jednej chwili wyparła mu z głowy megalomańskie marzenia.

Dosyć miał już na dziś swojej pracy. Panna Renatka, z którą dzielił skromny, zawalony szpargałami gabinet, zdążyła w międzyczasie wykonać trzy półgodzinne telefony do mamuni, uzgadniając z nią na koszt podatnika kolor kafelków w łazience.

– Witam pana Tomasza – odrzekła z wyraźnym przekąsem, wisząc na telefonicznej słuchawce. – Na biurku masz świeżą korespondencję. Przyszły też twoje nowe wizytówki.

Tomasz spojrział na nią tak, jak zwykle patrzy się na stojących w drzwiach Świadków Jehowy. Odsunął z biurka szpargały i otworzył paczkę z wizytówkami. Ku jego zaskoczeniu tym razem nazwisko napisano poprawnie, więc zadowolony chwycił jedną, wychylił się w stronę trajkoczącej panienki i poufale wsunął kartonik do kieszeni jej kawowej garsonki.

– Masz, może wreszcie przestaniesz przekręcać moje nazwisko.

Renatka paplała dalej, nie zwracając na sąsiada najmniejszej uwagi. Jej irytujący, słodki głosik doprowadzał Tomasza do szału. Niestety milczenie było dla niej pojęciem równie abstrakcyjnym co punktualność. Siły do bezustannego gadulstwa czerpała z przezroczystego kufierka pełnego ziół, eliksirów i innych medykamentów, którymi leczyła nadwątłone nerwy. Tomasz zauważył, że jej nastrój zmieniał się w czasie godzin pracy w zależności od koloru wywaru, który przyrządzała. Mikstury o kolorach ciemnozielonym i granatowym działały na pannę Renatkę pobudzająco, natomiast te o odcieniu czerwonym i brunatnym wpędzały ją w śpiączkę i stan permanentnego ośpienia.

Pracę zawdzięczała wpływowemu wujowi, prowadzącemu znaną w Warszawie kancelarię adwokacką, który ryzykując swą reputację i dobre imię, umieścił dziewczę w Kancelarii Sejmu. Wiedza fachowa Renatki ograniczała się do sztuki malowania paznokci oraz znajomości tasiemcowego serialu „Pokolenie”, którego akcję relacjonowała niczym Radio Wolna Europa wszystkim chętnym do wysłuchiwania jej paplaniny, a także wszystkim, którzy takowej ochoty nie przejawiali. Pozostały czas umilała sobie dzwonieniem do rozlicznych narzeczonych oraz drobiazgowym planowaniem czynności domowych.

Choć Tomasz nie znał osobiście aktualnego narzeczonego panny Renatki, będąc biernym słuchaczem jej rozmów telefonicznych, wiedział o nim więcej niż rodzony brat. Wiedział, gdzie facet pracuje, który numer bielizny nosi, który ząb go boli i który dentysta bólem się zajmie. Znał też sytuację rodzinną dentysty, rozpoznałby na ulicy jego żonę oraz Cecylię i Michała – parkę uroczych pociech stomatologa. Znał każdy najintymniejszy nawet szczegół pożycia panny Renatki, a i pożycie członków jej bliższej i dalszej rodziny nie stanowiło dla niego tajemnicy.

Niechęć Tomasza do panny Renatki podzielał najwyraźniej ich wspólny komputer, zawieszając się, gdy tylko kładła swe wymalowane paznokietki na przybrudzonych klawiszach. Pecet żartowniś uwielbiał wymazywać jej dane, zarządzać wirusami jej katalogi, a gdy już nic innego nie przychodziło mu do procesora, potrafił ni stąd, ni zowąd stracić napięcie i bezczelnie się wyłączyć. Panna Renatka znęcała się histerycznie nad komputerem, waląc w szklany ekran lub wbijając swe szpony w czułe miejsce, jakim jest przycisk „reset”. Ale figlarz nie przejmował się tym wcale i z zerojedynkowym uporem konsekwentnie i systematycznie wykańczał system nerwowy swojej gnębicielki.

Uroczystość zaprzysiężenia nowo wybranego prezydenta RP była pannie Renatce

wyjątkowo nie na rękę, bo z tego powodu nie mogła przez ostatni tydzień wyskoczyć w godzinach służbowych do fryzjera ani – co gorsza – do kosmetyczki. Patrząc smętnie w urocze srebrne zwierciadelko, stojące obok fotografii aktualnego partnera, panna Renatka pocieszała się jedynie, że podobny rozgardiasz zdarza się tylko raz na pięć lat. Odłożyła więc zwierciadelko, rzuciła Tomaszowi niechętnie spojrzenie, podniosła się zza swego biurka i majestatycznie opuściła pokój, grzmocąc niemiłosiernie obcasami w klepki podłogowe. Tomasz westchnął, zgarnął na bok kilkanaście przesyłek pocztowych i wyciągnął teczkę z napisem: „Komisja Rolnictwa i Obszarów Wiejskich”.

– Diabli ich nadali – mruzczał gniewnie, przerzucając papierzyska. – Nie mieli kiedy zwoływać tego cholernego posiedzenia.

Tomasz jako pracownik Departamentu Komisji Sejmu był odpowiedzialny za funkcjonowanie komisji zajmującej się sprawami rolnymi. Komisji szczególnie lubianej przez media i będącej stałym miejscem potyczek posłów Sojuszu Chłopskiego i Ludowego Stronnictwa Narodowego. Wspólną cechą zantagonizowanych partii ludowych była kompletna ignorancja i niewiedza dotycząca spraw wsi i jej mieszkańców. Tomasz jako pracownik departamentu w ciągu trzech lat pracy zdołał pojąć więcej, niż panie i panowie posłowie w ciągu wielu lat terenowych wieców i przepychanek. Przewodniczący Komisji – poseł Sojuszu Chłopskiego Faffik – zwołał posiedzenie na dzień przed uroczystością, motywując to chęcią dokonania kilku analiz budżetu w związku z ostatnimi zaleceniami Komisji Europejskiej. Na myśl o tym, że najbliższe kilka godzin spędzi w towarzystwie tego przepoconego, tłustego niechlujka w poliestrowym garniturze, Tomaszowi odechciewało się wszystkiego.

Niechętnie więc zgarnął do obszernej walizeczki stos papierzysk, z analizą cen tuczników na wierzchu, i wyszedł z pokoju, zamykając drzwi na klucz. Idąc sejmowym holem, zgarbiony i znudzony, w niczym nie przypominał tego Tomasza, jaki przemierzał przed chwilą dumnie czerwone dywany. Skręcił w korytarz tonący w półmroku i wszedł do gabinetu pani minister Żukowskiej.

Przekroczenie progu gabinetu szefowej ostatecznie zrujnowało humor Tomasza. Miał nadzieję, że uniknie spotkania trzeciego stopnia, a tymczasem niemal potknął się o panią minister stojącą pod drzwiami.

– A o której to pan Tomasz podpisuje listę – zaskrzeczała swym jazgoczącym głosem – czyżby znów korki na drogach?

Tomasz mruknął coś niewyraźnie, żeby uniknąć dalszej dyskusji, ale korpulentna szefowa zastawiła mu drogę niczym lodowa góra „Titanicowi”.

– Pan poseł Faffik żalił mi się wczoraj – rzekła, zacierając swe tłuste rączki – że nie doszła do niego ostatnia korespondencja z zaproszeniem na posiedzenie komisji. Może mi to pan Tomasz wyjaśnić?

– Rozmawiałem o tym z panem posłem dziś rano – burknął Tomasz wyminąwszy w



końcu szefową – sprawa się wyjaśniła.

– Korespondencja poselska to niezwykle ważna sprawa, panie Tomaszu – skrzekot pani minister był tego dnia wyjątkowo uciążliwy. – Posłowie to poważni ludzie i należy...

– Mama pana posła – Tomasz bez ceregieli przerwał Żukowskiej, trzymając w zębach skuwkę od długopisu – wywaliła korespondencję do śmieci, sądząc, że to reklama supermarketu. A trzeba pani minister wiedzieć – Tomasz wyprostował się i posłał szefowej kąpiący od ironii uśmiezek – że mama pana posła Faffika nienawidzi supermarketów z całego serca.

Pani minister chciała jeszcze coś dodać, ale zapowietrzyła się czy to ze złości, czy ze zdziwienia. Tomasz posłał jeszcze całusa sekretarce ministrowej, pannie Monice, stwierdzając w myślach, że mimo swych czterdziestu wiosen jest jeszcze wcale, wcale... i już go nie było.

Ruszył w dalszą drogę, zapuszczając się w jelita korytarzy i przedsionków. Minał czeredę robotników słuchających w skupieniu swego majstra, który wyłuszczał im koncepcję przeciągnięcia kabla elektrycznego od szafki kablowej do pobliskiej centrali telefonicznej. Brygadzysta zacinął się co chwila, bo majestat Wysokiej Izby nie zezwalał mu na użycie popularnego na budowie przerywnika, dzięki któremu zdania nabierały płynności, mowa – wyrazu, a ludzie – szacunku.

Tomasz kroczył dalej, odprowadzany zazdrosnymi spojrzeniami przedstawicieli klasy do niedawna uprzywilejowanej, a teraz brutalnie sprowadzonej z socrealistycznych piedestałów na poziom gumofilców i walonek. Wyminął jeszcze dwie sprzątaczkę opierające się o miotły i narzekające na kierowniczkę administracyjną i wszedł do głównego holu Sejmu. Tu z kolei królowali dziennikarze i ekipy telewizyjne, przygotowując się do jutrzejszej uroczystości. Pękaty kierownik ekipy wrzeszczał coś do równie pękatego kamerzysty, komenderując ustawieniem świateł i używając dwóch onieśmielonych funkcjonariuszy Straży Marszałkowskiej jako modeli.

Tomasz zerknął na wiszący nad wejściem głównym zegar i zwolnił nagle kroku. Do komisji zostało jeszcze ponad pół godziny, postanowił więc zejść na parter do bufetu, by posilić się przed starciem intelektualnym, jakim zawsze było spotkanie z chłopskimi posłami. Zawrócił więc i zbiegł wesoło schodami na dół, w połowie drogi zwalniając, bo ze złością stwierdził, że poryw chwili znów wziął górę nad wystudowanym i dopracowanym krokiem pełnym dostojeństwa. Wyminął ekipę telewizyjną i dolnym korytarzem dotarł do sejmowej jadłodajni, którą ktoś szumnie nazwał restauracją.

Restauracja sejmowa mieściła się w wielkiej, przedzielonej na pół sali o ścianach w kolorze seledynowym. Jedna jej część pełniła rolę stołówki, druga natomiast kawiarni z wydzielonym miejscem dla palaczy. Miejsce to wydzielone było czysto teoretycznie, bo wybrańcy narodu nagminnie łamali przepisy antynikotynowe, które zresztą sami ustalili, i pętali się po całym budynku w obłokach siwego dymu. Papierosy, cygarniczki i fajki nikły

dopiero wówczas, gdy w oddali błyskały flesze reporterskich aparatów bądź co gorsza zza rogu wyłaniała się kamera, łypiąc dookoła swym ślepiem. Wówczas posłowie palatce potrafili nawet zgnieść tłącego się peta w rękę, by chwilę później, pozbywszy się bolesnego grymasu wywołanego oparzeniem, perorować do kamery na temat konieczności zniesienia ulg podatkowych lub zwiększenia dopłat bezpośrednich do pszenicy.

Tomasz skierował się do kawiarnianej części sali, gdzie prócz papierosów i słodczy oferowano bogaty asortyment garmażerki, jakiego nie powstydziliby się niejeden bar dworcowy. Młodzian zbliżył się do podświetlanej lodówki, wodząc okiem po tatarach, sałatkach jarzynowych, schabach w galarecie i pulpetach na zimno. Zlustrowawszy całą tą wylęgarnię salmonelli, Tomasz zdecydował się w końcu zaryzykować śledzia w cebuli, jako danie, w którym kucharki miały najmniej szans na popełnienie błędu w sztuce kulinarnej.

Podchodząc do kasy, Tomasz wskazał tylko palcem na pływający w oleju kawałek króla Bałtyku, gdyż rozmowa z bufetową przyprawiała go zawsze o skręt jelit. Pani Helcia, bo o niej mowa, była małą, niezwykle chudą, obficie wypudrowaną i farbowaną brunetką o głosiku cienkim jak struna. Szczebotała bezustannie ni to do klienta, ni to do siebie, zmiękczając i zdrobniając słówka wypadające z jej ust jak pociski.

– Pan Tomaszek dziś znów śledziczka – paplała, usiłując wyłowić kawałek rybich zwłok.  
– Śledziczek dobra rzeczunia, doskonała na cerkę... No, chodź do mnie, rybeńko, chodź – gadała do martwego śledzia, który wyraźnie nie miał ochoty znaleźć się na Tomaszowym talerzu – chodź do mamy, niegrzeczna rybko, chodź...

Tomasz jak zawsze, gdy słyszał te okropne dźwięki, czuł się jak mały wulkan, który zaraz eksploduje. Im dłużej trwało nakładanie potrawy, tym szybciej nachodziła go myśl, by oblać panią Helcię oliwą i puścić hałaśliwe babsko z dymem. Wreszcie za pomocą widelca pani Helcia wygrała starcie z rybą i po chwili Tomasz maszerował ze swym daniem przed siebie, byle jak najdalej od baru.

Choć dzień poprzedzający zaprzysiężenie nie był dniem sesji parlamentu, to jednak lokal pękał w szwach od posłów, senatorów i pracowników administracyjnych Kancelarii Sejmu i Senatu. Wszystkie miejsca były okupowane przez pokaźne poselskie zady, więc sekretarz komisji stał na środku jak sierota, smętnie wpatrując się w swoją rybę. Już postanowił wyjść i spożyć posiłek na korytarzu, gdy kątem oka dostrzegł wielką łapę, machającą jak holenderski wiatrak. Tomasz spojrział na jej właściciela i dostrzegł za stołem posła Stryjka z Ludowego Stronnictwa Narodowego, który czynił szereg zachęcających gestów, przypominających przedśmiertne konwulsje. Przebił się więc chcąc nie chcąc przez ścianę dymu i postawił swoją rybę koło posłowego talerza, który Stryjek wycierał z sosu kromką chleba. Tomasz z obrzydzeniem przyglądał się czynności pana posła, dla którego *savoir-vivre* stanowił jeszcze większą zagadkę niż mydło i pasta do zębów.

– Co tam, młody, w polityce? – zagadnął poseł, a właściwie wybelkotał, gdyż pełne usta jedzenia utrudniały mu mówienie. – Mam nadzieję, że ta twoja zafajdana komisja przyzna coś

mojej gminie na wały przeciwpowodziowe, co?

Tu Stryjek uśmiechnął się chytrze, odsłaniając popsute zębiska i podrapał się w łysą głowę, z której niczym śnieg spadały płatki łupieżu. Tomasz pomyślał szybko, że pan poseł i wały istotnie mają ze sobą wiele wspólnego. Przegryzł jednak dyskretnie swego śledzia i przymilnie odparł:

– Pan poseł wie doskonale, że to komisja podejmuje takie decyzje, ja jestem tylko ich wykonawcą...

– Gówno prawda – odrzekł dyplomatycznie wybraniec narodu, mrugając filuternie kaprawymi oczkami. – Każdy mądry poseł wie, że tak naprawdę rządzi administracja. A te fajfusy wokół – tu Stryjek zatoczył kółko brudnym paluchem – są tylko od podnoszenia łap i klaskania, no nie?

Tu szturchnął przyjaźnie sekretarza w bok, aż ten skrzywił się z bólu, żując jednocześnie bałtyckiego truposza w cebuli.

– No to jak będzie? – hodowca łupieżu zbliżył swoją nieświeżą cerę do Tomasza. – Muszę, misiu kolorowy, dać coś temu wyborczemu motłochowi, bo mnie jeszcze nie wybiorą na następną kadencję... i co będzie? – niemal krzyknął, by podkreślić tragizm sytuacji kraju, gdyby społeczeństwu przyszła ochota zrezygnować z takiego samorodnego talentu politycznego jak on.

– Pogadaj z tym tłustym knurem, co przewodzi komisji rolnictwa. – Stryjek słodko zamrugał oczkami. – Chodzi tylko o mały drobiazg, przeniesienie kasy z tego paragrafu – nabazgrał coś na serwetce – do tego... a jak się uda, to pamiętaj... potrafię być wdzięczny.

Tomasz przeżuwał bułkę, zapychając śledzia i zastanawiał się, wpatrzony w poselskie kulfony. Stryjek mimo odrażającej powierzchowności był wpływowym i znanym politykiem. Nie rzucał też słów na wiatr. Tomasz pamiętał doskonale, że rok wcześniej, gdy na prośbę Stryjka namówił Faffika do negatywnego zaopiniowania budowy wodociągów w byłym województwie sieradzkim i przeniesienia środków na wodociągowanie okolic Siedlec, czyli okręgu wyborczego łysola – jego brat zdał egzamin na prawo, a sam Tomasz pojechał z parlamentarzystami na dwutygodniowe szkolenie w RPA, gdzie posłowie na koszt podatnika uczyli się między innymi technik wypalania węgla drzewnego. Było z tego trochę szumu w prasie, ale „Stryju” z pomocą swoich kanałów szybko uciszył wścibskich pismaków.

– W gruncie rzeczy, panie pośle – rzekł, dojadając cebulę – wały powodziowe to ważna rzecz.

– No! – Brzydał jeszcze raz szturchnął w bok sekretarza. – Wiedziałem, że młodzież w dzisiejszych czasach cechuje rozsądek i wyczucie... Wystarczy jakieś trzy i pół, no, może cztery miliony... To przecież grosze...

Stryjek podniósł się ociężale i machnąwszy przyjaźnie brudną ręką, poczłapał w kierunku wyjścia, kilkakrotnie zaczepiany przez kolegów posłów.

Tomasz zakończył znęcanie się nad śledziem, odstawił talerze do okienka ZWROT

NACZYŃ i zamyślony udał się w kierunku swego departamentu. Słowa Stryjka brzęczały mu w głowie, bo przysługa oddana temu łuszczącemu się ludowcowi mogła się okazać niezwykle oplącalna. Dumał tak i dumał, przechodząc labiryntem sejmowych korytarzy i klatek schodowych, póki nie znalazł się przed zamkniętymi drzwiami swego pokoju. Ze złością szarpnął za klamkę, lecz pomalowane na białą drzwi nie ustąpiły. Ruszył więc do pokoju obok, który należał do kierowniczkii wydziału. Tym razem drzwi się otwarły i Tomasz wszedł do środka.

Z początku zdawało mu się, że pokój jest pusty dopiero po chwili ujrzał, zasłoniętą przedtem otwartymi drzwiami szafy, korpulentną sylwetkę swego kolegi po fachu. Kolega Karol Pietrewicz – niski, tłusty i łysiejący krótkowidz – był sekretarzem Komisji Zdrowia. Szczęśliwym trafem na jej czele stał jego protektor i mentor, poseł Ścierski z Ludowego Stronnictwa Narodowego – ważna szycha sejmowa i stary salonowy wyjadacz. Pietrewicz zaskarbił sobie jego łaski, bo jak na apolitycznego urzędnika przystało, weekendy i urlopy spędzał na rozlepianiu plakatów swego guru na wszystkich murach prowincjonalnego Gostynina, z którego się wywodził.

– Masz może analizy dotyczące poziomu bezrobocia w województwie podlaskim? – zapytał Tomasz, zgarniając klucz do swego pokoju z biurka kierowniczkii.

Zamiast odpowiedzi usłyszał jedynie sapnięcie i tłusciutki paluch pana Karola wskazał na obszerną czarną szafę.

– W szafie? – zapytał Tomasz. – Mógłbyś mi podać? Nie chciałbym grzebać w twoich rzeczach.

Natężenie sapania momentalnie wzrosło i okularnik odwrócił powoli głowę, z prawdziwą niechęcią odrywając się od przeglądania w internecie stron pornograficznych, która to czynność pochłaniała mu większość regulaminowego czasu pracy. Obrotowy fotel z ułamanym kółkiem skrzywnął i obłe ciało potoczyło się powoli w stronę szafy, sapiąc niemiłosiernie i rzucając jakieś uwagi na temat przeszkadzania w pracy. Grubas otworzył czarną lakierowaną szafę, po czym rozległ się huk i stos spiętrzonych wewnątrz bezładnie segregatorów runął na ziemię.

Sapanie przerodziło się w charczenie i Tomasz z nieukrywaną satysfakcją obserwował, jak jego ludowy kolega miota się wśród stosu papierzyk i pudeł niczym ślepiec na obrazie Breughla.

– Wiesz, Karolu – uśmiechnął się słodko – wpadnę po analizę jutro. Właściwie dziś nie jest mi potrzebna.

Obrócił się na pięcie i wyszedł, rezygnując już z widoku ziemistej gęby zmieniającej kolor na purpurowy. Wpadł jeszcze na chwilę do swego pokoju i zabrał komisyjne listy obecności, a następnie ruszył w kierunku przejścia podziemnego, łączącego budynek Kancelarii Sejmu z pałacykiem, w którym odbywały się posiedzenia komisji. Droga zajęła mu więcej czasu niż zwykle, musiał bowiem ostrożnie wyminąć rozkraczonego na drabinie

robotnika, który wiercił w suficie jakąś dziurę, stawiając zaslonę dymną z tynkowego pyłu. Dotarł wreszcie do sali, przystanął pod drzwiami i zawiesił na klamce wywieszkę z napisem: „Posiedzenie Komisji Rolnictwa i Obszarów Wiejskich”.

Sala komisji, wymalowana w papieskie biało-żółte barwy, prezentowała się okazale i dostojnie. Prawie całą przestrzeń wypełniał dębowy okrągły stół, pośrodku którego pysznił się kosz sztucznych biało-czerwonych goździków. Za fotelem przewodniczącego stała obszyta żółtą frędzlą biało-czerwona flaga z orłem. Dawniej towarzyszyła jej błękitna, gwiazdzista flaga Unii Europejskiej, ale na wniosek posłów z Partii Rodzin Katolickich usunięto ją rychło, zastępując niedużym krucyfiksem. Krucyfiks również zamierzano usunąć, tym razem na wniosek Partii Socjaldemokratycznej, lecz w końcu przyjęto kompromis i zawieszono go na jednym poziomie z barwami narodowymi. Uregulowanie sprawy krucyfiksu zajęło posłom dwa lata.

Tomasz wkroczył do sali, jak przystało na sekretarza, z pełnym dostojenstwem. Zgodnie ze zwyczajem zignorował kłaniające mu się sprzątaczkę i pomaszerował w kierunku części przydzielonej. Klapnął w stół papierami, aż echo poniosło pod pułap hurgot ważnych kwestii, którymi były wypełnione.

Sięgnął po stojący na stole srebrny termos i nalał trochę herbaty do filiżanki z sejmowym logo. Nieprotokolarnie siorbnął gorącej cieczy i skrzywił się z niesmakiem – herbata znów miała posmak rdzawo-buraczany. Tymczasem drzwi wejściowe skrzypnęły i do sali wtoczył się poseł Milewski z Partii Socjaldemokratycznej. Bez słowa zdjął obszerną jesionkę i podszedł do Tomasza, wyciągając na powitanie wielgachną łapę. Tomasz zacisnąwszy zęby wytrzymał uścisk dłoni Milewskiego i udało mu się nawet nie krzyknąć. Olbrzym usiadł na krześle po przeciwnej stronie stołu i wycierał wielką jak obrus chustką wysokie spocone czoło. Zaraz po nim wszedł poseł Arciszewski z Partii Liberalnej – młody, ale, jak przystało na posła, solidnie już odpasiony, z nieodłączną komórką przy uchu i nieodłącznymi zdrobnieniami dla młodej małżonki. Potem zjawili się: ludowiec Różański z przetykanym siwizną witosowskim wąsem, wielkimi jak wachlarze uszami i równie wielką sklerozą, socjaldemokrata Dubiel-Biernacki z małymi rozbieganymi oczkami i nienaganną fryzurą zakończoną fantazyjnym lokiem, wreszcie jeden z liderów Sojuszu Chłopskiego, poseł Chętny – pan pełną gębą i właściciel połowy sadów na Podlasiu. Przyszedł znany aferzysta poseł Figiel wraz z małżonką posłanką Figlową, z którą dzielił tak łóżę, jak i salę sejmową, później gburowaty poseł Kielecki, a zaraz po nim posłanka Traczyńska – socjaldemokratyczna feministka nienawidząca mężczyzn, ale nie znosząca również kobiet. Z pośpiechem wpadła mała, ale niezwykle hałaśliwa posłanka Stelmańska-Bergman przez jedno „n”, co za każdym razem podkreślała, demonstrując Tomaszowi postępującą degradację kory mózgowej. Nie zabrakło, a jakże, posła Warmińskiego mającego ciekawy zwyczaj noszenia sandałów w zimie oraz jego koleżanki – sędziwej posłanki Ożelskiej, którą Warmiński troskliwie budził, gdy zdarzało jej się zdrzemnąć w czasie głosowania. Pochód zamykała

posłanka Grabczyńska, o dziwo trzeźwa, choć na ostrym kacu, jako że tylko te dwa stany świadomości pozwalały jej efektywnie funkcjonować w skomplikowanej materii ustawodawczej.

Towarzystwo rozsiadło się wesoło niczym rozbrykana młodzież, dowcipkując, klepiąc się po wywatowanych ramionach i rozsyłając wokół uśmiechy i pozdrowienia. Tomasz podniósł się powolutku z miejsca i przed pierwszym z lewej Arciszewskim położył listę obecności. Ten podpisał ją szybko, jak zwykle w niewłaściwym miejscu, i kartka rozpoczęła rundę wokół stołu jak fajka pokoju, by ostatecznie wrócić do Tomasza pobrudzona, wymięta, zalana kawą, herbatą oraz innymi cieciami, których pochodzenia pan sekretarz wolał się nie domyślać.

Przewodniczący Faffik spóźniał się jak zwykle, lecz Tomasz rozumiał, że jego monstualne cielsko poruszało się w nieco innej czasoprzestrzeni, szczególnie wtedy, gdy winda była zepsuta. Czekał więc cierpliwie i miał już nadzieję, że dopije w spokoju herbatopodobny wywar, gdy nagle w drzwiach stanęła posłanka Piwińska – zhora całego Sejmu, a Tomasza w szczególności. Piwińska jako reprezentantka Partii Rodzin Katolickich stanowiła szczególną krzyżówkę Dziewicy Orleańskiej z wojującym inkwizytorem. Z iście szwajcarską precyzją tropiła wszelkie diabelskie spiski, szczególnie te związane z przystąpieniem Polski do Unii Europejskiej. Od czasu, gdy stwierdziła, że rok rozpoczęcia negocjacji z Brukselą – 1999 – to odwrócony symbol szatana, stała się ulubienicą mediów, które z lubością cytowały jej błyskotliwe komunały. Obrazek posłanki Piwińskiej wymachującej różańcem na stałe zagościł już w Sejmie i w okienku telewizora.

Teraz, kłaniając się zdawkowo zebranym, sunęła w kierunku zniechęconego sekretarza, którego jedyną nadzieją na odstraszenie natrętnej posłanki był nieświeży cebulowo-śledziowy oddech.

– Ja do pana mam sprawę – oświadczyła z takim przejęciem, jakby komunikowała Tomaszowi, że jest jego zaginioną przed laty matką. – Można?

– Proszę – Tomasz włączył czarujący uśmiech i wskazał jej miejsce obok.

– No więc chodzi o te meble, co z panem rozmawiałam.

– Meble? – zdziwił się sekretarz. – Ale...

– No, może nie z panem. – Zastanowiła się chwilę, pocierając długopisem czoło. – W każdym razie ja bardzo chcę je zatrzymać.

– Pani poseł wybaczy, ale ja zajmuję się sprawami rolnymi, a nie umeblowaniem.

– Zresztą nie mogę ich oddać – ciągnęła niezrażona, ignorując ostatnie słowa Tomasza – bo tak naprawdę ich się nie da wynieść.

– Ale może pani zechce od początku...

– Chodzi o to – westchnęła niezadowolona, że Kancelaria Sejmu nie jest wtajemniczona w jej arcyważną sprawę – że na początku kadencji zakupywałam...

– Zakupiłam – mruknął bezwiednie Tomasz i zaraz ugryzł się w język.

– Zakupywałam, mówię przecież – ciągnęła – komplet mebli biurowych z komodą i szafą, ze środków, które przysługują mnie na prowadzenie mojego biura poselskiego...

– Tak – mruknął Tomasz.

– No więc – mówiła dalej zadowolona, że ktoś wreszcie słucha – teraz każą mi je zwrócić, bo niby przekroczyłam wydatki.

– Tak.

– Ale ja nie mogę ich zwrócić, bo mię robotnicy zwężyli framugę w domu i mebli wynieść się nie da!

– Tak.

– I co pan na to!?

– Tak.

– Co tak?

– Co? – ocknął się Tomasz.

– No i co pan na to?

– No więc... – mruzczał Tomasz, usiłując sobie przypomnieć, o czym to rozmawiali. – A! Meble! Oczywiście ma pani rację.

– Ano właśnie – Piwińska triumfalnie wstrząsnęła kokiem – a pańscy mocodawcy mszczą się na mnie za moją nieugiętą postawę przeciw tym złodziejom z Brukseli, co chcą rozkraść Polskę...

– Zaraz, zaraz – przerwał Tomasz, bo monolog posłanki przybierał niebezpieczny obrót – ale wspomniała pani, że te meble zakupiła pani ze środków na prowadzenie biura.

– Oczywiście – przytaknęła gorliwie Matka Polka.

– A wspomniała pani, że trzyma je w domu...

– A kto mię broni mieć biuro w domu?

– Fakt... – przyznał zrezygnowany. – Trudno mi coś pani w tej sytuacji poradzić. Może porozmawia pani z szefową Kancelarii, panią Żukowską?

– Już z nią rozmawiałam – z przekąsem odparła Piwińska – ale ta młoda osoba nie jest w stanie zrozumieć, że meble...

– To może zwróci się pani do Departamentu Finansowego, oni...

– Ja już, proszę pana, wysłałam pisma do marszałka Sejmu i Senatu oraz do Najwyższej Izby Kontroli! – gestykulowała żywo. – Nie wiem, do kogo mam jeszcze pisać?

Tomasz otworzył usta, by użyć swego oddechu jako ostatniej deski ratunku, ale w tej samej chwili w drzwiach ukazała się zwałista sylwetka przewodniczącego Faffika. Piwińska coś jeszcze paplała, ale sekretarz zerwał się z miejsca, ciesząc się jak nigdy z widoku nalanej gęby przewodniczącego.

– Dzień dobry państwu – odezwał się swoim cieniutkim głosem Faffik – przepraszam za spóźnienie, ale państwo rozumieją... te korki uliczne... strasznie ciasno... ulice...

Mamrotał tak ni to do zebranych, ni to do siebie, przepychając się do prezydialnego fotela

i trącając wszystkich olbrzymim brzuchem.

– Witam pana sekretarza – podał Tomaszowi małą, spoconą i owłosioną rączkę. – Co tam mamy dziś na warsztacie?

– Sprawozdanie z przebiegu negocjacji w sprawie absorpcji środków pomocowych z Unii – recytował Tomasz – a następnie zaopiniowanie poprawek do budżetu w dziale „Rolnictwo i leśnictwo”.

– Tak... tak... – przytakiwał Faffik, nachylając rybią głowę, uzbrojoną w grube szkła w imitującej drewno oprawce – ciekawy porządek... a czy ja mam coś mówić?

– Nie – Tomasz pokręcił głową – pan poseł ma przywitać gości i członków komisji i oddać głos przedstawicielowi Ministerstwa Rolnictwa.

– Aha – szeptał przewodniczący, oblizując długim jęzorem wydatne usta – przywitać... oddać...

Gwar na sali wygasł z wolna i Faffik złapawszy oddech, przysunął do siebie mikrofon. Jednocześnie zaparł się o stół rękami, naprężył nieliczne mięśnie twarzy i wydając z siebie dziwaczne stęknienie, spróbował dźwignąć cielsko z fotela. Błat zatrzeszczał niebezpiecznie, a Tomasz, który niejedno już w Sejmie widział, złapał Faffika za rękaw, energicznie ściągnął z powrotem na krzesło i syknął:

– Można na siedząco.

– To może na siedząco – powtórzył Faffik, na którego twarz powróciła charakterystyczna dla niego purpura i fiolet – chciałem powitać wszystkich zebranych. Szczególnie serdecznie chciałem powitać zaproszonych gości...

Tomasz energicznym ruchem złapał nieco mniej poplamioną listę zaproszonych na komisję gości i podsunął ją pod szkła Faffika jak pod mikroskop elektronowy.

– Szczególnie serdecznie witam przedstawicieli Ministerstwa Rolnictwa – sapał przewodniczący – pana dyrektora Departamentu Modernizacji Wsi pana... pana...

Faffik zmrużył oczy, niemal dotykając okularami kartki.

– Pana... Romualda... Kukułkę.

– Kukułkę – poprawił z uśmiechem wspomniany dyrektor, czerstwy jegomość podobny do prezydenta Mościckiego.

– Oczywiście... Kukułkę – Faffik ułożył swe zaślinione wargi w coś na kształt uśmiechu – oraz witam pana zastępcę dyrektora Departamentu Modernizacji Wsi, pana Wiesława... Kuciapę.

– Nalepę! – mniej uprzejmie poprawił łysawy trzydziestolatek z wydatnym nochalem.

– Nalepę... oczywiście... Nalepę – charknął Faffik. – Witam również...

Tomasz wzniosł oczy ku górze i zagryzł wargi, żeby nie parsknąć śmiechem. Odetchnął dopiero wówczas, gdy Faffik w wielkich męczarniach dobrnął do końca ceremonii powitalnej. Poszło mu generalnie lepiej niż zwykle, bo prócz przekręcenia dwóch nazwisk zdołał jeszcze tylko zmienić płeć jednej z zaproszonych dyrektorek, myląc Wiesławę z Wiesławem.



– Na dzisiejszej komisji mamy do rozpatrzenia następujące pozycje – marniał grubas. – W punkcie pierwszym zajmiemy się środkami pomocowymi Unii, a następnie przestudujemy budżet. Czy do wniesionego porządku obrad macie państwo jakieś uwagi?

Głucha cisza oznajmiła wszem i wobec, że uwag nie ma, zatem Faffik, charknąwszy solidnie, kontynuował:

– W takim razie prosimy naszych gości z Ministerstwa Rolnictwa, aby naświetlili nam tło zagadnień. Czas późniejszy przeznaczymy na pytania szczegółowe i merytoryczną dyskusję.

Tomasz, który oczyma wyobraźni widział już tę „merytoryczną dyskusję”, zaśmiał się w duchu. Zza stołu tymczasem podniosła się dostojna sylwetka dyrektora Kukułki, ruszył się również jego łysawy zastępca. Kukułka podszedł do rzutnika, wyciągnął zza pazuchy niewielki wskaźniczek i stanął na tle białej płachty powieszzonego na ścianie ekranu. Wicedyrektor Nalepa tymczasem uruchomił rzutnik, który nagłym błyskiem poraził jego pryncypała i zwielokrotnił jego wspaniałą sylwetkę w formie cienia na ekranie.

– Pozwolą panie i panowie posłowie – zagaił dyrektor tubalnym głosem, gdy już odzyskał wzrok – że najpierw zaprezentuję państwu schemat strukturalny ministerstwa i zadania poszczególnych departamentów.

Tu chrząknął dyskretnie, a Nalepa usłużnie położył pierwszą folię na rozpalony rzutnik.

– Jak państwo widzą – ciągnął Kukułka, stojąc twarzą do komisji – schemat wyraźnie odzwierciedla...

– Nie widzimy – odezwał się Arciszewski, stukając długopisem w blat stołu.

– A dlaczego? – zapytał dyrektor, zmieniając jedną parę okularów na drugą.

– Bo schemat jest do góry nogami – odezwał się młodzian, szczerząc zębiska.

Hałaśliwy rechot wypełnił w jednej chwili salę posiedzeń, a czerwony ze złości Kukułka warknął coś do zdezorientowanego Nalepy, który trzęsącymi się rękami majstrował przy rzutniku. Schemat odzyskał po chwili właściwą pozycję i sobowtór Mościckiego kontynuował swe wywody. Gdy zakończył omawianie schematu, Arciszewski poziewywał dyskretnie, a Milewski, zgniótlszy papier w kulkę, toczył ją po stole niczym piłę. Gdy Kukułka zaczął referować kwestię pozyskiwania środków finansowych przez poszczególne regiony, spała już smacznie posłanka Ozelska, poseł Różański zapadł w bezdech, a Dubiel-Biernacki kończył wraz z Chętnym partię „kółka i krzyżyka”. Małżeństwo Figlów ziewało srodze, a Traczyńska, nie bacząc na swe poglądy, przyłączyła się do gry Milewskiego, odbijając w jego stronę papierową piłeczkę. Jedyne posłanki Stelmańska-Bergman i Piwińska z zapartym tchem śledziły Kukułkowy wskaźnik, przy czym pierwsza spoglądała na dostojnego męża z chłodnym opanowaniem, a druga z niekłamaną nienawiścią.

Przy tabelach obrazujących ilość środków finansowych w rozbiciu na poszczególne województwa sytuacja na sali nie zmieniła się z wyjątkiem posła Różańskiego, który w międzyczasie odzyskał oddech. Stracił go co prawda w trakcie omawiania kwestii podwójnego opodatkowania, lecz po krótkiej dygresji dotyczącej współfinansowania

samorządów czknał lekko i ciśnienie w poselskich płucach wyrównało się, umożliwiając swobodne oddychanie.

– ...dlatego też – do uszu Tomasza przebił się wreszcie głos dyrektora – pozytywna opinia komisji jest tak istotna dla dalszych prac nad absorpcją środków pomocowych. Dziękuję za uwagę.

Generalnie nie było za co dziękować, ale Faffik wstrząsnął w podzięcie fałdami obfitego podbródka, rozejrzał się po sali i rzekł niepewnie swym cieniutkim głosem:

– Dziękujemy panu dyrektorowi za wyczerpujące i interesujące wprowadzenie. Otwieram dyskusję. Kto z pań i panów posłów chciałby zabrać w tej sprawie głos?

Arciszewski skulił się na krześle, Milewski schował papierową kulkę do kieszeni, Dubiel-Biernacki przestał przewracać lisimi oczkami i wbił wzrok w blat stołu. Traczyńska przybrała swą klasyczną minę cierpiénicy, Grabczyńska nerwowo zaszeleściła paczką odświeżających dropsów, które stosowała na zgagę, a Warmiński szturchnął w bok leciwą posłankę Ożelską, która rozbudziwszy się łypnęła lewym okiem, mlasnęła kilka razy i w końcu przeciągnęła się, czochrając się plecami o oparcie krzesła niczym stary kocur. Wszystko to stało się w jednym ułamku sekundy, zanim ostatnie słowa przewodniczącego zdołały ulecieć z sali. Faffik rozglądał się bezradnie, szukając kogoś, kto mógłby się odnieść do słów szacownego dyrektora z ministerstwa lub w ogóle powiedzieć coś w miarę mądrego. Sapnął z ulgą dopiero wówczas, gdy dojrzał przez pryzmat swych monstrualnych szkieł wyciągnięte do góry ręce posłanek Piwińskiej i Stelmańskiej-Bergman, sygnalizujące chęć zabrania głosu.

– Pani poseł Bergman, bardzo proszę – wyszeptał Faffik.

– Stelmańska-Bergman – poprawiła kąśliwie niedużą babunia w brązowym włóczkowym sweterku. – Ja mam do pana dyrektora jedno pytanie, a właściwie uwagę.

– Bardzo proszę – Kukułka uśmiechnął się nieznacznie pod siwym wąsem, a jego twarz ponownie przybrała wyraz niezmaconego dostojenstwa.

– To, co pan dyrektor nam tutaj tak pięknie opowiadał – ciągnęła Stelmańska-Bergman, zanurzając małą główkę w stos leżących przed nią papierów – to oczywiście bardzo ciekawe, ale w moim przekonaniu jest to huraoptymistyczna propaganda i mydlenie oczu.

Twarcz dyrektora Kukułki momentalnie straciła zdrowy, blady odcień i stała się purpurowa, a oczy zwęziły się.

– Pan dyrektor wspominał o rozlicznych funduszach, zapomogach i dotacjach unijnych – skrzeczała Bergmanowa przez jedno „n” – stwarzając wrażenie, jakby na nasz kraj spaść miał deszcz pieniędzy. Wiadomo tymczasem, że nikt nie da nam niczego za darmo i że będziemy się wywdzięczać Unii. Już teraz zresztą to robimy, kupując od Amerykanów ich stare samoloty za koszmarnie wielkie pieniądze! To jest nie do pomyślenia, panie dyrektorze! Dziękuję!

Stelmańska-Bergman zakończyła swe przemówienie efektownym i hałaśliwym wyłączeniem mikrofonu, po czym z tryumfem na twarzy spojrzała na swych kolegów posłów.

– Dziękuję pani poseł – rzekł Faffik. – Czy pan dyrektor zechce się ustosunkować?

Pytanie to było w zasadzie zbędne, bo apoplektyczny starzec już od dłuższej chwili wymachiwał prawicą, sygnalizując chęć zabrania głosu.

– Szanowna pani poseł – odezwał się zielony ze złości Kukułka, siląc się na spokój – po pierwsze w czasie swego wystąpienia zaprezentowałem państwu symulację finansową obrazującą plan dotacji unijnych przeznaczonych na rolnictwo. Zanim przystąpi się do dyskusji, warto wiedzieć, że budżet Unii Europejskiej niemal w pięćdziesięciu procentach przeznaczony jest na wspólną politykę rolną. A po drugie, szanowna pani – cedził dyrektor – pozwolę sobie zauważyć, że Stany Zjednoczone nie są członkiem Unii Europejskiej i sprawa zakupu samolotu wielozadaniowego nie ma tu nic do rzeczy...

– A właściwie po cholere nam te samoloty? – odezwał się milczący dotąd poseł Kielecki.  
– Kupujecie te złomy za miliony dolarów, a ludzie roboty nie mają!

– Tak, tak – przytaknął Arciszewski – nikt tam u was w tym rządzie nie myśli.

– Państwo wybaczą – cedził wściekle Kukułka, gestykułując cholerycznie i zapominając o dostojnej postawie – ale ja pracuję w Ministerstwie Rolnictwa i nie zajmuję się samolotami.

– Urzędnicze wykręty – lekceważąco machnął ręką poseł Figiel. – Panowie w tym rządzie spychacie tylko odpowiedzialność z jednego na drugiego. Posłowie, drogi dyrektorze, muszą w czasie posiedzenia komisji działać i dyskutować merytorycznie i logicznie, opierając się na faktach. Nie ma miejsca na domysły i unikanie odpowiedzi.

Kukułka oddychał ciężko, zaciskając z wściekłości zęby i pocąc się obficie. W ciągu ostatnich kilku minut z dostojnego nestora przerodził się w dzikie osaczone zwierzę, toczące wokół błędnym wzrokiem.

– Przecież tłumaczyłem państwu – mówił drżącym ze zdenerwowania głosem, poświsując lekko – że symulacje finansowe...

– Żadne stymulacje nie pomogą – zaskrzeczała Stelmańska-Bergman, przerywając dyrektorowi. – Tu nie trzeba nic stymulować, panie dyrektorze, tylko wziąć się do solidnej roboty!

Komisja wydała z siebie zgodny pomruk, dzieląc zdanie posłanki, a dyrektor zawisł bezwładnie na oparciu krzesła z wyrazem rozpaczony na swej senatorskiej twarzy. Siedzący obok wicedyrektor Nalepa, który w trakcie dyskusji kurczył się w oczach, drżącymi rękami nalał do szklanki odrobinę wody mineralnej i troskliwie podał swemu pryncypałowi.

– Widzę, że głos chciałaby zabrać pani poseł Piwińska – powiedział Faffik, po raz kolejny oblizując jęzorem swe wydatne wargi. – Bardzo proszę...

– Ja mam tylko jedno pytanie do pana Kukułki – rzekła matrona.

– S... s... słucham – sapnął zmordowany dyrektor, popijając wodę z niewielkiej szklaneczki.

– Czy pan wierzy w Boga?

Starzec zakrztusił się i parsknął wypitą wodą, która wypluta z dyrektorskich trzewi opadła

drobną mgiełką na łysinę wicedyrektora Nalepy. Przekrwione oczy Kukułki wylazły z orbit. Nad salą zawisła cisza, przerywana tylko szelestem chusteczek higienicznych, które mokry Nalepa podawał swemu na wół żywemu chlebobdawcy.

– A... ale... co to ma... do rzeczy – wyrzęził w końcu zmaltretowany psychicznie dostojnik średniego szczebla – przecież... ja jestem tylko dyrektorem... wydziału...

– Ja nie wierzę – huknęła Piwińska, aż Nalepą wstrząsnął dreszcz – że taki doświadczony człowiek jak pan z premedytacją ciągnie nasze polskie ziemie pod but brukselskiego zaborcy! Nie rozumiem, jak możecie tam w tym ministerstwie czekać z założonymi rękami, aż Niemcy przyjdą z powrotem wykupić nasze Ziemie Odzyskane! Ja...

– Chwileczkę, pani poseł – przerwał jej Faffik, poinstruowany uprzednio przez Tomasza, że czas kończyć tę farsę – będzie jeszcze czas na to, aby przedyskutować te ważne tematy. Ja myślę, że nasza dyskusja powinna zmierzać ku wypracowaniu jakiegoś konkretnego wniosku. Czy ktoś z państwa ma jeszcze jakieś pytania do pana dyrektora Jaskółki, bo jeśli nie, to chciałbym...

Przewodniczący przerwał, bo w tym momencie rękę uniół rozbudzony poseł Różański, sygnalizując chęć wypowiedzenia się na forum. Kukułka i Nalepa spojrzeli na siwego ludowca ze szczerym przerażeniem, a Tomasz pochylił głowę nad papierami, nieskutecznie starając się ukryć sardoniczny śmiech.

– Przysłuchuję się dyskusji – zaczął Różański poświstując jak parowóz i drapiąc się za wielkim uchem – i nic z tego nie rozumiem... O czym my w ogóle mówimy? Musimy skoncentrować się na temacie! Dlatego ja mam do pana dyrektora pytanie związane z Unią.

Wymizerowana twarz Kukułki odzyskała nieco krwi i w gasnącym wzroku wyczerpanego starca zabłyśła iskierka nadziei.

– Moje pytanie dotyczy jajek – ciągnął Różański gawędziarskim tonem. – Chodzi o to, że u mnie we wsi jest targ, na którym jajami handluje niejaki Opałko Waldemar, emerytowany listonosz. Opałko na swoim stoisku przybił tabliczkę z napisem: „Jaja wiejskie”. A przecież ja wiem, że każdej niedzieli Opałko kupuje jaja w Ciechanowie! To jakie one są, pytam się, wiejskie! He? Dziękuję.

Różański, skończywszy wypowiedź roześmiał się hałaśliwie i rubasznie, rechocząc sam jeden z tej niezwykle zabawnej historii. Kukułka natomiast sprawiał wrażenie, że za chwilę dozna ataku apopleksji. Siedział bez ruchu, gapiąc się przekrwionymi oczyma w okno. Tylko szybki, nierówny oddech świadczył o tym, że dyrektor jeszcze żyje.

– Skoro nie ma więcej pytań – odezwał się znudzony Faffik – to proponuję odłożyć głosowanie nad przyjęciem opinii do następnego posiedzenia komisji. Z naszej merytorycznej dyskusji wynika bowiem, że są w tej sprawie pewne niejasności, a panowie dyrektorzy nie byli w stanie wyjaśnić nam wszystkiego do końca. Dziękuję panom dyrektorom z ministerstwa za udział w komisji. Mam nadzieję, że nasza współpraca będzie układać się pomyślnie.

Zanim Faffik dokończył zdanie, dyrektor Kukulka z niezwykłą jak na stan przedzawałowy energią zerwał się z krzesła i ruszył truchtem do drzwi. Tuż za nim biegł Nalepa, zgarniając w pośpiechu papiery i płaszcz swego szefa. Tymczasem poszczególni członkowie Komisji wstawali już ze swoich miejsc, nerwowo spoglądając na zegarki, lecz uniesiona rączka przewodniczącego zatrzymała ich na sali.

Tomasz, nachyliwszy się do zarośniętego jak bagno ucha grubasa, tłumaczył mu szeptem:

– ...chodzi więc o to, panie przewodniczący, żeby przeznaczyć dodatkowe środki na budowę wałów przeciwpowodziowych na Bugu w powiatach sokołowskim, siedleckim i łosickim. Chodzi o czte... – zastanowił się chwilę Tomasz – to znaczy o pięć milionów złotych.

– Dobrze, ale skąd wziąć pieniądze? – Faffik podrapał się w przetłuszczoną łysinę.

– Można by przenieść środki z paragrafu 841, ustęp 12, punkt 3, podpunkt „i” – Tomasz przysunął grubą księgę zawierającą budżet. – Dofinansowanie budowy wałów przeciwpowodziowych w powiatach tarnobrzeskim, mieleckim i sandomierskim.

– No tak – zmrużył oczy przewodniczący, starając się bez powodzenia odcyfrować sens wielkiej tabeli zadrukowanej setkami drobnych cyferek – ale czy tam nie było ostatnio powodzi?

– Hmm... być może – zastanowił się Tomasz – być może była... więc jest mało prawdopodobne, żeby wystąpiła znowu. Natomiast sytuacja nad Bugiem nie jest najlepsza.

– Tak, tak – sapnął Faffik, udając, że rozumie, w czym rzecz – to ma sens. Ale myślę, że w tej sprawie warto by się poradzić fachowców... Może zaprosimy kogoś z ministerstwa, aby...

– Z ministerstwa? – przerwał Tomasz z udanym lekceważeniem. – Panie przewodniczący... dziś też mieliśmy fachowców z ministerstwa. I co? I nie umieli odpowiedzieć na merytoryczne pytania komisji! Moim zdaniem to czysta strata czasu. Chyba że pan przewodniczący jest innego zdania?

– Nie, nie – wzdrygnął się przewodniczący – ja też tak sobie właśnie pomyślałem...

– Jeśli pan przewodniczący chce kogoś zaprosić – trąknął Tomasz, czując, że szala przechyla się na jego stronę – to oczywiście nie ma problemu.

– Nie! – Faffik palnął tłusciutką pięścią w stół, co zabrzmiało jak uderzenie mokrej szmaty o ścianę. – Już podjąłem decyzję. Nie ma co radzić się niekompetentnych urzędników!

– Panie przewodniczący, kończmy już – odezwał się Dubiel-Biernacki, gasząc papierosa w donicy z paprotką. – Za dwadzieścia minut skacze Małysz!

– Małysz!?! – zatrwożyła się Grabczyńska, trzeźwiejąc momentalnie. – Mój Boże, w takim razie kończmy czym prędzej, bo transmisja się skończy.

Komisja poczęła szurać nerwowo krzesłami jak pierwszaki na dźwięk dzwonka. Faffik włączył mikrofon i oznajmił zebranym:

– Proszę szanownej komisji, pan sekretarz zasygnalizował mi jeszcze jedną kwestię. Chodzi o przegłosowanie przeniesienia sumy pięciu milionów złotych z paragrafu 841, ustęp

12, punkt 3, podpunkt „4” do... do...

Tomasz szepnął coś do ucha Faffika.

– ...do... do... do paragrafu 848, ustęp 2, punkt 2, podpunkt „c” – przewodniczący wyrecytował wypowiedzianą przez sekretarza formułkę i odetchnął z ulgą.

– A co to jest? – zapytał Milewski, bezradnie przerzucając strony projektu budżetu.

– Dofinansowanie wałów przeciwpowodziowych – jednym tchem wyrzucił z siebie Tomasz, pozostawiając Faffikowi tylko kiwanie łysą głową – na bardzo zagrożonym odcinku.

– Tak, tak – poganiał Dubiel-Biernacki – to bardzo ważne. Głosujmy i kończmy posiedzenie!

– Ale może powinniśmy spytać się jakiegoś fachowca – ze zniewalającym babcinym uśmiechem rzekła posłanka Ożelska. – Może by nam doradził.

– Doradził!? Zosiu! – Faffik zaperzył się jak tłusty kogucik. – Przed chwilą mieliśmy fachowców i co? I nic!

– O tak! – Piwińska wzniosła oczy ku niebu. – Oni na pewno doradziliby przeznaczyć te pieniądze na autostrady, żeby Niemcy mogli szybciej przyjechać po naszą ziemię! Głosujmy, panie przewodniczący!

– Głosowanie, głosujmy – rozległo się na sali.

– Dobrze – powiedział Faffik, spoglądając na obecnych. – Zarządzam głosowanie: Kto z pań i panów posłów jest za przyjęciem poprawki do projektu budżetu, przenoszącej sumę pięciu milionów złotych z paragrafu 841, ustęp 12, punkt 3, podpunkt „4” do paragrafu 848, ustęp 2, punkt 2, podpunkt „c”?

Uniosły się ręce poselskie w ponadpartyjnym pośpiechu do transmisji ze skoków Adama Małysza, podniosła rękę nawet posłanka Ożelska, szturchnięta w bok przez Warmińskiego. Tomasz skrupulatnie zliczył głosy, by w protokole obrad wpisać sakramentalne słowo „Jednogłośnie”. Kiedyś pisał „przez akłamację”, ale niektórzy posłowie nie rozumieli, co oznacza ten tajemniczy wyraz.

– Skoro to wszystko, dziękuję państwu za udział... – zaczął Faffik, lecz jego słowa znikły w hałasie odsuwanych krzeseł, szeleście zbieranych dokumentów, gwarze rozmów i wzajemnych nawoływań. Faffik zgarnął papiery, uściśnął rękę Tomaszowi i ruszył do wyjścia, zastanawiając się, czy Małysz pobije kolejny rekord i czy szelki wytrzymają wchodzenie po wysokich sejmowych schodach.

W biało-żółtej sali zapadła cisza. Tomasz odpiął kołnierzyk koszuli i odetchnął z ulgą. Miał dziś powody do zadowolenia – Stryjek ucieszy się z poprawki przyjętej na komisji, a dla Tomasa oznacza to wymierne korzyści. Ale... czy to aby etyczne? Tomasz uśmiechnął się do siebie – zbyt długo pracował w tym miejscu, żeby to słowo miało jeszcze dla niego jakieś znaczenie. W oddali cichł powoli gwar szacownej komisji...

## Rozdział 3

Dzień zaprzysiężenia prezydenta Starynkiewicza był słoneczny, chociaż mroźny. Od samego rana przygotowania w budynku Sejmu ruszyły pełną parą. W pobliżu parlamentu i nowego hotelu poselskiego policyjne barierki broniły dostępu do bezpośredniego otoczenia gmachu na Wiejskiej. Tymczasem rozbudzone miasto żyło własnym rytmem, nie zważając na doniosłą uroczystość.

Tomasz ruszył w kierunku Sejmu, ostrożnie stąpając po śliskim chodniku. Minął gromadkę roześmianych dziewczuch. Jedna z nich, dźwigająca na szyi wielkich rozmiarów krzyż celtycki, wpadła na niego, omal go nie przewracając. Pozostałe niunie roześmiały się jeszcze głośniej, co pogorszyło i tak zrujnowany tego ranka humor Tomasza.

– Głupia gówniara – mruknął.

Minął ustawioną u wylotu Wiejskiej policyjną barykadę i nie niepokojony przez nikogo, ruszył w kierunku szlabanu, kuląc się z zimna w swoim czarnym płaszczu i klnąc panią minister Żukowską, która w tym uroczystym dniu zabroniła pracownikom Kancelarii zastawiać sejmowy parking prywatnymi samochodami. Chcąc nie chcąc, Tomasz musiał więc spędzić niemal czterdzieści minut w autobusie pełnym rozwrzeszczanej dzieciarni, za nic mającej jego ważne stanowisko. Wyminął jeszcze dwóch zziębniętych funkcjonariuszy Straży Marszałkowskiej i z ulgą wszedł do ciepłego budynku Kancelarii.

Wyplątawszy się z kotary wiszącej za drzwiami, pan sekretarz wpadł wprost w objęcia dwóch osiłków ze słuchawkami w uszach. Ci, podobnie jak autobusowa dzieciarnia, również zignorowali jego dostojną postawę i obmacali go wyjątkowo sprawnie i dokładnie. Dawniej, będąc jeszcze nowicjuszem, Tomasz sprzeciwiał się takim praktykom, które miały miejsce za każdym razem, gdy w Sejmie odbywała się ważna uroczystość. Bezceremonialnie oklepywany przez bezmózgich osiłków z Batalionu Ochrony Rządu, protestował powołując się na konstytucję, ustawę o służbach specjalnych, a nawet na Europejską Kartę Praw Człowieka. Przekonawszy się z czasem, że owe doniosłe akty prawne nic nie znaczą wobec łap „borowików”, poddawał się upokarzającej rewizji ze stoickim spokojem.

– I po co ten cały cyrk? – mruczał do siebie, odbierając nową aktówkę z łap ochroniarzy.

– Pies z kulawą nogą nie zainteresuje się tą waszą zakichaną ceremonią...

Ach, jak bardzo się mylił!

\* \* \*

W korytarzu Kancelarii Sejmu królowało urzędnicze „gorączkowe dreptanie”. Zjawisko „gorączkowego dreptania”, które Tomasz zaobserwował już dawno, stanowiło niezwykle interesujące zagadnienie dla psychologów i socjologów. Polegało ono na przemieszczaniu się urzędników tam i z powrotem bez wyraźnego celu, za to pod czujnym okiem przełożonych. Chociaż w dniu zaprzysiężenia cała Kancelaria nie miała nic do roboty, bezczynne siedzenie wydawało się największą zbrodnią. Wszyscy więc, niezależnie od stanowiska i stażu pracy, dreptali to tu, to tam w myśl zasady: „Pańskie oko konia tuczy”.

Rzuciwszy w kąt płaszcz i teczkę, Tomasz ochoczo włączył się w zbiorowy marsz hysterii, ze złośliwą uciechą potęgując rozgardiasz i zamieszanie. Odwiedził więc bez wyraźnego celu Departament Organizacyjno-Prawny, następnie wykonał efektowny slalom pomiędzy biurkami Departamentu Sesji Sejmu, by w końcu wylądować w Departamencie Finansowym, gdzie jak zawsze z ciekawością i zdumieniem obejrzał jego dyrektorę – ładną, lecz koszmarnie głupią panią Mariolę Markiewicz, która wśród wielu przeróżnych dziwactw miała osobliwy zwyczaj gadania do siebie.

Tym razem Tomasz zastał szefową „finansówki” czule przemawiającą do kserografu, który nie wiedzieć czemu w ten niezwykle ważny dzień zastrajkował i odmawiał wszelkiej współpracy. Pani Markiewicz, nie dogadawszy się z kserem, wyzaliła się donicze okiennej i wiszącemu na ścianie kalendarzowi, po czym chwyciła słuchawkę telefonu i po chwili rozmawiała, a właściwie krzyczała na swego gamoniowatego małżonka, w niezwykle długiej tyradzie, zarzucając mu zbyt późne odebranie dziecka z przedszkola. Małżonek, choć tego Tomasz nie słyszał, w przeciwieństwie do donicy i kalendarza odpowiedział pani Marioli, co tylko jeszcze bardziej ją rozsierdziło.

Tomasz napawał się przez chwilę tym ożywczym widokiem, po czym zerwał się z krzesła i popędził siał zamęt w Jaskini Lwa – sekretariacie pani minister Żukowskiej. Wchodząc do środka, sekretarz poczuł podmuch dostojnej i ciężkiej atmosfery, zwiastującej fatalny humor szefowej. Kryzys samopoczucia pani minister zawsze oznaczał szczyt samopoczucia Tomasza, który radośnie przekroczył próg Jaskini, nie przejmując się nawet tym, że za biurkiem zamiast ponętnej panny Moniki siedziała mimozowata panna Mudrowicz, wyjątkowo zgodnie przez pracowników Kancelarii nazywana „wampirzycą”. Wampirzyca obrzuciła Tomasza gnijącym spojrzeniem, lecz ten nie przejął się wcale, tylko nachylił się do dolnej szuflady biurka, niemal dotykając nosem kościstych kolan biurowego straszysła. Wyciągnąwszy listę obecności, Tomasz maznął na niej swą parafkę, zatrzęsął szufladę i ruszył do wyjścia. Nie spieszyło mu się jednak zbyt. Przystanął nad stoliczkiem zarzuconym świeżą prasą, łowiąc jednocześnie uchem odgłosy z zamkniętego gabinetu pani minister.



Dochodziły stamtąd pojedyncze pomruki o narastającym napięciu. W końcu z czeluści piekielnych wyłoniła się szefowa. Tomasz z politowaniem spojrzął na zielony poliestrowy żakiecik dyrektorki, kontrastujący z brązową bezkształtną spódnicą. Ten strój wywoływał nieodparte skojarzenie z zielonymi i brązowymi firankami kultowego bloku przy ul. Alternatywy 4. Niechlujny makijaż, okolony koszmarną farbowaną na brąz fryzurą ze sporymi odrostami, stanowiły ostatni akt tragedii.

Zastanawiając się, z którego bagna wylazła ta maskara, Tomasz uklonił się grzecznie z ledwo dostrzegalnym uśmiechem. Pani minister, o dziwo, również uśmiechnęła się blado, lustrując postać młodziana rozbieranym i niepewnym wzrokiem. Wydarzenia szczególne, a do takich zaprzysiężenie prezydenta bez wątpienia się zaliczało, przerastały jej możliwości i wyobraźnię, więc zamiast kierować pracami urzędu, miotła się bez ładu i składu, próbując się odnaleźć. Tomasz z prawdziwą satysfakcją obserwował swoją szefową, która mimo awansów i zaszczytów w głębi duszy pozostała tylko prostą i ordynarną kurą domową.

Stała tak przez chwilę, jak dziecko w obliczu pożaru, gdy nagle za Tomaszem otworzyły się drzwi i do sekretariatu wtoczyła się zwałista sylwetka marszałka Sejmu, Edwarda Grodzickiego. Tomasz odwrócił się i cofnął o krok, by zrobić miejsce dla majestatu Marszałka i ciężkiej, przygniatającej atmosfery, która go otaczała. Zimny, skryty i ponury Grodzicki był postrachem pracowników Kancelarii, ale też posłów i senatorów, których przywoływał częstokroć do porządku, cytując z pamięci regulaminowe formuły. Kolosalną wiedzę legislacyjną przypłacił pan marszałek dwoma zawałami i w kularach sejmowych oraz w Kancelarii Sejmu krążyły zakłady, kiedy nastąpi ten trzeci.

Marszałek łypnął teraz ponuro spod przyprószonych siwizną brwi, sprawiając, że temperatura w pomieszczeniu spadła momentalnie o kilkanaście stopni. Wszyscy, łącznie z panią minister, milczeli jak zakłęci, umilkła nawet „wampirzyca” tłumacząca przez telefon jakiejś nieszczęsnej duszy, że pani minister jest na bardzo ważnym spotkaniu. Rozdygotana Żukowska nieśmiało uściśnęła wyciągniętą rękę marszałka, po czym uczyniła zachęcający gest, zapraszając „Sfinksa” do gabinetu. Ten jednak zignorował ją i ruszył powoli przed siebie, ściskając ręce wszystkim obecnym. Tomasz uniżenie zgiął się wpół przed marszałkiem i lekko potrząsnął jego prawicą. Grodzicki przyjrzał mu się uważnie i zahuczał swym niemiłym szorstkim głósiskiem:

– A... ty tu co?

Tomasz nie dał się speszyć tym wyjątkowo precyzyjnym pytaniem zadany przez „Capo di tutti capi” i odparł szybko:

– Pan marszałek raczy zapewne pytać, jak mam na imię?

Grodzicki zmarszczył brwi i mruknął coś, co w jego dialekcie oznaczało: „Tak”.

– Tomasz, panie marszałku.

– A, tak... – rzekła Dostojna Osoba, dając do zrozumienia, że coś sobie przypomina – no i jak tam... tego... no... ogólnie?

– Bardzo dobrze, panie marszałku – odpowiedział Tomasz domyślając się, że Grodzicki zapytuje o ogólne warunki pracy oraz o samopoczucie.

– No to... tak... – mruzczał marszałek. – No to... gratuluję.

Sekretarz, aczkolwiek nie wiedział, czego głowa Izby Niższej raczy mu gratulować, skłonił się grzecznie, dziękując tak za uznanie, jak i w ogóle za fakt bycia dostrzeżonym. Grodzicki tymczasem ujął w garście kłapy swego garnituru, wydał policzki i po długiej pauzie rzekł dostojnie:

– Dzień dzisiejszy... tak, jest dniem niezwykle uroczystym. Tak. Co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Dzień taki jak ten wymaga... tak... byśmy wspólnie, bez względu na pozycję i wiedzę, dobrze wypełniali nasze obowiązki. Dlatego też, jako głowa naszej wielkiej rodziny, jestem zobowiązany wyrazić życzenie, aby w dzisiejszym dniu, tak uroczystym, wszystko było dopięte na ostatni guzik... tak.

Zebrani słuchali słów marszałka w pobożnym milczeniu, niczym kazania Piotra Skargi. Pani minister wyrwała się nawet z przedwczesnymi oklaskami, lecz potomek Małachowskiego i Rataja zgromił ją wzrokiem i dał znak, że jeszcze nie skończył.

– Dlatego też ten uroczysty dzień wymaga od nas największego poświęcenia, dla dobra nie tylko tej szlachetnej instytucji, lecz także całego reprezentowanego tu narodu. Wierzę – Grodzicki odchylił głowę w tył, dając upust swemu natchnieniu – że każdy z tu obecnych zważy moje słowa i podejdzie do swoich obowiązków...

W tej chwili drzwi sekretariatu otwarły się gwałtownie i do środka wpadł marszałek Senatu Kajetan Suwała, krzycząc już od progu:

– Edek! Szukam cię po całym budynku, a ty pogawędki z młodzieżą sobie urządzasz! Rusz się, zaproszeni goście już zjeżdżają. Biegusiem!

Grodzicki, zelektryzowany tymi słowami, przerwał swą tyradę, podskoczył zabawnie w miejscu, a następnie, zapominając o dostojności, popędził na krótkich nóżkach za Suwałą, sapiąc przy tym donośnie. Drzwi, których nie domknął za sobą, zaskrzypiały złowieszczo, a zebrani w sekretariacie pracownicy długo jeszcze stali w milczeniu, chłonąc doniosłe słowa.

\* \* \*

Gwar przed wejściem głównym do Sejmu to się zwiększał, to cichł w zależności od siły wiatru. Grodzicki i Suwała jako przedstawiciele Zgromadzenia Narodowego czekali niecierpliwie jak uczniacy, tupiąc dla rozgrzewki i co chwila potrząsając zegarkami. Tupąła też orkiestra wojskowa wraz z kompanią reprezentacyjną Wojska Polskiego, której żołnierze marzli na mrozie już ponad dwie godziny, stojąc na prawo od obu marszałków i zgromadzonych za nimi licznych oficjeli. Gapiów, czyli narodu, pod Sejm nie dopuszczono, gdyż Grodzicki obawiał się, że gawiedź może zepsuć jego misterny i dopracowany w każdym szczególe plan powitania nowego prezydenta RP.

Co chwila przed budynek zajeżdżały rządowe limuzyny, z których niczym z wielkich czarnych jaj wykluwali się dostojnicy państwowi. Krocząc dostojnie, zaliczali uścisk dłoni obu marznących marszałków i znikali w drzwiach Sejmu.

Przyjazd nowo wybranego prezydenta opóźniał się nieco, gdyż Starynkiewiczowi towarzyszyć miał ustępujący prezydent Rozwadowski oraz premier Tkaczyk. Aby skoordynować przyjazd trzech oficjeli, policja zablokowała pół miasta ku uciesze warszawiaków, spieszących na sobotnie zakupy.

Wiatr, narastający od rana, wzbijał tumany śnieżnego pyłu, budząc panikę wśród dziennikarzy i fotoreporterów, którzy klęli, przecierając obiektywy kamer i aparatów fotograficznych. Suche trzaski migawek odzywały się co chwila, uwieczniając wszystkich zaproszonych gości, emanujących powagą i skupieniem w tej historycznej godzinie. Oto i Markowski – prezes Najwyższej Izby Kontroli – wraz z małżonką dźwigającą na sobie olbrzymie gronostajowe futro; tuż za nim prezes Telefonii Narodowej Niwiński, niesłusznie represjonowany za komuny i słusznie uwznioślany za demokrację; generał Pękala – szef Sztabu Generalnego, jak zawsze dziarski i prężny w przeciwieństwie do armii, którą dowodził.

Dostojny sędzia Siewierz, prezes Trybunału Konstytucyjnego, wsparty na ramieniu równie dostojnego sędziego Góreckiego, prezesującego Trybunałowi Stanu – panowie ci uosabiali teoretycznie niezależną władzę sądowniczą – uścisnęli dłonie marszałkom, uosabiającym z kolei teoretycznie niezależną władzę ustawodawczą. Tuż za nimi kroczyli generałowie: Janusewicz, Dyrektor Agencji Bezpieczeństwa Państwa, i Barlicki, szef Agencji Wywiadowczej, zwani Bolkiem i Lolkiem – potwierdzający starą, forsowaną przez lekarzy zasadę, że stały partner jest podstawą zdrowego układu.

Następny tuman śniegu objawił dziennikarskiej tłuszczy osobę Antoniego Weredy, prezesa Narodowego Banku Polskiego, oraz jego małżonki, wyniosłą postawą jakby oznajmiającą całemu światu, że jest dumna ze swojej pozycji u boku jednego z najbardziej nienawidzonych osobników w kraju, którego kukła, rugując ludową Marzannę, topiona była przez naród podczas odwilży we wszystkich większych zbiornikach wodnych. Przeszedł chyłkiem Generalny Dyrektor Polskich Kolei Państwowych, który – choć weterynarz z wykształcenia – miał reformować kolej, przemknął też Romaniuk – minister do spraw Integracji z Unią Europejską, wychwalany pod niebiosa przez przeciwników naszego wstąpienia do Unii za wyjątkowo profesjonalną kampanię odstraszącą. Prezes Agencji Energii Atomowej Winiarz szedł smutny i zamyślony, może dlatego, że w kraju nie było żadnej energii atomowej; smutny snuł się również Makarewicz, szef Głównego Urzędu Analiz i Statystyki, do którego bezwzględne media przyczepiły się tylko dlatego, że załatwił swej małżonce posadę rektora Uniwersytetu Łódzkiego. Za nimi, dostojnie powłócząc nogami, sunęła nikła sylwetka prezydenta Miasta Stołecznego Warszawy, Czaplńskiego, szczytującego się proporcjonalnymi do swego wzrostu wskaźnikami rozwoju miasta za swej

kadencji.

Nadinspektor Graczyk, komendant generalny Policji Państwowej, krocząc energicznie po śniegu, stanowił widomy dowód, że policja czuwa. Za nim dreptało dostojne grono profesorów Polskiej Akademii Nauk, zajmujące się toczaniem dysput o ilości diabłów na końcu szpilki. Następnie zjawiała się дума stołecznej palestry w osobie prezesa wszechwładnej Korporacji Adwokackiej, Rynnickiego – dbającego o to, by synowie adwokatów nie musieli się zbytnio wysilać na egzaminach na prawo.

Płynęły długim korowodem dostojne elity, okutane w czarne jak smoła płaszcze i podparte przekwitłymi małżonkami w nazbyt szykownych i niedopasowanych kreacjach; powoli i majestatycznie kroczyli prezesi rządowych agencji, pochłaniających państwowe pieniądze i produkujących w zamian tony papierzysk zalegających urzędy, którym prezesowali inni; szli szefowie urzędów pracy, w których znaleźć można było wszystko prócz zatrudnienia, dyrektorzy spółek skarbu państwa tuczący swe rodziny i znajomych, redaktorzy naczelni gazet i prezesi komercyjnych telewizji.

Budynek sejmowy pochłaniał ten korowód indywidualności, ciągnący się na pozór bez końca. Marszałkowie niecierpliwie ściskali ręce kolejnych oficjeli, wypatrując prezydenckiej limuzyny i trzęsąc się z zimna. Niecierpliwili się przedstawiciele mediów, z nudów krążący po przydzielonym im wąskim sektorze. Dostyc mieli również żołnierze i przemarznięta orkiestra, lecz ich akurat nikt nie pytał o zdanie.

Wreszcie od strony ulicy Wiejskiej dał się słyszeć pojedynczy skowyt policyjnej syreny i zgromadzeni przed Sejmem ujrzeli początek orszaku, wiozącego nowego i ustępującego prezydenta. Jadąca na czele para policjantów na motorach wysforowała się do przodu i wjechała na teren Sejmu dumnie, jakby to na nią czekano. Jednocześnie przemarznięty oficer dowodzący kompanią odzyskał siły i sprawnie zakomenderował:

– Kompania... baczność!

Szweje huknęli obcasami w śnieg, prężąc się i wysuwając do przodu sine podbródki.

– Kompania... na ramię... broń!

Szczęk paradnych karabinów złał się z pierwszymi taktami hejnału sygnalistów, którzy przymarzając ustami do swych trąbek odegrali kilka dość fałszywych nut. Prezydenckie limuzyny, poprzedzane czterema samochodami ochrony, wtoczyły się dostojnie na wąski skwerek. W mgnieniu oka zaroilo się na nim od oficerów BOR-u, którzy, bacznie rozglądając się na boki, czynili to, co potrafili najlepiej: spore zamieszanie. Jeden z barczystych misiów podszedł do prezydenckiej limuzyny, otworzył tylne drzwi i oczom zebranych ukazała się nienaganna fryzura prezydenta elekta Starynkiewicza. Chwilę później z wnętrza samochodu wydosłała się – z wydatną pomocą oficera ochrony – obszerna prezydencka małżonka ubrana, ku rozpaczy szefa prezydenckiego protokołu, w kanarkowożółty kostium i dziwaczny kapelusz przypominający sękacz. Jednocześnie z sąsiedniej limuzyny wysiadł prezydent Rozwadowski, a tuż za nim ukazała się jego połowica, ubrana w skromny granatowy

płaszczyk podszyty futerkiem.

Obie prezydenckie pary, wygramoliwszy się z samochodów, ruszyły w towarzystwie zdezorientowanej ochrony w stronę szczękających zębami marszałków. Próbujący zapanować nad chaosem szef protokołu mógł tylko ze szczerym bólem patrzeć, jak ogłupiali władarze Sejmu i Senatu ściskają bezładnie prezydenckie małżonki, a następnie małżonków. Bałaganu dopełniali z jednej strony fotoreporterzy, wściekle atakujący krąg oficerów BOR-u, a z drugiej strony dowódca kompanii reprezentacyjnej, pragnący za wszelką cenę zameldować prezydentom, że kompania reprezentacyjna jest gotowa do przeglądu. Borowiki dzielnie opierały się hordom pismaków wciskających obiektywy w najmniejsze szczeliny ludzkiej palisady, żeby umożliwić wreszcie obu prezydenckim parom wejście do Sejmu.

W chaosie i kompletnym rozgardiaszu nikt nie zwrócił uwagi na trzecią rządową lanię, z której wygramolił się premier Tkaczyk. Nie czekając, aż samochód stanie, Tkaczyk wyskoczył i porzuciwszy swą otyłą małżonkę, pobiegł na chudych nóżkach, pragnąc dostać się w bezpośrednie otoczenie obu prezydentów. Zagubiony kapitan dowodzący kompanią, widząc nadbiegającego premiera, chciał mu zameldować, że kompania naprawdę jest gotowa do przeglądu, ale Tkaczyk odesłał go nerwowym gestem do diabła i jął przebijać się przez kordon ochroniarzy. Pani premierowa, otulona sztucznymi lisami, popędziła za małżonkiem i wmieszawszy się w tłum, jako ostatnia wkroczyła do przedsionka Sejmu.

Hol sejmowy przypominał teatralne foyer w czasie antraktu – obaj prezydenci przebijali się do sali plenarnej, a ochroniarze bezceremonialnie torowali im drogę, rozpychając na boki pomniejszych dostojników. Wszystko to odbywało się w świetle fleszy i reflektorów bezładnie poustawianych kamer. Co chwila któraś z szacownych dam bądź któryś z szykownych dżentelmenów potykali się o zalegającą podłogę płataninę kabli, a dziennikarskie gwiazdy relacjonujące uroczystość na żywo darły się do mikrofonów, byle tylko przekrzyczeć konkurencję.

Tłum zaczął szturmować wejścia na galerię i przeredził się wkrótce. Po kilku minutach w holu zostali tylko pracownicy techniczni, płaczący się w kablach zalegających podłogę. Na dworze zaś stał smutny oficer z opuszczoną smętnie szablą.

\* \* \*

Rozświetlona sala sejmowa nabita była do granic wytrzymałości. Marszałek Sejmu Grodzicki, zlorzeczył w duchu konstytucji z dziewięćdziesiątego siódmego roku, która wymagała, żeby zaprzysiężenie prezydenta odbywało się w obecności Zgromadzenia Narodowego, przez co stworzyła techniczny problem upchnięcia w ciasnej sali plenarnej setki senatorskich tyłków. Morze głów na sali okalała wypchana do granic możliwości galeria, mieniająca się złotymi zębami panów i kosztownymi naszyjnikami pań.

Lekki, umiarkowany gwar unosił się na sali niczym rój dokuczliwych owadów, a nad tym

wszystkim skapani w świetle fleszy i reflektorów stali marszałkowie. Wreszcie, widząc znaki zza oszklonych drzwi wejściowych, Grodzicki ujął w rękę laskę marszałkowską i trzykrotnie uderzył nią o podłogę. Na ułamek sekundy zaległa cisza, po czym zerwał się huragan oklasków i sala sejmowa powstała wraz z galerią, zwracając głowy ku środkowemu wejściu.

Na salę dostojnie wkroczyły dwie prezydenckie pary. Starynkiewicz sunął powoli i miarowo, co chwila poprawiając opadający na czoło fantazyjny lok siwych włosów i pozdrawiając zgromadzone tłumy niczym kardynał Richelieu. Jego otyła małżonka, mająca za chwilę wcielić się w rolę First Lady, dreptała energicznie w swym kanarkowym kostiumie, staczając się po pochyłości niczym monstrualne żółtko. Ustupujący prezydent Rozwadowski szczyrzył sztuczne zęby w wymuszonym uśmiechu, nieudolnie udając, że rozstanie z władzą jest mu obojętne, choć maksymalnie wydłużył czas między wyborem a zaprzysiężeniem nowego prezydenta. Jego małżonka, lubiana przez media, z większym trudem maskowała niechęć do przekazania pałeczki w ręce otyłej matrony.

Szli tak we czwórkę, każde myśląc o czym innym, sunąc po czerwonym dywanie w stronę podwyższenia. Natężenie oklasków nie malało, wywołując zachwyt licznie zgromadzonego korpusu dyplomatycznego i przekleństwa operatorów dźwięku, którym nagły hałas poprzepalał część wzmacniaczy i bezpieczników. Pary dobrnęły wreszcie do trybuny sejmowej i dostojnie wgramoliły się na górę. Publiczność przycichła nieco, gdy Grodzicki dyskretnie dał znak ręką, i chwilę później z głośnym rumorem zasiadła na fotelach.

Prezydent elekt Starynkiewicz wysunął się naprzód krzywiąc usta w głupawym uśmiechu, jaki każdy mężczyzna pokazuje w życiu dwukrotnie: stojąc z opuszczonymi spodniami przed komisją poborową i stojąc z zapiętymi spodniami przed ołtarzem. Grodzicki zajął miejsce z lewej strony prezydenta i – po krótkiej pauzie dla efektu – zagrzmiał:

– Panie prezydencie! W dniu dwudziestego siódmego października ubiegłego roku naród polski w wyborach powszechnych wybrał pana na urząd prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej. Zapytuję pana, czy pan ten wybór przyjmuje?

Kolejna efektowna pauza zawisła nad sejmową salą, a damy w karakułach i gronostajach wstrzymały oddech, konstatuując, że prezydencka przysięga jest równie podniecająca jak zakończenie brazylijskiej telenoweli. Starynkiewicz zaczerpnął oddechu w płuca i z lekkim poświstem odpowiedział:

– Przyjmuję!

I znów grzmot oklasków wzbął się pod brudnozielony sufit, wstrząsając salą sejmową i paląc dźwiękowcom ostatnie bezpieczniki. Prezydent elekt pokraśniał z zadowolenia jak uczeń, który jako jedyny z klasy podał właściwą odpowiedź. Jego kanarkowa małżonka też odetchnęła z ulgą, dziękując niebiosom, że tygodnie prób i nauki nie poszły na marne.

– Wobec tego wzywam pana – huczał dalej Grodzicki – do złożenia przysięgi konstytucyjnie przypisanej. Proszę powtarzać za mną rotę przysięgi.

W jednej chwili sala i galerie powstały, a Starynkiewicz po sekundzie wahania, którą rękę

ma podnieść, poniósł właściwą dzięki niezbyt dyskretnemu kuksańcowi swej połowicy. Grodzicki rozłożył zmięty w kieszeni karteluch i zaczął czytać:

– Obejmując z woli narodu urząd Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej...

– Obejmując z woli narodu urząd Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej... – powtarzał Starynkiewicz szczęśliwy, że ktoś mu podpowiada.

– ...uroczyście przysięgam...

– ...uroczyście przysięgam...

– ...że dochowam wierności postanowieniom Konstytucji, będę strzegł niezłomnie godności Narodu... – sapał Grodzicki, pocąc się obficie w błyskach fleszy.

– ...że dochowam wierności postanowieniom Konstytucji, będę strzegł niezłomnie godności Narodu...

– ...niepodległości i bezpieczeństwa Państwa...

– ...niepodległości i bezpieczeństwa Państwa...

– ...a dobro Ojczyzny i pomyślność obywateli... – skrzekliwie kończył marszałek.

– ...a dobro Ojczyzny i pomyślność obywateli... – brnął Starynkiewicz.

– ...będą dla mnie najwyższym nakazem...

– ...będą dla mnie najwyższym naka...

Potężny huk wstrząsnął nagle salą sejmową, zagłuszając ostatnie słowa Starynkiewicza. Jednocześnie na galerii zaterkotała stłumiona seria wystrzałów i do sali przez środkowe i boczne wejścia wdarło się kilkunastu mężczyzn w zielonych mundurach polowych, krzycząc coś i strzelając w powietrze. Wrzask i zamieszanie wzmogły się jeszcze, zamieniając Wysoką Izbę w scenę jak z dzieła Dantego.

– Na ziemię! – wrzasnął Zani biegnący na czele. – Wszyscy na ziemię!

Wymachując kałasznikowem, biegł na oślep tą samą drogą, którą przed paroma minutami dostojnie sunęły prezydenckie pary. Dobiegał już do trybuny, na której stali osłupiali notable, gdy wtem jeden z nadwornych dziennikarzy fotografujących zaprzysiężenie przystawił do oka aparat i błysnął silnym fleszem po oczach chłopaka. Zani krzyknął, upuścił karabin, zakrył ręką oczy i upadł, uderzając w barierkę odgradzającą salę od stolika stenograficznego. Biegnący tuż za nim Feri, widząc, co się dzieje, natarł na dziennikarza i z rozmachem trzasnął go na odlew magazynkiem karabinu. Pismak zatoczył się pod nogi osłupiałych posłów, zasiadających w pierwszym rzędzie.

– To nic! – wrzasnął Zani, wściekle odpychając Feriego. – Nic mi nie jest, bierz prezydentów!

Podniósł się chwiejnie i próbował skupić wzrok. Błysk osłupił go chwilowo, lecz instynkt ponaglał do biegu. Zani chwycił leżący na ziemi karabin i popędził za Ferim. Wpadli na podest jednocześnie, rozpaczliwie łapiąc w płuca powietrze wypełnione ostrym zapachem prochu. Starynkiewicz, z przerażeniem patrząc na uzbrojonych po zęby napastników, odpychał za siebie korpulentną małżonkę. Rozwadowski zastygł w bezruchu, choć serce

waliło mu jak młot. Wydawało się, że czas stanął na chwilę i tylko trzask wystrzałów przypominał, że ten koszmar jest rzeczywistością.

Ochroniarze prezydentów skotłowali się na trybunie, usiłując zasłonić swoich chlebodawców. Odparcie ataku było jednak niemożliwe, bo w zbitą gromadę oficjeli i borowików celowało kilkanaście luf kałasznikowów.

Zani szybko odzyskał zimną krew, w przeciwieństwie do roztrzęsionego Feriego. Zgromadzeni na sali posłowie jak na komendę dali nura pod ławki, a goście na galerii powstali ze swych miejsc, przerażeni i zdezorientowani.

– Kłaść się na ziemię! – wrzasnął Zani, usiłując przekrzyczeć tumult.

Obaj prezydenci w jednej chwili zalegli na wyświechtanym dywaniku, pociągając za sobą małżonki. Zani chciał powiedzieć coś jeszcze, ale kątem oka dostrzegł, że jeden z ochroniarzy prezydenckich, stojących do tej pory nieruchomo, sięga po ukrytą za pazuchą broń.

– Nie ruszaj się! – krzyknął i jednocześnie odruchowo wystrzelił serię w kierunku borowika.

Ten wystrzelił również, lecz Zani nie dał mu żadnych szans – kule trafiły ochroniarza w bark i praktycznie oderwały mu ramię od ciała. Pozostałe borowiki rozglądały się bezradnie wokoło, bo wypchana do granic możliwości sala nie dawała im żadnej możliwości schronienia. Na podwyższenie wbiegł Feri, niewiele myśląc schwycił za kark Rozwadowskiego, podniósł go do pionu i przystawił mu lufę P-83 do głowy.

– Kłaść się na ziemię! – krzyknął w stronę borowików, szarpiąc bladym jak śmierć prezydentem. – Ręce szeroko i bez kawałów!

Ochroniarze jeden po drugim kładli się cicho na ziemię, a widok rzeźącego kolegi z odstrzelonym barkiem sprawił, że przeszła im wszelka ochota na samodzielną inicjatywę. Wrzaski na sali ucichły nieznacznie i wszyscy zgromadzeni goście przerażeni oczekiwali, co będzie dalej. Jedyne podstarzały i sklerotyczny poseł Partii Rodzin Katolickich, Janowicz, powstał ze swego miejsca i żywo gestykulując, krzyczał coś o opamiętaniu, ale zręczne ręce kolegów szybko ściągnęły domorosłego kaznodzieję w dół.

Zani podniósł wzrok na otaczające salę galerie. Nagle przypomniał coś sobie i szybko zlustrował całą salę w poszukiwaniu jednego ze swych ludzi.

– Jurand! – krzyknął, dostrzegłszy charakterystyczną barczystą sylwetkę. – Do mnie!

Wywołany dryblas niechętnie ruszył w stronę Zaniego, wpatrując się w przerażone poselskie twarze i szukając tej jedynej... tej, dla której zdecydował się dołączyć do spiskowców.

– Nie teraz – Zani chwycił go żelaznym uściskiem za ramię. – Nie teraz... to nie czas ani miejsce. Rozumiesz?

Jurand stał oddychając ciężko i zaciskając łapę na zamku karabinu.

– Rozumiesz?! – szarpnął mocniej Zani.

– Tak... – wycedził w końcu olbrzym przez kwadratowe szczęki.



Wrzaski na galerii zaczęły cichnąć głównie dzięki Artiemu, który wraz ze swoją sekcją wdarł się na miejsca dla publiczności i uciszył zebrane tam towarzystwo. Zablokował też wejście od strony loży prezydenckiej i zmusił strwożony, zdezorientowany tłum do położenia się na ziemi. Jeden z ludzi Artiego – grubasek Bibi, dźwigający karabin PK i obwieszony taśmami z amunicją niczym współczesny Pancho Villa wzbudzał największe przerażenie. Ze swoją wiecznie uśmiechniętą gębą wyglądał jak postać z koszmaru.

– Przepraszam, sorki, pardon, zechce pani wybaczyć, rąsia – mamrotał, przedzierając się przez spanikowany tłum i bezceremonialnie depcząc po elitarnych nogach.

Arti przychylił się przez balustradę i machnął ręką do Zaniego.

– Galerie w dół! – krzyknął komendant.

Arti kiwnął tylko głową i odwróciwszy się do tłumu, krzyknął z niezwykłą u niego energią:

– No dobra, złodzieje! Wszyscy na dół! Biegiem!

Damy i dżentelmeni, do tej pory zalegający na podłodze, poderwali się w popłochu i runęli do jedyne go otwartego wyjścia z galerii, prowadzącego do holu. Gronostaje i biżuteria współ z brylantowymi spinkami do krawatów sunęły w dół schodów, bezceremonialnie poszturchiwane przez chłopaków Artiego. Na końcu truchtał korpus dyplomatyczny. Na tle przerażonych i roztrzęsionych dyplomatów z państw europejskich wyróżniała się spokojem niewielka grupka ubranych w zwiewne szaty ambasadorów z Afryki, dla których widok uzbrojonych zamachowców wdzierających się do parlamentu nie był niczym nadzwyczajnym.

Sala sejmowa wypełniła się do granic możliwości, gdy otwartymi środkowymi drzwiami wlała się rzeka elit spędzonych z galerii. Spiskowcy Zaniego, przejęci i zdenerwowani nie mniej od swych ofiar, pomagali kolbami kałachów niezdecydowanym dżentelmenom w szybkim zajmowaniu miejsc. W zamieszaniu oberwało również kilka nobliwych dam.

Zgiełk i harmider cichły powoli, gdzieniegdzie tylko dały się słyszeć rozpaczliwe szlochy i przekleństwa. Jeszcze większą porcję adrenaliny zafundował sejmowej elicie Cichy, który wraz z trzema ludźmi zaczął rozwieszać na półkolistej ścianie pudełka wielkości sporej cegły i łączyć je pomarańczowymi drutami.

– Bomby... ładunki... Zaminowują nas... – rozległy się przerażone szepty.

Zani wszedł na trybunę i objął wzrokiem falujący tłum przerażonych ludzi.

– Uwaga! – krzyknął. – Nie chcemy nikogo skrzywdzić, więc nas do tego nie zmuszajcie! Budynek Sejmu został zajęty, a prezydent, premier i członkowie rządu są aresztowani. Nasze żądania przedstawimy w stosownym czasie. Ktokolwiek sprzeciwi się moim ludziom lub będzie próbował ucieczki, zginie!

Umilkł, by sprawdzić, czy jego słowa odniosły zamierzony skutek. Upewniwszy się, że treść dotarła do słuchaczy, zszedł z trybuny i wydał dyspozycje Wyższemu, którego sekcja zablokowała wyjścia z sali plenarnej.

– Rozstawisz ludzi w trzech punktach obserwacyjnych – pokazywał na planie – będą

mieli świetny widok na przedpole Sejmu i na Skarpę Wiślaną. Mają meldować o każdym, nawet najmniejszym ruchu.

Zani dość dobrze orientował się w rozkładzie pomieszczeń sejmowych – kilka tygodni przed akcją zwiedził budynek parlamentu, dołączając do wycieczki mamroczących emerytów z podwrocławskiego Brzegu. Przewodniczka, znudzona ciągłymi narzekaniami staruchów, chętnie odpowiadała na wnikliwe pytania młodego człowieka i służyła wszelkimi dostępnymi informacjami, łącznie z rodzajem i lokalizacją alarmów, położeniem magazynu broni, liczebnością Straży Marszałkowskiej i systemem służb. Z przyjemnością patrzyła na uradowaną twarz młodziana, kontrastującą ze znudzonymi minami emerytów. Radość okazała się tym większa, gdy pani dość dokładnie naszkicowała system przejść podziemnych, łączących sejmowy hotel i pałacyk komisji z głównym budynkiem parlamentu. Młody człowiek z zapałem notował wszelkie informacje, a na koniec pani obdarzyła go słodkim uśmiechem i szczegółowym informatorem. Wylewnie pożegnała Zaniego, choć zapraszając do ponownych odwiedzin, z pewnością nie podejrzewała, że nastąpią one tak szybko i w takich okolicznościach.

Ludzie stłoczeni na sali przycichli i z przerażeniem obserwowali zamachowców, którzy w jednej chwili zamienili ich lukrowany żywot w piekło. Co bardziej odważni wychylali się zza foteli po to tylko, żeby zobaczyć lufy wymierzone w nich z galerii. Widok ten wywoływał dreszcze u najbardziej nawet zimnokrwistych polityków. Jeszcze bardziej się przerazili, kiedy Bibi zamienił prezydencką lożę w stanowisko RKM-u. Miał z góry świetny widok i było jasne, że jedna seria wystrzelona stamtąd nawet bez celowania spowoduje masakrę.

Rozwadowski, pokonawszy opór małżonki, podniósł się powolutku z uniesioną ręką. Stojący na trybunie spiskowiec szczerknął tylko zamkiem kałacha, celując w głowę ustępującego prezydenta. Na sali panowała względna cisza i metaliczny szczerk odbił się echem od ścian. Zani odwrócił się błyskawicznie i gestem rozkazał nadgorliwemu strzelcowi zabezpieczyć broń.

– Na miłość boską, panowie – zaczął Rozwadowski upewniwszy się, że napastnicy nie noszą turbanów, bród i nie bełkocą z kaukaskim akcentem. – Co wy robicie? Czy nie zdajecie sobie sprawy z konsekwencji? Przecież wywołacie swymi nieprzemyślanymi działaniami zamieszki, anarchię, a może nawet wojnę domową.

– A może właśnie o to chodzi – ironicznie rzucił Zani.

– Wojnę domową! – podniesionym głosem wtrącił Cichy. – A do czego wy zmierzacie, bando złodziei? Mało wam demonstracji i strajków, mało biedy? Śmiesz twierdzić...

– Cichy! – warknął Zani niezadowolony jak zawsze, gdy Cichy zbyt niezależnie wypowiadał swoje zdanie. – Zabezpiecz tyły i sprowadź tu wszystkich dziennikarzy, jakich mamy.

Cichy mruknął coś niezbyt pochlebnego, ale posłusznie skierował się w stronę loży prasowej.

– Złóżcie broń, póki jeszcze jest czas – ciągnął Rozwadowski. – Wstawię się za wami. Jestem pewien, że prezydent Starynkiewicz także...

– Tak, tak – gorliwie przytaknął nowy prezydent – jeśli złożycie broń i poddacie się, zapomnimy o wszystkim.

– Nie zająłem Sejmu po to, żeby tracić czas na czcze rozmówki z takimi jak wy – odparł Zani, nonszalancko gładząc kolbę pistoletu Glock zabranego jednemu z prezydenckich ochroniarzy. – Jesteście aresztowani. I nie próbujcie...

– Komendancie!

Wrzask Martineza przerwał Zaniem w pół zdania. Martinez stał na galerii ze wzniesioną ręką i otwartymi ustami. W ciszy, która momentalnie zgasła wszystkie szmery, dał się słyszeć słaby, stłumiony dźwięk. Wznosił się i opadał, zbliżając się coraz bardziej. Zani nie wiedzieć czemu poczuł ulgę. Odwrócił się i ni to do siebie, ni to do innych, szepnął:

– Już są...

## Rozdział 4

– Znacie ten kawał, jak rozmawiają ze sobą dwa robale? Nie? To posłuchajcie: Mówi synek robal do taty:

- Tato, dlaczego my mieszkamy w gównie? Czy nie lepiej by nam było w śliweczce?
- No... tak, synku, byłoby lepiej...
- Albo w jabłuszku?
- Tak, synku...
- Albo w takiej małej, słodkiej brzoskwince?
- Tak, tak, syneczku...
- No to dlaczego my mieszkamy w gównie?
- Bo widzisz, synku... ojczyzny nikt sobie nie wybiera.

Chóralny rechot odbił się od pożółkłych ścian i uleciał gdzieś pod okopcony tytoniowym dymem sufit. Wstrząsnął starymi okiennicami ze skruszonym kitem i samotną zwiędłą paprotką, która cudem utrzymywała się przy życiu, choć nikt nigdy jej nie podlewał. Zagłuszył na chwilę trzaski ze starego, dogorywającego radiomagnetofonu Grundig, wciśniętego w kąt parapetu i pamiętającego jeszcze częstotliwość fal Radia Wolna Europa. Nawet dziewczyna z zawieszono koło okna NRD-owskiego plakatu w tonacji brudnego różu wydawała się bardziej atrakcyjna, choć zapewne teraz w najlepszym razie sprzątała berliński dworzec ZOO albo wspominała swoją dawną urodę w jakimś honeckerowskim blokowisku.

Za czterema zestawionymi ze sobą biurkami siedziało czterech otyłych jegomościów. Wspólna praca, niczym stadne życie, upodobniła ich do siebie. Obficie spocone łysiny lśniły niczym gigantyczne jaja otoczone przeredzonymi wianuszkami siwych włosów, zrzucających łupież na złachane i wymiętoszone marynarki. Siedzieli tak, rechocząc i trzęsąc podbródkami, odsłaniając niekompletne rzędy popsutych zębisk, wspartych tu i ówdzie na imitujących złoto koronach. Owłosione łapska klepały po obfitych brzuszyskach, rytmicznie podskakujących w obleśnym chichocie.

Pułkownik Langer nienawidził pokoju nr 240, okupowanego przez tych czterech tłuściochów. 240 stanowiło autonomiczne terytorium nie tylko Departamentu do Spraw Sytuacji Nadzwyczajnych Sztabu Generalnego, ale i chyba całej Rzeczypospolitej. Czterech

otyłych jeźdźców apokalipsy zajmowało ten pokój od niepamiętnych czasów i czas właśnie sprawił, że zrosli się z nim jak huba z drzewem. Niejeden już pryncypał próbował usunąć ten poczwórny wrzód z organizmu sztabu, lecz zawsze kończył zniechęcony i pokonany, rozbiwszy się o mur koneksji i znajomości, które lokatorzy pokoju nr 240 wyrobili sobie podczas libacji i polowań minionej epoki.

Dziś jednak Langer leciał do zramolałych urzędników niemal jak na skrzydłach. Treść teleksu, który nerwowo miał w dłoni, wyprowadziła go z równowagi i podnieciła zarazem niczym rozbitka, który po wielu dniach dryfowania ujrzał nagle w oddali zarysy lądu. Langer czuł, że jeśli ta groteskowa i niepojęta informacja się sprawdzi, jego dzieło, które z takim mozołem od podstaw budował, załśni wreszcie pełnym blaskiem, a on sam przestanie być przedmiotem kpin swoich kolegów.

Departament do Spraw Sytuacji Nadzwyczajnych był oczkiem w głowie byłego szefa Sztabu Generalnego i znanego rusofila, generała Łabędzkiego. Pan generał jako miłośnik panslawizmu i prozy Czechowa nie zagrzezał długo miejsca w sztabie i wyleciał na zbity pysk na skutek delikatnych sugestii Jego Eksceleencji ambasadora USA, Rory'ego Ewella. Po tym fakcie departament stracił na znaczeniu i mimo energicznych starań Langer spadał na coraz niższe pozycje, czego wymiernym dowodem było przeniesienie jego biur do zagraconych i zawilgoconych piwnic.

Decyzja o powołaniu departamentu pod tak niezwykłą i zagadkową nazwą była decyzją czysto polityczną – miała uspokoić opinię publiczną, zaniepokojoną rozdmuchiwanym przez media terrorystycznym zagrożeniem. Była to typowa reakcja politycznych fachowców, którzy starym zwyczajem, postawieni wobec mniej lub bardziej realnego problemu, powoływali po prostu do życia nową strukturę administracyjną.

W ciągu pierwszych miesięcy działalności oryginalna nazwa departamentu sprawiała, że na biurku pułkownika Langer lądowały takie rewelacje, jak raporty na temat tajemniczych kręgów w zbożu czy niezwykłych pomorów trzody chlewnej, a nawet doniesienie o porwaniu prezesa NBP i podstawieniu na jego miejsce sobowtóra. Departament upatrzyła sobie pokaźna grupa zarówno wytrawnych piniaczy, jak i pospolitych szaleńców. Jedni i drudzy zarzucali Langer setkami pism zawierających rzeczy, o których się filozofom nie śniło. Ekspertyza jakiegoś obłąkańca wywodzącego, że wyspa Bornholm bezsprzecznie należy do Polski, monity w sprawie objęcia ochroną ryjówki pospolitej, podanie pewnego staruszka twierdzącego, że zna sposób na spłatę zadłużenia zagranicznego Polski w godzinę teksańską ropą, reklamacja z wojska podpisana przez człowieka, który ożeniwszy się z macochą stał się nagle własnym ojczymem, informacja o zaginionym testamencie angielskiego króla odnalezionym na bieszczadzkiem strychu, wreszcie zdecydowany faworyt pułkownika – profesor doktor habilitowany Strumiłło, proszący o pozytywną opinię swego rewelacyjnego leku na kłykciny sromu i pochwy – to wszystko spływało codziennie na Langerowe biurko. Każda dziwaczna informacja, nie mieszcząca się w ogólnym schemacie administracji, prędzej

czy później trafiała do departamentu.

Teraz pułkownik trzymał w ręku wiadomość bijącą na głowę największe nawet dziwactwa, z jakimi zetknął się w swojej sztabowej karierze. Energicznie szarpnął za klamkę i wpadł do pokoju jak burza, wprowadzając zamęt w spokojne i ustabilizowane życie lokatorów. Zgodnie z przewidywaniami pułkownika, lokatorzy nie okazali szczególnego entuzjazmu na jego widok i ograniczyli się do czterech lekkich ukłonów, naturalnie w pozycji siedzącej. Langer nie zwracał jednak uwagi na konwenanse, wyciągnął tylko zmiętą kartkę papieru i rzucił:

– Czytajcie, panowie!

Czterech nestorów z niemałym zdziwieniem spojrzęło na swego formalnego szefa. Do pokoju nr 240 rzadko zaglądała nawet sprzątaczką, nie mówiąc już o etatowych pracownikach departamentu. Widok zziąjanego pryncypała, zwracającego się do nich w pośpiechu z najwyraźniej merytoryczną sprawą, wprowadził ich w stan najwyższego zdumienia, choć w swym długim życiu widzieli już wiele.

Pierwszy z nich, starszy inspektor Halbert, odznaczał się wyjątkowo niepospolitym charakterem. Jowialny i otwarty, nigdy nie zhańbił się trzeźwością w miejscu pracy, nigdy też nie przepuścił okazji, by oczarować damy swym finezyjnym humorem. „Nie wiem, czy pani wie, pani chorążyno” – mówił kiedyś zalany w trupa do funkcjonariuszki straży granicznej w czasie jakiejś fety na lotnisku – „że ja jestem kapralem rezerwy. W związku z tym mogę służyć pod panią”. I choć flirt z funkcjonariuszką przypłacił siarczystym policzkiem i grzywną z artykułu 226 § 1 Kodeksu Karnego, nie przejął się tym wcale, uważając się nadal za współczesne wcielenie Don Juana.

Naprzeciw Halberta zasiadał pułkownik Gałązka – wielce ustosunkowany i namolny ekszef warszawskiego oddziału SB, zaprawiony w tuszowaniu, nagłaśnianiu lub zaciemnianiu wszelkich spraw, które do niego trafiały. Jego bohaterska walka ze związkami zawodowymi, prasą podziemną i opornymi księżmi przyniosła mu uznanie w oczach przełożonych, przekładające się na wytworną willę w Aninie.

Dwóch pozostałych dżentelmenów w osobach podpułkowników Czernickiego i Kujawy reprezentowało odpowiednio prokuraturę wojskową i wojskowe służby wywiadowcze. Pierwszy z nich zażarcie tropił w PRL-u studenckie spiski, drugi natomiast inwigilował hermetyczne środowiska robotników, budujących drogi w Iraku Saddama i Libii Kadafiego.

Były to cztery tłuste administracyjne korniki, zagnieżdżone bezpiecznie w nadgniłym drzewie administracji państwowej i oplecione wzajemną siecią powiązań i układów, których początki ginęły w mrokach historii.

Starszy inspektor Halbert – najbardziej otyły z całej czwórki i sprawujący nieformalne przywództwo autonomii – podniósł się z wolna zza biurka, macając rękami fałdy swej obszernej marynarki w poszukiwaniu okularów. Jego kompani powtórzyli dokładnie te same gesty i w innych okolicznościach Langer z pewnością wybuchnąłby śmiechem na widok tego

groteskowego tańca. Teraz jednak, zniecierpliwiony, sam rozwinął kartkę i zaczął pospiesznie czytać:

*Centrala, godzina 12.34, pilne: budynek Sejmu zaatakowany przez terrorystów. Liczba i uzbrojenie NN, cel NN. W środku prezydenci Rozwadowski i Starynkiewicz, premier Tkaczyk, ministrowie i nasz stary. Przekazać do SN, podpisano C.*

Grubasy w ciągu kilku sekund przeszły zadziwiającą metamorfozę. W zramolałe i ociężałe cielska wstąpił jakby nowy duch. Halbert skoczył do starego grundiga i pogłodził go, zanim jeszcze Langer skończył czytać. O nie, nie... za dużo w życiu widzieli, by zlekceważyć widok szefa trzymającego w ręku faktyczną zapowiedź zamachu stanu. Lokatorzy pokoju numer 240 zaczęli karierę w czasach, gdy za spóźnienie do pracy ich szef – sowiecki generał o polsko brzmiącym nazwisku – bezceremonialnie prał ich po pyskach i groził lufą swego nagana. Pamiętali dobrze, że wykroczenia czy niedopatrzania, za które dzisiaj groziła najwyżej kara administracyjna, w ich czasach mogły zaprowadzić nawet pod mur lub w najlepszym razie za podbiegunowe koło.

Halbert pokręcił chwilę gratem, próbując złapać częstotliwość pogiętą anteną. Z odbiornika doleciały jakieś trzaski, po czym rozległ się głos lektora Zetki:

– ...od pięćdziesięciu do stu uzbrojonych po zęby osobników. Jak donoszą nasi specjaliści korespondenci, przed budynkiem Sejmu doszło do regularnej bitwy. Straż Marszałkowska stawiała opór i dopiero po godzinie uległa przeważającym siłom terrorystów. Prezydent Rzeczypospolitej wraz z małżonką oraz prezydent elekt, według najświeższych informacji, znajdują się w rękach porywaczy...

Grundig zaczął trzeszczeć, ale słowa spikera wciąż dało się zrozumieć. Gałązka podrapał się w głowę i rzekł:

– Albo zamach stanu przeprowadzony przez jakiegoś zwariowanego i niedowartościowanego trepa, albo gówniarzeria oficerska... coś jak spisek podchorążych z 1830 roku.

– Są uzbrojeni „po zęby”, zatem tak czy siak mają coś wspólnego z mundurowymi – dorzucił Kujawa – jeśli oczywiście wierzyć tym cymbałom z radia...

– Na takich informacjach polegać nie możemy – odezwał się Czernicki. – Pismaki zawsze przesadzają.

– Co więc proponujecie?

– Alarm dla garnizonu Warszawa – wyrzucił z siebie Halbert, podchodząc do planu stolicy wiszącego na ścianie. – Kontakt z generałem Weissem, dowódcą brygady pancernej w Sulejówku. Niech pchnie w okolice Sejmu wszystkie rezerwy i zabezpieczy stolicę. Szczególnie mosty, elektrociepłownie Kawęczyn, Żerań i Siekierki, Filtry, Wodociąg Północny i, rzecz jasna, bezpośrednie okolice Sejmu.

– Weiss to wielbiciel Piłsudskiego – przypomniał Czernicki. – Chętnie poprowadzi wzorem „Dziadka” wojsko na Warszawę.

– Trzeba ustalić, kogo mają, a kto z dostojników rządowych jest wolny – rzekł flegmus Kujawa, akcentując dobitnie każdą końcówkę. – Ruszyć cały departament i do roboty! Musimy wiedzieć, co tam naprawdę się dzieje.

Langer stał przez chwilę, oszołomiony potokiem zasłyszanych rad. Nie spodziewał się ze strony tych mumii żadnego wsparcia, co najwyżej wspólnego narzekania lub drwin. Analizował przez dłuższą chwilę wszystkie propozycje, po czym obrócił się na pięcie z zamiarem wyjścia. Ręka zamarła mu jednak i przerażony odwrócił się znowu.

– Ruszyć departament? – zapytał ni to grubasów, ni to siebie. – Przecież dziś sobota... Nie ma nikogo.

Stali przez chwilę w milczeniu, konstatuując ze zdziwieniem ten dość oczywisty fakt, że sobota należy generalnie do dni wolnych. Langer jako stary pracoholik bywał zwykle w tym dniu w departamencie, głównie dlatego że tylko wtedy mógł w miarę spokojnie pracować, nie niepokojony przez kretyńskie telefony swych przełożonych bądź dziwne sprawy pieniaczy i wariatów. Otyła czwórka natomiast przychodziła do roboty z nudów i trawiła czas na dyskusjach o „starych karabinach”.

– Rzeczywiście to problem – odezwał się Gałązka. – Trzeba ściągnąć pracowników z domów. Musimy mieć pomoc.

– Kto jest w budynku? – zapytał Halbert.

Langer spojrzał na niego ze zdziwieniem.

– Jak to kto? Tylko my.

– Nie pytam o merytorycznych – grubas machnął ręką. – Sprzątaczkę, konserwatorzy, ochrona, portierzy... trzeba ich tu natychmiast ściągnąć.

Halbert nie zdążył dokończyć, gdy Kujawa wypadł z nadzwyczajną jak na swą tuszę szybkością i po chwili jego krótkie nóżki dudniły na wytartych klepkach korytarza.

– Spis numerów – sapnął Halbert. – Dzwonimy do wszystkich po kolei...

– Nie mamy prywatnych telefonów, tylko nasze wewnętrzne – zaznaczył Langer. – Jak ich ściągniemy bez numerów?

– Niech to szlag! – Halbert walnął pięścią w stół. – Gdzieś muszą być domowe numery pracowników!

– Może w kadrach? – zapytał Gałązka. – Trzeba zadzwonić do pani Basi z kadr i...

Umilkł skarcony surowymi spojrzeniami reszty, które jednoznacznie wypomniały mu, że pani Basia z kadr zapewne również korzysta z wolnej soboty, smażąc kotlety w domowym zaciszu. Na korytarzu rozległy się kroki i po chwili Kujawa, zziębnięty okrutnie, wpadł do pokoju, ciągnąc za sobą ochronę budynku – w większości starszych i nieruchawych emerytów, dorabiających sobie jako „sekjurity”. Langer spojrzał żałośnie na tę zgraję, lecz Kujawa zadowolony z siebie wysapał:

– Oto oni, dyrektorze... Kwiat naszej sztabowej ochrony!

Langer zauważył, że ów kwiat był nieco przywiędły, ale nie miało to żadnego znaczenia.



Odzyskał głowę i zakomenderował:

– Gałązka, Czernicki i wy trzej – wskazał na trzech nieco zaleźnionych emerytów – siadacie do telefonu i wyszukujecie numery przez biuro informacji „913”. Reszta za mną do Departamentu Kadr.

Orszak seniorów ruszył do Departamentu Kadr i Szkoleń, który znajdował się po drugiej stronie gmazyska Sztabu Generalnego, zaraz za bufetem. Nie czekali na flegmatyczne windy, tylko pognali po wyfroterowanych schodach, mijając rzędy zamkniętych na głucho gabinetów – Sztab bronił bowiem ojczyzny od poniedziałku do piątku w godzinach od 8 do 16, naturalnie z przerwą obiadową. Langer biegł, z każdym krokiem coraz bardziej wściekły na siebie. Oto bowiem spędził pół życia na planowaniu różnych wariantów i scenariuszy działań na wypadek każdego możliwego ataku: chemicznego, biologicznego, bakteriologicznego; przygotował się na zmasowane naloty, wielkie pożary, krwawe zamieszki, lecz w ogromie swego planu zapomniał o małej parszywej kartce papieru z domowymi numerami swych pracowników. Przypominało to pracę genialnego inżyniera, który wyposażając zegar w najnowocześniejsze innowacje i usprawnienia, zapomniał dodać funkcję wskazywania godziny.

Dotarli wreszcie spoceni do kadr, zastając departament zamknięty na głucho. Jeden z leciwych ochroniarzy poleciał wprawdzie po niezbędne klucze, lecz biorąc pod uwagę jego reumatyczne przypadłości, nie należało się spodziewać rychłego powrotu. Langer stał przez chwilę, wpatrując się w dwadzieścia par drzwi łypiących na niego czarnymi oczami numerów. Naparł ramieniem na pierwsze z nich, lecz zatrzeszczały jedynie nieznacznie, ani myśląc ustąpić. Rozejrzał się więc, szukając jakiegoś niekonwencjonalnego klucza i po chwili go znalazł – nad głowami towarzystwa czerwieniła się pękata gaśnica pianowa. Langer zerwał ją ze ściany i zamachnąwszy się, rąbnął w pierwsze z brzegu drzwi, które pękły z trzaskiem. Komendant zmiany ochroniarzy, który nie należał do szczególnie lotnych, nie od razu pojął, dlaczegóż to szykowny pułkownik, na co dzień wyróżniający się spokojem i dystansem, nagle rujnuje sprzętem pożarniczym jeden z departamentów. Ze strachem podliczał w myślach straty, patrząc na pozostałe nietknięte jeszcze drzwi. Halbert przerwał mu jednak rachunki i wepchnął bezceremonialnie do pokoju.

– Szukać teczek akt personalnych... Dane, zdjęcia, numery telefonów! Biegiem!

Przyboczne stadko rzuciło się pędem do szaf, które, otwarte nagle, wypłuły z siebie dziesiątki różnokolorowych segregatorów. Langer w zapale pracy wyważył jeszcze dwie sąsiednie framugi, lecz Kujawa, sapiąc jak miech kowalski, wskazał swoim tłusciutkim palcem na pobliski gabinet.

– Pani Basia siedzi tu – wydyszał.

Langer z okrzykiem radości natarł na drzwi gaśnicą i hałaśliwie wyłamał zamek. Podbiegł do pierwszej pękatej szafy i szarpnąwszy za drzwi, z ulgą ujrzał szeregi pieczołowicie poukładanych teczek personalnych. Zbulwersowany skonstatował, że zielone,

ogólnowojskowe teczki z napisem DSSN – Departament do Spraw Sytuacji Nadzwyczajnych – stoją na samym dole w rogu, poprzedzone nawet teczkami Departamentu Administracyjnego, zawierającymi arcyinteresujące dane personalne sprzątaczek i herbaciarek zatrudnionych w Sztapie.

Pułkownik porwał naręcze teczek i wcisnął spoconemu Halbertowi. Kujawa i ochroniarze wzięli resztę i po chwili towarzystwo ruszyło biegiem z powrotem, zostawiwszy za sobą zrujnowany Departament Kadr i Szkoleń.

Wróciwszy do pokoju nr 240, teraz przekształconego we wciąż zatęchły sztab operacji, pułkownik Langer rzucił teczki na stół i rzekł:

– Podzielcie się tym, panowie, i ściągnijcie tu, kogo się da! Ja tymczasem zaalarmuję garnizon warszawski i Pierwszą Brygadę. I na miłość boską, otwórzcie tu okno!

Langer wyciągnął swój notes, w którym szczęśliwie miał zapisany numer telefonu generała Brodzińskiego – dowódcy garnizonu Warszawa, znajomego z koła łowieckiego. Wykręcając numer, miał nadzieję, że generał jest lepszym organizatorem niż strzelcem, pamiętał bowiem, że w czasie polowania generalski sztucer czynił największe spustoszenie wśród drzew i krzaków.

– Sekretariat dowódcy garnizonu Warszawa – zaskrzeczał głos jakiejś podstarzałej sekretarki – słucham?

– Pułkownik Langer DSSN SG – przedstawił się Langer skrótami, jak przystało na wojskowego. – Muszę pilnie rozmawiać z generałem Brodzińskim.

– Pana generała nie ma – odezwała się babina wyjątkowo nieprzyjemnym skrzekiem.

– Muszę z nim rozmawiać! To sprawa niecierpiąca zwłoki!

– Pan generał jest w Sejmie na uroczystości zaprzysiężenia prezydenta – odparła sekretarka. – Wraca dopiero około trzeciej, żeby przyjąć delegację chińską. Proszę próbować po szesnastej. Czy coś przekazać?

– Tak – rzucił zirytowany Langer – może pani przekazać Chińczykom, żeby zwijali się z powrotem do Pekinu.

Trzasnął słuchawką.

– Głupia krowa... Do diabła z nią, łączcie z generałem Weissem!

Gałązka chwycił za telefon i wykręcił numer centrali telefonicznej Pierwszej Brygady, który znalazł w przezornie otwartej książce telefonicznej. Po chwili przekazał Langerowi słuchawkę.

– Centrala, słucham? – usłyszał pułkownik.

– Mówi Langer, Departament do Spraw Sytuacji Nadzwyczajnych Sztabu Generalnego – oświadczył. – Łączcie natychmiast z generałem Weissem!

– Z generałem? – odezwał się jakiś głos. – Połączę pana z sekretariatem.

– Byle szybko! – warknął Langer, zniecierpliwiony już do granic możliwości.

Otworzył usta, żeby coś jeszcze dodać, lecz w tym momencie rozmówca przełączył go na

oczekiwanie i do uszu pułkownika doleciała melodyjka „Yankee Doodle”, przerywana słodkim głosem automatycznej sekretarki, powtarzającej zmysłowo: „Linia zajęta, proszę czekać”. Trwało to jakieś dwie minuty – najdłuższe chyba w życiu pułkownika. W ciągu stu dwudziestu sekund znieawidził panienkę ze zmysłowym głosem i irytującą melodyjkę.

– Sekretariat, słucham? – odezwał się dla odmiany piskliwy głosik.

– Mówi Langer z DSSN – rzucił pułkownik – muszę natychmiast rozmawiać z generałem!

– Pan w sprawie ubezpieczenia? – zapiszczała sekretarka. – Mówiłam już panu, że pana generała nie interesują...

– Jakiego ubezpieczenia, do cholery! – wrzasnął pułkownik. – Langer z DSSN Sztabu Generalnego! Proszę mnie natychmiast połączyć z generałem!

– Pana generała nie ma w pracy – pisk przybrał obrażony ton.

– A gdzie jest?

– Jak to gdzie? – zdziwiła się sekretarka, która na pewno była blondynką. – W domu! Przecież dziś sobota...

Pułkownik zacisnął z wściekłością szczękę tak, że siekacze zazgrzytały jak przerdzewiały zawias. Sapał przez chwilę, łapiąc oddech, po czym opanował się i rzekł niemal słodziutko:

– Czy byłaby pani łaskawa w swej uprzejmości podać mi jego domowy numer?

– Nie mogę tego zrobić – zapiszczało dziewczę, tym razem jakby nadąsane. – Pan generał wyraźnie zakazał podawania numeru. Jest bardzo wyczulony na punkcie spokoju ogniska domowego.

– Muszę mieć do niego numer! – wrzasnął pułkownik. – Czy pani nie słuchała dzisiejszych wiadomości? Czy pani nie wie, co się stało?

– Owszem, słyszałam – rzekła blondynka. – To oczywiście straszne, że aresztowali Michaela Jacksona, ale co ma do tego generał?

Langer trzasnął z całej siły słuchawką w aparat, który rozleciał się na drobne kawałki. Walił nieszczęsnym mikrofonem o blat, aż zdarł warstwę forniru i skaleczył się w rękę. Tłukł, dopóki nie napotkał zimnego, ostrego wzroku starszego inspektora Halberta, który wyciągnął ku niemu jakiś papier.

– Weiss, Romuald... plac Żółkiewskiego 27, mieszkania 80, Sulejówek, telefon 78 10 14 – flegmatycznie rzekł Halbert. – Znalazłem w książce telefonicznej.

Langer chwycił drogocenny kawałek papieru, żeby wykrecić numer, ale zrujnowany telefon leżał w kawałkach u jego stóp. Chciał wybiec w poszukiwaniu aparatu, ale Kujawa podał mu swój telefon komórkowy i szepnął:

– Już dzwoni...

Szef chwycił komórkę i przyłożył do ucha. Po kilku sygnałach usłyszał upragniony trzask słuchawki.

– Słucham – zadudnił męski głos.

– Generał Weiss?

– Tak, o co chodzi?

– Mówi Langer z Departamentu do Spraw Sytuacji Nadzwyczajnych Sztabu Generalnego...

– Czołem – dziarsko przerwał mu Weiss – w czym mogę pomóc?

– Czy pan generał słyszał, co się stało?

– Nie... o co chodzi? Proszę jaśniej!

– Terrorysty zaatakowali budynek Sejmu! Niech pan włączy telewizor!

Cisza w słuchawce uświadomiła pułkownikowi, że generalska mózgowica filtruje właśnie tę nadzwyczajną i nieprawdopodobną wiadomość. Po dłuższej chwili ponownie rozległ się głos:

– To jakieś jaja? Jeśli to żarty, uprzedzam, że...

– Niech pan włączy telewizor, to się pan przekona!!! – Langer nigdy jeszcze nie mówił do żadnego generała takim tonem.

– Proszę poczekać.

Weiss poczłapał gdzieś, odłożywszy z trzaskiem słuchawkę. Langer „wisiał” na kablu dobre pięć minut, zanim usłyszał tupot.

– A niech to diabli! – mówił generał, dysząc przy tym ciężko. – Miał pan rację... Co tam się dzieje? To niemożliwe, żeby... w naszym kraju...

– A jednak, generale – Langer przerwał Weissowi. – Nie ma czasu na gadanie! Trzeba działać!

– Tak jest! – Weiss wyprężył się przed telefonem, zapomniawszy, że rozmawia z niższym rangą. – Trzeba natychmiast działać! Trzeba...

Umilkł na chwilę, bo oto przez jego zwoje mózgowe przeszła następna potężna dawka informacji. Ich analiza potrwała chwilę, po czym generał zgarbił się nieco i rzekł spokojniej do słuchawki:

– Ale co ja mam do tego?

– Jak to co? – zapytał zdumiony Langer. – Pan generał dysponuje najsilniejszą jednostką wojskową w okolicach stolicy! To, co się stało, to zamach stanu! Musi pan wprowadzić brygadę do miasta i zabezpieczyć okolice Sejmu i najważniejszych instytucji rządowych!

– Ja... ale ja nie mam rozkazów – mamrotał coraz bardziej skołowany Weiss. – Ja muszę się skontaktować z dowódcą garnizonu lub okręgu... Ja muszę mieć pełnomocnictwo!

– Nie ma na to czasu! – Langer podniósł głos. – Czy pan nie rozumie, że każda chwila jest cenna? Bóg jeden wie, co jeszcze może się zdarzyć!

– Ale ja nie wiem... nie mogę! – motał się Weiss. – Bez rozkazu nie wjadę przecież czołgami do miasta! Czy pan chce zrobić drugi stan wojenny?!

Langer opadł zrezygnowany na fotel, rozbiwszy się o kolejny mur bezsilności. Z rozpaczą szukał w głowie argumentów, które pozwoliłyby przekonać tego wojskowego służbistę do

szybkiego działania. Myślał intensywnie, lecz jak na złość nic sensownego nie przychodziło mu do głowy. Miał już się rozłączyć i dzwonić gdzie indziej, gdy nagle Gałązka podsunął mu pocztówkę z marszałkiem Piłsudskim, siedzącym dumnie na grzbiecie Kasztanki. Langer chwycił słuchawkę i rzekł:

– Generale, nie ma czasu na sentymenty! Proszę pomyśleć: przejdzie pan do historii jako ten, który ocalił w Polsce demokrację! Proszę pomyśleć, co na pańskim miejscu zrobiłby sam marszałek Piłsudski!

Tego było stanowczo za wiele dla generalskiej mózgowicy. Weiss przysiadł na stołku obok telefonu i oddychał ciężko. Naraz wstał i wsunąwszy napoleońskim gestem rękę za poły obszernego szlafroka, przejrzał się w lustrze.

– Tak... – rzekł ni to do Langer, ni to do siebie. – W takiej chwili żołnierz nie może odmówić pomocy zagrożonej ojczyźnie! Zarządzam alarm brygady i tak, jak ongiś marszałek Piłsudski, przekroczyć most i uratuję demokrację! Może pan na mnie liczyć!

Langer chciał nadmienić, że osiemdziesiąt lat wcześniej Marszałek, wyjeżdżając na Warszawę, niezupełnie ratował demokrację, ale ugryzł się w język.

## Rozdział 5

Pół godziny wcześniej, mniej więcej w czasie, gdy pułkownik Langer użył gaśnicy jako wytrycha, przed budynek Sejmu zajechał radiowóz. Do dwóch otyłych policjantów, którzy się z niego wytoczyli, podbiegł ubrany na galowo dowódca kompanii reprezentacyjnej.

– To ja dzwoniłem! Strzały w Sejmie... musicie wezwać posiłki!

– Kto strzelał? – mruknął świński blondyn z naszywkami aspiranta. – Tu, w Sejmie?

– Strzały! Strzały – rozległo się wśród kilkunastu gapiów.

Jakaś kobiecina ciągnąca za sobą jamnika wskazywała na okna Kancelarii.

– O, stamtąd słyszałam! Strzelali, panie oficerze!

– Wbiegła tu jakaś banda w zielonych mundurach! – wtórował jej obywatel we włóczkowym berecie. – Wrzeszczeli coś!

Zeznania gapiów trochę zbiły z tropu aspiranta. Podrapawszy się w głowę, ruszył powoli w stronę wejścia do Sejmu.

– To na pewno fajerwerki... – mrucał. – Narobili huku i tylko przestraszyli ludzi...

Dodając sobie otuchy tym stwierdzeniem, szarpnął za drzwi wejściowe, które jednak pozostały zamknięte. Chciał już walnąć pięścią na policyjną modłę, lecz zreflektował się, że to mogłoby się nie spodobać jego przełożonym, więc tylko zapukał energicznie i krzyknął:

– Proszę otworzyć! Halo! Proszę otworzyć!

Towarzysz dołączył do niego i pukali tak razem przez dobre dwie minuty. Cichy podbiegł do okna, otworzył je wychylił się przez parapet.

\* \* \*

– I co? – zapytał Feri. – Już są?

– Jakichś dwóch gliniarzy dobija się do drzwi – odpowiedział wychylony Cichy. – Co z nimi zrobić? Strzelać?

– Zaczekaj – odezwał się Zani stojący z tyłu – mam lepszy pomysł. Zafundujemy im gratisowy tuning auta.

Odwrócił się i dźwignął ręczny granatnik przeciwpancerny. Wycelował z okna w radiowóz stojący z otwartymi drzwiami. Odczekał chwilę i kiedy w pobliżu wozu nie było

nikogo, nacisnął na spust. Rozległ się potworny huk, wzmocniony jeszcze przez ściany. Pocisk wyleciał przez okno, ciągnąc za sobą grubą smugę dymu. Odgłos wybuchu złał się w jedno z hukiem wystrzału. Radiowóz trafiony w środek eksplodował i na ułamek sekundy zmienił się w kulę ognia. Ludzie stojący opodal upadli na ziemię, ogłuszeni i zszokowani. Wybuch osmalił niegroźnie stojących najbliżej dziennikarzy i kilku żołnierzy z kompanii reprezentacyjnej.

Zamachowcy stali w oknie, podziwiając ten niesamowity spektakl, a najbardziej zdumiony był sam strzelec.

– To powinno dać tym sukinsynom do myślenia – mruknął Cichy. – Szkoda, że nie sfajczyli się w tym wybuchu. Zaraz powinni przyjechać inni.

– Kto? – zapytał Feri.

– Jak to kto? – uśmiechnął się Cichy. – Zaraz zobaczysz.

Rzeczywiście po kilku minutach usłyszeli stopniowo narastający dźwięk syren. Na ulicę przed budynkami Sejmu zaczęły zajeżdżać radiowozy i karetki pogotowia. Wtoczył się również majestatycznie czerwony wóz strażacki. Wysypało się z niego kilku strażaków, a jeden usiadł za armatką wodną i wystrzelił strumień wody w kierunku płonącego radiowozu. Kilka sekund wystarczyło, by czerwone jęczory ognia znikły, a w górę wzbił się kłęb pary wodnej i dymu. Gliniarze, nie za bardzo wiedząc, co się dzieje, zalegli z bronią w ręku za samochodami i rozglądali się niespokojnie. Tuż za nimi z minuty na minutę rósł tłum gapiów żądnych sensacji. Nieszczelność wąskiego kordonu policji wykorzystywali dziennikarze i domorośli paparazzi, przepychając się do przodu i fotografując, co się da.

Ponieważ do tej pory nikt nie wiedział, co tak naprawdę się stało w budynku Sejmu, zaalarmowano niemal wszystkie stołeczne służby mundurowe. W wąskiej uliczce Wiejskiej i na przyległym do niej skwerku tłoczyli się więc żandarmi, pogotowie gazowe i Straż Miejska. Przyjechało również kilka pojazdów pomocy drogowej, jak wiadomo, zawsze najlepiej poinformowanej o wszelkich katastrofach. Nie zabrakło też pogotowia hydraulicznego, śmieciarki i nawet hycła, który z przygotowaną na kiju przynętą rozglądał się zdziwiony, daremnie szukając bezpańskich psów.

Zani i jego kumple z wielkim zainteresowaniem oglądali ten rozgardiasz, przypominający przykościelny bazar po mszy. Ryki klaksonów, błyski kogutów i ogólna bieranina potęgowały jeszcze efekt, wprawiając zamachowców w najwyższe zdumienie. Kierowcy karetek i radiowozów darli się na siebie, próbując wywalczyć lepsze miejsce, policjanci z braku innego zajęcia odpychali dziennikarzy, a ci wściekle szturmowali do przodu, wrzeszcząc, że ogranicza się wolność słowa. Zamieszanie narastało z minuty na minutę, spotęgowane jeszcze przez zwabionych na miejsce komendantów strażackich i oficerów policji, którzy natychmiast zaczęli się wyklócać, kto jest najstarszy stopniem i kto powinien objąć dowództwo nad całością operacji.

– Pójdę na salę – mruknął Cichy i odszedł, nie czekając na odpowiedź.

Był wkurzony na Zaniego, który nie dawał mu się wykazać i przez cały czas tłumił jego inicjatywę. Teraz też nie pozwolił mu nawet wystrzelić z cholernego granatnika, choć przecież właśnie Cichy upatrzył sobie to rosyjskie cacko. Urażona ambicja nie dawała mu spokoju, bo Cichy wiedział doskonale, że cieszy się wśród chłopaków poważaniem nie mniejszym nawet niż sam komendant. Komendant jednak na całe nieszczęście zdawał sobie sprawę z popularności Cichego i umiejętnie hamował jego wyskoki.

Cichy, właściwie Cichocki, studiował na ostatnim roku zarządzania w Wyższej Szkole Marketingu i Bankowości imienia kogoś tam. Inteligentny i bystry, wybijał się ponad resztę leserów na zaocznych studiach, na które z wielkim wysiłkiem łożyła cała jego rodzina. Matka zmarła już dawno, zostawiając jego i dwójkę młodszego rodzeństwa z ojcem – inwalidą, który poruszał się na wózku po wypadku w kopalni, gdzie fedrował na chwałę Najjaśniejszej. Najstarszy syn miał być pierwszym w rodzinie magistrem... Stary cieszył się z tego jak dziecko, choć przez cztery lata studiów często obywatel się jednym posiłkiem dziennie. I nagle spadła na nich piorunująca wiadomość: Jego Magnificencja Rektor zwiął do Emiratów, zabierając na pamiątkę czteroletnie chesne studentów. Cichy robił, co mógł, żeby wiadomość nie dotarła do ojca, lecz wszechobecna telewizja pokrzyżowała mu szyki – wróciwszy do domu zastał siostrzyczkę i braciszka przerażonych i zapłakanych nad nieprzytomnym ojcem. Lekarz przyjechał po dwóch godzinach, ale zastrzegł się, że nawet gdyby nie korki, nic nie mógłby zrobić. Zawał.

Siostra i braciszek wylądowali w domach dziecka, oddzielnie naturalnie, bo skąd Cichy – zadłużony po uszy, bez wykształcenia i przyszłości – miałby wziąć kasę na ich utrzymanie. Odwiedzał ich czasem, dopóki starczało na pociąg, potem jeździł już na gapę, kryjąc się w kiblach i pod siedzeniami.

Od tamtej pory zmienił się w wilka. Włóczył się po ulicach i parkach, przesiadywał na dworcach kolejowych i w brudnych spelunach. Nocami tylko, gdy nikt nie widział, siedział w oknie pokoju, gdzie przemieszkiwał kątem u swej dalekiej ciotki, i zaciskał zęby. Nigdy nie skarżył się nikomu. Robił na czarno za grosze na okolicznych budowach. O łzach już dawno zapomniał, o przeszłości starał się nie myśleć.

I wreszcie Arti, kumpel z podwórka, zaciągnął go kiedyś na ognisko. „Będzie świetnie, stary, rozerwiesz się trochę”, obiecywał. Cichy poszedł. Było kilka głupich dziewczuch, pijących z gwinta i pieprzających od rzeczy, kilku dresiarzy klnących jak szewcy. Wypił, pogadał, nawet pomacał ze dwie niezbyt odporne panienki. Miał się zbierać, gdy zobaczył jakiegoś kolesia siedzącego trochę dalej z głupawą miną. Potem dowiedział się, że ten rodzaj miny zwie się melancholijnym. Zamyślony facecik był w jego wieku, ale do dresów zupełnie niepodobny. Dość wysoki, krótko ostrzyżony brunet z blizną na szyi, o przenikliwie chłodnym spojrzeniu. Czy to żar ogniska osłabił ten chłód, czy Cichy miał już w czubie – nie pamięta. Dość, że zaczęli gadać, z początku o pierdołach, o pannach i imprezach, potem o rzeczach większych. Trudno to było nazwać rozmową, mówił raczej nieznamomy, a Cichy



siedział i słuchał, z początku znudzony, potem coraz bardziej skupiony. Tak musiał wyglądać Baryka, chłonący ojcowskie opowieści o domach ze szkła w dalekim kraju. Cichy chłonał – tylko tyle pamięta: o zmianach, o reformach, o nowym porządku. Nie o rewolucjach, które ścinały swoich synów, nie o wojnach domowych czy anarchii. Słuchał o potrzebie przecięcia wrzodu – o jednym przemyślanym, a może i straceńczym czynie, który otworzyłby ludziom oczy w tym nieszczęsnym kraju. Dyktatura? O nie! W jednoczącej się Europie to mrzonka. Po prostu demokracja, ale silna, dwupartyjna najlepiej, z silną władzą wykonawczą. Z silnym człowiekiem, ale nie despota. Cichy słuchał, słuchał chciwie, po godzinie nie widząc nic oprócz smutnego bruneta mówiącego o rzeczach, które mu się nie śniły. Uścisnęli sobie ręce na odchodnym, a czarny z tym samym wyrazem twarzy skinął głową i przedstawił się: „Zaniewicz. Dla przyjaciół Zani...”

Cichy szedł korytarzem w stronę sali obrad, spychając czarne myśli w dalekie zakamarki umysłu. Wymijał właśnie szereg zamkniętych drzwi Kancelarii Sejmu, gdy usłyszał cichy chrobot. Stał naśladując, niepewny, czy nie uległ złudzeniom. Nie, za drzwiami jednego z pokojów coś szeleściło. Cichy odbezpieczył kałasznikowa i ostrożnie podszedł do drzwi. Potem szarpnął za klamkę i otworzył je z hukiem, odskakując jednocześnie do tyłu.

W pokoju pomiędzy dwoma biurkami stał jakiś młodzian w garniturze, a za nim kulila się zapłakana panienka, przerażona i otepiała. Na twarzy młodziana nie było przerażenia, raczej napięcie przemieszane z ciekawością.

– A wy co? – zapytał Cichy i od razu to pytanie nie wydało mu się za mądre. – Kim jesteście? Pracujecie tu?

– Tak – bez namysłu odpowiedział młody.

– Nie – bezmyślnie rzuciła panienka.

– No to tak czy nie?! – wrzasnął Cichy, zdając sobie nagle sprawę, że to on ma kałacha i on jest górą. – Odpowiadać!

– Jestem pracownikiem Kancelarii Sejmu – odparł blondyn. – Ta pani również, choć jak zwykle robi z siebie idiotkę. Nazywam się Tomasz...

– Bardzo mi, kurwa, miło – zażartował Cichy, choć generalnie unikał przekleństw. – Wszyscy wasi współpracownicy, zdaje się, uciekli. Tym większy to dla mnie zaszczyt.

Tomasz udał, że bierze ironiczne słowa uzbrojonego rówieśnika za dobrą monetę, nawet uśmiechnął się blado. Panna Renatka nie zmieniła wyrazu twarzyczki i na wszelki wypadek nie przestała płakać.

– No dobra, wyłazić – rzucił Cichy po chwili namysłu. – Idziecie ze mną, tylko bez kawałów.

Tomasz, który pamiętał z filmów amerykańskich, że dyskusowanie z uzbrojonymi terrorystami nigdy nie kończyło się zbyt dobrze dla zakładników, ruszył pierwszy, powoli i bez gwałtownych ruchów. Panna Renatka pochlipując udała się za nim, lecz mijając Cichego nagle obróciła się i pędem ruszyła z powrotem w stronę biurka. Cichy zaskoczony tym

nagłym ruchem odepchnął Tomasza na bok, poderwał kałacha i wymierzywszy w pannę Renatkę, wrzasnął:

– Nie ruszać się! Bo zastrzele!

Dziewczę zamarło z ręką wyciągniętą w stronę biurka, z przerażeniem patrząc w otwór wycelowanej w siebie lufy i zaciętą twarz Cichego. Po chwili zaczęła dygotać jak w nagłym ataku febry. Otworzyła szeroko oczy i wskazując na biurko, wyjąkała:

– Ja tylko chciałam... wziąć torebkę...

Wypowiedziawszy te słowa osunęła się na podłogę, tracąc przytomność. Tomasz pchnięty przez Cichego upadł, lecz zanim jeszcze boleśnie dotknął nosem zimnej posadzki, zdążył pomyśleć, że panna Renatka jest chyba najgłupszą urzędniczką państwową w tym kraju. Patrzył teraz z żabiej perspektywy na omdlałą rudą histeryczkę i doszedł do wniosku, że panna Renatka to tylko przestrzeń między fryzurą a pantoflami ściśnięta paseczkiem.

Cichy opanował się szybko i nawet trochę się zawstydził tego wybuchu. Tomasz podniósł się z ziemi, trzymając się za obolałą szczękę, i przez chwilę obaj z politowaniem patrzyli na zemdlone dziewczę.

– Podnieś ją i jazda – rzucił Cichy, wskazując lufą czeluść korytarza.

Tomasz dźwignął omdlałą Renatkę, która ocknąwszy się znów zaczęła chlipać. Podtrzymując ją ruszył w stronę sali plenarnej, gdzie panowała niezmacona cisza. Ludzie Zaniego przechadzali się wąziutkimi przejściami pomiędzy fotelami posłów, a sam szef konferował po cichu z Ortalionami, Martinezem i kilkoma innymi. Nagle przerwał i spojrzał bez zainteresowania na Cichego prowadzącego dwie owieczki.

– Co, jeszcze ktoś? – stwierdził raczej niż zapytał. – Skąd?

– Znalazłem ich w jednym pokoju – odparł Cichy. – Są z Kancelarii Sejmu.

– Tacy młodzi, no, no... – Dla Zaniego urzędnik państwowy musiał być podstarzałym nudziarzem.

Niższy Ortalion podążył za spojrzeniem szefa i skupił wzrok na osobie wciąż zapłakanej panny Renatki. Reszta również zagapiła się na chlipiącą panienkę. Ubodło to trochę Tomasza, który ze złości opuścił nawet ręce na znak, że nie pochwała zainteresowania, jakie terroryści okazywali tej wariatce.

– Niezła ta mała – mruknął Niższy Ortalion, mlaskając przy tym jak krowa. – Może warto się poznać bliżej...

Zani chciał udzielić Niższemu ostrej reprimendy za myślenie o takich sprawach na służbie, ale w tej chwili od strony trybuny rozległ się dzwonek telefonu. Zamachowcy ucichli i próbowali rozszyfrować ów pisk.

– To pewnie telefon komórkowy – mruknął Cichy.

– Nie – odezwał się Tomasz nie pytany – to telefon sekretarza marszałka. O tam.

Wskazał na stoły sekretarzy, znajdujące się między mównicą a fotelem marszałka. Dopiero teraz dostrzegł skrzynię wypełnioną telefonami komórkowymi, zabranymi pewnie

wszystkim zakładnikom. Nieznacznym ruchem ręki upewnił się, że jego aparat – Ericsson – wciąż spoczywa w wewnętrznej kieszeni marynarki. Przez chwilę zastanawiał się, czy dobrowolnie nie oddać go zamachowcom, ale dał sobie spokój, pamiętając o starej maksymie zasłyszanej jeszcze w wojsku: „Nadgorliwość jest gorsza od faszyzmu!”.

Tymczasem telefon na trybunie dzwonił i dzwonił. Zani przez chwilę namyślał się, co zrobić. Ruszył w końcu do mównicy i wszedł na stanowisko sejmowych skrybów. Stało tam kilka telefonów i metodą prób i błędów Zani ustalił, który dzwoni. Podniósł tylko słuchawkę i nasłuchiwał. Po drugiej stronie rozległy się jakieś trzaski, po czym gruby głos zachrypiał:

– Halo, tu mówi nadinspektor Wawrzyniak z komendy stołecznej policji! Jest tam kto?

– Jest – łaskawie odpowiedział Zani, otoczony już teraz wianuszkami swoich ludzi.

– Chcę rozmawiać z przywódcą ban... – tu gliniarz urwał, widocznie szturchnięty przez kogoś – ...z przywódcą grupy zbrojnej.

– Właśnie pan to robi, nadinspektorze – protekcjonalnie rzekł Zani. – Czym mogę służyć?

Łagodny i uprzejmy ton Zaniego w połączeniu z głębokim i ujmującym głosem zbił nieco z tropu Wawrzyniaka, który w ciągu trzydziestoletniej służby nabył przekonania, że członkowie „grup zbrojnych” to zwykle typy chamskie i odrażające. W Wawrzyniakowej głowie zrodziło się kilka różnych pomysłów na zagajenie rozmowy, lecz widocznie dalsze myślenie sprawiło generałowi policji zbyt wielką trudność, ponieważ rzekł po prostu:

– Jesteście otoczeni przez przeważające siły policji, wojska i innych służb! Poddajcie się, to wasza jedyna szansa! Jeśli się nie poddacie, użyjemy wszelkich niezbędnych środków...

– Na razie możesz użyć co najwyżej swojej starej – Zani wszedł mu w słowo, wywołując chichot przysłuchujących się rozmowie kompanów. – Mam tu sam kwiat generalicji Policji Państwowej, włącznie z twoim najwyższym szefem, generałem Graczykiem. Że o ministrze spraw wewnętrznych nie wspomnę. Rusz tylko swoje grube cielsko, a prześlę ci w prezencie ich prawe ręce. Jasne?

Stłumione dyszenie w słuchawce upewniło Zaniego co do dwóch rzeczy: po pierwsze, że jego słowa dotarły do policyjnej mózgowicy, a po wtóre, że Wawrzyniak istotnie jest otyły. Zani wymyślając mu od grubasów strzelał w ciemno, lecz znając wiele generalskich sylwetek, nie pomylił się i tym razem. Posłuchał policyjnego rżenia i spokojnie odłożył słuchawkę.

Wawrzyniak stał jeszcze przez chwilę, wpatrzony tępo w aparat telefoniczny, po czym trzasnął nim tak silnie, że siedzący obok w radiowozie technik, nagrywający rozmowę ze słuchawkami na uszach, jęknął od nagłego przypiływu decybeli.

– Twarde sukinsyny – rzekł nadinspektor do podwładnych, pragnąc chociaż trochę podnieść swoje notowania po tym, jak gówniarz z drugiej strony potraktował go jak pętaka. Chciał jeszcze coś dodać, ale proces myślenia przerwał mu szeregowy policjant, pukając w okno radiowozu.

– Jakiś pułkownik do pana, panie nadinspektorze – zameldował. – Lakier czy Likier...

– Langer! – tubalny głos oznajmił właściwą wersję. – Langer!

Otoczony wianuszkami swych współpracowników, pułkownik podszedł do radiowozu. Ubrany w mundur polowy, budził pewien respekt, więc Wawrzyniak wytoczył swe cielsko z wozu i zaszalutował niezgrabnie.

– Czy pan tu dowodzi? – zapytał Langer, rozglądając się wokół i obserwując bezładną kotłownicę.

– Ja? – Nic mądrzejszego nie przyszło gliniarzowi do głowy. – Czy dowodzę? Czy ja wiem?

– Któż więc dowodzi tą hałasą? – Langer mimo pełnego niespodzianek dnia potrafił jeszcze się dziwić.

– Nie wiem. – Wawrzyniak powoli odzyskiwał pewność siebie. – Ja dowodzę jedynie siłami policyjnymi w mieście. A pan? Kim pan właściwie jest?

– Pułkownik Langer, Departament do Spraw Sytuacji Nadzwyczajnych Sztabu Generalnego – wyrecytował pułkownik jednym tchem.

– Czego? – zapytał zdziwiony grubas. – A cóż to za twór?

– To twór służący do zamieniania burdelu w sprawne akcje ratunkowe – odparł Langer i zatoczył ręką dookoła, wskazując kotłownicę. – Burdelu takiego jak ten.

– Aha – mruknął Wawrzyniak nie wiedząc, czy powinien się obrazić, czy przytakiwać. – Co więc pan proponuje?

– Musimy zabezpieczyć teren, ewakuować okolicznych mieszkańców, nawiązać kontakt z porywaczami i ustalić strategię działania – recytował Langer w nagłym przyływie energii. – Musi pan ściągnąć więcej ludzi i...

– Zaraz, zaraz – grubas obruszył się nagle – pan mi wydaje polecenia? Pan zdaje się jest wojskowym, tak?

– Nie, leśniczym – odparł Langer ze złością. – A jakie to ma znaczenie, do cholery?

– Nie mogę podejmować takich decyzji bez porozumienia z komendantem głównym policji. – Wawrzyniak uznał, że lepiej zastosować psychologię. – Tylko on może podjąć...

– Nic nie może podjąć! – wrzasnął Langer. – Przecież jest jednym z zakładników!

– Rzeczywiście – szepnął Wawrzyniak, szczerze zatroskany – istotnie... I co my teraz zrobimy?

– No, nareszcie – sapnął Langer. – My... Dobrze, że zaczyna pan myśleć kolektywnie. Proszę rozkazać swoim ludziom szczerze otoczyć budynki Sejmu, usunąć dziennikarzy i gapiów. To prośba, nie rozkaz.

– Oczywiście. – Błada twarz Wawrzyniaka nabierała powoli kolorów. – Słyszeliście, Koziółek? Do roboty!

Inspektor Koziółek, siwawy, przygarbiony jegomość, ruszył z miejsca dość energicznie, zgarniając po drodze oficerów i funkcyjnych. Istotnie już po kilku minutach skryci za radiowozami gliniarze utworzyli w miarę szczelny kordon, zamykając dostęp do budynków parlamentu. Jedynie dziennikarze, w większości redakcyjni leserzy przysłani tu za karę,

którzy traktowali tę niezwykłą sytuację jako uśmiech losu, podnieśli raban i protestowali, grożąc ludziom Koziółka interwencją u najwyższych przełożonych za utrudnianie pracy. Czas jednak na zrobienie porządku z pismakami był najwyższy, bo pod Sejm zaczynały już zjeżdżać transmisyjne wozy stacji komercyjnych, ze stacją TVM i jej gwiazdą Krzysiem Tomaszewskim na czele.

Langer uwijał się teraz jak w ukropie, asekurowany przez swych czterech jeźdźców apokalipsy z pokoju nr 240, którzy naprędce zorganizowali punkt dowodzenia i wyszukiwali wśród tłumu mundury z odznakami najwyższych szarż. Po kilkunastu minutach do czterech policyjnych volkswagenów zestawionych w czworobok ściągnęli: młodszy brygadier Gawor, lokalny komendant Straży Pożarnej, doktor Ornatowski z pobliskiego szpitala przy Koszykowej oraz chlubiący się dwugwiazdkowym, choć nieokreślonym stopniem Marczak, szef robiącej największe zamieszanie Straży Miejskiej dzielnicy Centrum.

– Panowie – mówił Langer – powołuję tymczasowy sztab kryzysowy dla opanowania sytuacji. Nie mamy na razie żadnych bliższych danych na temat tego, co się stało. Wiemy tylko tyle, że grupa niezidentyfikowanych i uzbrojonych osobników wtargnęła do budynku Sejmu, biorąc za zakładników prezydenta, członków rządu, posłów, senatorów i Bóg wie kogo jeszcze. Wśród zakładników na pewno znajduje się mój szef, generał Pękala, oraz szef policji, generał Graczyk. Proponuję zatem następujące działania – z każdym słowem Langer rósł jak tytan. – Po pierwsze: nawiązać kontakt z zamachowcami i poznać ich żądania. Po drugie: ściągnąć tu za pośrednictwem generała Wawrzyniaka jednostkę specjalną policji. Po trzecie: poczekać na przyjazd generała Weissa, dowódcy pierwszej brygady zmechanizowanej, który na moje polece... na moją prośbę ma przybyć do centrum miasta jak najszybciej i zabezpieczyć budynki rządowe. Spróbuję również skontaktować się z dowództwem jednostki specjalnej „Piorun” i poprosić ich o pomoc, bo z tego, co wiem, nie można ich użyć do akcji na terenie kraju. To po czwarte. Czy są jakieś propozycje?

„Sztab kryzysowy” milczał, zszokowany całą sytuacją i rolą, która tak niespodziewanie mu przypadła. Tylko dwugwiazdkowy Marczak miał ochotę coś dodać, ale pamiętając, że dotychczas jego najważniejszym zadaniem był plan ograniczenia ilości psich kup na stołecznych chodnikach i trotuarach, przezornie zrezygnował.

– Jeśli nie ma pytań i uwag, proponuję jeszcze – ciągnął Langer, traktując milczenie jako wyraz zachwyty dla jego planu – żeby pan, majorze Gawor, ściągnął tu kilka dodatkowych sekcji strażackich, a pan, doktorze Ornatowski, zorganizował coś na kształt szpitala polowego. Na razie dziękuję panom.

Gawor, nazwany na wyrost „majorem”, uśmiechnął się, z trudem ukrywając dumę, doktor zaś przytaknął jedynie nieśmiało. Sztab rozszedł się powoli do swych zadań, a Langer oznajmił:

- Teraz spróbujemy nawiązać kontakt z zamachowcami i dowiedzieć się, czego chcą.
- Już to zrobiłem – odparł niepewnie Wawrzyniak, zapalając papierosa.

– I co?! – krzyknął Langer. – Nawiązał pan kontakt?

– No... tak... – Wawrzyniak spieszył się jak otyła pensjonarka.

– I co pan powiedział tym zamachowcom? – zapytał pułkownik pełen najgorszych przeczuć.

– No... że są otoczeni... i że... tego... żeby się poddali, bo jak nie, to ich... tego... siłą...

– Co pan zrobił najlepszego, do cholery! – wrzasnął Langer, aż grubas upuścił papierosa.

– Czy pan sobie zdaje sprawę, czym grozi zagrożenie porywaczom?

Wawrzyniak stał przed oficerem bądź co bądź niższym stopniem, opieprzany niczym uczeń za niewłaściwie startą tablicę. Langer chciał dorzucić jeszcze parę zjadliwych uwag, żeby ostatecznie pognać spaślaka, ale dał sobie spokój. Zapytał tylko:

– W jaki sposób pan się z nimi połączył?

– Radiotelefonem... dzwoniłem na centralę sejmową, a automat przełączył mnie do prezydium.

– Proszę mnie połączyć tą samą drogą.

Wawrzyniak, zupełnie już zrezygnowany i pozbawiony dodatkowo moralnego wsparcia Koziółka, skinął tylko na podwładnego siedzącego w furgonetce. Ten powtórnie wybrał numer i oddał słuchawkę Langerowi, przełączając jednocześnie na spikera. Pułkownik usłyszał po chwili sygnał i trzask słuchawki. Po drugiej stronie panowała cisza.

– Halo! Jest tam kto? – rzucił Langer.

– To znowu wy, Wawrzyniak? – Głos po drugiej stronie aż kapał od ironii i niezdrowej wesołości.

– Mówi pułkownik Langer z Departamentu do Spraw Sytuacji Nadzwyczajnych Sztabu Generalnego. – Pułkownik po raz kolejny powtórzył formułę. – Chciałbym rozmawiać z dowódcą oddziału, który zajął Sejm.

– Mówi pan z nim – nie bez dumy oświadczył Zani. – Słucham pana.

– Tymczasowo dowodzę siłami, które otacza... które zabezpieczają budynki Sejmu. – Langer postanowił używać sformułowań ostrożnych i bezkonfliktowych. – Chciałbym poznać żądania panów i rozpocząć negocjacje względem zakładników.

– Proszę, proszę... wreszcie ktoś z głową na karku. Już myślałem, że przyjdzie mi się użerać z tym otyłym astmatykiem.

Otyły astmatyk skulił się na fotelu, zdruzgotany publiczną krytyką.

– Nasze żądania przedstawimy niebawem – mówił Zani. – Na razie proszę trzymać na wodzy ewentualnych bohaterów, którzy chcieliby szturmować budynki lub zrobić coś równie głupiego. Mam tu nie byle jakich zakładników i... uzbrojonych po zęby ludzi. Budynek jest obstawiony i zaminowany, a każda próba ataku doprowadzi do tragedii. Czy pan dokładnie zrozumiał, co powiedziałem?

– Tak – zwięźle odpowiedział Langer – rozumiem doskonale. Proszę tylko, żeby zakładnikom nic się nie stało.

– Jeśli będzie pan postępował zgodnie z moimi wytycznymi, nikomu nic się nie stanie.

– Może zechciałby pan rozważyć zwolnienie chociaż kilku zakładników, na przykład kobiet – targował się Langer, nadal używając języka dżentelmenów. – Byłby to znaczący gest...

– Na gesty, łaskawco, będziemy mieli jeszcze czas – przerwał Zani ucieszony w duchu, że znalazł odpowiedniego partnera do rozmowy – ale przedłożę pańskie wnioski... moim ludziom.

– Będę szczerze zobowiązany – rzekł Langer.

– Proszę podać mi bezpośredni numer do pana.

Langer podyktował pospiesznie numer swej prywatnej komórki i usłyszał trzask odkładanej słuchawki.

\* \* \*

Zani stał przez chwilę zamyślony.

– I co? – zapytał Arti, opierając się na karabinie. – Czego chcieli?

– Tego, czego zawsze chcą od porywaczy – uśmiechnął się Zani. – Zwolnienia zakładników i negocjacji. Ale najbardziej cieszy mnie to, że ten Langer wydaje się w miarę rozsądny... dziwne jak na trepa.

– A może to podstęp? – odezwał się Martinez. – ściemniają i wciskają nam kit, a jednocześnie przygotowują atak.

– Nic nie przygotowują – zahuczał flegmatyczny Arti. – Mieli za mało czasu, żeby się zorientować w sytuacji. I sądząc z tej bieganiny, jeszcze długo nic nie zrobią.

– Taak... – Zani podrapał się po dwudniowym zarostie na policzku. – W sumie moglibyśmy zwolnić kilku zakładników.

– Zwolnić? – parsknął Cichy. – To po to braliśmy ich do niewoli, żeby ich zwalniać? Umawialiśmy się, że zwolnimy tylko dyplomatów!

– Wszyscy nie są nam potrzebni. – Zani niechętnie dyskutował z podwładnym. – Posłów i tak musimy zostawić. Tak samo notabli i członków rządu. Ale pracowników technicznych i tych z Kancelarii możemy zwolnić.

– Na twoim miejscu... – zaczął Cichy.

– Nie jesteś na moim miejscu i raczej nie będziesz – sucho uciął Zani. – Jasne?

Cichy umilkł niezadowolony. Innym też przeszła ochota do dyskusji. Zani miał w oczach coś niezwykłego, coś szatańskiego, co fascynowało i zmuszało do posłuszeństwa. Wodził teraz spojrzeniem po sali plenarnej, zatłoczonej do granic możliwości i z minuty na minutę coraz duszniejszej.

– Wezwij mi tu szefa Kancelarii Sejmu – zwrócił się w końcu do Cichego. – Niech zabiera swoich ludzi i pracowników technicznych i wynosi się stąd.

– Może warto jednak kilku zostawić – odezwał się Martinez. – Diabli wiedzą, co się jeszcze stanie.

– Słusznie – mruknął Zani tonem wielce łaskawym. – Masz rację.

– Może tę lalunię – usłużnie pospieszył z radą Niższy, wskazując na wciąż pochlipującą pannę Renatkę. – Na pewno nam się przyda.

– Doprawdy? – parsknął Cichy. – A do czego, można wiedzieć?

– Wystarczy – rzucił Zani. – Ta panienka opuszcza budynek. Nie trzeba mi tu histeryczek.

Panna Renatka obrzuciła Zaniego wdzięcznym spojrzeniem, co kontrastowało wyraźnie z wyrazem twarzy Niższego. Zani rozejrzał się niepewnie i nagle zawołał:

– Już wiem! Ty zostaniesz, przyjacielu. – Wskazał palcem na Tomasza. – Wyglądasz na dość rozgarniętego.

Tomasz spojrział na Zaniego zaskoczony. Chciał coś powiedzieć, ale złość skutecznie zacisnęła mu zęby. A więc on ma zostać? A ta wypindrzona lekomanka wyjdzie sobie w najlepsze i pojedzie do domu? Lecz chwilę później spokój znów zagościł na obliczu sekretarza. Komplement z ust człowieka, który był obecnie panem życia i śmierci najwyższych elit, ogromnie mu pochlebił. Co prawda określenie „dość rozgarnięty” niezbyt Tomasza zadowalało, zrzucił to jednak na karb zdenerwowania komendanta terrorystów. Tomasz skłonił się więc lekko i w trakcie tej czynności zauważył Cichego, prowadzącego przed sobą panią minister Żukowską.

Cóż to był za obraz nędzy i rozpaczy! Tomasz ze zdumieniem patrzył na swoją szefową, która trzęsła się jak w delirium. Śmiertelnie blada, stała w swojej bagnistozielonej kreacji niczym koszmarna ropucha przed bocianim sądem. Zani podzielił zdziwienie Tomasza i z równie mało inteligentną miną wpatrywał się w to niezwykle zjawisko.

– Pani jest szefową Kancelarii Sejmu? – zapytał, starając się nadać głosowi ciepłe zabarwienie.

Żukowska w odpowiedzi jedynie otworzyła usta i wydała z siebie jakieś ultradźwięki, nasilając częstotliwość drgawek.

– Tak czy nie? – zapytał głośniejsze Zani.

– Tak, ta pani jest szefową Kancelarii – odpowiedział za Żukowską Tomasz.

– Proszę zatem zebrać wszystkich swoich pracowników w korytarzu. – Zani wskazał ręką drzwi do sali plenarnej. – Mają przygotować dokumenty do kontroli. Jeśli spróbujecie wyprowadzić kogoś jeszcze... to nie chciałbym być na pani miejscu. Zrozumiano?

Żukowska wydała z siebie ledwie słyszalny charkot, który Tomasz usłużnie przetłumaczył jako: „Zrozumiano”.

– Możesz odprowadzić szefową – Zani skinął na Tomasza, który zastanawiał się właśnie, czy „tykanie” przez komendanta to oznaka jakiegoś szczególnego zaufania – ale zaraz wracaj.

Tomasz odwrócił się, ale po chwili przystanął zatrzymany krótkim:



– Chwileczkę!

Zani podszedł do niego, marszcząc czoło i przypatrując się bacznie sekretarzowi.

– Czy myśmy... czy myśmy się kiedyś nie spotkali?

– Nie wydaje mi się – odparł Tomasz, choć patrząc na Zaniego, nie był tego taki pewien.

– Warszawa to duże miasto.

– Tak... duże... – powtórzył Zani, zaraz jednak otrząsnął się i rozkazał: – Proszę odprowadzić szefową!

Tomasz ruszył w stronę korytarza, zgarniając po drodze swych współpracowników, którzy zasiadali na poselskich miejscach, wymieszani z przedstawicielami narodu. Trzech ludzi z Martinezem na czele ruszyło za nimi jako eskorta.

– Cichy, idź z nimi – rozkazał Zani. – Sprawdzisz dokumenty wszystkich pracowników i dyplomatów. Porównasz je z listą posłów. Żaden poseł czy posłanka nie mają prawa opuścić Sejmu, jasne?

– Jasne – bez entuzjazmu odparł Cichy.

Ze zdziwieniem zauważył, że każdy, nawet najrozsądniejszy rozkaz Zaniego budzi w nim niechęć i złość. Pohamował się jednak i posłusznie ruszył za „konwojem” ludzi minister Żukowskiej. Zani odwrócił się do Artiego, Feriego i obu Ortalionów i przywołał ich gestem.

– Sekcje Artiego i Wyższego zostają na sali. – Zani wskazał ludzi z kałachami stojących pod ścianami sali sejmowej. – Pilnować, ale nie strzelać bez wyraźnej potrzeby. Feri, pójdziesz ze mną... Znajdziemy jakiś pokój na kwaterę główną. Nie mogę przecież negocjować tu, przy tej hołocie – wskazał tłum grubych ryb zapełniający siedzenia.

Poprowadził Feriego do prawego wyjścia z Sejmu, przeciskając się z trudem przez gromadę zakładników. Wydostali się na korytarz marszałkowski i ruszyli do pobliskich pomieszczeń Kancelarii. Otwarli pierwsze z brzegu drzwi. Pokój okazał się dość przestronny, a co najważniejsze, miał telefon. Zani zdjął czarny filcowy beret, jeden z tych, które w większych ilościach zakupił przed akcją na targu militariów. Podał Feriemu kartkę z naskrobanym ołówkiem numerem telefonu.

– Łącz mnie z pułkownikiem Langerem.

## Rozdział 6

Podporucznik Marcin Szczawiuk, oficer dyżurny Pierwszej Warszawskiej Brygady Zmechanizowanej im. Bartosza Głowackiego, był tego dnia zdecydowanie najnieszczęśliwszym oficerem Wojska Polskiego. Służba sobotnia, która w jednostce przebiegała zwykle cicho i spokojnie, nagle zmieniła się w koszmar. Telefon generała Weissa nakazujący zarządzenie alarmu bojowego postawił Szczawiuka w niemal tragicznej sytuacji. Uchodzący za oficera zdyscyplinowanego i karnego, Szczawiuk był powszechnie nie lubiany zarówno przez kolegów oficerów, jak i przez własnych żołnierzy. Zarządzenie alarmu w jednostce było rzeczą niewykonalną, z czego młody służbista zdawał sobie doskonale sprawę. Ściągnięcie kadry dowódczej w sobotę było syzyfową pracą, a mobilizacja żołnierzy służby zasadniczej musiała zakończyć się klęską.

Połowa wojaków odchodziła właśnie do rezerwy i od dwóch dni wszystkie zakamarki rozległej jednostki roily się od pijanych rezerwistów, owiniętych niebiesko-białymi chustami. Brzęk tłuczonych butelek zagłuszały tylko nieludzkie ryki pijanych ze szczęścia „dziadków” oraz śpiewane na okrągło słowa znanego szlagieru „Godzina piąta minut trzydzieści...”. Rezerwa panowała niepodzielnie nad jednostką, mając w dupie wszelkie regulaminy i zasady współzycia żołnierskiego. Na korytarzach i w salach skandowano na okrągło: „Głupi uśmiech, pusty łeb, to po prostu zwykły trep!”. Oficerowie, nawet ci w miarę lubiani, ukrywali się w swoich prywatnych mieszkaniach, żeby nie wchodzić w drogę byłym podwładnym.

Drugą połowę wojska stanowili młodzi poborowi, rozpoznawani po niedopasowanych i nieprzyzwoicie czystych mundurach, w których odbywali pierwsze ćwiczenia tak zwanego szkolenia podstawowego. Póki jednak rezerwiści sprawowali rządy w brygadzie, póty młodzi mieli rozkaz siedzieć w koszarach i nie wylazić bez wyraźnej potrzeby. Nad tym wszystkim pieczę sprawował właśnie oficer dyżurny, dla bezpieczeństwa zabarykadowany w swojej kanciapie.

Szczawiuk wiedział doskonale, że dzwonienie po kompaniach nie da żadnego rezultatu, bowiem przy połowie telefonów nie siedział nikt, a przy drugiej połowie siedzieli zieloni młodzi żołnierze, którzy na hasło „oficer dyżurny” dostawali drgawek i zaczęli się jękać. Chcąc nie chcąc, musiał udać się tam osobiście i tylko świadomość, że stary jest już w drodze,

dodawała mu sił. Szczawiuk podszedł do swojego pomocnika, którym tego dnia był młodszy chorąży Troński, i szarpnął go bezceremonialnie. Chorąży, okutany w bechatkę, stęknął niezadowolony, że ktoś przeszkadza mu spać na służbie.

– Czego chcesz? – warknął.

Szczawiuk bynajmniej nie pochwałał panującej w jednostce poufałości pomiędzy chorążymi a oficerami i zamierzał zwrócić uwagę Trońskiemu, że mówi do starszego stopniem. Dał sobie jednak spokój, wiedząc, że tylko pogłębi w ten sposób przepaść niechęci, oddzielając go od całej kadry jednostki. Podniesionym głosem oznajmił:

– Alarm brygady! Dzwonił Weiss i kazał stawiać wszystko na nogi! Rusz się, bo będziesz chodził młodszym chorążym do emerytury!

Nazwisko generała i wzmianka o emeryturze błyskawicznie przywróciły Trońskiemu przytomność umysłu. Spojrzał tylko z niedowierzaniem na Szczawiuka, ale ten jako stary służbista nie miał w zwyczaju żartować na tematy regulaminowe. Jak zresztą i na żadne inne.

– Alarm? Brygady? Jesteś pewien? – mamrotał z niedowierzaniem, szukając pasa z pistoletem. – Stary chyba zwariował! I to jeszcze w sobotę!

Szczególnie to ostatnie żywo zabolowało Trońskiego, który ogłaszanie czegokolwiek w weekend, może prócz ogłoszeń parafialnych, uważał za głęboko nieetyczne i niehumanitarne.

– Leć na czternastą kompanię i zarządz alarm łączników po kadrę. – Szczawiuk znał regulaminy na pamięć. – Ja zarządzę alarm na pododdziałach. Biegiem!

Chorąży Troński pospieszył wykonać rozkazy z szybkością rakiety. Zdawał sobie sprawę, że stary Weiss nie zna litości i za mniejsze uchybienia rozsyłał podwładnych po najdalszych garnizonach kresowych. Pędził więc na złamanie karku, ignorując fakt, że mijani dziadkowie nie raczyli nawet podnieść tyłków z zamarzniętych ławeczek na widok pana chorążego.

Szczawiuk tymczasem chwycił telefon wewnętrzny i połączył się z pierwszą na liście numerów kompanią zaopatrzenia. Służyli w niej najgrubszy żołnierze w całej jednostce, gdyż uznawali za cel nadrzędny zaopatrywanie w pierwszym rzędzie siebie. Kompania tłuszciochów, niekompletna i ospała, przedstawiała mierną wartość bojową, ale Szczawiuk wiedział, że zmobilizowanie jej zabiera zwykle najwięcej czasu.

– Podoficer dyżurny kompanii zaopatrzenia starszy szeregowy Pluta – usłyszał Szczawiuk po drugiej stronie kabla.

– Tu oficer dyżurny – rzekł podporucznik dobitnie. – Zarządzić alarm kompanii w pełnym oporządzeniu, rozumiano?

– Rozumiano – usłyszał.

Szczawiuk uśmiechnął się do siebie, mile zaskoczony konkretną i regulaminową odpowiedzią. Może ta kompania zaopatrzenia nie jest taka do końca... nie dokończył myśli, bo nagle zadzwieczał ostry dzwonek telefonu.

– Melduje się podoficer dyżurny kompanii zaopatrzenia starszy szeregowy Pluta – usłyszał ponownie Szczawiuk. – To znaczy, panie poruczniku, co?

Szczawiuk w mgnieniu oka powrócił do swej pierwotnej oceny kompanii zaopatrzenia.

– Co co? – wrzasnął.

– No bo pan porucznik powiedział, że alarm...

– Nie wiecie, co to jest alarm? Jeżeli w ciągu dziesięciu minut wasza kompania nie będzie na placu apelowym, to nakopię wam w wasze tłuste dupsko!

– Aha – powiedział Pluta, wcale nie obrażony tym „dupskiem” – znaczy się... wszyscy na dwór. Tak jest.

Szczawiuk odłożył słuchawkę i z przerażeniem spojrzął na zegarek. Stary Weiss mieszkał niedaleko jednostki i jego pojawienie się było kwestią minut. Zdesperowany podporucznik, nie mając nic do stracenia, otworzył książkę numerów poszczególnych kompanii.

W ciągu następnego kwadransa oficer dyżurny brygady wywrzeszczał do słuchawki całą litanię najbardziej wyszukanych bluzgów, na jakie stać mundurowego. Darł się jak szaleniec, tłumacząc po kolei, kompania po kompanii, czym w wojsku jest instytucja alarmu. Groził, zaklinał i wymyślał od najgorszych wszystkim podoficerom dyżurnym, wywołując zdziwienie na kompaniach starszych i przerażenie na młodszych.

Wysięk jednakże opłacił się Szczawiukowi i po chwili ospałe koszary ruszyły się, najpierw powoli, potem coraz szybciej jak Tuwimowska lokomotywa. Szare gmaszyska bloków koszarowych poczęły wypływać z siebie zielonych ludzi, którzy nie wiedząc, co się dzieje, tworzyli na placu apelowym luźne kłębowiska. Wrzaski równie zdezorientowanych oficerów, próbujących znaleźć swoich ludzi, zlewały się z nawoływaniem żołnierskiej młodzieży i przekleństwami dziadków, nienawykłych już do takich imprez jak alarm.

Po chwili u wylotu prowadzącej do koszar ulicy pojawiła się – budząca zawsze popłoch i przerażenie – generalska biała astra. Sunęła dostojnie, zlewając się ze śniegiem, prawie niewidoczna. Szczawiuk wybiegł przed uniesiony już szlaban i zastygł w pozycji zasadniczej. Samochód dotoczył się majestatycznie do bramy, drzwi otwarły się i oczom wszystkich ukazała się zwalista sylwetka generała brygady Rajmunda Weissa, dowódcy Pierwszej Warszawskiej Brygady Zmechanizowanej.

– Panie generale, oficer dyżurny pierwszej brygady podporucznik Szczawiuk melduje pierwszą brygadę...

– Co tu się, do kurwy nędzy, dzieje? – słodko, niemal szeptem zapytał Weiss, patrząc na wolną elekcję na placu apelowym.

– Melduję, że zgodnie z poleceniem pana generała zarządziłem alarm...

– Alarm!?! – ryknął Weiss. – Widywałem już lepiej zorganizowane zamieszki!

Szczawiuk nie odpowiedział, tylko wyprężył się jeszcze bardziej i przybrał minę pełną najwyższego oddania. Generał, który zamierzał wyciągnąć konsekwencje, pomyślał tylko, że jego ukochany pekińczyk Aramis czasem też spogląda na niego takim wzrokiem.

– Czy pan wie, co się stało, poruczniku?

– W jednostce?

– Nie, w kraju! – wrzasnął generał i nie uzyskawszy odpowiedzi, ogłosił: – Zamach stanu! Obcy najazd! A może i wojna!

Szczawiuk, w którego uregulowanym żołnierskim życiu nie było miejsca na coś tak sprzecznego z regulaminem jak „zamach stanu”, ograniczył się do kretyńskiej miny i spojrzenia pekińczyka. W tym samym momencie nadbiegł chorąży Troński, wiodąc za sobą względnie regulaminowy dwuszereg.

– Panie generale, młodszy chorąży Troński mel...

– A to co – zdziwił się generał – wycieczka?

– Melduję, panie generale, że zarządziłem alarm łączników po kadre – nie bez dumy oznajmił Szczawiuk.

– No... chociaż tym razem pomyśleliście. – Weiss po raz pierwszy skinął głową z uznaniem. – Łącznicy, ruszać! A pan spróbuje obdzwonić oficerów w domach, nakazując im natychmiastowe stawiennictwo. Jasne?!

– Tak jest! – Szczawiuk stuknął obcasami, co z uwagi na śnieg dało marny efekt.

Troński zasalutował niezgrabnie grubą połową rękawicą, po czym odwrócił się i zarządził:

– Za mną biegiem... marsz!

Instytucja „łączników po kadre” stanowiła w Wojsku Polskim przykład niezwykle wyżyn intelektualnych, na jakie wspiąć mógł się umysł okryty czapką rogatywką. Z grubsza chodziło o to, że w razie alarmu wyznaczeni i przeszkoleni żołnierze, wyposażeni w spisy z nazwiskami i adresami prywatnych mieszkań kadry oficerskiej, obskoczyć mieli przydzielone sobie lokale, nakazując alarm. Ta logiczna i sensowna z punktu widzenia cywila akcja zyskiwała jednak w wojsku nieco inny wymiar, mający dla odmiany niewiele wspólnego z logiką. Pomijając już fakt, że w dobie telefonii komórkowej i łączności satelitarnej operacja taka zalatywała nieświeżością, mogła się udać tylko wówczas, gdyby żołnierze zostali przeszkoleni i dysponowali aktualnymi spisami. Ponieważ nie spełniono ani jednego, ani drugiego warunku, spokojny Sulejówek w ciągu następnej godziny zmienił się w piekło.

Z początku w miasteczku rozlegało się jedynie silniejsze niż zazwyczaj szczekanie psów. Później pojawiły się grupki przerażonych cywili, a w końcu całe miasteczko zamieniło się w jeden wielki cyrk. Cywile bowiem, dysponujący telewizorami, wiedzieli już od rozgorączkowanych dziennikarzy, że wybuchła co najmniej III wojna światowa, a Rosjan widziano w okolicach Siedlec. Biegających tam i z powrotem żołnierzy Weissa brano za forpocztę armii rosyjskiej, więc wrzaski, krzyki i lamenty przybierały na sile z minuty na minutę, a zapadający zmrok potęgował nastrój grozy.

Nieszczęśni łącznicy po kadre, wyznaczeni wszyscy co do jednego z młodych i niedoświadczonych żołnierzy, biegali, szukając ulic i numerów domów, co w zaśnierzonym miasteczku nie było sprawą prostą. Część przerażonych mieszkańców nie otwierała im w ogóle drzwi, inni robili to jedynie po to, by spuścić na nich psy lub obrzucić ich kamieniami.

W samej jednostce po godzinie zapanował względny porządek – Weiss bądź co bądź potrafił okiełznać żołnierską tłuszcę i sformować w miarę pełne kompanie. Najgorzej poszło naturalnie z kompanią zaopatrzenia i jej podoficerem dyżurnym, starszym szeregowym Plutą, stanowiącym współczesne wcielenie Rocha Kowalskiego. Zaopatrzeniowcy, którzy brzydzili się bronią palną, a hełmy widzieli jedynie w serialu „Czterej pancerni”, stali ze swym podoficerem przygnębieni i zdruzgotani. Ich spokojny, poukładany i usystematyzowany świat, pełen kwitów, faktur i ksiąg rachunkowych, nagle runął.

Nad tym wszystkim górował Weiss, ubrany w tej historycznej chwili w mundur wyjściowy, z narzuconym jedynie na ramiona sukiennym płaszczem. Weiss małpował w tym względzie Napoleona, który zwykł był przyodziewać się w ten sposób, co dowódca jednostki zaobserwował na wiszącej w jego gabinecie marnej replice Kossaka. Jednakże w przeciwieństwie do szarego cesarskiego *redingote gris* szynel Weissa był zielony, co symbolizowało równie zielone doświadczenie bojowe dowódcy Pierwszej Brygady. Pomijany w awansach, wyśmiewany przez kolegów, odsuwany od wszelkich misji zagranicznych z powodu tragikomicznej angielszczyzny, poniewierany i niedoceniany, czuł, że oto nastąpiła jego godzina. Telefon pułkownika Langerera tchnął w Weissa nowego ducha. I tym duchem altruista Weiss zamierzał się z wojskiem podzielić.

Naprzeciw sulejowskiego Napoleona stała jego cesarska gwardia. Oczami wyobraźni Weiss zamiast niechlujnych szwejków widział wąsatych wiarusów w niedźwiedzich czapach, prężących się przed nim i gotowych w każdej chwili krzyknąć: *Vive l'empereur!* „Gwardia”, owszem, wydawała z siebie pomruki, ale zamiast wiwatów dało się słyszeć tylko narzekania na zimno i rzeczowniki powszechnie uznawane za obelżywe. Weiss otrząsnął się więc z imperialnego blichtru i zakładając ręce za siebie, huknął:

– Żołnierze! Dziś w godzinach południowych zaszły w naszym kraju rzeczy niezwyklej wagi. Ojczyzna nasza znalazła się nad przepaścią... – tu urwał, bo zorientował się, że jego przemówienie staje się podobne do innej słynnej prelekcji, puszczanej niegdyś zamiast teleranka. – Grupa krwawych terrorystów ośmieliła się podnieść swoją zbrodniczą rękę na świątynię polskiej demokracji i wolności! Naszym dziejowym zadaniem, zesłanym nam dziś przez Opatrzność, jest ratowanie zagrożonego bytu Najjaśniejszej Rzeczypospolitej. Pomni rotę przysięgi, którąśmy wszyscy w obliczu Boga i historii składali, zapytuję was: czy jesteście gotowi poświęcić własne życie dla dobra tej ziemi, która was zrodziła i wychowywała? Zapytuję: czy jesteście gotowi?

Szweje stali nieruchomo, przytupując chwilami dla rozgrzewki. Pierwsze rzędy wojska, które generalską prelekcję słyszały, zastanawiały się gremialnie, czy stary Weiss znów przeholował z wódką, czy po prostu ostatecznie stracił rozum. Rzędy tylne natomiast, nieświadome słów przełożonego, gwarzyły z cicha, opowiadając dowcipy, a nawet podśpiewując znany szlagier o żołnierzu, który chciał tylko pożartować z Marynią, a skończył po uszy w alimentach.

Weiss umilkł, żeby sprawdzić, jakie wrażenie jego mowa uczyniła na podkomendnych. Stał tak jeszcze przez chwilę, po czym nabrał w płuca zimnego powietrza i zamierzał kontynuować. Nie było mu to jednak dane za sprawą anonimowego głosu z piątej kompanii, który przejmująco rzewnie i wyjątkowo głośno westchnął:

– Rajmund! Zimno jest, do chuja!

Stłumiony śmiech ogarnął całą brygadę, nie wyłączając stojących z przodu młodszych oficerów. Starsi też szczerzyli się szeroko, maskując nieudolnie uśmiechy poważnymi minami. Weiss zmienił kolor facjaty na purpurowy, mierząc groźnym wzrokiem piątą kompanię i jej dowódcę, majora Jamrożego, którego twarz jako jedyna na placu apelowym przybrała kolor trupioblady.

– Brygada baczność! – wrzasnął generał, rezygnując z dalszej części przemowy. – Wszyscy na stanowiska! Dowódcy batalionów do mnie!

Szweje błyskawicznie ruszyli z miejsc, pędząc ku ciepłym koszarom, dowódcy batalionów zaś niechętnie podbiegli do Weissa.

– Panowie! – rzekł generał. – Proszę meldować o stanach swoich pododdziałów.

Ponieważ żaden z oficerów nie zgłosił się pierwszy, Weiss wskazał ręką na chudego rudzielca.

– Pułkowniku Roszler, pański batalion. Roszler uśmiechnął się z zakłopotaniem, jak Tomek Sawyer przyłapany na kradzieży racuchów.

– No więc... panie generale... jeśli chodzi o mój batalion... to przejąłem go dopiero przed trzema miesiącami i...

– I nie ma pan zielonego pojęcia o jego liczebności i sprzęcie – dokończył Weiss słodko, co dla bardziej zorientowanych stanowiło zapowiedź burzy.

– Tak jest! – Roszler odetchnął z ulgą ucieszony, że generał tak klarownie wyjaśnił jego sytuację.

– Brawo – ton generała wygasił resztki uśmiechu na twarzy rudzielca – coraz bardziej mi się to podoba. Pan, pułkowniku Kurzepa.

– Stan będzie jakieś dziewięćdziesięciu ludzi, czołgów T-72 jakieś szesnaście do dwudziestu – liczył w myślach szpakowaty oficer z długim nochalem – z czego dwie trzecie niesprawne. Jeśli chodzi...

– Dość – przerwał mu głucho Weiss.

W pierwszej chwili miał ochotę zadusić tych darmozjadów, ale zdawał sobie sprawę, że to on jest dowódcą i odpowiada za ten burdel. Drażnienie tego tematu było w sumie równie niewygodne dla niego jak i dla nich.

– Wystarczy – mruknął zrezygnowany. – Większość panów wie, co się stało. Nie możemy stać z założonymi rękami. Zarządzą panowie alarm. Uruchamiać, co się da... Wozy bojowe, czołgi, transportery. Żołnierzy wraz z bronią i amunicją na stary. Tworzymy kolumnę i ruszamy.

– Ruszamy? – zdziwił się podpułkownik Grucha, szef uzbrojenia brygady. – Ale dokąd, panie generale?

Weiss popatrzył na niego zmrużywszy oczy i rzekł dumnie:

– Odzyskać honor.



## Rozdział 7

Ledwo pułkownik Langer i jego czterech otyłych adiutantów zdołali zaprowadzić jaki taki porządek, a już w pobliżu gmachu Sejmu zaczęły zjeżdżać limuzyny z oficjelami drugiego sortu. Wszyscy „wice” i „p.o.” nie zaproszeni na zaprzysiężenie teraz zdali sobie sprawę, że na skutek niesłychanego zbiegu okoliczności stali się nagle najważniejszymi osobami w państwie.

Nadinspektor Kopacz, zastępca komendanta głównego policji, z niepokojem wiercił się w swojej limuzynie. Radiowóz walił na sygnale Aleją Niepodległości, zresztą całkiem niepotrzebnie, bo ulica była opustoszała. Kopacz nakazał jednak kierowcy włączyć syrenę, żeby wszyscy dookoła wiedzieli, że ważny oficjel podąża do bardzo ważnej sprawy. Słowem, po prostu nie wypadało mu jechać bez syreny.

Kopacz gorączkowo poganiał szofera. Myśl, że jego ukochany szef nadinspektor Graczyk może wkrótce zostać uwolniony, napawała go przerażeniem. Siedzi teraz pewnie jak szczur pod lufą karabinu i modli się o swoje życie. Kopacz z satysfakcją zatarł małe rączki. Teraz ja – myślał – jestem pierwszym policjantem w Rzeczypospolitej.

Rozdziawił z satysfakcją gębę, obmyślając już, co powie tłumom dziennikarzy, którzy zapewne czekać będą na niego pod Sejmem. Wreszcie on będzie mówił, a nie tylko robił za tło dla Graczyka, w przeciwieństwie do niego obdarzonego słusznym wzrostem. Kopacz zawsze miał kompleks na punkcie swojego metra sześćdziesięciu pięciu centymetrów i nie mógł znieść swego przezwiska – „Taboret” – pod którym był znany we wszystkich komendach policji.

Kopacz nie uśmiechałby się tak bardzo, gdyby wiedział, że nie tylko jego samochód służbowy pędzi teraz w stronę ulicy Wiejskiej. Kierowcę poganiał również admirał floty Świrski, dowódca Marynarki Wojennej, zwany „Słońcem Bałtyku”. Świecił nad nim sumiennie przez sześć z górą lat, lecz promienie jego przyspieszały tylko rdzewienie okrętów, stojących z braku paliwa przy porośniętych chwastami nabrzeżach. Świrski robił, co mógł, żeby zapewnić pomyślność flocie wojennej, odwołując się zwykle do najwyższej instancji – Wszechmogącego. Zdjęcia pana admirała dźwigającego monstrancję, w komży narzuconej na admirałski mundur bądź pokutującego na klęczkach za grzechy swej niechlubnej PRL-owskiej przeszłości, stanowiły stały element wszystkich kolorowych pism kobiecych. Teraz

Świrski wyobraził sobie własną pulchną twarz, spoglądającą dobrotliwie z pierwszych stron wszystkich najważniejszych dzienników w kraju i za granicą. „Admirał ratuje kraj”, „Człowiek morza skuteczny również na lądzie”, „Polski Horthy zbawcą ojczyzny” – wytłuszczone nagłówki gazet przelatywały pod białą czapką admirała, rozpalając jego wyobraźnię. Nie zaprosili go na zaprzysiężenie, bo butelka szampana, którą małżonka prezydenta Rozwadowskiego chrzciała nowo zwodowany okręt, nie rozbiła się o burzę, tylko odbiła się jak gumowa piłeczka. Ów skandal dyplomatyczny pogrzebał szanse admirała na awans. Od tamtego czasu Świrski popadł w niełaskę u prezydenckiej pary. Teraz miał szansę zabłysnąć.

Pułkownik Langer z pomocą swych czterech muszkieterów kreślił właśnie plan negocjacji, gdy oficjele jeden po drugim zaczęli przybywać pod Sejm. Kordon policji, strzegącej dostępu w bezpośrednie okolice parlamentu, otwierał się raz po raz przed mundurowymi szuchami, grożącymi policjantom w razie nie wpuszczenia szerokim wachlarzem surowych konsekwencji.

Kopacz wyskoczył z limuzyny i ogarnawszy oczyma cały skwer przed Sejmem, ze znanstwem stwierdził rażące naruszenia regulaminu. Sprawdził jeszcze, czy generalskie wężyki są dobrze widoczne, i ruszył w kierunku kotłowniny, zabierając ze sobą szofera dla podbudowania autorytetu. Pętający się wokół policjanci nie zwracali na niego żadnej uwagi, co obruszyło Kopacza do głębi. Schwycił więc za rękaw pierwszego lepszego i krzyknął:

– Nie wiecie, że starszemu stopniem należy salutować?

Zatrzymany gliniarz, na którym cienki głosik śmiesznego kurdupla nie zrobił żadnego wrażenia, odszedł, po prostu olewając generała. Ten poczerwieniał jak burak i chciał natychmiast aresztować zuchwalca, ale opanował się, bo godność nie pozwalała mu w takiej chwili na okazywanie emocji. Wypatrzył w tłumie oficera i zbliżywszy się dostojnie, chrząknął. Młody podkomisarz odwrócił się i zobaczywszy Taboreta, przyjął coś w rodzaju postawy zasadniczej.

– Kto dowodzi tym bałaganem? – zapytał Kopacz, wyprężając się ze wszystkich sił, żeby choć trochę zmniejszyć dystans do oficera.

– Cholera wie, panie nadinspektorze. – Młodzik wrzucił ramionami i wskazując ręką, dodał: – W tamtym namiocie jest podobno jakiś sztab. Jest tam też nadinspektor Wawrzyniak.

Wzmianka o komendancie stołecznym rozluźniła naprężone mięśnie Kopacza. Ze złością ruszył w stronę półkolistego namiotu wojskowego, który Gałązka zarekwirował w międzyczasie z magazynów pobliskiej szkoły podstawowej. Idąc, deptał gniewnie zwały brudnego śniegu zmieszanego z błotem, w każdej kałuży widząc gębę Wawrzyniaka, zawiedziony, że ten warszawski grubas wyprzedził go w ratowaniu ojczyzny. Na razie. Pilnujący namiotu policjant odsunął się z drogi generała, usłużnie unosząc brezentową płachtę.

Blask lampy turystycznej wiszącej u sufitu poraził generalskie oczy i dopiero po chwili

Kopacz dostrzegł wewnątrz namiotu. Nad ustawionymi pośrodku stołami pingpongowymi, zarekwirowanymi podobnie jak sam namiot z pobliskiej szkoły, nachylało się kilka różnorodnie umundurowanych postaci. Kopacz rozejrzał się po naramiennikach, usiłując wypatrzyć najwyższy stopień, lecz zanim rozeznał się w sytuacji, pochylony nad papierami pułkownik zapytał:

– Kim pan jest?

– Nadinspektor Kopacz, zastępca komendanta głównego Policji Państwowej – wyrecytował Taboret niezadowolony, że jego osoba nie jest powszechnie znana. – A pan?

– Langer, Sztab Generalny.

– Aha, wojskowy – nadzwyczaj błyskotliwie zauważył Kopacz. – I pan niby dowodzi tym całym majdanem?

– Koordynuję – odparł spokojnie pułkownik – to lepsze słowo.

– A zatem nie ma tu dowódcy? – z zadowoleniem stwierdził gliniarz, naprężając znów mięśnie. – I bez dowódcy chce pan prowadzić akcję? I w ogóle jakim prawem dowodzi pan policjantami?

– Policją dowodzi obecny tu generał Wawrzyniak – Langer wskazał na stojącego za nim grubasa – a ja staram się...

– Stara się pan – kpiąco odparł Kopacz – ale tak jakoś nie do końca, co? Wszyscy wokół biegają bez ładu i składu! I pan to nazywa akcją?

Langer zmierzył wzrokiem Kopacza, co nie zajęło wiele czasu, i zastanowił się czy nie warto by wywalić tego kurdupłowatego wypierdka na dwór.

– Widzę, że muszę przejąć tu dowództwo – kontynuował Taboret, upajając się własnymi słowami. – Panie nadinspektorze Wawrzyniak, proszę zreferować mi obraz sytuacji.

Wawrzyniak spojrzał pytająco na Langerę, lecz ten zignorował policjantów i dalej studiował plan budynków sejmowych, niewprawnie nakreślony na podstawie planu miasta i przewodnika po zabytkach. Komendant stołeczny, widząc, że nikt nie spieszy mu z pomocą, zaperzył się nagle i rzekł:

– Pan, panie nadinspektorze Kopacz, nie jest moim przełożonym.

Langer oderwał wzrok od papierów, głęboko zdumiony nagłym przypiływem odwagi Wawrzyniaka. Zapowiadało się na ciekawą dyskusję policyjnego Dawida z Goliatem.

– Ja jestem zastępcą komendanta głównego policji – piskliwym głosikiem oznajmił kurdupel.

– Ale do spraw logistycznych – odparł grubas – a ja jako komendant stołeczny podlegam bezpośrednio komendantowi głównemu.

– Nieprawda! – Kopacz usiłował krzyknąć, ale jego głos skrzypiał tylko jak kreda o tablicę. – Pan zdaje się nie zna ustawy o zmianie ustawy o Policji z 2002 roku?!

– Ta ustawa porządkuje tylko bałagan powstały po zmianie ustroju Warszawy.

– Ale wyznacza hierarchię ważności!

– Ale nie w sprawach służbowych!

– Właśnie że tak!

– Właśnie że nie!

– Dość!

Okrzyk Langer'a skutecznie przerwał ten kompetencyjny spór. Grubas i mikrus obejrżeli się na pułkownika, który oparłszy się obiema rękami o stół, mierzył wzrokiem obu gliniarzy.

– Jeśli panowie zamierzacie kontynuować tę dyskusję – mówił dobitnie i wolno – to zapraszam na zewnątrz.

– Ale musimy ustalić... – zaczął Kopacz.

– Musimy działać! – oświadczył Langer. – A pan... pan ma tu również do spełnienia niezwykle odpowiedzialne zadanie!

Kopacz instynktownie spiął pośladki, a na jego twarzy rozlał się łaskawy uśmiech. Życzliwiej już spojrzał na wojskowego przybłędę, który choć podlegał pod MON, najwyraźniej poznał się na wyjątkowości zastępcy komendanta głównego.

– Co pan zatem proponuje? – zapytał tonem, jakim cesarz zwracał się do wieśniaka.

– Po pierwsze proszę natychmiast ściągnąć brygadę antyterrorystyczną – Langer z zadowoleniem stwierdził, że jego teoretyczne plany wreszcie zaczynają się spełniać – oraz wezwać tu doświadczonego negocjatora.

Kopacz umilkł momentalnie i próbował przybrać inteligentny wyraz twarzy, zastanawiając się jednocześnie, skąd temu wojskowemu mądrali wytrzasnie brygadę antyterrorystyczną. Ponieważ nic ciekawego nie przyszło mu do głowy, odparł wypróbowanym tonem:

– Za te sprawy odpowiada nadinspektor Wawrzyniak. To jemu podlega stołeczny oddział antyterrorystyczny.

– Owszem, mam u siebie oddział AT – bronił się Wawrzyniak, wkurzony uprawianą przez Kopacza psychologią – ale Komenda Główna dysponuje bardziej profesjonalną jednostką niż moja.

– Pozwoli pan, panie kolego, przypomnieć sobie – warczał Kopacz – że bardziej właściwa na terenie Warszawy jest pańska jednostka. A poza tym ja jestem zastępcą Komendanta Głównego do spraw logistycznych i nie mam prawa wydawać rozkazów jednostce antyterrorystycznej.

– Nie, to pan pozwoli zauważyć, panie kolego, że oprócz jednostki Biura Operacji Specjalnych podlega jeszcze panu Centralne Biuro Dochodzeniowe, które również dysponuje kompanią AT. Jednym słowem ma pan całą armię antyterrorystów, a chce pan wykorzystać moje szczupłe siły!

– Centralne Biuro Dochodzeniowe zajmuje się zwalczaniem przestępczości zorganizowanej, narkotykami i praniem brudnych pieniędzy – piskliwie wołał Kopacz – a my tu mamy do czynienia z atakiem terrorystów. I to na pańskim terenie! Musi pan działać, do

cholery!

– Czy pan zna rozporządzenie Prezesa Rady Ministrów z dziewięćdziesiątego pierwszego roku w sprawie szczegółowych zasad użycia oddziałów Policji!? – Grubas z minuty na minutę nabierał pewności siebie. – Tam jest wyraźnie określone, kto podejmuje decyzję w takich sprawach! A ja nie mogę działać bez porozumienia z komendantem wojewódzkim Policji!

– Jak to nie! – pisał Kopacz. – Przecież pan jako komendant stołeczny jest równy wojewódzkiemu!

– Tylko teoretycznie!

– Ale jesteśmy na terenie Warszawy!

– Ale to jest Sejm!

– Ale zamknijcie mordy!

Wszystkie trzy okrzyki złąły się w jedno, lecz głos pułkownika Langer – autora ostatniego zdania – zabrzmiał najgłośniej. Policjanci Flip i Flap przerwali dysputę kompetencyjną i zdziwieni spojrzeli na wojskowego krzykacza, który opierał zaciśnięte do białości ręce na stole. Drżał i dygotał cały, z trudem łapiąc oddech i trzymając resztki nerwów na wodzy.

– Powoli, nie wszystko naraz – rzekł szeptem. – Z kim musi się pan porozumieć?

– Z komendantem wojewódzkim – również szeptem odpowiedział spaślak.

– Mam więc rozumieć, że do podjęcia jednej policyjnej decyzji w tym mieście potrzeba trzech policyjnych generałów?

– No więc... – Wawrzyniak zamrugął filuternie. – W zasadzie to nie, ale...

– Proszę zatem wezwać komendanta wojewódzkiego – Langer kontynuował szept.

– To nie będzie takie proste.

– Dlaczego? Proszę wysłać po niego samochód i sprowadzić go tutaj.

– No tak – rzekł Wawrzyniak, wspierając się pod boki – ale on jest teraz w Radomiu.

– W Radomiu? A cóż on tam robi?

– No więc... on...

– Komenda Wojewódzka Mazowieckiej Policji mieści się w Radomiu – jednym tchem palnął Kopacz ku wyraźnej uldze grubego kolegi.

– W Radomiu? – zdumiał się Langer. – A dlaczego akurat tam?

– No wie pan – włączył się gruby – tam duże bezrobocie, więc władze samorządowe zadecydowały o lokalizacji komendanta właśnie tam. Nie wiedział pan o tym?

– A skąd miałem wiedzieć! – wrzasnął nagle Langer, aż Kajko i Kokosz odskoczyli o metr do tyłu. – Skąd miałem wiedzieć, że wywalicie komendę wojewódzką tak daleko? Przecież to się nie mieści we łbie!

Obaj policyjni geniusze opuścili w milczeniu głowy. Langer przez chwilę ważył coś w myślach, po czym rzucił w przestrzeń:

– Panowie wezwą podległe sobie jednostki. Odpowiedzialność za to biorę na siebie. Jeśli

panowie sobie życzą, potwierdzą to na piśmie.

Gruby i chudy spojrzeli sobie jeszcze w oczy z nieskrywaną nienawiścią, po czym obaj ruszyli do radiotelefonów. Langer westchnął ciężko i opadł na składane krzeselko wędkarskie, które Gałązka podsunął mu troskliwie.

– Cała nasza robota na nic, panie Kaziu – rzekł zrezygnowany. – Wszystkie nasze plany, symulacje, ćwiczenia... Wszystko na nic.

– Taka sytuacja to precedens w skali światowej – zahuczał Gałązka. – Nikt tego nie mógł przewidzieć. Ćwiczyliśmy odbijanie zakładników na morzu i lądzie, pożary, skażenia, ataki terrorystyczne na obiekty publiczne. Ale kto mógł wymyślić taką sytuację, że wszystkie grube ryby siedzą w jednym stawie?

Langer uśmiechnął się po raz pierwszy tego dnia, słysząc to wędkarskie porównanie z ust podstarzałego ubeka. Pozostałych trzech grubasów również zmarszczyło twarze w uśmiechu i przez chwilę w namiocie zapanowała serdeczna, niemal koleżeńska atmosfera. Przez chwilę, gdyż nagle poła namiotu zaszeleściła złowieszczo i na progu stanął szpakowaty jegomość odziany na czarno. Cofnął się odruchowo, oślepiony silną turystyczną jarzeniówką, i wtedy dopiero Langer dostrzegł naramienniki w kolorze brudnego złota. Wstał ociężale, nie wykazując już ani odrobiny zdziwienia, przyjął dość swobodną postawę zasadniczą i rzucił w kierunku czarnego:

– Panie admirale, pułkownik Langer ze Sztabu Generalnego.

Admirał wykorzystał wzniesione już ramię do oddania sumiennego honoru, po czym postąpił kilka kroków do przodu ściągając rękawiczkę i wyciągając prawicę do Langer.

– Świrski – przedstawił się miękkiem, melodyjnym głosem. – Miło mi poznać, choć okoliczności ciężkie. Proszę przedstawić mi obraz sytuacji.

Langer, który Słońce Bałtyku znał jedynie z opowiadań jako rzeczowego służbiste, mającego w zwyczaju przechodzić od razu do rzeczy, rozłożył na stole wyrysowane przez Halberta plany i rozpoczął referat po raz kolejny:

– Niezidentyfikowana grupa zbrojna w sile kilkunastu lub kilkudziesięciu ludzi wtargnęła dziś około południa do budynku Sejmu. Jak panu admirałowi wiadomo, odbywała się tam wówczas ceremonia zaprzysiężenia prezydenta Rzeczypospolitej. Wśród zakładników są obaj prezydenci, premier, ministrowie, generalicja wojska i policji oraz cały tabun dostojników państwowych. Po przybyciu na miejsce udało mi się zorganizować prowizoryczny sztab dowodzenia i zabezpieczyć najbliższe okolice gmachu Sejmu. Nawiązałem też wstępnie kontakt z napastnikami. Wezwałem również dowódcę Pierwszej Brygady Pancерnej, generała Weissa, żeby wprowadził swoje jednostki do stolicy i zabezpieczył pozostałe budynki rządowe. Obecnie jesteśmy na etapie ściągnięcia jednostek antyterrorystycznych.

– I ustalenia, kto za co odpowiada – mruknął Gałązka.

Admirał trawił przez chwilę ten potok informacji, po czym mrużąc oczy przyjrzał się dokładanie szkicom leżącym na stole.

– Decyzję o wprowadzeniu do stolicy wojska podjął pan sam?

– Sytuacja nagliła, panie admirale...

– Postąpił pan bardzo nierozsądnie. – Wilk morski zwięził jeszcze bardziej oczka i zbliżył czerwonawą twarz do twarzy Langerera. – Takie działanie bez konsultacji z przełożonymi może przynieść więcej szkody niż pożytku. To z daleka zalatuje dyktaturą.

– Niemniej jednak...

– Ponieważ sytuacja sprawiła, że jestem obecnie najstarszym stopniem oficerem służby czynnej – miękki głos admirała wyraźnie stwardniał – spoczywa na mnie szczególna odpowiedzialność za losy ojczyzny wobec Boga, narodu i historii...

– Następny Kościuszko – mruzczał dalej Gałązka, ku radości swych trzech otyłych kumpli z pokoju numer 240.

– I w związku z tym, panie admirale – Langer wszedł matrosowi w słowo – my, wojskowi, nie możemy pozostać bezczynni. Przysięgaliśmy bronić konstytucji i przysiędze pozostaniemy wierni.

Halbert, Czernicki, Kujawa i Gałązka z narastającym zaciekawieniem słuchali tej wymiany patetycznych bredni i z coraz większym podziwem patrzyli na swego formalnego szefa. Ku ich zaskoczeniu Langer, który w życiu codziennym nie mógł nawet przekonać sprzątaczkę, żeby umyła porządnie okna w jego gabinecie, w sytuacji kryzysowej okazał się świetnym psychologiem, potrafiącym zmiękczyć największego nawet doktrynera. Wyraźnie świadczyło o tym wahanie, które zagościło na krasnym admiralskim obliczu.

– No oczywiście, ma pan rację – zmiękł Świrski – ale my, żołnierze, musimy pamiętać o cywilnej kontroli nad nami. Wezwanie wojska...

– Wojsko pełni służebną rolę wobec narodu i państwa – Langer słodził coraz mocniej – nie ma zatem miejsca na sentymenty. Pan admirał słynie zresztą w całych siłach zbrojnych jako ten, który się politykom nie kłania. Odmówił pan wzięcia udziału w ceremonii, co dowodzi, jak bardzo ceni pan sobie niezależność i dystans...

Langer urwał w obawie, czy aby nie przesadził, ale spojrzawszy na twarz admirała pozbył się wszelkich wątpliwości. Świrski rósł w oczach, jego splonione lico nabrało dostojeństwa, a pod szpakowatą czupryną znów zaczęły fruwać nagłówki gazet, wśród których „Zbawca ojczyzny” należał do najbardziej umiarkowanych. Świrski co prawda najzwyczajniej w świecie nie dostał zaproszenia na zaprzysiężenie, o które zresztą bardzo zabiegał, ale po słowach Langerera uwierzył już, że absencja była wyłącznie jego autonomiczną decyzją.

– Cóż – rzekł dumnie, okrasivszy lico łaskawym uśmiechem – *amor patriae nostra lex*, panie pułkowniku. Zgadza się z panem, że w obecnych okolicznościach wezwanie brygady generała Weissa wydaje się niezbędne. Dobra robota!

Płachta namiotu zaszeleściła ponownie, objawiając kontrastujące ze sobą sylwetki znajomych nadinspektorów. Stanęli na progu jak uczniacy w gabinecie dyrektora szkoły, przyglądając się z czcią czarno-złotej sylwetce admirała. Ten spojrział na nich z wyższością,

ironicznie lustrując ich naramienne wężyki. Langer minął admirała i czując się gospodarzem namiotu, pociągnął policjantów na środek, żeby dokonać prezentacji.

– Panowie pozwolą, że przedstawię: nadinspektor Kopacz, zastępca komendanta głównego policji, i nadinspektor Wawrzyniak, szef policji stołecznej; a oto pan admirał floty Świrski, dowódca Marynarki Wojennej.

Gliniarze zaszalutowali niemrawo, onieśmieleni widokiem marynarskiego munduru, który znali dotąd głównie z powieści przygodowych. Świrski łaskawie wyciągnął do nich prawicę, którą skwapliwie uścisnęli, niezgrabnie się kłaniając. Chcąc przerwać kłopotliwe milczenie, Langer wziął granatowych pod ręce i rzekł:

– Panowie generałowie Kopacz i Wawrzyniak zapewniłi sprawny udział jednostek policyjnych w zabezpieczeniu terenu oraz zajęli się ściąganiem w rejon Sejmu oddziałów antyterrorystycznych. Oni również napotkali drobne przeszkody natury legislacyjnej, ale mając na uwadze dobro kraju nie wahali się ani chwili, by nagiąć nieco skostniałe kodeksy do obecnego bezprecedensowego kryzysu. Nieprawdaż, panowie?

Flip i Flap w granatowych mundurach rozdziawili początkowo gęby, dziwiąc się swej dalekowzroczości, ale aura wizjonerów, którą otoczył ich Langer, wielce przypadła im do gustu.

– Jednostka AT Biura Operacji Specjalnych została zaalarmowana – piskliwie zameldował Kopacz – lecz jej zebranie potrwa jakiś czas. Natomiast kompania antyterrorystów podległa panu nadinspektorowi Wawrzyniakowi ma obowiązek utrzymywania stałej gotowości bojowej, sądzę zatem, że wkrótce się tu zjawi.

Kopacz wypowiedział ostatnie słowa nadzwyczaj złośliwym tonem, co w połączeniu ze zmieszaną facjatą grubasa obudziło w Langerze pewien niepokój. Niepokój wzrósł znacznie, gdy Wawrzyniak odezwał się, sapiąc:

– Naturalnie gotowość jest utrzymywana, ale trzeba pamiętać, że dziś sobota...

– No i co z tego? – zapytał Świrski, nieświadomy scen, które rozegrały się przed jego przybyciem.

– No więc... policjanci z tego oddziału, jak to powiedzieć... – Wawrzyniak plątał się coraz bardziej, ku wyraźnej uciechu Kopacza – dorabiają sobie troszkę na boku...

Langer przejechał dłonią po twarzy, podobnie jak stojący za nim skład pokoju 240, jednak admirał nadal nic nie rozumiał.

– Co to znaczy dorabiają?

– Więc oni... jak to powiedzieć... pilnują dyskotek i nocnych klubów – mamrotał grubas.

– Po godzinach służbowych rzecz jasna...

– Jak to się mówi, stoją na bramce – usłużnie uzupełnił Kopacz. – Walczymy z tym nielegalnym procederem, ale to trudne, bo w końcu robią to w swym prywatnym czasie.

Wyraz pogardy wrócił na twarz admirała, który stróżów prawa i tak nigdy specjalnie nie poważał.



– W siłach zbrojnych podobna rzecz jest nie do pomyślenia – oświadczył surowo i dobitnie – a już na pewno nie w podległej mi Marynarce Wojennej, gdzie panuje porządek i dyscyplina!

Langer, słysząc admirałskie zapewnienia, zaśmiał się w duchu, wspominając głośną aferę sprzed roku, kiedy to z Centrum Treningowego Marynarki Wojennej dzieciaki wyniosły sześć rakiet przeciwlotniczych, podczas gdy dowódca jednostki wraz ze swymi oficerami zabawił się na służbowym jachcie w towarzystwie lokalnych dam nie najcięższego obyczaju. Rakiety szczęśliwie odzyskano, ale jakim cudem ówczesny zastępca Świrskiego, kontradmirał Fabisiak, biorący udział w zakrapianej imprezie, znalazł się nieprzytomny na rowerze wodnym u wybrzeży Bornholmu w samej bieliźnie, pozostanie już na zawsze tajemnicą polskiej floty.

– Co w tym dziwnego, że terroryści swobodnie grasują po Warszawie – ciągnęło Słońce Bałtyku – skoro policja chroni dyskoteki zamiast obywateli. Karygodne niedbalstwo!

– Cóż robić – z przymilnym uśmiechem odezwał się Kopacz – w Komendzie Stołecznej zawsze panowały dziwne porządki. Pan Langer też zdążył się o tym przekonać, jak sądzę.

Langer obrzucił kurdupla tak niechętnym spojrzeniem, że ten odsunął się na krok i niemal zniknął w fałdach swego obszernego płaszcza. Nie zdążył jednak nic powiedzieć, bo na biurku zadzwieczał telefon komórkowy pułkownika. Ten odebrał szybko, odwracając się do reszty plecami.

– Langer.

– Jak samopoczucie? – zapytał Zani w ciszy swego tymczasowego gabinetu.

– Tak jak dzisiejsza pogoda – rzekł rażno pułkownik. – Cieszę się, że pan dzwoni.

– Jako akt dobrej woli skłonny jestem zwolnić w dniu jutrzejszym część zakładników.

– Ile osób zamierza pan zwolnić?

– Na razie około czterdziestu. W zamian proszę przygotować jedzenie, napoje i koce dla reszty zakładników. Czy jest pan w stanie to załatwić?

– Jestem – uciął sucho Langer, choć pewności nie miał za grosz.

– Zwolnię pracowników technicznych Kancelarii, członków Straży Marszałkowskiej, dyplomatów i żony szanownych prominentów. Partiami, najpierw pierwsza czterdziestka.

– A sami, jak pan to określił, prominenci?

– Tych niestety muszę zatrzymać, drogi pułkowniku – rzekł Zani. – Mam wobec nich pewne plany. A poza tym ich obecność to gwarancja, że nie przyjdzie wam do głowy nic głupiego. Zakładników zwolnię wejściem od strony Kancelarii. Proszę się ich spodziewać jutro po południu. Zresztą uprzedzę pana telefonicznie.

– Rozumiem – rzekł Langer i usłyszał trzask odkładanej słuchawki.

W namiocie zapadła cisza. Przerwać ją zamierzał admirał, ale ubiegł go w tym szpakowaty jegomość, który pojawił się w otoczeniu kilku kolegów u wejścia do namiotu.

– To zgromadzenie jest nielegalne!

Zgromadzeni wewnątrz sztabowcy obejrzeni się na przybysza, który oskarżycielskim gestem wyciągał w ich kierunku kościsty paluch, obciążony nader masywnym sygnetem.

– Powtarzam, nielegalne! I co więcej, uprzedzam panów o odpowiedzialności karnej, która niechybnie na panów spadnie za zawłaszczenie kompetencji...

– Panie pułkowniku Gałązka – odezwał się Langer – zechce pan wypieprzyć tego pajaca za drzwi, jeśli łaska.

„Pajac” umilkł zaskoczony, opuszczając paluch. Usiłował coś powiedzieć, ale Gałązka chwycił go żelaznym uściskiem za kołnierz, obrócił o sto osiemdziesiąt stopni i wypchnął z namiotu prosto w błotnistą kałużę. Koledzy przybysza ulotnili się w mgnieniu oka, już bez pomocy grubasa.

– Mimo wszystko ciekaw jestem, kogo wywaliłem – mruknął Gałązka, wracając na miejsce. Admirali i policjanci patrzyli na tę scenkę z zaskoczeniem. Na twarzy Wawrzyniaka prócz zaskoczenia pojawiło się również rozbawienie, gdyż szpakowatego przybysza dobrze znał. Zanim jednak zdążył się tym pochwalić, wywalony nieszczęśnik ponownie pojawił się u wejścia do namiotu, tym razem w bardziej unizonej pozie i bez kolegów.

– Czy mogę wiedzieć – sapał, strzepując wściekle błoto z płaszcza – kto tutaj dowodzi? Chciałbym...

– No, już lepiej – odezwał się Gałązka – ale przydałoby się jeszcze „dobry wieczór”.

– Dobry wieczór – wymamrotał kompletnie już zbity z tropu przybysz. – Chciałbym wiedzieć...

– To my chcielibyśmy wiedzieć, kim pan jest – przerwał mu Langer.

– Moje nazwisko Gąbczyński – rzekł siwy takim tonem, jakby miał to wypisane na czole.

– Jestem dyrektorem Wydziału Bezpieczeństwa Publicznego wojewody mazowieckiego. Chciałbym poinformować, że właściwym organem dla zarządzania w sytuacji kryzysowej jest mój wydział. Na terenie województwa wyłącznie wojewoda ma prawo podejmować...

– Masz pan ołówek? – kolejne pytanie Langeru ugodziło w szpakowatego narwańca, zbijając go z pantałyku.

– Eee... mam długopis.

– To pisz pan.

Gąbczyński bezwiednie wyjął długopis i wziął do ręki kartkę, uprzejmie podsunął mu przez Czernickiego.

– Agregaty prądotwórcze, krew, środki łączności – wyliczał Langer. – Zabezpieczyć, przetransportować, dostarczyć. Jakies pytania?

– Tak.. nie... to znaczy...

– Wykonać! Pan inspektor Halbert pomoże.

– A co pan tu robi?

U wejścia do namiotu pojawiła się nowa, młoda tym razem postać z przeredzoną czupryną.

– Kto tu dowodzi i co tu się w ogóle dzieje? – zapytał z pretensją przybysz i zwracając się do Gąbczyńskiego, dodał: – A pan skąd się tu wziął, u diabła? Mało panu jeszcze wtykania...

Pilnujący wejścia do namiotu policjant ze zdumieniem obserwował, jak po raz drugi w ciągu trzech minut z wnętrza wylatuje na pysk kolejny osobnik, zaliczając w podobnym stylu tę samą kałużę.

– Kto to był? – Langer zatroskał się, żeby pułkownik Gałązka nie nadwreżył sobie ramienia.

– Trudno powiedzieć, mogę tylko stwierdzić, że jest nieco cięższy od tego pana – odparł Gałązka, wskazując na Gąbczyńskiego.

– Panowie, jak mniemam, się znają? – zagadnął Langer nieszczęsnego szefa sztabu wojewody.

– To był szef Wydziału Ochrony Ludności Urzędu Miasta Stołecznego Warszawy...

– O Jezu – jęknął Czernicki, w którego ustach odwołanie do Boga było rzeczą niezwykłą.  
– Ilu ich jeszcze będzie?

– Jedno jest pewne – ocenił Langer – urzędników nam dziś nie zabraknie. Panie pułkowniku Czernicki, zechce pan poprosić do nas tego pana.

Po chwili dwóch upapranych błotem urzędasów patrzyło na siebie niechętnym wzrokiem, stojąc pośrodku namiotu.

– Mam rozumieć, że odpowiada pan za sprawy bezpieczeństwa miasta w magistracie, młody człowieku? – odezwał się Świrski.

– Tak, i moim obowiązkiem jest zorganizowanie w przypadku zagrożenia sztabu antykryzysowego. Dlatego dziwię się obecności pana Gąbczyńskiego, który powinien czekać na wezwanie...

– Przypominam panu – zapieklił się Gąbczyński – że sprawa organizacji sztabu leży w gestii właściwego wojewody...

– Bzdura! Sztab organizuje prezydent, a współpracę służb koordynuje Służba Kryzysowa Miasta.

– Sztab organizują służby wojewody, który jest reprezentantem premiera!

– Za organizację odpowiedzialny jest prezydent miasta Warszawy!

– Panowie!

Langer krzyknął, a Gałązka wstał. To wystarczyło, żeby uciszyć dwóch dżentelmenów.

– Panowie – łagodniej powtórzył Langer – przecież sztab kryzysowy już istnieje. Nie ma więc potrzeby zakładać go znowu.

Obaj adwersarze spojrzeli na siebie zdziwieni, konstatując ten niezwykły fakt.

– Skoro więc kwestię powołania sztabu mamy już za sobą – ciągnął pułkownik – skupmy się na rozdziale zadań. Pan, panie Gąbczyński, wie, co ma robić. A pan, panie... eee. Jak godność?

– Michalski.

– A zatem pan, panie Michalski, zajmie się dostarczeniem szczegółowych planów budynków Sejmu i Senatu, zapewni kwatery dla osób ewakuowanych z pobliskich kamienic, zorganizuje zapasy żywności i wody dla zakładników i dla nas. Proszę też utrzymywać stały kontakt ze służbami gazowymi, energetycznymi, hydraulicznymi i tak dalej. Jasne?

– Ale...

– Bez gadania! Obaj panowie wiedzą, co robić... Proszę mobilizować swoich ludzi i meldować o wynikach! I proszę się umyć!

Obaj ubłoceni notable stali jeszcze przez chwilę zszokowani, po czym opuścili namiot. Sztab z podziwem spoglądał na pułkownika, który tak świetnie orientował się w kompetencjach niezliczonych biur, wydziałów i referatów. Sam Langer, oddychał ciężko, oparłszy się o stół. Spojrzał na pozostałych i przejmującym głosem westchnął:

– Ciekawe, kogo jeszcze diabli przyniosą?

W odpowiedzi rozległ się szelest płachty namiotowej i pojawiła się czarna, smukła sylwetka. Sylwetka weszła w krąg światła i ukloniwszy się lekko, szepnęła:

– Niech będzie pochwalony Pan nasz Jezus Chrystus...

\* \* \*

Okolo godziny dwudziestej pierwsze czołgi i transportery opancerzone brygady generała Weissa wtoczyły się na most Poniatowskiego. Kawalkada rozciągnęła się znacznie wbrew wszelkim podręcznikowym zaleceniom taktycznym i składała się z różnorodnych wozów bojowych, które z wielkim trudem udało się uruchomić. W pierwszym czołgu T-72, rozparty niczym Patton na rogatek Messyny, stał generał Weiss, ubrany w dziwaczną kombinację wyjściowego munduru z bojowym hełmem. Pamiętając ze szkoły, że ruch ciężkich pojazdów po moście odbywać się musi wyjątkowo ostrożnie, generał nakazał zwolnić i jego czołg wtoczył się majestatycznie w Aleje Jerozolimskie. Konwój powoli sunął w kierunku centrum miasta, a powiewające na czołgach biało-czerwone proporczyki oznajmiały nielicznym gapiom, że zbliża się Wojsko Polskie, a nie bratnia do niedawna armia ze stepów.

Po wypadkach w Sulejówku, gdzie widok brygady na ulicach wywołał straszliwą panikę, Weiss nakazał żołnierzom ostrożność i polecił wznosić wesołe okrzyki, by dodać cywilom otuchy w trudnych chwilach. Jednak szweje, nieskorzy do entuzjazmu, łypali tylko ponuro spod hełmów i wyglądali całkiem jak zastępy generała Pinocheta ciągnące na Santiago. Wskutek szumu informacyjnego, który zapanował w kraju kilka godzin po ataku na Sejm, siły Weissa brano za rokoszan i zamachowców lub w skrajnych przypadkach za okupantów i najeźdźców.

W granicach Warszawy generał rozdzielił swoją kolumnę, wysyłając część wozów zgodnie z prośbą Langer'a do ochrony mostów. Weiss wykonał to zadanie na piątkę z minusem, dysponując bowiem starym planem miasta, zapomniał o zabezpieczeniu nowo

wybudowanego mostu Siekierkowskiego, który na planie jeszcze nie figurował. Reszta przepraw została jednak solidnie obstawiona i generał śmiało zdążył ku ulicy Wiejskiej. Kwaśną minę na jego obliczu spowodowała drobna niedogodność w postaci kompletnego braku środków łączności. Radiostacje umieszczone w czołgach i pojazdach opancerzonych na ogół nie nadawały się do użytku; zresztą większość i tak nie miała baterii, opylonych przez przedsiębiorczych żołnierzy na czarnym rynku w zamian za kilka skrzynek wyborowej. Pozostały więc jedynie telefony komórkowe, naturalnie będące prywatną własnością oficerów i żołnierzy.

Kolumna przejechała przez most i budząc nie lada sensację, dojechała do ronda de Gaulle'a, na środku którego wznosiła się ogromna sztuczna palma. Pod nią stał radiowóz drogowki, czyli forpoczta stołecznych sił nadkomisarza Wawrzyniaka. Panowie władza, o dziwo szczupli, na widok czołgów jęli wymachiwać lizakami, wskazując kierunek na lewo, w stronę placu Trzech Krzyży. Słowiański Patton skinął im łaskawie ręką, po czym pancerny konwój wykonał zwrot i niezgrabnie pokonawszy rondo, ruszył w stronę Wiejskiej.

Plac Trzech Krzyży wypełniały tłumy gapiów, którzy zbiegli się tam w poszukiwaniu wrażeń. Wśród nich smętnie tkwiły trzy młode pary, biorące akurat ślub w okrągłym kościele Świętego Aleksandra. Zamach stanu wyraźnie popsuł im uroczystość, bo panny młode kwiliły cicho zawiedzione, że uwaga gości w tym jedynym dniu skupiała się na czołgach, a nie na ich bufiastych sukniach.

Generał Weiss nie znosił placu Trzech Krzyży od czasu, gdy dwóch chłopców odmiennej orientacji zapragnęło zawrzeć z nim bliższą znajomość w jednym z kawiarnianych ogródków. Weiss, ubrany wówczas po cywilnemu, z początku był zachwycony otwartością młodzieży i rażno wypijał stawiane mu piwa do czasu, gdy jeden z jego nowych przyjaciół pozwolił sobie wygłosić uwagę na temat generalskiego tyłeczka. Teraz jednak, kiedy zgromadzone tłumy podziwiała wyniosłą postać generała, postanowił w duchu rozgrzeszyć plac za sprawę tyłeczka. Oto bowiem miejsce, które niegdyś przydało mu traumy i depresji, obecnie powitało go z należnym szacunkiem.

Dojechawszy do pomnika Witosa, generał rozkazał zatrzymać czołg i pancerny konwój stanął wzdłuż gmachu Ministerstwa Gospodarki, wywołując olbrzymie zainteresowanie gapiów i równie olbrzymie przerażenie zagranicznych gości z pobliskiego hotelu Sheraton.

Widząc nadbiegający od strony Wiejskiej tabun dziennikarzy, generał poprawił przekrzywiony nieco hełm i wzięwszy się pod boki, przymknął oczy, wyobrażając się już na rozkładówce „Polski Zbrojnej”. Przez chwilę pozwolił się uwiecznić błyskającym aparatem, po czym dostojnie, choć z pewnym trudem zszedł z czołgu i ignorując pytania natarczywych pismaków, ruszył w kierunku Sejmu.

Pułkownik Langer podsumowywał właśnie dokonania najbliższych godzin i sytuacja nie wydała mu się tak do końca tragiczna. Niezastąpiona czwórka grubasów sprawnie zorganizowała w miarę przyzwoite centrum kryzysowe, ściągnąwszy od policji kilka

telefonów bezprzewodowych i faks. Czernicki, upoważniwszy samego siebie, dokonał kontrolowanego włamu do pobliskiego sklepu RTV AGD i zarekwirował kilka telewizorów na baterie, które ustawione na stołach robiły imponujące wrażenie. Kujawa poczynił spustoszenie w okolicznych sklepach spożywczych, zarekwirował także wszystko, co można zjeść i wypić, z pobliskiej kawiarni „Spirit”. Nawiązał również niezwykle dyskretną współpracę z personelem pobliskiej ambasady kanadyjskiej, która udostępniła część własnych zapasów żywnościowych. Ponadto dzięki niemu centrum kryzysowe, oprócz telefonów i telewizji, wzbogaciło się o kilka czajników z kawą i herbatą.

Starszy inspektor Halbert wziął na siebie pobliską służbę zdrowia i zorganizował wraz z doktorem Ornatowskim tymczasowy punkt kryzysowy w szpitalu przy Koszykowej. Doktor, onieśmielony z początku przydzielonymi mu zadaniami, rozkręcił się pod kierunkiem Halberta i w zapale energii postawił również na nogi personel pobliskiego szpitala na Litewskiej, ściągając w bezpośrednie pobliże Sejmu kilkanaście karetek pogotowia. Zainstalował także prowizoryczny szpital polowy w sali gimnastycznej najbliższej podstawówki na rogu Górnośląskiej i Jazdów i zabezpieczył na potrzeby sztabu wszystkie koce oraz pościel, zapewniając tym samym minimum wygody zakładnikom i rujnując zasoby szkolnej drużyny harcerskiej.

Nieco mniej szczęścia miał Gałązka, który idąc ulicą Jazdów, ujrzał po prawej stronie solidny budynek z czerwonej cegły, z wymalowanym nad drzwiami krzyżem i napisem „Ośrodek Zdrowia”. Nie mogąc uwierzyć własnemu szczęściu, wpadł do środka jak burza, przedstawił się jako oficer Sztabu Generalnego i zażądał wszelkiej niezbędnej pomocy w obliczu zagrożenia państwa. Dwóch pełniących dyżur umięśnionych sanitariuszy bardzo uprzejmie wysłuchało jego opowieści o terrorystach w Sejmie, po czym poprosiło go do sali zabiegowej. Tam mimo protestów i szarpaniny zaaplikowano mu podwójną dawkę relanium. Dopiero wówczas pułkownik ostatkiem świadomości ujrzał na papierze firmowym napis: „Zakład Psychiatrycznej Opieki Zdrowotnej”. Zaraz potem zapadł w ciemność, z której wydobył go patrol policji wysłany na poszukiwania przez zaniepokojonego Langerę. Dwóch napakowanych sanitariuszy troskliwie przekazało policjantom otepiałego Gałązkę, przykazując im, by nie narażali pacjenta na zbędny stres i nie wykonywali przy nim gwałtownych ruchów.

Nawet umorusani Gąbczyński i Michalski przydali się na coś. Pierwszy wydobył z magazynów obrony cywilnej dwa agregaty prądotwórcze i rozpoczął żmudny proces koordynacji działań ratownictwa medycznego stawiając na nogi Regionalne Centrum Krwiodawstwa.

Michalski natomiast uniknął proceduralnych utrudnień i ściągnąwszy w okolice Sejmu kilka autobusów, razem z kilkudziesięcioma strażnikami miejskimi rozpoczął dość sprawną ewakuację ludzi z pobliskich kamienic.

Zatem gdy dowódca Pierwszej Brygady Pancерnej, generał Rajmund Weiss, wkroczył

triumfalnie do namiotu sztabowego, telewizory grały, łączność działała sprawnie, a stojące w kącie czajniki wydzielaly przyjemną woń czarnej kawy. Admirał Świrski uczynił nieśmiały krok naprzód, mierząc Weissa wzrokiem charakterystycznym dla kontaktów ludzi morza z ludźmi lądu, łączącym ironię i zaciekawienie. Gruby pokój 240 zignorował przybysza i nadal uwijał się przy zapasach, z wyjątkiem wciąż skołowanego Gałązki, zaś policyjni generałowie usunęli się dyskretnie na bok.

– Witam pana generała. – Langer olał regulaminowe trzaskanie kopytami i wyciągnął ku Weissowi ramiona. – Jakże się cieszę, że jest pan z nami!

Panowie mundurowi padli sobie w ramiona, na co admirał spojrział z niechęcią.

– Obowiązek wobec ojczyzny przede wszystkim – wyrecytował Weiss, dyskretnie rozglądając się za kamerami, które mogłyby uwiecznić jego marmurowe słowa. Kamer nie było, więc generał zmienił płytę i jęknął: – Co się dzieje? Co robimy?

– Musimy zapobiec katastrofie – odezwał się Świrski. – Jako najwyższy obecnie rangą oficer Sił Zbrojnych przyjąłem na siebie tę odpowiedzialność. I liczę, że pan generał mi w tym pomoże.

Weiss przyjrzał się dokładnie niskiej sylwetce szpakowatego matrosa, po czym rzucił:

– Nie zwykłem przyjmować sugestii od oficerów marynarki!

– A ja nie przywykłem do tego, by niżsi stopniem oficerowie mówili do mnie tym tonem!

– Mój ton nie ma nic do rzeczy! Ja dowodzę brygadą i pan pozwoli, że ja będę wydawał rozkazy moim żołnierzom.

– To niesubordynacja – warczał admirał niezadowolony, że ktoś chce odebrać należną mu chwałę. – Stanie pan przed sądem wojskowym!

– Pańskie wymysły nic mnie nie obchodzą...

– Panowie pozwolą – Langer podniósł głos, wchodząc między Pattona i Nelsona – że przedstawię panu generałowi członków sztabu kryzysowego.

Dwaj zaoczni bohaterowie jeszcze przez chwilę krzyżowali wrogie spojrzenia, po czym Weiss dumnie odwrócił się w stronę pozostałych.

– Pana admirała Świrskiego już pan poznał – ciągnął prezentację Langer – pozwoli pan zatem, że przedstawię panów generałów Kopacza, zastępcę szefa policji, i Wawrzyniaka, komendanta stołecznego.

– Czołem – mruknął Weiss ściskając dłonie gliniarzy.

– A oto moi podwładni ze Sztabu Generalnego, panowie pułkownicy Czernicki, Gałązka i Kujawa, pan inspektor Halbert, panowie Gąbczyński i Michalski reprezentujący władze miasta i województwa; wreszcie ojciec Węgielek, proboszcz parafii Świętego Aleksandra, który przybył do nas przed chwilą.

Weiss z wyniosłą miną przyjmował podawane mu prawice, skłonił głowę tylko przed duchowną osobą ojca Węgielka. Pulchna i starannie wygolona twarz duchownego zmiękczyła nieco stwardniałe serce generała, który wstrząsając księżą dłonią rzekł pompatycznie:

– Świadomość, że jest między nami sługa boży, pomoże spełnić ciężki żołnierski obowiązek w tej trudnej chwili.

– O tak, to nadzwyczaj szczęśliwy dar losu – podchwycił admirał, który odnalazł wreszcie jakąś wspólną platformę porozumienia z Weissem.

Ksiądz Węgielek uśmiechnął się dobrodusznie. Sześćdziesięcioletniemu duszpasterzowi nieobce były mundury i broń, jako że młodość spędził w katolickich misjach rozrzuconych po afrykańskich pustkowiach. Później, już w kraju, prowadził posługę kapłańską wśród młodzieży, a jego uwielbienie muzyki klasycznej zaowocowało powstaniem chóru chłopięcego przy archidiecezji warszawskiej. Odkąd jednak prowadzenie chórów chłopięcych stało się w Polsce ryzykownym zajęciem, ksiądz Węgielek objął parafię Świętego Aleksandra, w której wiódł spokojny żywot. Aż do dziś.

– Modłę się, by umysły i serca nasze sprostały tej niezwyklej chwili – rzekł – i ufam, że w godzinie próby podołamy naszym obowiązkom.

Duchowny nakreślił prawicą znak krzyża, po czym wycofał się w kąt namiotu, szepcząc bezgłośnie modlitwę.

– Pan generał Wawrzyniak – Langer przerwał uroczystą ciszę i wskazał Weissowi grubego policmajstra – jako szef policji stołecznej zaalarmował jednostkę antyterrorystyczną. Powinna tu być lada chwila. Po przybyciu oddziału wysłuchamy opinii jego dowódcy i towarzyszącego im psychologa.

– Co tam psychologia! – zawołał Weiss. – Zaatakuję terrorystów moją brygadą i rozjadę czołgami ich dymiące ścierwa!

– Nikogo pan generał nie zaatakujecie! – Langer łagodził sytuację, widząc zgorszony wzrok proboszcza. – Nie możemy pozwolić sobie na ryzyko śmierci choćby jednego zakładnika.

– Nie ma się co cackać. – Nadwiślański Patton pokręcił rybią głową, na czubku której wciąż tkwił hełm. – Moi chłopcy zamienią tych bandytów w kupę poskręcanych flaków!

Reszta członków sztabu z politowaniem słuchała obrazowych generalskich epitetów, dochodząc do wniosku, że hełm generała i jego mózg prezentują podobny poziom intelektualny.

– Pan sobie nie zdaje sprawy, że w środku znajduje się prezydent, premier, ministrowie i generalicja – zawołał Świrski, pukając się w czoło.

– I co z tego? – zdziwił się Weiss. – Przecież nie będziemy do nich strzelać!

– A nie przyszło panu na myśl, że jeśli wjedzie pan tam swoim czołgiem, to połowę zakładników zmieni pan w tę, jak pan to określił, kupę mięsa?

– Ścierwa – poprawił Weiss – kupę ścierwa! Pan nie docenia wyszkolenia moich żołnierzy! Trafia wszędzie z zamkniętymi oczami!

W tym samym momencie płachta namiotu uniosła się, ukazując obszerną sylwetkę podoficera dyżurnego kompanii zaopatrzenia, starszego szeregowego Pluty.

– Przepraszam – zapytał uprzejmie szeregowy – gdzie tu jest ubikacja?



\* \* \*

Starszy posterunkowy Wiśniak i sierżant sztabowy Kluczyk – dwóch młodych funkcjonariuszy Kompanii Antyterrorystycznej Komendy Stołecznej Policji – stało właśnie na bramce dyskoteki „Minotaur” i tłumaczyło pewnemu skośnookiemu kurdupłowi, że paszport siostry to za mało, żeby wejść do środka, gdy nagle trzy metry od nich z piskiem zahamował policyjny polonez. Widok radiowozu przed „Minotaurem” nie stanowił żadnego ewenementu, jednak obaj przewencyjni bramkarze skulili się nagle i schowali za winkiem. Niewiele im to pomogło, pomogło za to skośnookiemu, który korzystając z zamieszania wśliznął się niepostrzeżenie do środka.

– Wiśniak, Kluczyk, do wozu! – wrzasnął kierowca poloneza. – Widzę was, wyłazić z za rogu!

Obaj gliniarze nieśmiało wyszli na ulicę i wskazując na kolejkę młodych imprezowiczów, jęknęli jednocześnie:

– No, ale robota czeka...

W odpowiedzi z wnętrza radiowozu wydobyła się krótka, ale soczysta seria bluzgów. Obaj sterydziarze posłusznie wsiedli do środka. Podobne sceny rozegrały się tego wieczoru przed warszawskimi klubami „Estrada”, „Death”, „Queens”, „Subway”, „Strefa”, „Dance&Money”, „Sky One” i „Artykuł”, które w krótkim czasie straciły ochronę, ku wyraźnej uciechu sobotnich imprezowiczów. Menedżerowie dyskotek z przerażeniem patrzyli na niepowstrzymaną falę klienteli, która tego wieczoru bezapelacyjnie panować miała w lokalach.

Fatalne humory posterunkowego Wiśniaka i sierżanta sztabowego Kluczyka udzieliły się wszystkim gliniarzom, siłą wyciągniętym z ciepłych bramek, gdzie dorabiali sobie do nędznych pensji. Zgarnięci do radiowozów, spodziewali się surowych kar za nielegalne dodatkowe zajęcia, wyraźnie zabronione przez wierchuszkę.

Dotarłszy do Pałacu Mostowskich Kluczyk i Wiśniak ze zdziwieniem skonstatowali, że zamiast stanąć przed surowym obliczem odszczepieńców z Wydziału Kontroli Wewnętrznej, znaleźli się w magazynie broni.

– Ruszać dupy, bando tajlandzkich dziwek! – zachęcał podwładnych do wysiłku komendant oddziału antyterrorystycznego, podinspektor Balas. – Bieg, ruch, dialektyka!!!

– Wolniej, do końskiej pizdy! – wtórował mu niższy o głowę zastępca, nadkomisarz Deja. – Wolniej! Może jeszcze zaproszenie wam wysłać!

Wrzaski na pałacowym dziedzińcu wzmogły ogólny zamęt i niemal doprowadziły do hysterii nieszczęsnych antyterrorystów, wyrwanych z przytulnych klubów nocnych. Większość z nich zrzucała naprędce imprezowe ciuchy i wdziewała czarne mundury oraz oporządzenie. Radiowozy krążące po dyskotekach przywoziły wciąż nowych

funkcjonariuszy, którzy zainspirowani okrzykami Balasa i Dei, lecieli na łeb, na szyję do magazynu broni.

Kilka policyjnych furgonetek grzało silniki produkując kłęby pary, które stanowiły w tej scenerii ciekawy element choreograficzny. Wśród falujących białych oparów wściekły Balas upychał podwładnych w samochodach, wyładowując wściekłość w niesłabnącym wrzasku. Jego ludzie złamali bowiem wszystkie możliwe regulaminy – większość najzwyczajniej w świecie balowała na imprezach, zaś pluton alarmowy, który miał stanowić siły pierwszego rzutu, rozlał się po mieście lub w najlepszym razie spał smacznie w służbowych łózkach.

Konwój ruszył wreszcie przy akompaniamencie syren, forsując plac Bankowy i waląc na sygnale Marszałkowską w stronę placu Trzech Krzyży. Plac jednak, zablokowany przez czołgi Weissa i zapchany do granic możliwości przez tłumy gapiów, okazał się nieprzejezdny. Podinspektor Balas na ten widok dostał białej gorączki i poważnie nadwerżył swoją wielgachną łapą sufit furgonetki. W końcu wyskoczył na zewnątrz i wrzasnął:

– Wsiadać! Za mną biegiem marsz!

Cywilbanda rozstąpiła się w niemym zachwycie przed czarnymi zjawami, zaś szweje siedzący na czołgach podziwiali broń i oporządzenie policjantów, które porównywali niechętnie z własnymi parcianymi pasami i zdartymi mundurami. Antyterrorysty uformowali prowizoryczną kolumnę trójkową i podążyli truchtem za swoim szefem, roztrącając gapiów i cudzoziemskich gości hotelu Sheraton, którzy – unosząc dobytek – umykali przerażeni z hotelu, gdzie pieprz rośnie.

Gromada odzianych na czarno policjantów sprawnie przemierzyła zaśnieżoną ulicę Wiejską i dotarła do policyjnej zapory. Inspektor Koziółek, machając łapami, skierował ich na tyły w uliczkę Matejki. Podinspektor Balas i nadkomisarz Deja natomiast zostali zaproszeni do sztabowego namiotu, gdzie zastali generała, admirała, pułkownika, dwóch kontrastujących ze sobą nadinspektorów, czterech grubasów, jednego księdza i trzy dymiące czajniki.

Balas błyskawicznie zorientował się w sytuacji i na wszelki wypadek zameldował się grubemu Wawrzyniakowi, ku oczywistemu niezadowoleniu Kopacza. Wawrzyniak przyjął meldunek i równie dzielnie zniósł uścisk żelaznej dłoni Balasa. Podinspektor bez słowa podszedł do stołu, jednym rzutem oka zlustrował niewprawne szkice i zapytał:

– Czy któryś z panów mógłby zreferować obecną sytuację?

Referentów, tak jak cymbalistów w *Panu Tadeuszu*, było wielu, ale żaden z nich nie śmiał gadać przy Langerze. Pułkownik po raz kolejny objaśnił sytuację, wazeliniarsko uwypuklając zasługi wszystkich obecnych i pomijając własne, co wywołało łaskawe uśmiechy na mundurowych gębach. Balas z Deją słuchali w skupieniu.

– Pozwolę sobie zauważyć – zadudnił Wawrzyniak, gdy pułkownik skończył referat – że liczba zakładników i ich ranga uniemożliwia w praktyce akcję zbrojną!

– Dlatego też chcemy poznać zdanie panów komandosów na temat ewentualnych działań bojowych – dodał Langer. – Musimy brać pod uwagę takie rozwiązanie.

– Naturalnie, że musimy – potwierdził Balas. – Należy przygotować kilka wariantów planu na wypadek, gdyby terroryści zaczęli likwidować zakładników. Czy podali już swoje żądania? Pieniądze? Uwolnienie kumpli z pudła? Okup?

– Rzeczpospolita – rzekł sucho pułkownik.

– Co proszę?

– Z grubsza rzecz biorąc, panie inspektorze, żądają całego państwa.

Informacja ta stanowiła dla podinspektora Balasa pewne *novum* – w jego dotychczasowej karierze porywacze żądali zwykle pieniędzy i helikoptera, względnie sugerowali uwolnienie z więzienia swych kolegów. Jednak żadna grupa zbrojna nie żądała nigdy całego państwa.

– Przepraszam, ale nie rozumiem.

– To proste, mój drogi inspektorze – zahuczał Halbert. – Mamy do czynienia z klasycznym zamachem stanu.

O zamachach stanu podinspektor Balas również nie wiedział za wiele. Wniosek, który jako pierwszy objawił się pod jego starannie wygoloną czaszką, był taki, że działania nieprzyjaciela wyłamują się ze znanych standardów terroryzmu. Należało zatem przedsięwziąć niekonwencjonalne przeciwdziałania – brzmiał wniosek numer dwa. Jakie przeciwdziałania? Podinspektor Balas nie miał zielonego pojęcia i tym wnioskiem numer trzy zakończył proces myślowy.

– Należy zwodzić terrorystów i udawać, że zgadzamy się na ich warunki – oświadczył, żeby podtrzymać jakoś swój gasnący autorytet. – Ja tymczasem dokonam lustracji terenu i rozmieszczę swoich snajperów. Później przystąpię do opracowywania szczegółowego planu odbicia zakładników i przedstawię do aprobaty dowódcy akcji. Który z panów dowodzi całością operacji?

Kopacz chrząknął, Świrski wyprężył się, Wawrzyniak wziął głęboki oddech, a Weiss zmarszczył ziemistą facjatę. Balas, nie wiedząc o tym, poruszył niezwykle czuły punkt, więc Langer wyprzedzając nieuchronną burzę, wypalił:

– Zdecydowaliśmy wspólnie, że z uwagi na nadzwyczajne okoliczności operacją dowodzić będzie nasz zespół.

Balas wraz z Deją rozdziawili gęby, słysząc tak niezwykle rozwiązanie kwestii kompetencji. Opanowali się jednak szybko, bo ów tajemniczy „zamach stanu”, o którym usłyszeli, zdawał się usprawiedliwiać wszystko. Wygolony szef komandosów zapytał tylko:

– Czy panowie rozmawiali już z nieprzyjacielem na temat ewentualnej dostawy żywności i wody?

– Jeszcze nie – odparł Langer. – Na razie nawiązaliśmy tylko ogólny kontakt. Ale w miarę możliwości zabezpieczyliśmy już tyle żarcia, ile zdołaliśmy zebrać.

Panowie komandos popatrzyli na siebie, mieląc w mózgownicach otrzymane informacje. Ponieważ nie mieli już nic do dodania, złożyli sztywne ukłony i wyszli rozejrzeć się w terenie.

Bezksiężycowa czarna noc zapadła nad Warszawą. Noc, która nie miała nikomu przynieść wytchnienia i odpoczynku. Noc budząca strach, ale i nadzieję.

## Rozdział 8

W zapchanej do granic możliwości sali plenarnej panował zaduch i z minuty na minutę ubywało tlenu. Leżący pokotem zakładnicy oddychali z trudem, rozbudzając się po najkoszmarniejszej nocy w swoim życiu, zdrewniali, apatyczni, zobojętniali na wszystko. Na trybunie powyżej stanowiska stenotypistek stał Feri i pieszczotliwie głaszcząc przewieszony przez pierś karabin, przemawiał do tłumu ku wyraźnej uciesze swych kolegów, rozstawionych między zakładnikami.

– Ojczyzna rękami swoich najlepszych synów postanowiła nauczyć was rozumu, bando darmozjadów! Ojczyznę, którą wy znacie jedynie z lektur szkolnych, jeśli w ogóle umiecie czytać, my wielbimy nade wszystko i nie pozwolimy, by dalej gwałciły ją wasze spocone, oślizłe i przeżarte rdzą korupcji cielska. Ach, z jaką rozkoszą stłukłbym po kolei te wasze zakazane ryje! Nie ma dziś marszałka z Sulejówka, który rozpędziłby was na cztery wiatry, więc my podjęliśmy jego majowe zadanie! Mamy co prawda zimę, a nie maj, ale musicie nam darować tę gafę!

Chłopaki z sekcji Feriego zarechotali złowieszczo, jakby od niechcenia bawiąc się zamkami kałachów, sam Feri zaś z trudem opanował drżenie kolan. Odwaga nigdy nie była jego mocną stroną, lecz dla Zaniego ten jajogłowy kujon stanowił ogromne wsparcie. To właśnie Feri przekonał komendanta do konieczności prawnego zalegalizowania przewrotu. On też nakreślił ramy przyszłej konstytucji. Zepchnięty do roli profesorskiego asystenta w zakurzonej archiwum, dzięki Zaniemu rozwinął skrzydła. I chodził za nim jak pies, nie kryjąc swego podziwu i uwielbienia dla człowieka, który jego pracę i przemyślenia wdrażał w życie z taką bezwzględnością.

Zani słuchał słów Feriego, oparty o framugę drzwi wejściowych. Pozwolił sobie na chwilę wytchnienia, bo Feri jako główny ideolog grupy w praktyce wyręczył swego komendanta. Zani ruszył wolnym krokiem w stronę trybuny, z pomocą Feriego wlaź na stół i uściśnął mu dłoń, żeby zgromadzeni widzieli, że podziela zdanie prelegenta.

– Niestety musicie się państwo uzbroić w cierpliwość – rzekł donośnie, zakładając ręce za siebie i stając w rozkroku. – Już wkrótce zwolnimy część z was...

Szmer ulgi rozległ się w sali, na twarze pokryte pudrem i zaschniętymi łzami wstąpiła nadzieja.

– Tę część – kontynuował Zani – która nie sprawuje funkcji publicznych. Dotyczy to przede wszystkim małżonek. Posłowie, senatorowie, członkowie rządu i reszta „elyty” niestety muszą pozostać naszymi... gośćmi.

Zani udał, że nie słyszy jęku zawodu, i przeszedł do trybuny rządowej, gdzie między premiera a ministrów upchnięto również dwóch struchlałych prezydentów.

– Panie marszałku – zwrócił się do Grodzickiego – zechce pan łaskawie, jako były gospodarz tego interesu, poprosić obu panów prezydentów, premiera, ministrów i Konwent Seniorów, żeby zechcieli udać się ze mną.

Rząd wymienił między sobą przerażone spojrzenia, lecz Grodzicki z flegmatycznym spokojem zaczął prosić swych kolegów o powstanie z miejsc. Niepewni swego losu, bladzi i drżący, skierowali się powoli ku wyjściu, otoczeni przez obu Ortalionów, Artiego, Cichego i Martinezę, odprowadzani wzrokiem posłów i senatorów zalegających na podłodze. Prezydenckie małżonki odprowadzały zaś mężów politycznie poprawnym szlochem, przy czym pani Rozwadowska szlochała znacznie powściągliwiej niż pani Starynkiewiczowa.

Eskortowani ministrowie zbili się w ciasną kupę razem z wywołanymi z sali członkami Konwentu Seniorów. Oddychali głęboko, bo powietrze w sejmowych kuluarach było czyste i orzeźwiające. Ponure miny eskorty nie pozwoliły im jednak odzyskać spokoju. Niektórym przez mózgi przebiegła nawet myśl, że uzbrojeni terroryści prowadzą ich na egzekucję.

– Zechce pan, panie marszałku – odezwał się Zani, a korytarz zwielokrotnił jego głos – wskazać nam jakąś przytulną salę, gdzie będziemy mogli porozmawiać.

Zgromadzeni luminarze odetchnęli z wyraźną ulgą, słysząc, że zamiast pod mur, prowadzi się ich na rozmowę, i to do przytulnej sali. Grodzicki swoim zwyczajem złapał się za kłapy marynarki i nadymając poliki niczym gigantyczny chomik, sapnął:

– Proponuję Salę Konstytucji 3 Maja na pierwszym piętrze.

Zani skinął głową i towarzystwo ruszyło za marszałkiem po schodach, a potem zagłębiło się w czelusć sejmowego korytarza. Grodzicki przystanął przed dębowymi odrzwiami, nad którymi mosiężne litery układały się w napis: „Sala Konstytucji 3 Maja”. Szarpnął za klamkę. Drzwi były zamknięte, lecz Feri dysponował uniwersalnym kluczem kaliber 7,62 mm i za jego pomocą wywalił sporą dziurę w eleganckim zamku. Zani kopnął drzwi i przedzierając się przez obłok dymu prochowego, wszedł do środka.

Sala urządzona była skromnie, niemal ascetycznie, co kontrastowało nieco z powszechnymi opiniami na temat warunków pracy posłów. Zaokrąglony na krawędziach stół otaczało kilkadziesiąt krzeseł. Naprzeciwko drzwi stał skórzany fotel. Zani od razu go zajął, po czym skinął łaskawie na stojących w progu ministrów, pozwalając im zasiąść wokół stołu. Ortalionowie stanęli przy drzwiach, Feri, Arti, Cichy i Martinez usiedli obok komendanta.

Panowie ministrowie i Konwent, umościwszy się na krzesłach, zaczęli nerwowo łypać na siebie i na swoich prześladowców. Premier Tkaczyk, nieduży tak wzrostem, jak i duchem, zerkał ukradkiem na członków swego gabinetu, szukając wsparcia w smętnych twarzach

ministrów. Minister obrony Gryficki i minister spraw wewnętrznych Darowicz, bladzi i przygnębieni, siedzieli ze wzrokiem wbitym w stół, żeby nie patrzeć kolegom w oczy. Gryficki teraz dopiero przypomniał sobie raport, który jego sekretarz próbował mu wręczyć przed wyjazdem na uroczystość, a który dotyczył jakiegoś napadu na szkołę wojskową. Gryficki chciał nawet rzucić okiem na ten papier, ale jego żona nie mogła poradzić sobie z zapięciem sukni i minister odesłał sekretarza, każąc mu przyjść później. Dopiero teraz obolała głowa ministra połączyła dwa fakty w jedną straszną całość. Darowicz raportu co prawda nie dostał, ale oczami wyobraźni widział już dobrze, na kogo spadnie cała odpowiedzialność za ostatnie wypadki. Minister Rolnictwa Janas i Minister Łączności Torbicki z zainteresowaniem oglądali własne paznokcie, a szef resortu finansów, otyły minister Korczak, kiwał się lekko w fotelu, zdradzając objawy choroby sieroczej. Reszta rządu, również prezentująca się nie najlepiej, popatrywała spode łba na siebie i na tworzących Konwent przewodniczących klubów parlamentarnych. Ci także zdradzali objawy nerwowości, a przebijał wszystkich wymoczkowaty poseł Dereń, szef Ludowego Stronnictwa Narodowego, śmiertelnie błądy i zalany łzami, jakby właśnie usłyszał wyrok skazujący.

Zani przez chwilę napawał się przerażonymi minami ludzi, którzy jeszcze parę godzin temu rządili krajem, a teraz nie potrafili kontrolować nawet własnych odruchów. W najśmielszych marzeniach nie spodziewał się; że będzie trzymał w garści wszystkich bez wyjątku włodarzy Rzeczypospolitej.

Odetchnął głęboko i kiwnął głową do Feriego. Ten z papierowej teczki wyjął pokaźny zbindowany wolumin, otworzył go i zaczął czytać:

– Konstytucja Rzeczypospolitej Polskiej. Artykuł pierwszy: Rzeczpospolita Polska jest republiką demokratyczną, państwem prawa i porządku publicznego. Artykuł drugi: Władza zwierzchnia w Rzeczypospolitej Polskiej należy do narodu...

Obaj prezydenci, ministrowie i Konwent spojrzeli na Zaniego i Feriego ze szczerym zdumieniem. Spodziewali się po tych uzbrojonych po zęby terrorystach najstrasniejszych rzeczy, gdy tymczasem ubrani w polowe mundury młodzieńcy urządzili im kurs prawa konstytucyjnego. Zgromadzeni w salce politykierzy naturalnie konstytucji nie czytali, bo od jej interpretacji mieli asystentów, sekretarzy i prawników. Owszem, słowo „konstytucja” przewijało się tu i ówdzie w ich życiu politycznym, ale głównie w przemówieniach pisanych dla nich przez specjalistów lub w odpowiedziach na dociekliwe pytania dziennikarzy, gdy brakowało konkretnych argumentów.

Zani w lot rozszyfrował zbaraniałe miny siedzącej przed nim elity i trącił Feriego w ramię. Ten, lekko urażony, przerwał czytanie i spojrział dookoła. I jemu widocznie facjaty panów posłów udzieliły odpowiedzi, bo ze złością zamknął wolumin.

– Panowie pozwolą, że szkolnym wzorem zamiast lektury przedstawię wam streszczenie – odezwał się Zani, przysuwając do siebie papiery. – Niniejszy projekt konstytucji zakłada przekształcenie Polski w republikę prezydencką. A zatem, moi panowie, od początku.

Preambuły nie ma, bo na ten stek frazesów szkoda czasu i nerwów. Pierdoły o wspólnym dobru wszystkich obywateli, o władzy narodu i sprawiedliwości społecznej również pominięto... Im mniej ogólników, tym lepiej. Urząd premiera zostaje niniejszym zniesiony. Na czele gabinetu stanie prezydent...

– Czy mam rozumieć... – włączył się Grodzicki.

– Masz słuchać – wyłączył Grodzickiego Zani i kontynuował nieco głośniejszym głosem:

– A zatem, jak powiedziałem, na czele rządu stanie prezydent Rzeczypospolitej, wybierany na podobnych zasadach jak dziś. Różnica dotyczyć będzie liczby zebranych pod wnioskiem podpisów: zamiast dotychczasowych stu tysięcy wprowadzimy pięćset tysięcy. Pół miliona obywateli dopilnuje, żeby w wyborach nie startowali religijni fanatycy ani producenci butów. Instytucja referendum pozostaje wyłączną domeną prezydencką, zarządzaną wedle jego woli w dowolnym czasie. Wolności i prawa obywatelskie, w tym wolność słowa, demonstracji i zrzeszania się, pozostają bez zmian.

Elita poselska zgromadzona wokół stołu słuchała w milczeniu. Grodzicki, choć urażony zakazem dyskusji, jako jedyny sporządzał notatki na kawałku serwetki.

– Kompetencje parlamentu zostają maksymalnie ograniczone. Dostyc sejmokracji i wybierania kryminalistów na poselskie stołki. Liczba posłów ograniczona zostaje do dwustu, a i to w sumie za dużo. Wybierani będą systemem większościowym, a kraj podzielony będzie na dwieście okręgów wyborczych. Dotychczasowa praktyka wyborów proporcjonalnych wypaczyła ustrój w naszym kraju, zmuszając partie do szukania dziwnych koalicjantów i paraliżując proces decyzyjny. Kadencja Sejmu trwać będzie, tak jak dotychczas, cztery lata, lecz co dwa lata wymieniana będzie połowa członków izby. W celu wiernego oddania preferencji wyborczych wprowadza się przymus wyborczy. Uznajemy jednocześnie konieczność istnienia Senatu, lecz w całkowicie zmienionej formule. Jego kadencja będzie niezależna od kadencji Sejmu i trwać będzie lat sześć. Senatorowie w liczbie sześćdziesięciu sześciu nie będą pochodzić z wyborów powszechnych, tylko z mianowania, co uniezależni izbę od rozgrywek politycznych. Jedna trzecia senatorów mianowana będzie przez prezydenta wedle jego uznania, jedna trzecia przez środowiska twórcze, kulturalne i artystyczne, reszta zaś przez senaty najważniejszych uczelni wyższych. Nada to izbie wyższej ponadpartyjny charakter i uwolni od Politykierstwa. Parlament zachowuje część uprawnień kontrolnych i ceremonialnych i na tym kończy się jego rola. Immunitet poselski i senatorski ulega ograniczeniu do spraw publicznych i nie obejmuje oskarżenia o przestępstwa kryminalne.

Ustęp o immunitecie wywołał ledwie słyszalny pomruk, szczególnie wśród posłów z Konwentu Seniorów, którzy zdawali sobie sprawę, że gdyby tę zasadę wprowadzono wcześniej, w ich klubach najpewniej nikt by się nie ostał.

– Dodatkowo – Zani bezlitośnie gnębił parlament – uposażenie posła nie przekroczy dwóch średnich pensji krajowych.

Pomruk immunitetowy okazał się niczym w porównaniu z jękiem zawodu na wieść o



obcięciu pensji. Na twarzach panów posłów malowała się troska o przyszłość ich rodzin. Jedynie przewodniczący Partii Rodzin Katolickich, poseł Wytrych, uśmiechnął się drwiąco i pokręcił lekko głową. Uśmiechnął się po raz ostatni tego dnia, bo sekundę później leżał na ziemi z trzema zębami wybitymi ciosem Feriego, który trzasnął Wytrycha kolbą karabinu. Na sali podniósł się zgielk, lecz rozpalone emocje ostudził szcęk zamków w kałasznikowach obu Ortalionów. Poseł Świtalski, przewodniczący Partii Liberalnej, nie bacząc na nic troskliwie podniósł półprzytomnego, drżącego Wytrycha i przytknął mu do krwawiących obficie ust dobytą z kieszeni flanelową chusteczkę.

– W kwestii władzy sądowniczej – ciągnął Zani, odsuwając konstytucję od Wytrycha, żeby poseł nie zaplamiał papierów – rozdziela się funkcję ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego. Tym samym uzyskamy rzeczywistą niezależność władz ustawodawczej i sądowniczej i nie będziemy tolerować mianowania prokuratorów z politycznego nadania. Trybunał Stanu i Trybunał Konstytucyjny ulegają rozwiązaniu, a ich kompetencje przejmie Sąd Najwyższy. Jego członków mianować się będzie dożywotnio.

– Zmianie ulegają stosunki państwa z kościołem katolickim. Konkordat z Watykanem z dniem wprowadzenia niniejszej konstytucji zostaje uznany za nieważny. Wprowadza się bezwzględną zasadę świeckości szkolnictwa państwowego i lekcje religii w szkołach oraz wszelkie oznaki kultu religijnego w budynkach użyteczności publicznej zostają zniesione. Czas oprzeć się na wzorach francuskich, moi panowie. Likwiduje się Ordynariat Polowy Wojska Polskiego, a księża kapelani przechodzą na utrzymanie Kościoła i nie pobierają żadnych uposażeń z budżetu obronnego.

Zani zauważył, że ustępy poświęcone religii zyskały aprobatę niektórych posłów, z wyjątkiem Wytrycha, u którego wiadomość o zerwaniu konkordatu nasiliła krwawienie.

– W kwestii ustroju administracyjnego państwa – mówił dalej Zani – zbędne i kosztochłonne powiaty ulegają natychmiastowej likwidacji. Dotychczasowy podział administracyjny zostaje zniesiony, a kraj podzielony zostanie na dwadzieścia do dwudziestu pięciu województw z jedną stolicą. Spowoduje to ożywienie byłych stolic wojewódzkich, które wy zepchnęliście w ekonomiczny niebyt i zamieniliście w wylęgarnię bezrobocia. Trzystopniowy podział administracyjny zostanie jednak zachowany i kraj podzielony będzie na cztery makroregiony o nazwach: Mazuria, Pomerania, Silesia i Carpatia. Makroregiony będą godnym partnerem do pozyskiwania europejskich środków oraz inspiratorem i koordynatorem rozwoju lokalnego. Nowo powstałym jednostkom administracyjnym zapewni się stabilność finansową i jasno określone kompetencje.

– W kwestii prawodawstwa nie opowiadamy się za karą śmierci... Jest nieskuteczna. Konstytucja wprowadza jednak bezwzględne i nadrzędne prawo do obrony własnej wszelkimi dostępnymi środkami. Obywatel zyskuje możliwość nawet pozbawienia bandyty życia w celu odparcia zamachu na swoje życie, zdrowie lub mienie. W takim przypadku nie dochodzi do procesu sądowego. Przestępca, wszystko jedno, czy kieszonkowiec, czy seryjny morderca, z

chwilą ataku traci wszelkie prawa.

– Obecność Polski w NATO i Unii Europejskiej nie podlega dyskusji, choć niektóre szczegóły wymagają renegocjacji i uporządkowania. Nowa konstytucja przewiduje referendum narodowe za każdym razem, gdy zaistnieje konieczność użycia Wojska Polskiego za granicą. Co do unijnego traktatu akcesyjnego, zostanie on zmodyfikowany w celu wzmocnienia pozycji Polski. Obowiązkowa składka ubezpieczenia zdrowotnego zostaje zniesiona. W zamian wprowadzone zostaną gwarantowane przez skarb państwa dobrowolne ubezpieczenia społeczne. Administracja państwowa przekształcona zostanie na wzór francuski i tworzyć będzie oddzielny korpus ze ściśle określonymi, przejrzystymi zasadami naboru i awansu urzędników. Dodatkowo wprowadzi się kadencyjność etatów urzędniczych wszystkich szczebli, co zapobiegnie wymienianiu kadr po wyborach.

Zani zakończył swoje wystąpienie efektowną pauzą. Ministrowie i Konwent siedzieli w absolutnym milczeniu. Przez chwilę w Sali Konstytucji 3 Maja dało się słyszeć tylko skrobanie ołówka Grodzickiego i ciche jęki Wytrycha.

– To tyle, panowie, w ogólnym zarysie. Mamy jeszcze cały szereg innych uwag, ale nie chcemy zamećać waszych przepracowanych mózgownic. I ten właśnie projekt konstytucji panowie przyjmiecie.

Elita spojrzała na Zaniego szeroko otwartymi oczami, lecz milczenia nie przerwała. Uczynił to dopiero marszałek Grodzicki, który posiłkując się notatkami, rzekł nieśmiało:

– Pozwolę sobie zauważyć, że do przyjęcia nowej konstytucji niezbędna jest zgoda dwóch trzecich Zgromadzenia Narodowego.

– A jak myślisz, po co was tu trzymamy? – uśmiechnął się szeroko Feri.

– Nie możemy przyjąć konstytucji pod groźbą siły.

– Jeśli ci każe, to przyjmiesz nawet poród, obywatelu marszałku – wycedził Zani, a jego kumple zarechotali.

– Ale...

– Nieważne, w jaki sposób zostanie przyjęta – oświadczył Zani – ważne, że jest słuszna i uzyska poparcie narodu. Gdy Polacy zorientują się, że chcemy rozpędzić waszą politykierską sitwę na cztery wiatry, poprą nas. I kto wtedy będzie pamiętał, że konstytucję przyjęło pięćuset trzęsących się baranów? No, kto?

Posłowie umilkli zakłopotani. Większość z nich zdawała sobie sprawę, że słowa umundurowanego młodzieńca są jak najbardziej prawdziwe. To po jego stronie stać będzie opinia publiczna, to on zyska sympatię społeczeństwa znużonego brakiem perspektyw i obniżającym się poziomem życia. Od dawna mówiło się o potrzebie radykalnego działania, od dawna ludzie przychodzący na wyborcze spotkania wytykali politykom bezsilność i lenistwo, żądali zmian. Teraz, gdy rzekomi terroryści okazali się patriotami, przed poselskimi oczyma stanęła wizja zagłady ich uprzywilejowanej klasy. Ulgi, służbowe samochody, Nielimitowane rozmowy telefoniczne, fundusze reprezentacyjne, darmowa opieka medyczna,

diety, zagraniczne pseudoszkolenia na Karaibach... To wszystko miało teraz zniknąć?

– Skoro wszystko już jasne – Zani zgarnął papiery i wstał – zostaną panowie w tej sali do czasu, aż ich zawołam. Panowie Ortalionowie i kolega Martinez będą wam towarzyszyć.

\* \* \*

Komendant wstał i wyszedł z Sali Konstytucji 3 Maja, obstawiany przez Cichego i Artiego. Trójka skierowała się do sali plenarnej, która przypominała teraz olbrzymią i zatłoczoną saunę. Zani ponownie wlaź na sejmową trybunę i przemówił donośnie:

– Proszę o uwagę! Przedstawiciele międzynarodowego korpusu dyplomatycznego opuszczają teraz salę.

Wśród dyplomatów powstało poruszenie. Niepewnie podnosili się z miejsc, wymieniając pytające spojrzenia. Jednak ponaglani lufami kałasznikowów, sprawnie uformowali zwarty oddziałek i wyszli pod eskortą zamachowców.

– Uwaga! – ciągnął Zani. – Wszystkie małżonki, przebywające tu w charakterze osób towarzyszących i nie pełniące żadnych funkcji publicznych, proszone są o powstanie. Nie dotyczy to w żadnym wypadku pań posłanek, które niestety muszą zostać na sali.

Po słowach Zaniego sala wypełniła się pełną gamą spazmów, płaczów i szlochów. Z grubsza biorąc, połowa dam zadeklarowała, że za nic nie opuści swoich mężów. Druga połowa gremialnie powstawała ze swych miejsc, prezentując wymięte i przepocone kreacje oraz zrujnowane makijaże i fryzury. Tu i ówdzie przebijał stonowany głos małżonka deklarujący, że „wszystko będzie dobrze”, lecz u zdecydowanej większości przeważały teatralne gesty i pozy, jakich nie powstydziliby się sama Sarah Bernhardt. Zani odczekał kilka minut, po czym skinął na Bibiego zasiadającego w przerobionej na stanowisko karabinu maszynowego łoży prezydenckiej, który wygarnął serię pocisków w sufit. Rozchlipane towarzystwo przysiadło na moment, przerażone i osłupiałe, ale terapia wstrząsowa podziałała i damy zaczęły przepychać się w stronę środkowego wyjścia z sali sejmowej. Tam z właściwą sobie kurtuazją przejął je Feri i jego pięcioosobowa sekcja, prosząc, by panie zechciały przejść do pobliskiej Sali Kolumnowej.

Zani pilnie obserwował operację „Żona” przewidując, że rozdzielenie elitarnych gołąbeczków nastreczy wiele problemów i obfitować będzie w dramatyczne sceny. Ku wyraźnej uldze komendanta prócz kilku utarczek i mniej lub bardziej udawanych omdleń szanowne panie szybko i sprawnie opuściły swych mężów, dając im wiele do myślenia. Wzrok Zaniego zatrzymał się na przedniej ławie sejmowej, gdzie zasiadał znany mu młody sekretarz oraz rozhisteryzowana ruda panna Renatka. Widząc ich, Zani zszedł ze sceny na widownię i zwrócił się do zapłakanej panienki:

– Zechce pani przejść do kuluarów razem z resztą pań. Ciebie natomiast, drogi kolego, zatrzymam tu sobie w charakterze łącznika.

O ile pannie Renatce nie trzeba było dwa razy powtarzać, o tyle wyraźnie niezadowolony z przydzielonej mu funkcji Tomasz zmarszczył się i zapytał:

– Łącznika?

– Tak, łącznika – potwierdził Zani. – Wyglądasz mi na takiego, co orientuje się w tutejszych stosunkach. Przyda mi się ktoś z głową na karku.

Ostatnie słowa Zaniego mile połechnęły próżność Tomasza. Niedoceniony przez swoich przełożonych, poczuł sympatię do człowieka, który wreszcie poznał się na jego talentach. Ukłonił się więc grzecznie i zdążył jeszcze rzucić pełne politowania spojrzenie pannie Renatce, która niemiłosiernie waląc obcasami wybiegła za poselskimi małżonkami na sejmowy korytarz.

Za paniami podążała grupa około pięćdziesięciu zagranicznych dyplomatów, przezornie zachowując stosowny dystans.

Feri i jego ludzie poprowadzili zapłakaną gromadę do Sali Kolumnowej, znajdującej się na lewo od głównego wejścia do sejmowego holu. Stukot szpilek i pantofelków natychmiast wypełnił sejmowe korytarze. Feri dotarł do Sali Kolumnowej, rozsunął bogato zdobione odrzwia i wpuścił różnokolorową hałastrę do środka. Małżonki stanęły półkołem wokół ustawionych w podkowę stołów, ze strachem wpatrując się w uzbrojonych ludzi. Dyplomaci dyskretnie trzymali się z boku.

– Proszę pań, proszę o uwagę – odezwał się Feri tonem przewodnika, pokazującego wycieczce interesujące wnętrze. – Proszę, żeby panie przygotowały dowody tożsamości. Po ich sprawdzeniu będą panie partiami zwalniane do domów. Jeśli wśród pań są posłanki, proszę się ujawnić. W przeciwnym razie... w przeciwnym razie – Feri szukał właściwego sformułowania – w przeciwnym razie wyciągniemy poważne konsekwencje!

Jęk ulgi wypełnił salę i zaraz ustąpił szelestowi otwieranych torebek. Matrony tłumnie naparły na Feriego, wyciągając ku niemu dowody osobiste, prawa jazdy, a nawet książeczki zdrowia. Część pań stała stropiona, bo na uroczystość zaprzysiężenia nie wzięły ze sobą dokumentów.

– Proszę o spokój! – wrzeszczał Feri, cofając się pod naporem kobiet. – Proszę zostać na swoich miejscach!

Panikę opanował jeden z chłopaków za pomocą uniwersalnego, wielokrotnie już sprawdzonego strzału w sufit. Damy pisnęły przeraźliwie i odskoczyły od Feriego, który przekrzykując towarzystwo, nakazał złożyć dowody tożsamości na stole.

– Te z pań, które nie mają dokumentów, proszę na lewo pod drzwi! Te z pań, które złożyły swoje papiery, na prawo pod okna!

Łoskot obcasów rozbrzmiał ze wzmożoną siłą i damy ruszyły na wskazane miejsca, tworząc barwną kotłowanąinę. Zamieszanie trwało przez dłuższy czas i Feri w myślach złorzeczył Zaniemu, że wyznaczył mu tak niewdzięczne zadanie.

Wiedział, w co mnie pakuje – myślał gniewnie. – On tam na sali tworzy historię, a ja

użeram się z gromadą rozhisteryzowanych bab!

Odwrócił się ze złością i zlustrowawszy pobieżnie dwie grupy matron, wrzasnął:

– Wszystkie siadać!

Damy jak na komendę pacnęły zadami o ziemię, a ludzie Feriego pospiesznie zaczęli zbierać ze stołów dowody tożsamości i składać je na stole prezydialnym. Za stołem zasiadł Feri, otworzył pierwszy z brzegu dowód i rzucił w kierunku sali:

– Teraz będę wywoływał panie po nazwiskach. Proszę podchodzić do stołu! Pani Tarnowiecka!

W tylnej części sali z trudem podniosła się korpulentna jejmość w buraczkowym tużurku i dziwnym kapeluszu, ozdobionym jakimś zielskiem. Minęły dobre dwie minuty, zanim jejmość doczłapała do stołu. Feri wznosił oczy ku niebu. W duchu coraz bardziej gotował się ze złości.

– Pani Tarnowiecka?

– Tak – szepnął poblądły babon, siląc się na uśmiech.

– Pani zawód?

– Jestem nauczycielką. Na emeryturze.

– Kim jest pani mąż?

– Posłem...

– Jakiego ugrupowania?

– Partii Socjaldemokratycznej.

Feri pogrzebał w papierach ze ściągniętą z sejmowej strony internetowej listą posłów i rzekł ni to do babska, ni to do siebie:

– Zgadza się... proszę usiąść na krześle po wewnętrznej stronie stołu. Pani Gąsiorek! – zawołał, biorąc do ręki następny dowód.

Jak na złość, w oddali podniosła się jeszcze większa kobieta w bordowej kreacji przetykanej srebrnymi nićmi i potykając się, ruszyła w stronę prezydium, błada i przerażona. Feri westchnął głęboko kryjąc twarz w dłoniach i szepnął:

– I to ma być rewolucja...

\* \* \*

Konwent Seniorów i członkowie rządu wkroczyli na salę. Było tu już znacznie przestronniej, choć zaduch wciąż panował w sejmowych murach. Na czele z dostojnością i powagą kroczył marszałek Grodzicki, poinstruowany przez Zaniego dokładnie, co ma robić. Wymizerowany rząd zasiadł w swych ławach, miejsc wystarczyło również dla większości parlamentarzystów. Feri stanął na podium, a Zani wprowadził na podwyższenie marszałków Sejmu i Senatu, przysunął sobie krzesło i zasiadł obok nich jako trzeci.

– Panie i panowie posłowie! Obecni tu... eee...

– Obywatele – rzucił niecierpliwie Zani.

– ...obywatele – kontynuował Grodzicki – przedłożyli w dniu dzisiejszym członkom rządu i Konwentowi Seniorów projekt nowej konstytucji. Przed chwilą rząd i przewodniczący klubów zapoznali się z tym projektem. Z uwagi na okoliczności zostałem zobowiązany przez ich przywódcę do przedstawienia państwu streszczenia projektu. Oto ono.

Grodzicki wyjął zapisaną przez Zaniego kartkę i powtórzył jego słowa, wygłoszone wcześniej w Sali Konstytucji 3 Maja. Poselskie stado w milczeniu, łypiąc wokół zdumionymi oczami, słuchało o republice prezydenckiej, reformie Senatu i zmniejszeniu roli Sejmu. Śmiertelna cisza powitała płynące z ust Grodzickiego słowa o ograniczeniu mandatów, diet i immunitetów, podobnie jak uwagi o ceremonialnej roli posłów.

– Ten oto projekt konstytucji – kończył grubas – mamy, panie i panowie posłowie i senatorowie, przyjąć teraz bez żadnych poprawek i dyskusji.

Panie i panowie posłowie i senatorowie siedzieli w ciszy i skupieniu, nie wierząc własnym uszom. Te same uczucia, które przed kilkudziesięcioma minutami ogarniały zdumiony rząd i Konwent Seniorów, wybuchły teraz w duszach członków Zgromadzenia Narodowego. Tu i ówdzie dało się słyszeć szepty i urywane zdania, przeważały jednak gesty ekspresyjne, choć stonowane, bo widok posła Wytrycha z obwiązaną gębą nie zachęcał do szerszej dyskusji i wymiany poglądów.

Nagle z miejsca poderwał się sędziwy senator Doliwa-Roztocki i wznosząc ręce ku niebu, zakrzyknął:

– Na miłość boską! Co tu się dzieje? To zamach na wolność i demokrację! To hańba dla wielowiekowej tradycji polskiego parlamentaryzmu! Opamiętajcie się, nieszczęśni, póki nie jest za późno!

Starzec trzymał jeszcze przez chwilę wzniesione ku górze ręce, po czym złapał się za klapy wyświechtanej marynarki, próbując powtórzyć gest Rejtana. Marynarka jednak, niepomna historycznej chwili, odmówiła współpracy i nie chciała się efektownie rozdrzeć, w związku z czym dziadzio potarosił ją chwilkę i padł wyczerpany na fotel. Jego słowa odniosły jednak pewien skutek i głównie z uwagi na obecność nielicznych dziennikarzy, którym Zani pozwolił zostać w loży prasowej, niektórzy posłowie jęli wykonywać pompatyczne gesty, wśród których przeważało kręcenie głowami i chwytanie się za włosy. Tu i ówdzie zaczęły padać słowa: „Zdrada” i „Nie pozwolimy”, a harmider wzrastał z każdą sekundą, zgodnie z zasadami psychologii tłumu.

Zani nie życzył sobie żadnych ekscesów, skinął więc na Wyższego Ortoliona i szepnął mu do ucha:

– Wyprowadź dziadzia na korytarz i strzel w sufit.

Ten uśmiechnął się chytrze i ruszył w kierunku siwej senatorskiej głowy. Troskliwie i stanowczo zarazem podniósł nestora polskiego parlamentaryzmu, a dwóch jego kumpli, kierując lufy w poselskie ławy, skutecznie uniemożliwiło ewentualną pomoc dla dziadunia.

Wyższy delikatnie wypchnął starca za drzwi, po czym zarepetował broń tak, żeby obecni na sali zdążyli usłyszeć charakterystyczny, metaliczny trzask zamka. Przymknąwszy za sobą drzwi, spojrzął na dziadka, który odpowiedział hardym spojrzeniem, wyprostowany jak struna.

– Jestem gotów! – rzekł drżącym, choć mocnym głosem.

– To świetnie – mrugnął do niego Wyższy. – Proszę zasłonić uszy, będzie trochę hałasu.

– Byłem ułanem w Kampanii Wrześniowej – oświadczył dumnie Doliwa-Roztocki – i nieraz patrzyłem śmierci w oczy!

Wyższy ponownie mrugnął do dziadka, podniósł lufę i wystrzelił w sufit, wrywając w tynku sporą dziurę. Na sali rozległy się okrzyki przerażenia i grozy. Wyższy zabezpieczył karabin i wyciągnąwszy do staruszka paczkę radomskich, rzucił wesoło:

– Zapali pan, panie ułan?

Doliwa-Roztocki, który w międzyczasie zdążył pojednać się ze Stwórcą, nadąsany przyjął papierosa konstatując, że nie dane mu będzie zginąć w glorii i chwale na ołtarzu polskiej demokracji.

– Teraz niestety – uprzedził Wyższy, przypalając dziadkowi peta – resztę czasu będzie pan musiał spędzić w towarzystwie bab. Niech to będzie dla pana nauką, żeby nie wrywać się przed szereg. Chociaż jako ułan pewnie nieraz pan to robił.

Uśmiechnął się figlarnie i kurtuazyjnym gestem wskazał nestorowi drogę do Sali Kolumnowej.

Zani tryumfalnym wzrokiem toczył po sali sejmowej. Strzał Wyższego przeraził nawet najwytrwalszych demokratów, gotowych teraz przyjąć wszystko – nawet proklamację o przywróceniu monarchii. Grodzicki stał na podwyższeniu, starając się opanować zdenerwowanie i udzielić nieco swego chłodnego spokoju struchlałemu Zgromadzeniu.

– Zaczynaj pan – warknął Zani.

Marszałek, odkasznawszy dla efektu, zaczął:

– Panie i panowie posłowie! Mam za... mam obo... – szukał właściwego słowa – ...zarządzam głosowanie nad przedstawionym projektem ustawy zasadniczej! Kto z pań posłanek i panów posłów jest za przyjęciem niniejszego projektu, zechce podnieść rękę i nacisnąć przycisk!

Od prawa do lewa, od góry do dołu, od najbliższych uprzywilejowanych ław aż po zasiadającą na tyłach drobnicę wzniosły się dłonie w ponadpartyjnej zgodzie. Nigdy jeszcze szacowne mury sejmowego gmaszyska nie widziały takiej jednomyślności. To nic, że dla osiągnięcia tego celu trzeba było ustawić między rzędami kilkunastu ludzi z nabitą bronią – widok był zaiste imponujący.

– Dziękuję – sapnął Grodzicki. – Kto jest... kto jest prze...

Nerwy zwyciężyły wrodzoną flegmę i głos marszałka począł drzeć na myśl o tym najstraszniejszym słowie. Grubas przemógł się jednak i ostatkiem sił wyrzucił z siebie, a

raczej wycharczał:

– Przeciw!

I znów wzrok Zaniego pobiegł od prawa do lewa, od góry i dołu, lecz cała sala zastygła w bezruchu. Senatorowie i posłowie zamarli niczym posągi, budząc skojarzenia z chińską terakotową armią. Zani dopiero teraz poczuł, że się spocił nie mniej niż drżący o życie parlamentarzyści. Widząc jednak, że żaden osobnik nie zgłasza sprzeciwu, odetchnął z ulgą i opadł na marszałkowskie krzesło. Nie zwrócił już uwagi na trzecie, mimochodem rzucone przez Grodzickiego pytanie, kto się wstrzymał. Odzew okazał się identyczny jak przy pytaniu o sprzeciw, mógł zatem Grodzicki łamiącym się głosem oznajmić wszem i wobec:

– Stwierdzam, że Zgromadzenie Narodowe jednogłośnie przyjęło nową Konstytucję Rzeczypospolitej Polskiej. Wej... wejdzie ona w życie po podpisaniu jej przez prezydenta Rze...

– Ach prawda! – Zani zerwał się z fotela, aż Grodzicki odskoczył przerażony. – Jeszcze i to!

Wyrwał z rąk marszałka projekt konstytucji i podszedł do siedzącego w łoży rządowej prezydenta Starynkiewicza. Prasnął projektem o blat, wyciągnął zza pazuchy długopis i rzucił:

– Proszę podpisać!

Starynkiewicz siedział nieruchomo, z rękami złożonymi na kolanach. Jak zahipnotyzowany wpatrywał się w przybrudzony nieco i wymięty tekst nowej konstytucji. Po dłuższej chwili delikatnie przejął długopis z rąk Zaniego i w miejscu, którego komendant dotykał palcem, złożył swój koślawy autograf.

Terakotowa armia nadal siedziała w kompletnym milczeniu. To, co wydarzyło się przed chwilą, nie mieściło się w poselskich łepetynach, przyzwyczajonych do drobiazgowych targów i dyskusji nad najdrobniejszymi nawet fragmentami drugorzędnych ustaw. Jedyne poblady marszałek Grodzicki, jeden z głównych twórców konstytucji z dziewięćdziesiątego siódmego roku, porzucił maskę twardziela i załamany usiadł ciężko na krześle. O Grodzickim nie na darmo krążyły po Sejmie żarty, że gdyby wylądował na bezludnej wyspie, po dwóch tygodniach wyspa miałaby statut, budżet, flagę i godło oraz kilka komisji nadzwyczajnych, w tym Komisję Do Spraw Kokosów i Podkomisję Do Spraw Budowy Tratwy. Grodzicki naturalnie przewodniczyłby wszystkim komisjom, a po pewnym czasie przejąłby również rolę sekretarza, skarbnika i eksperta. Marszałek uwielbiał proces legislacyjny i poprzednią konstytucję uważał za dzieło swego życia.

Zani, widząc zapaść Grodzickiego, ruszył powoli w jego stronę z podpisaną konstytucją pod pachą. W śmiertelnej ciszy panującej na sali poklepał go po ramieniu.

– Niech się pan nie martwi, mój drogi marszałku. Spłodził pan knota legislacyjnego, a my po prostu naprawiliśmy pańską pomyłkę. To naturalna kolej rzeczy.

Grodzicki podniósł głowę. Spojrzenia starego politykiera i młodego buntownika



skrzyżowały się na krótko. Historyczna chwila szybko przeminęła i marszałek ponownie wbił wzrok w blat sejmowego stołu.

– Poczuję pana jednak – rzekł Zani, otwierając nowo podpisaną konstytucję – że nie cała pańska praca poszła na marne. Jest fragment pańskiej starej konstytucji, który po żarliwej i pełnej sporów dyskusji postanowiliśmy zachować bez zmian.

Oczy marszałka zaświeciły się, a na twarz wstąpiła nadzieja. Może jeszcze nie wszystko stracone – myślał – może da się jeszcze ocalić starą konstytucję?

– Którą część konstytucji z 1997 roku zachowali panowie bez zmian? – zapytał mocniejszym głosem.

– Tę zaznaczoną na czerwono – odpowiedział Zani, wykrzywając twarz w złośliwym, strasznym uśmiechu i rzucił papiery na stół.

Marszałek, spojrzawszy na tekst, zsiniał momentalnie i ciężko oddychając, złapał się za serce, a przed oczami zaczęły mu wirować czerwonosine płyty. Walczył jeszcze ze sobą kilka sekund, po czym bezwładnie opadł na fotel.

Na leżącym przed nim tekście grubym czerwonym flamastrem wyróżniono artykuł 29 starej konstytucji, który brzmiał: „Stolicą Rzeczypospolitej Polskiej jest Warszawa”.

## Rozdział 9

Po dwóch godzinach sprawdzania, płaczów i wrzasków Feri sformował pierwszy pięćdziesięciosobowy babski kontyngent przeznaczony do ewakuacji. Damy ustawione w kolumnę dwójkową ruszyły w kierunku wyjścia. Na czoło wysunęła się chlipiąca na wszelki wypadek panna Renatka.

– Naturalnie nie muszę paniom mówić – ostrzegł Feri na odchodnym – że jeśli któraś z pań poinformuje policję o sytuacji w Sejmie, naszej liczebności albo uzbrojeniu, jej mąż natychmiast pożegna się z życiem.

Upewniwszy się, że jego słowa odniosły pożądany skutek, skinął ręką i dwaj zamachowcy wyprowadzili matrony w stronę wyjścia. Sam Feri został na miejscu, żeby pilnować ambasadorów i konsulów zaproszonych na uroczystość. Zgodnie z wcześniejszymi planami Zaniego, mieli oni być zwolnieni natychmiast, żeby nie zadrażniać stosunków z zagranicą i zarobić punkty u światowej opinii publicznej. Feri, jako urodzony legalista, przygotował nawet stosowne oświadczenie, które otrzymał każdy z ambasadorów.

W oddali majaczył zamknięty szlaban, a za nim migoczące koguty licznych radiowozów. W kierunku tego szlabanu, najpierw powoli, później coraz szybciej ruszyło stado VIP-owskich małżonek, gubiąc po drodze wachlarze, mitenki, szale, pelisy, mufki i inne części przebogatej garderoby. Ruda panna Renatka drałowała na czele tej groteskowej czeredy, biegnąc ku światłom niczym ku ziemi obiecanej przy akompaniamencie koszmarnego klekotu swoich obcasów.

Załatwiwszy sprawę małżonek, Feri wziął się za strwożony korpus dyplomatyczny. Sprawdzanie ich tożsamości, szczególnie w odniesieniu do dyplomatów z Afryki i Azji, było w zasadzie formalnością, ale formalista Feri nie mógł sobie odmówić przyjemności obcowania z wielkim światem służby zagranicznej. Podszedł do rosłego Murzyna i rzekł powoli i bardzo wyraźnie:

– Pan pokazać mi dokumenty, bardzo proszę!

Afrykanin spojrział na Feriego z rozbawieniem, uśmiechnął się błyskając białymi zębami, po czym dobył z fałdów swej czerwono-zielonej szaty zaproszenie na uroczystość. Feri przeczytał: „Jego Ekscelencja Pan Wonder Borkati, Ambasador Republiki Ghany”.

– Wy teraz wyjść i pójść do domu, *go home* – powoli i wyraźnie artykułował Feri. –

Rozumieć?

Murzyn pochylił się poufale do ucha Feriego i równie powoli, czystą polszczyzną, odpowiedział:

– Doskonale rozumiem, proszę pana, i dziękuję panu za pańską uprzejmość.

Feri zbaraniał i zaczerwienił się zawstydzony.

– Świetnie pan mówi po polsku – bąknął w końcu, usiłując zachować twarz.

– Polska żona i pięć lat na Politechnice Warszawskiej to dobra praktyka – odparł Jego Ekscelencja z promiennym uśmiechem.

Pułkownik Langer wraz z pokojem 240, admirałem oraz policyjnymi Asteriksem i Obeliksem ustalał właśnie szczegółowy plan zabezpieczenia terenów w pobliżu Sejmu, gdy do namiotu wpadł zziębnięty wysoki i chudy jak tyczka policjant.

– Zakładnicy... lecą... – dyszał, wyrzucając z siebie pojedyncze słowa – chmarą... lecą...

– Meldunki! Żądam porządných meldunków! – zapiszczał swoim irytującym głosem Kopacz. – Co to za porządki!

– Melduję... melduję...

– Nie melduj, człowieku, tylko mów jaśniej! – zawołał Langer, uciszając gestem kurdupla.

– Zwolnili zakładników!

– Już? – zdziwił się Langer. – Tak bez uprzedzenia? Za mną, panowie!

Sztab kryzysowy ruszył za pułkownikiem; chcąc nie chcąc, ruszył się też pan admirał, niezbyt zachwycony faktem, że niższy stopniem wydaje mu polecenia. Wybiegli przed namiot i popędzili w stronę ulicy Wiejskiej, gdzie od strony Sejmu kilkadziesiąt pań w różnokolorowych kreacjach forsowało właśnie szlaban i krzaki, nacierając na kordon radiowozów. Babska szarża skonfundowała nieco szeregowych policjantów, którzy jęli wyłapywać damy brnące w rozjeżdżonym, brudnym śniegu. Wrzaski i jęki rozległy się na nowo, a panikę spotęgowali jeszcze wszechobecni dziennikarze i fotoreporterzy, którzy rzucili się na ledwo żywe kobiety. Wzięci przez damy i pismaków w dwa ognie, policjanci uganiaли się bezładnie za błyskającą im po oczach krajową odmianą paparazzich. Dziennikarskie gwiazdy, uzbrojone w mikrofony, szturmowały wściekle kordon gliniarzy, za wszelką cenę usiłując wypytać zakładniczki o los ich mężów i sytuację w budynku, żeby zdobyć w ten sposób pierwszą partię krwistego materiału.

Kopacz z Wawrzyniakiem rzucili się w sam środek zamętu i próbowali opanować sytuację, lecz piskliwy głos kurdupla i tubalne głosisko grubasa zagłuszyły wrzaski różnobarwnego tłumu, grającego w upiorną odmianę berka. Langer patrzył na to wszystko, zaciskając bezsilnie pięści. Admirał kręcił tylko siwiejącą głową, cmokając z niezadowolaniem i mamrocząc pod nosem, że w podległej mu marynarce podobna rzecz po prostu nie mogłaby się wydarzyć.

Ubegy z pokoju 240 również nie próżnowali. Oni jednak nie siali paniki, tylko ruszyli

ciężkim galopem w kierunku policjantów zgrupowanych przy skrzyżowaniu Wiejskiej z Piękną. Gałązka, jako najbiegły w tych sprawach, leciał wzdłuż szpaleru gliniarzy i wyciągał co drugiego z szeregu.

– W dwuszeregu, frontem do mnie zbiórka! – wrzasnął nie znoszącym sprzeciwu głosem.

Zdezorientowani policjanci utworzyli w miarę foremny dwuszereg.

– Pały w dłoń – zakomenderował Gałązka, stając na czele kohorty.

Gliniarze ze sprawnością zomowców dobyli gumowe argumenty i ruszyli ławą do przodu, gdy ich otyły lider wrzasnął:

– Za mną, biegiem marsz!

Langer i Świrski, którzy na chwilę stracili z oczu czterech muszkieterów z pokoju 240, ze zdumieniem ujrzeli czarną falangę gliniarzy, prowadzoną szybkim truchtem przez otyłego Gałązkę, który trzymał w ręku wyciągnięty nie wiadomo skąd parasol. Falanga z uniesionymi pałami równym krokiem zbliżała się w stronę babsko-dziennikarskiego tumultu. Jeszcze chwila i zwarte dwuszeregi natarły na tłum z impetem godnym wojsk Hannibala. Paparazzi i gwiazdy dzienników zakrzyknęły strasznym głosem i pierzchły w popłochu przed gliniarzami, którzy postanowili odreagować stresy na przedstawicielach czwartej władzy. Ubek Gałązka stawał dzielnie w pierwszym szeregu, tłukąc niemiłosiernie pismaków swym parasolem i dając przykład policji. Halbert, Kujawa i Czernicki wyłapywali roztrzęsione damy i ciągnęli je do wojskowego namiotu, w którym mieścił się sztab pułkownika Langerera.

Kilka minut później spokojnym, choć szybkim krokiem wymaszerował z Sejmu zastęp dyplomatów. Rozstawieni w szeregu policjanci odgradzili ich od dziennikarzy.

– Prosimy panów z nami, bardzo prosimy! – wołał Czernicki. – Prosimy szybciej, zanim dziennikarze wrócą!

Ekscelencjom, które w większości nie znały języka polskiego, wrzaski uzbrojonego w parasol grubasa niewiele mówiły, lecz międzynarodowy język gestów zrobił swoje. Posłusznie skierowali się za grubym przewodnikiem w stronę sztabowego namiotu, który za sprawą dam zmienił się w rozjazgotany bazar. Korzystając z zamieszania, między dyplomatów wdarło się również kilku dziennikarzy, lecz Czernicki z Halbertem potężnymi cielskami zastawili im drogę.

– Panie pułkowniku, prosimy o komentarz – darł się redaktor Słomczyński, wschodząca gwiazda dziennikarstwa interwencyjnego ze stacji TVM. – Chociaż kilka słów!

– Tak, właśnie – wtórował mu redaktor Krukowski z konkurencyjnego Sat-Polu. – Ileż można czekać, panowie!

– Proszę o cierpliwość. – Langer przedarł się przez tłum chlipiących bab. – Nie mamy teraz czasu, ale wkrótce zorganizujemy konferencję prasową. Proszę opuścić namiot!

– Ale choć słowo komentarza! – Słomczyński nie dawał za wygraną. – Czy rozpoczęto negocjacje z terrorystami? Czy postawili warunki? Co z resztą zakładników? Czy są ofiary?

– Mogę powiedzieć tylko tyle, że negocjacje trwają. – Langer z grubasami popychał

dziennikarską brać do wyjścia. – Porywacze uwolnili na naszą prośbę część kobiet oraz akredytowanych w naszym kraju dyplomatów. To wszystko! Proszę wyjść!

Pokój 240 napał silnie na dziennikarzy i prawem fizyki wywalił ich z przepelnionego namiotu. Redaktor Słomczyński ustawił się na tle sejmowego okrąglaka i gestem dał znać kamerzyście, że może filmować.

– Mimo znacznych utrudnień zdołaliśmy się dowiedzieć, że grupa zakładniczek została uwolniona przez terrorystów i jest obecnie przesłuchiwana. Panie, w większości żony uwięzionych posłów, czują się dobrze i dochodzą do siebie. Poinformowano nas również, że porywacze uwolnili przebywających na terenie Sejmu ambasadorów obcych państw. Dowodzący akcją pułkownik Likner zapowiedział niezwłocznie zwołanie konferencji prasowej, na której dowiemy się dalszych szczegółów. Sprzed gmachu Sejmu dla „Wieści”, Julian Słomczyński, TVM.

Wschodząca gwiazda skończywszy monolog odetchnęła głęboko i uśmiechnęła się z widocznym zadowoleniem. Uśmiech zgasł jednak jeszcze szybciej, niż się pojawił, bo Słomczyński spostrzegł, że za kamerą stoi nikt inny, tylko niekwestionowany gwiazdor TVM i redaktor głównego wydania „Wieści”, Krzyś Tomaszewski. Z wielce wyniosłą miną przejął z rąk Słomczyńskiego mikrofon i wielkopańskim gestem skinął na kamerzystę. Strumień silnego światła z reflektora kamery opromienił starannie wypielegnowaną fryzurę z przedziałkiem, wzmocnioną odżywką z drobinami kauczuku, podkreślił oproszone lekko pudrem szlachetne słowiańskie rysy i zachwyił wszystkich dookoła nienaganną bielą sztucznych zębów.

– Właśnie skończyłem nagrywać komentarz – wymamrotał Słomczyński, onieśmielony blaskiem majestatu.

– Nie wkurwiał mnie, młodzieńcze – rzekł łaskawie Tomaszewski, z dostojnością zdejmując zarzucony na ramiona kaszmirowy płaszcz i wręczając młodemu. – Kamera! Czy moje łuki brwiowe nie rzucają zanadto cienia na policzki?

– Łuki w porządku – raźno zakrzyknął kamerzysta, manipulując ostrością, by w pełni oddać walory medialnego Apolla.

– Dobrze! Zaczynamy!

– Poszło!

Krzyś odczekał jeszcze kilka sekund, przywołując na swoją upudrowaną facjatę wyraz szczerzej troski i współczucia.

– Pomimo bezustannie czynionych nam przez władze policyjno-wojskowe utrudnień i przeszkód dowiedziałem się, że nieznaczną część zakładników, głównie starców, kobiet i dzieci, została przez terrorystów uwolniona. Nie mieliśmy serca prosić ich o komentarz w tej chwili, gdyż są w stanie skrajnego wyczerpania fizycznego i psychicznego. Wielu z nich nosi ślady pobicia i maltretowania, a jak poinformował nas przed chwilą proszący o anonimowość wysoki urzędnik Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, dwie osoby w stanie krytycznym

walczą o życie. Mimo niechęci ze strony dowodzącego akcją pułkownika Lebera zdołałem perswazją skłonić go do zorganizowania konferencji prasowej, w czasie której poinformuje on naszych widzów, co tak naprawdę dzieje się w gmachu Sejmu. Dotychczasowe doniesienia mówią o wielu ofiarach śmiertelnych i dziesiątkach rannych. Sprzed gmachu Sejmu dla „Wieści”, Krzyś Tomaszewski, TVM.

Gwiazdor utrzymywał jeszcze przez kilka sekund staranie wystudiowaną zatroskaną minę, po czym oddał mikrofon Słomczyńskiemu, patrzącemu na niedościgniony wzór z podziwem i uwielbieniem. Młody dziennikarz podniósł kosztowne palto Krzysia i z najwyższą delikatnością okrył kaszmirem jego wywatowane ramiona. Gwiazdor odwrócił się plecami i z ważną miną ruszył w stronę klimatyzowanego wozu transmisyjnego, obmacując swoje łuki brwiowe.

Tymczasem Langer, nieświadomy oskarżeń o hamowanie przepływu informacji, usiłował dowiedzieć się czegoś od wymizerowanych kobiet. Próba wypytania dyplomatów od razu spaliła na panewce: ambasadorzy solidarnie zasłonili się immunitetem, a władający specyficzną polszczyzną Jego Ekscelencja Ambasador Francji wyjaśnił Langerowi, że, Armée Poloń musi sama pohańczyć sobie z coup d'état, bowiem le reprezentatiw etranżer nie może ingerować w wewnętrzne sprawy le guwermont du Poloń”. Po złożeniu niniejszego pokraccznego oświadczenia dyplomaci pożegnali Langerę i pomaszrowali w stronę pobliskiej rezydencji francuskiego ambasadora. Tak zakończył się międzynarodowy wątek ataku na Sejm.

Przepytanie szacownych dam okazało się zadaniem niezwykle trudnym, bo panie oświadczyły, że życie ich mężów zależy wyłącznie od ich milczenia, przeto milczeć będą jak grób.

– Bezpieczeństwo szanownych małżonków zależy od informacji, których panie nam udzielą. Prowadzimy z napastnikami negocjacje, lecz jeśli okażą się oni nieustępliwi, być może trzeba będzie użyć jednostek antyterrorystycznych, żeby ich ratować. Każdy szczegół jest na wagę złota!

Damy okazały się jednak głuche na te argumenty, złość i frustrację wyładowując na Bogu ducha winnym Langerze.

– Pan chce zamordować naszych mężów! Pan nie ma pojęcia, co się tam dzieje! Oni mają wielkie karabiny z mnóstwem kul, bomby i Bóg wie co jeszcze! – wrzeszczały matrony. – Spełnijcie ich żądania i każcie wypuścić naszych biednych mężów!

Langer machał rękami jak wiatrak, próbując zaprowadzić ład, gdy nagle jego wzrok padł na popłakującą pannę Renatkę, która przycupnęła na krzeselku wędkarskim. Pułkownik zlecił więc konwersację z damami bywalcowi Czernickiemu i księdzu Węgielkowi, sam zaś zbliżył się do rudej panienki i wyciągnął ku niej paczkę swych niezastąpionych kameli.

– Czy pani również ma wśród zakładników męża lub kogoś bliskiego? – zapytał łagodnie.

– Nie – burknęła dziewczę, zaciągając się nikotyną. – Ja tam tylko pracuję. To znaczy

pracowałam.

– Pracuje pani w Kancelarii Sejmu?

– Tak.

– W jakim charakterze?

– Jak to jakim? – zdziwiło się dziewczę. – W swoim charakterze.

– Pani mnie nie zrozumiała. – Langer doszedł do wniosku, że nie tylko blondynki zasługują na niepochebną opinię. – Na jakim stanowisku pani pracuje?

– Jestem urzędniczką w Departamencie Komisji Sejmu.

– Jasne. Proszę mi zatem powiedzieć, co tam naprawdę się stało.

– Ja nie wiem... nie rozumiem... nie chcę... – panna Renatka znowu zaczęła chlipać. – Ja chcę do domu.

– Pojedzie pani do domu najszybciej, jak się da. – Pułkownik silił się jeszcze na uprzejmość. – Proszę mi tylko odpowiedzieć na kilka pytań, dobrze?

– Dobrze...

– Ilu terrorystów napadło na Sejm?

– Nie wiem.

– A tak na oko? Ilu?

– Na oko – panna Renatka uruchomiła swe komórki myślowe – na oko to... nie wiem.

Langer po raz pięćsetny tego dnia przeciągnął łąpskiem po twarzy.

– Dobrze, zostawmy to. Gdzie są przetrzymywani zakładnicy?

– W sali plenarnej – odparło dziewczę z pewnym wahaniem – a kobiety w Sali Kolumnowej.

– Rozumiem. A co z premierem i prezydentem? Gdzie ich trzymają?

– Nie wiem.

– A co z telefonami komórkowymi posłów i całej reszty?

– Z telefonami – panna Renatka zrobiła widoczny wysiłek myślowy – z telefonami... Ach tak, kazali je wszystkim oddać. Leżą w takim wielkim koszu i cały czas dzwonią. Ja nie wiem... ja chcę do domu...

– Jeszcze tylko jedno pytanie: Gdzie znajdowała się pani w chwili ataku terrorystów? Czy może na sali plenarnej?

– Nie. – Ruda pokręciła głową, kończąc papierosa. – Nie wolno nam się kręcić po sali i kuluarach w czasie obrad Sejmu. Siedziałam w moim pokoju z Tomkiem.

– A kim jest Tomek?

– To mój kolega z pracy – odparła Renia z widocznym przekąsem. – Siedzieliśmy razem w pokoju, kiedy wpadł ten bandyta i kazał nam iść na salę.

– Dobrze – mruknął Langer ważąc coś w głowie. – Na razie jest pani wolna. Proszę jednak pozostać w pobliżu i nie wracać jeszcze do domu.

Renatka wstała i skierowała do wyjścia przez szpaler matron. Pułkownik zatrzymał ją

wyciągniętym ramieniem.

– Mówiła pani, że napastnicy doprowadzili panią i tego pana Tomasza na salę.

– Tak.

– Ile czasu siedzieliście w swym pokoju od chwili ataku?

– Nie wiem – dziewczę wzruszyło ramionami.

– A czy pani ma przy sobie swój telefon komórkowy?

Panna Renatka pomacała swoją krację i odrzekła żałośnie:

– Nie mam... Został w torebce w moim pokoju. Razem z lekarstwami. O Boże, moje lekarstwa...

– No dobrze, dobrze – rzucił niecierpliwie Langer. – A ten Tomasz? Czy jemu również zabrano telefon?

– Nie wiem – po raz kolejny powtórzyła panna Renatka. – Nie patrzyłam.

– A ma pani numer jego telefonu? – coraz natarczywiej pytał Langer.

– Mam.

– Proszę mi go podać!

– Mam w swojej komórce. – Panna Renatka znowu zaczęła się macać po garsonce.

– Przecież komórkę zostawiła pani na biurku!

– Ach, rzeczywiście! Gapa ze mnie.

Langerowi nasunęło się na myśl nieco dosadniejsze określenie, ale dał sobie spokój i drążył dalej:

– A nie pamięta pani jego numeru?

– Nie, nie pamiętam... Proszę pana, czy mogę odejść?

– Tak... tak... – warczał Langer – niech pani już idzie.

Renatka ruszyła do wyjścia, żeby zaczerpnąć świeżego, choć mroźnego powietrza. Nagle odwróciła się do Langer'a i wymacawszy kartonowy bilecik w kieszeni żakietka, zawołała:

– Nie mam telefonu, ale mam wizytówkę pana Tomasza! Chce pan?

Langer skoczył w kierunku rudej i wyrwał jej bilecik. Pod imieniem i nazwiskiem oraz enigmatycznym tytułem „sekretarz komisji” czernił się numer telefonu, faksu i telefonu komórkowego.

Admirał Świrski i nadinspektor Kopacz ciekawie przechylili się w stronę Langer'a. Namiot powoli pustoszał, bo niezastąpiony Gałązka zarekwirował dla celów kryzysowych pomieszczenia pobliskiej podstawówki. Damy opuściły więc sztab i hurmem ruszyły do ciepłego budynku. Podreptała tam również i panna Renatka, wtulona w sutannę księdza Węgielka, który odnalazł wreszcie stadko do pocieszania.

– Zamachowcy zarekwirowali wszystkim telefony komórkowe – powiedział Langer do członków sztabu – lecz ten oto urzędnik może mieć komórkę przy sobie.

– No to na co pan czeka! – zawołał admirał. – Niechże pan dzwoni!

– Nie tak prędko, panie admirale – protekcyjnym tonem odparł Langer. – To nasza



jedyna szansa na kontakt z kimś wewnątrz. Jeśli ma hałaśliwy dzwonek, terroryści zabiorą mu telefon albo zrobią mu krzywdę.

Pułkownik wyjął swój prywatny aparat, wystukał zestaw dziewięciu cyfr i potwierdził przyciskiem „Yes”. Usłyszawszy sygnał wybierania czekał na pojedynczy dzwonek, po czym szybko się rozłączył.

\* \* \*

Tomasz drgnął. Telefon w wewnętrznej kieszeni marynarki, przełączony na wibracje, wyraźnie się poruszył. Czoło pana sekretarza w jednej chwili pokryło się kroplami potu. Napastnicy, przeszukując posłów i senatorów, zabrali wszystkie telefony komórkowe i umieścili w plastikowej skrzynce. O Tomaszu najwyraźniej zapomnieli.

Odebrać telefonu nie mógł, bo siedział przy stoliku stenotypistek – najbardziej chyba widocznym miejscu w całym Sejmie. Na szczęście dźwięk był wyłączony, bo inaczej pół sali sejmowej usłyszałoby polifoniczny dzwonek z tematem utworu „Show must go on”, szczególnie lubianego przez posłów nie mających szans na reelekcję, a przez to zdecydowanie sprzeciwiających się wcześniejszym wyborom. Tomasz zaczął kombinować, w jaki sposób usunąć się w ustronne miejsce i skorzystać z telefonu, lecz komendant Zani przerwał mu te rozważania.

– Gdzie w Sejmie organizuje się zwykle konferencje prasowe? – zapytał Tomasa, który poderwał się z krzesła.

– Konferencje? Zwykle przed wejściem do Sali Kolumnowej. Choć odpowiedniejszym miejscem jest oficjalny gabinet marszałka.

– Gabinet marszałka? – zastanowił się Zani. – Dobrze brzmi. Pójdziemy tam razem i obejrzymy to pomieszczenie. Pan prezes Podsiadło oraz panowie prezesi Model i Sandrowski wspólnie zgodzili się nam pomóc w zorganizowaniu małej konferencji.

Dopiero wówczas Tomasz zauważył, że za komendantem stoi prezes Telewizji Publicznej Podsiadło – względnie młody dżentelmen, który w ciągu swej kadencji w równym tempie tracił włosy i poparcie społeczne. Podsiadłę flankowali prezesi dwóch największych telewizji komercyjnych: Sat-Polu i TVM – lalusiowaty i wyniosły prezes Sandrowski oraz prezes Model, wbrew nazwisku niechlujny i zaniedbany, straszący od czasu do czasu widzów swej telewizji popsutymi zębiskami i podkrążonymi oczami.

Wszyscy trzej prezesi szczerze nie znosili się nawzajem, tym razem jednak złączyli się we wspólnocie strachu i przerażenia. Szczególnie prezes Podsiadło, plasujący się w nizinach rankingów społecznego poparcia i nienawidzony przez elity intelektualne kraju za upolitycznienie telewizji, dygotał cały, szczękając zębami i połyskując spoconą łysiną. Sandrowski, jeden z najbogatszych Polaków, okupujący stale okładki magazynów dla prawdziwych mężczyzn, starał się trzymać fason, choć z obecnym wyglądem nie nadawałby

się nawet na okładkę periodyku „Tydzień na działce”. Jedyne Model, prezentujący wciąż to samo oblicze początkowej fazy rozkładu, był względnie spokojny.

– Proszę za mną – polecił Tomasz i wyprowadził z sali plenarnej prezesów w towarzystwie komendanta oraz jego eskorty.

Oficjalny gabinet marszałka, mieszczący się w południowo-zachodniej części sejmowego gmazyska, urządzony był z charakterystycznym dla budynku parlamentu republikańskim niesmakiem. Zani ocenił jednak pobieżnie pomieszczenie pod kątem planowanej konferencji prasowej i zadowolony kiwnął głową. Szczególnie spodobał mu się zgniłozielony arras wiszący za biurkiem marszałka, wyobrażający pływającą w tańcu burżuazję i chłopstwo.

– Skombinujesz mi tu stojak z flagą narodową – Zani poufale wziął Tomasza pod rękę – oraz godło, najlepiej duże i widoczne. Ustawisz je tam.

Komendant wskazał czarny podłużny stolik z siedmioma krzesłami, stojący po prawej stronie gabinetu.

Trójca prezesów nieśmiało tuptała za Zanim, udając, że wystrój gabinetu interesuje ją bardziej od kałacha Feriego, który zamykał wycieczkę.

– Panowie prezesi pozwolą! – rzucił Zani, nie odrywając oczu od arrasu.

Magnaci medialni podeszli bliżej i przez chwilę cała gromadka podziwiała sielankową scenkę. Zani odwrócił się nagle i trójca drgnęła nerwowo.

– Jak panom wiadomo – zaczął uroczyście komendant – w dniu dzisiejszym Zgromadzenie Narodowe przyjęło nową konstytucję. W związku z tym ustalić muszę z panami sposób poinformowania społeczeństwa o tym jakże doniosłym wydarzeniu. Pan, panie prezesie Podsiadło, ściągnie tu na jednej nodze ekipę wraz z wozem transmisyjnym. W ciągu godziny w Telewizji Publicznej wygłoszę orędzie do narodu, w którym poinformuję rodaków o tym, co dzisiaj zaszło. W konferencji mają wziąć udział jedynie etatowi pracownicy pańskiej firmy. Rozumie pan?

Łysol przytaknął skwapliwie.

– Do Sejmu wejdzie nie więcej niż pięciu, sześciu dziennikarzy i ludzi z obsługi. Wszyscy mają mieć przy sobie legitymacje pracowników Telewizji Publicznej. Odpowiada pan za to swoją łysą głową, jasne?

Poblady Podsiadło dalej przytakiwał Zaniemu. Przytakiwanie w tym budynku ćwiczył zresztą często, więc wychodziło mu całkiem przekonująco.

– Transmisja na żywo rozpocznie się o godzinie dziewiętnastej. Do tego czasu wszyscy panowie prezesi zarządzają wstrzymanie wszelkich komentarzy na temat wydarzeń w Sejmie. W nadzorowanych przez panów stacjach powtarzany będzie tylko komunikat o zapowiadanej konferencji prasowej. Tylko żadnych numerów... przemówienie ma być transmitowane bezpośrednio na cały kraj. Mamy w całej Polsce wystarczająco wielu zwolenników, żeby potwierdzić odbiór transmisji we wszystkich zakątkach kraju. Zrozumiano?

Sandrowski i Model dołączyli do potakującego Podsiadły i przez chwilę trzej medialni

magnaci rytmicznie kiwali głowami jak oszalałe marionetki. Zani wskazał im telefon stojący na biurku marszałka.

– Pilnuj ich, żeby nie powiedzieli czegoś, czego będą żałować – powiedział do Feriego i rzucił w stronę obu Ortalionów:

– Pomóżcie panu Tomkowi przynieść flagę i godło.

Niższy Ortalion bezceremonialnie trącił Tomasza łufą i wraz z Wyższym wyszli na korytarz.

– Flagę znajdziemy w gabinecie szefowej Kancelarii – oznajmił niepewnie Tomasz, spoglądając z ciekawością na swoją eskortę, zróżnicowaną pod względem wzrostu.

Znający się od czasów piaskownicy Ortalionowie swoje bliźniacze ksywy zawdzięczali serdecznej przyjaźni obu tatusiów, którzy w czasach PRL-u byli pracownikami handlu zagranicznego. Wymierne profity osiągane przez ojców przekładały się bezpośrednio na pociechy w postaci sprowadzanej z Zachodu ortalionowej galanterii. Obaj malcy z dumą paradowali w szeleszczących i jaskrawych dresach, stanowiących w połowie lat osiemdziesiątych symbol postępu i luksusu. Zazdrość odzianej w zgrzebne fartuszki podstawówki scementowała przyjaźń dwóch ortalionowych papużek nierozłączek. Gdy więc Zani zwerbował Wyższego dla sprawy, udział Niższego był tylko kwestią czasu.

Przeszli opustoszałym korytarzem do gabinetu Żukowskiej. Drzwi otwarte na oścież, porozrzucane papiery i poprzewracane krzesła świadczyły o tym, że pani minister wraz ze świętą opuściła swe miejsce pracy w sporym pośpiechu. Tomasz wyciągnął stojącą w rogu flagę, sięgnął też po wiszący nad biurkiem gobelin, wyobrażający dość koślawo wyhaftowanego orła na czerwonym polu. Wyraźnie znudzeni Ortalionowie przypatrywali się rolowaniu symboli narodowych. W końcu Wyższy mruknął:

– Idę, chyba sami dacie sobie radę.

Znikł w perspektywie korytarza. Niższy bezmyślnie odprowadził go wzrokiem. Nagle naszała go ochota, żeby zadzwonić do swojej wybranki, nie wtajemniczonej dotychczas w jego konspiracyjną działalność.

– Czekaj tu, dopóki nie wrócę – rzucił w stronę Tomasza zwijającego gobelin.

Sekretarz spojrział niepewnie na zamykające się drzwi. Odpowiedzi udzielił mu stojący na biurku pani minister telefon, błyskając do Tomasza filuternie czerwonym światelkiem. Oznaczało to, że uzbrojony drab podniósł słuchawkę w sekretariacie i zamierza uciąć sobie rozmowę. Niewiele myśląc, Tomasz postanowił pójść za jego przykładem – wyszarpnął swoją komórkę i gorączkowo zaczął się zastanawiać, dokąd tu zadzwonić.

Paradoksalnie, sytuacja stresowa znacznie ograniczyła listę potencjalnych kandydatów do obdzwonienia. Rodziców Tomasz skreślił od razu – nic nie dziająca i wpadną w panikę. Urocze, acz nie grzeszące zbytnią inteligencją aktualne dziewczę pana sekretarza również nie wchodziło w grę. Nagle Tomasz rzucił okiem na migającą ikonkę połączeń nieodebranych – wyświetlała nieznany mu numer. Kątem oka widział, że światelko telefonu szefowej wciąż

świeci, a dolatujące zza drzwi słowa: „Kotku, wszystko będzie dobrze” utwierdziły pana sekretarza w pewności, że ma jeszcze chwilę czasu. Niewiele myśląc nacisnął przycisk „Yes” i po chwili uzyskał połączenie.

Langer kończył właśnie mieszać dość podłą kawę, gdy rozdzwoniła się leżąca na stole komórka. Pułkownik znudzony sięgnął po aparat, ale rzuciwszy okiem na numer zerwał się nagle. Drżącą ręką chwycił za telefon, strącając plastikowy kubek z gorącą kawą wprost na kolana siedzącego obok Kopacza. Ten pisnął jak szlachetowne prosię i wywrócił się wraz z krzesłem, co spowodowało małe zamieszanie. Langer, nie bacząc na nic, skoczył w róg namiotu i wrzasnął do telefonu:

– Czy pan Tomasz?

Sekretarz tak się zdziwił słysząc w słuchawce swe imię, że zaniemówił na chwilę, zaskoczony własną popularnością.

– Pan Tomasz? – krzyknął ponownie Langer.

– Tak, ale o co chodzi? – wyszeptał Tomasz, oblewając się zimnym potem.

– Czy może pan mówić?

– Bardzo krótko, pilnują mnie...

– Proszę słuchać – Langer nie pozwalał na żadne zbędne pogawędki. – Jest pan jedyną osobą w środku, która ma telefon. Proszę go strzec, bo to jedyna szansa na kontakt. Czy może mi pan powiedzieć, ilu terrorystów jest w Sejmie? Czy są ofiary? Co z prezydentami i ministrami?

– Nie wiem, ilu dokładnie. – Tomasz dyszał ciężko, bezskutecznie starając się opanować nerwy. – Około dwudziestu, może trzydziestu, nie więcej. Ofiar na razie chyba nie ma, w każdym razie nie wśród członków rządu. W czasie ataku zastrzelili jednego z obstawy prezydenckiej. To tyle, muszę kończyć!

– Jeszcze jedno – rzucił nie mniej spocony Langer. – Gdy tylko będzie to możliwe, proszę dać mi sygnał na komórkę. Wtedy oddzwonię do pana!

Tomasz bez słowa rozłączył rozmowę i schował śliski od potu telefon do wewnętrznej kieszeni marynarki. Przez chwilę oddychał jeszcze szybko, z trudem łapiąc powietrze. Spojrzał w lustro ścienne, w którym na co dzień pani minister Żukowska podziwiała swe wątpliwe wdzięki, i przeraził się – na śmiertelnie bladej twarzy wystąpiły mu czerwonosine plamy. Kilkakrotnie uderzył się po policzkach otwartą dłońią, aż skóra zaczerwieniła się i nienaturalne przebarwienia znikły. Pośpiech okazał się zbędny, bo wiszący na słuchawce uzbrojony dryblas swiergolił ze swym koteczkiem co najmniej przez kwadrans. Wreszcie czerwone światełko zgasło, Niższy Ortalion wrócił i ujrzał pana Tomasza siedzącego spokojnie na biurku pani minister, ze zrolowanym gobelinem i znudzoną twarzą.

– Idziemy – rozkazał flegmatycznie.

Tomasz, dzierżąc barwy narodowe, pomaszerował w kierunku marszałkowskiego gabinetu. Przy wejściu powitali ich Zani i Wyższy Ortalion.

- Długo wam to zajęło – zauważył komendant.
- Bo on strasznie się guzdrał – Niższy wskazał lufą na Tomasza – a poza tym musiałem zadzwonić do Weroniki.
- Do kogo?
- Weronika to jego panna – pospieszył z wyjaśnieniem Wyższy.
- Bierzcie się do roboty i przestańcie bredzić – warknął Zani niezadowolony, że jego ludzie na służbie pytają sobie z kochankami przez telefon. – Nie mamy czasu.
- Nie wiem, dlaczego zawracasz sobie dupę tą panną – burknął Wyższy Ortalion. – Przecież ona wygląda jak Sharon.
- Jak Sharon Stone? – zainteresował się Zani.
- Nie, jak Ariel Sharon – odpalił bezczelnie Wyższy.
- Nie twoja rzecz! – wrzasnął Niższy. – Czep się swojej...
- No dobra już, dobra – załagodził Wyższy, szczerząc zęby. – Nie stresuj się tak...

\* \* \*

Langer nie zdążył ochłonać po pierwszym telefonie, gdy irytujący dzwonek jego komórki rozległ się po raz drugi.

– Moje uszanowanie ponownie – usłyszał znajomy głos Zaniego. – Wybacz pan, że nie uprzedziłem o zwolnieniu zakładniczek. Za chwilę pod szlaban podjedzie wóz transmisyjny z ekipą telewizyjną. Proszę umożliwić im swobodne przejście i nie próbować żadnych głupich numerów.

– Oczywiście – przytaknął Langer. – Czy mogę liczyć na następną partię zakładników? Chciałbym...

Langer przerwał, ujrawszy przed oczami wyciągniętą dłoń admirała Świrskiego. Wilk morski, znieczepiony tymi pogaduchami młodszego stopniem, zapragnął pokazać, kto tu naprawdę rządzi.

- Proszę mnie zaanonsować – rzekł głośno. – Ja będę negocjował.
  - Panie admirale, za pozwoleniem...
  - Proszę o telefon, pułkowniku!
  - Co się tam dzieje? – niecierpliwie zapytał Zani.
  - Pan admirał Świrski pragnie rozmawiać z panem. Jest on obecnie najstarszym stopniem oficerem sił zbrojnych i formalnie rzecz biorąc on tu dowodzi.
  - Doprawdy? – Zani uśmiechnął się rozbawiony. – Okay, proszę mi dać pana admirała.
- Langer przekazał komórkę Świrskiemu.
- Mówi admirał floty Świrski, dowódca Marynarki Wojennej...
  - Ach, cóż za zaszczyt rozmawiać ze Słońcem Bałtyku – bezczelnie przerwał mu Zani, na co admirał facjata oblała się purpurą. – Cóż sprowadza taką figurę na nasze skromne

śmieci?

– Nie jestem żadnym słońcem – warknął matros, choć zdawał sobie doskonale sprawę, że zaraz po obrazowym rzeczowniku „Gąbka” właśnie „Słońce Bałtyku” należało do ulubionych przezwisk, jakimi obdarzali swego dowódcę oficerowie marynarki.

– No dobrze już, dobrze – zachichotał szczerze ubawiony Zani. – Czego pan chce?

– Jako najwyższy stopniem oficer Sił Zbrojnych obejmuję niniejszym dowództwo całej operacji...

– Panie admirale Świrski – Zani błyskawicznie zmienił ton – jako najwyższy stopniem oficer Sił Zbrojnych może pan na razie objąć co najwyżej swą małżonkę. Negocjować będę wyłącznie z pułkownikiem Langerem. A jeśli będę chciał się pomodlić, niechybnie do pana zadzwonię!

Langer, choć nie słyszał słów Zaniego, wywnioskował z wyrazu admirałskiej fizjonomii, że nieszczególnie przypadły mu do gustu. Wściekły admirał zagryzał przez chwilę dolną wargę, po czym bez słowa zwrócił aparat Langerowi.

– Ponownie kłania się Langer. O czym to mówiliśmy?

– Zaproponowałem admirałowi wspólny różaniec.

Langer parsknął śmiechem ku zaskoczeniu pokoju 240, zdziwieniu grubego i chudego gliny i wściekłości pana admirała.

– A więc, mój drogi pułkowniku, przepuściecie ekipę telewizyjną na dziedziniec za szlabanem. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, uwolnię większość małżonek panów parlamentarzystów. Pana, panie pułkowniku, dodatkowo obarczę zadaniem zorganizowania picia, jedzenia i koców dla zakładników. Tylko bez infantylnych prób przemycenia pilnika w bułce czy liny w słoiku z dżemem.

– Wszystko będzie załatwione tak, jak pan sobie życzy. Czy wolno mi zapytać o kondycję zakładników?

– Zakładnicy – Zani wahał się przez chwilę – zakładnicy, biorąc pod uwagę obecne warunki, mają się dobrze. Proszę pamiętać o ekipie telewizyjnej. Później zadzwonię do pana i ustalimy sposób przekazania żarcia dla zakładników.

Rozmowa zakończyła się i pułkownik odłożył telefon. Admirał Świrski spojrzał na niego z wyrzutem, okraszając gębę miną obrażonej primadonny.

– „Załatwione tak, jak pan sobie życzy” – całkiem udanie parodiował niski głos Langer.

– „Czy wolno mi zapytać...”. Cacka się pan z tym bandytą jak z wielkanocnym jajem, pułkowniku. Oni muszą czuć naszą siłę! Z takimi trzeba ostro i po męsku! W podległej mi marynarce podobna rzecz...

– Z całym szacunkiem, panie admirale – bezceremonialnie przerwał mu Langer – postępowanie z nimi ostro i po męsku w sytuacji, gdy trzymają w garści najważniejsze osoby w tym kraju, mogłoby przynieść oplakane skutki. Panie generale Wawrzyniak!

Siedzący dotąd beczynn timer tłuścioch z zadziwiającą lekkością poderwał monstrialne

cielsko.

– Słucham?

– Zechce pan, jeśli łaska, pójść ze mną i nakazać policjantom przepuszczenie wozu transmisyjnego na teren Sejmu.

Nie zwracając więcej uwagi na admirała, Langer w asyście grubasa wyszedł z namiotu. Ściemniało się już powoli. Langer z Wawrzyniakiem ruszyli w stronę pomnika Armii Krajowej, którego strzelista iglica górowała nad okolicą. Niski, metrowy murek otaczający pomnik, upstrzony nazwami bitew, stanowił teraz dodatkową zasłonę dla policjantów. Grubas wyforsował się naprzód i wydał niskiemu rudemu komisarzowi pospieszne rozkazy. Ten ruszył biegiem w stronę wylotu ulicy Wiejskiej i po chwili kordon policjantów rozstał się, żeby przepuścić wóz transmisyjny Telewizji Publicznej.

Kierowca zatrzymał się lekko zdezorientowany, ale Langer wyprzedziwszy Wawrzyniaka wskazał mu szlaban. Sam pobiegł do biało-niebieskiej budki opuszczonej przez strażnika i nacisnął przycisk unoszący zapórę. Biały volkswagen z zamontowaną na dachu anteną powolutku wtoczył się na teren Sejmu i ruszył w stronę parkingu.

Feri dyskretnie uchylił drzwi wejściowe Kancelarii Sejmu i wystawił na zewnątrz swoją ptasią głowę. Biały bus Telewizji Publicznej sunął dostojnie po nieodśnieżonej drodze. Feri z Artim zacisnęli ręce na metalowych kolbach, a na pierwszym piętrze Cichy stanął w oknie z granatnikiem przeciwpancernym, gotów w każdej chwili roznieść pudło transmisyjne na strzępy. Wóz zatrzymał się pod dachem. Feri ruszył powoli z odbezpieczonym karabinem, nieudolnie naśladowując kocie ruchy antyterrorystów. Wysoki, przeraźliwie chudy kierowca najdelikatniej w świecie otworzył drzwi i równie delikatnie wysiadł, natychmiast podnosząc ręce do góry. Feri nie dał się jednak zwieść jego potulnej minie i kontynuował zabawne skradanie się do bocznych drzwi furgonetki.

– Wyłączyć! – usiłował krzyknąć, ale pierwsza faza przeziębienia zmieniła mu głos w nader interesujący kwik. – Szybciej!

Drzwi uchyliły się i z wozu wysiadła nadzwyczaj otyła sylwetka, opięta obcisłym swetrem i uzbrojona w parę okazałych okularów. Za nią wyskoczył lalusiowaty młodzik w skórzanej kurteczce, na którego Arti z Ferim zwrócili uwagę jako na potencjalnego antyterrorystę w przebraniu. Jako ostatni wyładował się podtatusiały operator dźwięku z długim, zawieszonym na tyczce mikrofonem.

Ubezpieczony przez Artiego, Feri dość dokładnie obszukał ekipę, najdłużej obmacując młodego. Nie znalazłszy nic szczególnego, zabrał się za torby i przez dłuższą chwilę buszował wśród statywów, obiektywów i innych części filmowego warsztatu, sapiąc jak miech. W końcu skinął łaskawie na techników i cała gromadka ruszyła do środka. Feri zastanawiał się przez chwilę, czy nie warto im, wzorem średniowiecznych templariuszy, zawiązać oczu, lecz w porę się zorientował, że wówczas sam musiałby dźwigać przyniesiony przez nich sprzęt. Ruszył więc przodem i poprowadził zgiętych pod ciężarem sprzętu

techników w kierunku gabinetu marszałka.

Zani oczekiwał ich z niecierpliwością, spacerując nerwowo tam i z powrotem. Tomasz siedział za biurkiem marszałka i stukał rytmicznie w stół. Gruby okularnik, pełniący najwyraźniej rolę szefa całego teamu, wtoczył się pierwszy i przystanął na progu, nieśmiało lypiąc spoza silnych szkieł.

– Proszę bliżej – rzucił Zani, podchodząc do ekipy szybkim krokiem. – Proszę przygotować sprzęt do transmisji i ustawić światła. Moim zdaniem najlepszym miejscem będzie ten stół.

Tłuścioszek przyjrzał się wskazanej przez komendanta podłużnej ławie obstawionej krzesłami i bez słowa skinął głową. Reszta ekipy, zmęczona dźwiganiem sprzętu i mocno przestraszona widokiem broni, rażno zabrała się do dzieła, przemeblowując marszałkowski apartament. Oklepany dokładnie przez Feriego młodzian okazał się wizażystą i na marszałkowskim biurku ułożył walizeczkę pełną najróżniejszych pudrów i kremów, które mogły uczynić Leonarda di Caprio z największego nawet brzydala.

– Który z panów będzie przemawiał? – zapytał cienkim głosikiem, czyniąc zniewieściałe gesty. – Zapraszam do mnie.

Zani ruszył w kierunku młodzianka, który na widok jego zmęczonej, szarej twarzy z podkrążonymi oczyma westchnął cichutko.

– A to po co? – zapytał zdezorientowany komendant. – To jest rewolucja, a nie wybory Miss Podlasia.

– Rewolucja nie rewolucja, kamera jest bezlitosna. – Ciotowaty młodzianek pokręcił wyżelowaną główką. – Wyłapie wszelkie niedociągnięcia. Ale my to w mig usuniemy, żeby prezentował się pan świeżo i rześko.

Feri i Martinez, krztusząc się ze śmiechu, obserwowali tę konwersację, mimowolnie szczerzył się również Tomasz. Mistrz wizażu wprawnie usadził Zaniego na krzesło i mimo jego słabych protestów przystąpił do dzieła, mamrocąc pod nosem:

– O, tu i tu... zniwelujemy te kurze łapki pod oczami... Niezdrowy fiolecik ustąpi zdrowemu różowi... I jeszcze tu... o tak... Podkładzik sprawi, że buźka nie będzie się świecić... Powinien pan częściej ścierać zużyty naskórek... Używa pan może mydełek siarkowych?

Feri nie wytrzymał i parsknął śmiechem, wywalając na wierzch bladuróżowy jęzor. Martinez także rżał, choć nieco dyskretniej, zaś flegmatyczny Arti pozwolił sobie jedynie na lekki grymas, od biedy przypominający uśmiech. Zani zerwał się z krzesła i widząc taki brak dyscypliny, wałnął pięścią w stół. Rechot ucichł nieco, ale Feri nadal chichotał, tłukąc z radości otwartą dłońią w magazynek kałacha.

– Dosyć tych śmiechów – warczał Zani, usadzany na powrót przez młodzianka. – Orędzie do narodu to poważna sprawa!

– Tak, tak – włączył się znów pudermistrz, pokrywając twarz Zaniego kolejną warstwą



kremu. – Przemawianie to trudna rzecz. A jeśli do tego buźka się świeci, to człowiek źle wypada. Kamera jest bezlitosna i...

– Ja będę bezlitosny, jeśli się nie uciszysz – syknął Zani, którego ta sytuacja również zaczęła po trosze bawić.

Chłopię umilkło zestrachane i po cichutku kończyło zabiegi upiększające, podczas gdy pozostali członkowie ekipy ustawiali światła, rozplątywali zwoje kabli i podłączali sprzęt.

Gruby szef ekipy nieśmiało zbliżył się do Zaniego, który właśnie z niesmakiem przeglądał się w lustrze, podziwiając swoje upudrowane oblicze.

– No co tam – spytał nie odwracając się – gotowe?

– Proszę pana, tu nie ma wystarczającej liczby gniazdek. Potrzeba nam kilka przedłużaczy, a my ich ze sobą... wie pan... nie mamy... nie?

Zani odwrócił się i wskazał na siedzącego wciąż Tomasza. Ten podniósł się szybko zza marszałkowskiego biurka i podszedł do komendanta.

– Eeee... mruknął Zani – jak ty się...

– Tomasz.

– A tak, Tomasz. Więc pójdziesz zaraz, Tomaszu, i skombinujesz panom kilka przedłużaczy. Da się coś znaleźć?

– Tak, w pokoju pani minister jest ich kilka. Mam przynieść?

– Tak, przynieś... Martinez pójdzie z tobą.

Tomasz jednak musiał pójść sam, gdyż okularnik zatrudnił Martineza do pomocy w ustawianiu świateł. Zani wahał się przez chwilę, ale pozwolił sekretarzowi odejść, przykazując mu tylko, żeby nie oddalał się zanadto. Korytarz obstawiali ludzie z sekcji Feriego, więc ucieczka była niemożliwa.

Tomasz ruszył w stronę gabinetu pani minister, z radością myśląc o kolejnym akcie destrukcji w jej dotąd niedostępnym dla plebsu królestwie. Wpadł do pokoju, zanurkował pod biurko szefowej i zaczął wyrywać przedłużacze z płataniny komputerowych kabli. Nagle, idąc za myślą, która zaświtała mu w głowie, chwycił telefon i wybrał numer Langerera.

Pułkownik wraz z admirałem i całą resztą obserwowali właśnie przez lornetkę myśliwską Gałązki okna Sejmu, gdy rozdzwonił się Langerowy telefon. Langer ściągnąwszy rękawicę wyszarpnął komórkę z wewnętrznej kieszeni munduru i odebrał.

– Tak?

– Mówi Tomasz – usłyszał przytłumiony głos. – Niedługo przywódca tych terrorystów wygłosi na żywo przemówienie telewizyjne. Muszę kończyć.

Langer chciał powiedzieć coś jeszcze, ale przerywany sygnał w komórce uświadomił mu, że rozmowa skończona.

Matki i córki, synowie i ojcowie, duchowni i świeccy, cywile i mundurowi, zaangażowani i mający wszystko w dupie, zakochani i nienawidzący – wszyscy obywatele Najjaśniejszej Rzeczypospolitej zasiedli o godzinie dziewiętnastej przed spoiwem rodzinnego życia:

telewizorem. Komunikaty o przemówieniu poszły w eter na osobiste i podszyte tchórzostwem polecenie prezesów Podsiadły, Sandrowskiego oraz Modela i zgromadziły przed kineskopami cały przekrój społeczeństwa.

– Proszę państwa, panie i panowie – zaczęła uroczyście Ela Komorowska, urocza, choć nadgryziona nieco zębem czasu spikerka Telewizji Publicznej. – Wysłuchają państwo orędzia komendanta rewolucyjnych sił zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej, pana Krzysztofa Zaniewicza.

Ela znikła z ekranów, a na jej miejscu Polacy ujrzeli Zaniego, siedzącego w połowym mundurze bez dystynkcji na tle biało-czerwonej flagi i nóg Orła Białego, gdyż całe godło nie mieściło się w kadrze. Napięta twarz Zaniego, blada pomimo makijażu, kontrastowała z krwistą czerwienią barw narodowych.

– Panie i panowie, obywatele Rzeczypospolitej Polskiej, rodacy – zaczął dość pompatyczne Zani, mnąc w rękę kartki z przemówieniem, które napisał razem z Ferim. – W dniu dzisiejszym stały się rzeczy niezwykle i brzemiennie. Grupa patriotów pod moją komendą dokonała zbrojnego przejęcia władzy i aresztowała członków Zgromadzenia Narodowego, członków rządu oraz prezydentów Rozwadowskiego i Starynkiewicza. W rękach naszych znaleźli się również przedstawiciele najwyższych władz państwowych i wojskowych.

Ludzie, którymi mam zaszczyt dowodzić, to kochający ojczyznę obywatele, którzy podobnie jak ja nie mogli dłużej znosić postępującej degradacji państwa polskiego i rozkradania go przez świętokradcze łapska tak zwanych elit politycznych. Decyzja o sięgnięciu po tak drastyczne środki nie była łatwa, ale podjęliśmy ją wspólnie, nie widząc innego wyjścia z sytuacji. Zdrajcy, mieniący się przedstawicielami narodu, a naprawdę będący tego narodu ciemieżycielami, zostali aresztowani i niniejszym pozbawieni funkcji publicznych.

Zanim się to jednak stało, Zgromadzenie Narodowe obradujące pod naszym kierownictwem przyjęło nową konstytucję, przekształcającą nasz kraj w republikę prezydencką. Daliśmy tym samym czytelny sygnał obywatelom Polski, a także całemu światu, że zryw nasz nie jest zamachem wojskowym i nie zmierza ku dyktaturze. Tekst konstytucji zostanie jak najszybciej opublikowany, żeby każdy z was, moi rodacy, mógł się z nią zapoznać.

Zdajemy sobie doskonale sprawę, że akcja nasza może chwilowo zdestabilizować sytuację w kraju. By temu zapobiec, powołuję niniejszym Rząd Tymczasowy, na czele którego stanę jako premier i Wódz Naczelny. Rząd ten wypełni lukę powstałą po rozwiązanych dotychczasowych instytucjach państwowych i istnieć będzie do czasu wyborów, które odbędą się zgodnie z literą nowej konstytucji.

Apeluję do żołnierzy i funkcjonariuszy służb mundurowych o spokój i podporządkowanie się decyzjom Rządu Tymczasowego. Apeluję do wszystkich obywateli, by jutro przystąpili do

swych codziennych obowiązków i wykonywali je sumiennie i profesjonalnie. Zegar historii zatoczył koło. Boże, chroń Rzeczpospolitą!

Matki i córki, synowie i ojcowie, duchowni i świeccy, cywile i mundurowi, zaangażowani i mający wszystko w dupie, zakochani i nienawidzący ze zdumieniem słuchali słów młodego człowieka. Żart? Prowokacja? Nowy reality show? Na chwilę kraj nad Wisłą zamarł, zdumiony i oszołomiony tym, co przed chwilą usłyszał.

Zani utrzymał jeszcze przez chwilę nadęty wyraz twarzy, co z uwagi na grubą warstwę pudru stanowiło wyczyn nie lada, po czym opuścił wzrok i oparł się o stół. Gdy grubas zza kamery dał znać, że transmisja skończona, komendant opadł na krzesło, ocierając pot, który ściekał obficie i mieszał się ze specyfikami wizażysty. Feri podszedł do szefa i nachyliwszy się nad nim, rzekł:

– Gratuluję, panie premierze...

## Rozdział 10

Obserwowana przez policjantów zza pomnika telewizyjna furgonetka ruszyła spod wejścia do Kancelarii Sejmu, sunąc powoli w stronę uniesionego wciąż szlabanu. Na polecenie Langer a policjanci skierowali ją w lewą stronę, w kierunku skrzyżowania z Piękną. Kierowca posłusznie manewrował wzdłuż szpaleru policyjnych radiowozów i skręcił w Piękną, mijając wypatroszoną konstrukcję remontowanej właśnie ambasady francuskiej. Prowadzący w okolicy rozpoznanie Balas chciał koniecznie umieścić swoich snajperów na placu budowy i tylko przytomna interwencja Halberta zapobiegła naruszeniu suwerennego terytorium Republiki Francuskiej przez Balasowych strzelców wyborowych.

Furgonetka zatrzymała się za zakrętem, niewidoczna już z gmachu Sejmu. Policjanci bezceremonialnie wyciągnęli z wozu ekipę tłustego okularnika i zawlekli ją prosto do namiotu sztabowego. Solidnie zestresowanym technikom nie dane było jednak odsapnąć, gdyż z rąk uzbrojonych bojówkarzy trafili prosto w łapy sztabu kryzysowego.

- Ilu ich jest?
- Co z uzbrojeniem?
- Czy macie jakieś zdjęcia z wewnątrz?
- Co z zakładnikami?

Oślepieni jarzeniówką i zasypani pytaniami tłuscioch, pedałek i dwóch techników zaczęli mamrotać coś od rzeczy, mrużąc oczy i instynktownie zbijając się w kupę. Widząc to Langer uciszył gestem sztabowe towarzystwo i wskazał ekipie składane krzeselka, zagadnął:

- Napiją się panowie herbaty?

TV Team przytaknął jednocześnie, dzisiaj bowiem nie potrafił już nikomu odmówić. Po minucie pili wrzątek wciąż zestrachani, siorbiąc niemiłosiernie i wystawiając cierpliwość gospodarzy na ciężką próbę.

– Interesuje nas wszystko, co panowie widzieli wewnątrz. – Langer starał się nadać głosowi ciepłe brzmienie. – Liczba terrorystów, ich rozmieszczenie, broń, którą dysponują, ich stan psychiczny... Wszystkie, nawet najmniejsze panów spostrzeżenia mogą mieć kolosalne znaczenie dla uratowania zakładników. Przede wszystkim proszę powiedzieć, czy udało się panom zrobić jakieś zdjęcia w środku?

- Nie, nieftety nie – wyseplenił grubas wietrząc poparzony herbatą jęzor – kamery i sały

spsent polecili nam zostawić fawnąts. Nisego nie posfolili wynieść se sobą.

– No, nie tak do końca – wtrącił zniewieściały wizazysta swoim koszmarne wysokim głosikiem. – Mnie na ten przykład pozwolili zabrać moją małą walizeczkę...

Kujawa i Czernicki wyszczerzyli zębiska w głupawym uśmiechu, a generał Weiss mimowolnie pomacał się po tyłku.

– A so do stanu psychisnego – seplenił dalej gruby – to trudno powiedzieć. Fyglądali na smęsonych, lec rusali się w miarę swawo...

– Mieli bardzo zmęczoną i zaniedbaną cerę – wtrącił znów wyżelowany niuniek – świadcząca o zmęczeniu i braku snu. Gdyby nie moja walizeczka...

– A co z zakładnikami? – przerwał Langer, choć i jemu zbierało się na śmiech. – Widzieliście ich?

– Nie – zaprzeczył szefunio, a ciota i dwóch pozostałych potwierdzili skinieniem głów: – Nie widzieliśmy żadnego.

– A uzbrojenie? – pytał Weiss. – Czym dysponują?

– Hm... niech pomyślę – mruknął gruby przecierając okulary o sweter. – Są uzbrojeni po sęby. Mają sdaje się te no... kałasnikofy! – rzekł głośniejszym zadowolony z siebie i swej wiedzy na temat broni palnej. – W kasdym rasie wyglądają na sdeterminofanych.

– Tak, tak – dorzucił pedzio – bardzo zdeterminowanych! Takich zaniedbanych fryzur i paznokci to ja dawno nie...

– Wystarczy! Dziękuję panom, są panowie na razie wolni. – Pułkownik machnął ręką ze zniecierpliwieniem. – Proszę jednakże pozostać na miejscu i zostawić swoje zamiary.

Gruby nagryzmolił na kartce swój numer telefonu, a cherubinek wyciągnął z błyszczącego pudełeczka wyperfumowaną wizytówkę i wręczył Langerowi.

– Oto mój bilecik wizytowy. Gdyby pan oficer znalazł wolną chwilę, zapraszam na mały zabieg odświeżający. Godzinka nie minie, a poczuje się pan jak nowo narodzony.

Cały sztab chichotał, zapominając na chwilę o ponurej scenarii zamachu i setnie się bawiąc. Każdy z pozostałych również otrzymał pachnącą wizytóweczkę z wyjątkiem generała Weissa, który ze wzgardą odmówił jej przyjęcia i trzymał niuńka na dystans.

Langer spojrział na zegarek – dochodziła godzina dwudziesta pierwsza. Czas był najwyższy, żeby przekazać zakładnikom żywność i koce. Korzystając więc z kłótni, która wywiązała się między Świrskim a kwestionującym admirałskie kompetencje na lądzie Weissem, Langer wyciągnął telefon i połączył się z numerem Zaniego.

– Tak? – usłyszał senny głos Feriego. – Kto tam?

– Mówi pułkownik Langer, chciałbym rozmawiać z waszym szefem.

– Pana premiera teraz nie ma – warknął Feri, kładąc szczególny nacisk na pierwsze dwa słowa. – O co chodzi?

– Chciałbym przekazać żywność i zaopatrzenie dla zakładników. Chcę ustalić procedurę przekazania towarów. Gdzie mogą podjechać furgonetki z zaopatrzeniem?

– Żadnych samochodów – zaprotestował szybko Feri. – Żarcie i inne rzeczy proszę przenieść za szlaban i złożyć pod arkadami przy wejściu głównym do Sejmu. Towar nosić będzie nie więcej niż czterech policjantów bez żadnego uzbrojenia. Jasne?

– Jasne! Czy możemy zacząć?

– Możecie.

Niespełna kwadrans później różnokolorowe reklamówki, zawierające wiktuały i butelki z wodą mineralną ściągnięte z okolicznych sklepów, utworzyły w okolicach pomnika wielki stos. Czterech wytypowanych przez Wawrzyniaka gliniarzy, zrzuciwszy oporządzenie, rozpoczęło godną Syzyfa pracę, targając zaopatrzenie na wyznaczone miejsce. Sztab kryzysowy nadzwyczaj zgodnie odrzucił sugestie podinspektora Balasa, który proponował, żeby jego ludzie nosili zaopatrzenie i korzystając z okazji, dokonali bliższego rozpoznania. Langer nie miał jednak zaufania do gorąco krwistych komandosów i polecił Wawrzyniakowi wyszukać funkcjonariuszy niewyróżniających się posturą.

Zani obserwował rosnącą górę zaopatrzenia z okna nad arkadami, ubezpieczony przez Ortalionów i Artiego, którzy pilnowali policjantów przekwalifikowanych na tragarzy. Zani zarządził wzmożoną czujność na terenie całego Sejmu, wiedząc, że dostarczanie zaopatrzenia to dogodna okazja dla ewentualnego ataku.

Piętro niżej Martinez z trzema kolegami obserwowali uwijających się w świetle latarni gliniarzy. Znoszenie zapasów zajęło ponad godzinę. Gdy w końcu sterta spod pomnika przeniesiona została pod drzwi Kancelarii, ubezpieczani ludzie Martineza rozpoczęli wnoszenie zapasów do holu głównego i dalej w stronę sejmowych kularów. Nie spieszyli się bynajmniej, nadwerężając nieco zapasy i popijając je z konieczności wodą mineralną.

Zani ociężałym krokiem ruszył w stronę gabinetu marszałka, który przeznaczył na swoją kwaterę reprezentacyjną. Teraz dopiero poczuł śmiertelne zmęczenie, które powoli zwyciężało jego osłabiony organizm. Wyższy Ortalion, widząc słaniającego się szefa, podparł go ramieniem i razem z Artim oraz Ferim ruszyli do kwatery marszałka Sejmu, gdzie grał cicho włączony telewizor. Zani ostatkiem sił dowlókl się do pokoiku przyległego do marszałkowskich salonów. Oparł się ciężko o zawalone szpargałami biurko. Chciał jeszcze coś powiedzieć, coś zarządzić, coś dodać, ale zmęczenie zwyciężyło i samozwańczy premier zaległ na wyściełającej podłogę miękkiej wykładzinie.

Feri przymknął drzwi i dołączył do kumpli, którzy ustawivszy krzesła w półokręgu, zasiedli przed telewizorem.

\* \* \*

– Dobry wieczór państwu, Tatiana Piątkowska. Witam państwa w wydaniu specjalnym Monitora Codziennego – dramatycznie wołała do kamery tleniona blondynka – w dniu, który na zawsze przejdzie do historii naszego kraju!

Efektowna pauza podkreśliła atmosferę powagi i skupienia, panującą w rozświetlonym studiu Telewizji Publicznej. Siedzący naprzeciwko pani redaktor goście pochylili się w nabożnym milczeniu nad stołem, zastawionym szklankami z sokiem cytrynowym.

– Nikt nie spodziewał się tej chwili, nikt nie przewidywał, nikt nie alarmował – z wystudiowaną rozpaczą ciągnęła Piątkowska – a jednak terroryzm dotarł nad Wisłę, uderzając najboleśniej i najokrutniej: w serce demokratycznego państwa. To wydarzenie bez precedensu w dziejach uwidocznilo kryzys państwa polskiego. Należy w ogóle zadać sobie pytanie: czy Polska nadal istnieje? Bez władz, bez przedstawicieli, bez elit? To pytanie kieruję do naszych gości zaproszonych do studia. A są nimi: pan generał Jędrzej Byliński, były dowódca jednostki specjalnej „Piorun”, pani profesor Jagna Rastikis, socjolog, pan profesor doktor habilitowany Wojciech Adam Konstantynowicz, politolog i konstytucjonalista, pan doktor habilitowany Roman Wawrzyszew, prorektor wydziału Stosunków Międzynarodowych, pan Janusz Kopecki, niezależny publicysta, oraz były szef Sztabu Generalnego, pan generał broni Fryderyk Tokarski. Witam państwa.

Siwawe głowy zacnego grona pochyliły się dostojnie, oddając ukłon pani redaktor i bacząc, by nie upaprać koszul pudrem, którym charakteryzatorka obsypała ich obficie przed emisją. Głowy popatrzyły na siebie w milczeniu, ustępując sobie wzrokiem pierwszeństwa. Wreszcie odezwał się brodaty doktor Wawrzyszew, mówiąc szybko i niezwykle potoczycie:

– Odpowiadając na pytanie pani redaktor, zwrócę uwagę na pewien aksjologiczny paradygmat: z prosta rzecz ujmując, pytanie o ciągłość konstytucyjną państwa wydaje się być zasadne. W końcu w rękach terrorystów znaleźli się przedstawiciele najwyższych władz państwowych. Tym samym proces decyzyjny państwa został całkowicie sparaliżowany. Co więcej, można tu nawet mówić o swoistej próżni konstytucyjnej, którą opisałem dokładnie w swej najnowszej publikacji pod tytułem „Mechanizmy strukturalno-konformistyczne w aspekcie deformacji systemowo-ustrojowej”, którą chciałem państwu serdecznie polecić...

– Tak, tak – przerwała Piątkowska – skupmy się jednak na zaistniałej sytuacji. Czy bezprecedensowy zamach na najwyższe władze państwowe pozostawia jakieś pole manewru?

– Pozwolę sobie zauważyć – słodkim i delikatnym głosem odezwał się odziany w niechlujną dżinsową imitację garnituru profesor Konstantynowicz – że mój szanowny kolega myli się, upatrując w zaistniałej sytuacji przyczyn natury konstytucyjnej. Moim zdaniem mamy tu do czynienia z przemyślanym i dobrze zaplanowanym puczem reakcyjnym, mającym swe korzenie nie tyle w instytucjonalnych podwalinach państwa, ile w strukturze społeczeństwa obywatelskiego, które przeżywa obecnie wielki kryzys. W mojej najnowszej publikacji pod tytułem „Upadek konserwatywnej myśli socjalizacyjnej w ujęciu postmodernistycznym” wyraźnie wskazuję na...

– Czy jednak państwa zdaniem – warknęła Piątkowska niezadowolona, że jej egzaltowane pozy przesłania dysputa dwóch wyliniałych profesorów – istnieją obecnie legalne metody na podtrzymanie władzy państwowej?

– Martwota intelektualna elit i ciągnący się za nimi smród poprzedniej epoki – odezwała się swymi umalowanymi na krwisto ustami profesor Rastikis – oto podstawa układu, który opanował system polityczny! To całe gadanie o reformach i naprawie państwa w ustach ludzi z układu doprowadziło do wybuchu niezadowolenia. Nie muszę dodawać, że już od dawna alarmowałam i przewidywałam podobny rozwój wypadków!

– Należałoby się zastanowić nad fenomenem działań rzeczonych terrorystów, noszącym wszelkie znamiona doskonałego rozeznania w materii konstytucyjnej – podjął Wawrzyszew.  
– Z dzisiejszych wypadków jasno bowiem wynika, że nie mamy do czynienia ze zwykłą prymitywną juntą wojskową kolorytu latynoamerykańskiego, lecz z rodzajem ustrojowego przewrotu, usilnie starającego się zalegalizować swe działania. Rozpatrując rzecz z tego punktu widzenia, przyznać trzeba, że ustanawiając rząd tymczasowy, zamachowcy w istocie stali się formalnym ośrodkiem władzy. Nie wiem tylko, czy mój szanowny kolega zgodzi się z moim tokiem rozumowania.

– Zgodzę się generalnie z moim kolegą, choć trzy aspekty jego tezy wymagają gruntownej rekonstrukcji. Po pierwsze, pozory legalności, jakie nadali sobie terroryści, są i muszą pozostać w demokratycznym państwie prawa jedynie pozorami. Po drugie, formalny ośrodek władzy nie znamionuje właściwej władzy wykonawczej, a jedynie jej namiastkę. I po trzecie wreszcie, mój szanowny kolega mija się z prawdą, sugerując zaistnienie ustrojowego przewrotu. Sądzę, że to raczej oligarchiczna forma...

– Oczywiście, oligarchiczna – Piątkowska ze złością przerwała akademicką paplaninę. – Czy zdaniem pana generała ostatnie wypadki noszą znamiona zamachu stanu? Pytanie kieruję do pana generała Bylińskiego, który, jak państwu doskonale wiadomo, jest byłym dowódcą elitarniej jednostki antyterrorystycznej „Piorun”.

– To jest operacja wojskowa – wycedził Byliński, pogardliwie patrząc na profesorów – i żadne tam cywilne pie... mówienie niczego nie zmieni. To jest operacja wojskowa.

– Czy zatem mamy do czynienia z próbą wprowadzenia dyktatury? – Piątkowska przybrała dramatyczną minę nr 3, stosowaną tylko przy szczególnych okazjach.

– Nie. Tego nie powiedziałem – monotonna jak wahadło zegara dukał generał. – To jest... operacja wojskowa. Wskazuje na to doskonały poziom wykształcenia nieprzyjaciela, jego walory taktyczno-bojowe i determinacja. Dlatego to jest... operacja wojskowa.

– Istotnie mamy do czynienia z atakiem, który nie mieści się w założeniach nowoczesnej myśli taktycznej. – Melodyjny głos byłego szefa sztabu generała Tokarskiego kontrastował z mechaniczną artykulacją Bylińskiego. – Sądzę, opierając się na moim wieloletnim doświadczeniu, że mamy do czynienia z międzynarodową grupą terrorystyczną, bez wątpienia powiązaną z Al-Kaidą Osamy Bin Ladena. Wskazują na to zarówno ostatnie doniesienia naszego wywiadu, jak i wspomniane przez mojego poprzednika świetne wykształcenie i uzbrojenie bojowców.

– Z tego, co panowie mówią – Piątkowska do miny numer 3 dorzuciła jeszcze łyżę w



oczach – wynika jasno, że nasza ojczyzna i jej niepodległy byt znalazły się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Ale przecież mamy policję! Mamy armię! Mamy sojuszników i przyjaciół!

– Ale nie mamy złóż ropy – ponuro odezwał się milczący dotąd publicysta Kopecki – a w obronie naszych pól ziemniaczanych nikt nie wystąpi.

– Plecie pan bzdury – zagotował się Tokarski. – Zobowiązania sojusznicze zostaną dotrzymane! Mamy gwarancje naszych sojuszników i odpowiednie zapisy traktatowe.

– W trzydziestym dziewiątym też mieliśmy gwarancje i traktaty, mój panie – odpalił Kopecki. – Zadziwia mnie pańska niezmacona wiara w pomoc z zewnątrz!

– Na razie jedyną nadzieją na przywrócenie status quo jest opór oligarchów – wtrąciła Rastikis. – Rząd Tkaczyka przez całą swoją kadencję nie robił nic innego, jak tylko zabezpieczał ich brudne interesy, rozbudowując partyjniactwo i pajęczynę polityczno-biznesowych koneksji!

– Czy jednak obecnego kryzysu nie możemy zwalczyć własnymi środkami? – zapytała blondyna, zachwycona wzrostem temperatury dyskusji. – Z doniesień reporterów wynika, że jednostki wojskowe zabezpieczyły najważniejsze punkty w mieście.

– Zatem postąpiły nierozsądnie, a co gorsza, nielegalnie – odezwał się Konstantynowicz, drapiąc się po przetłuszczonej łepetynie. – Zabezpieczenie porządku publicznego to zadanie policji. Ustawa wyraźnie określa zasady użycia wojska w operacji wspomagającej siły policyjne.

– Kto zatem może zadecydować o użyciu wojska?

– Zgodnie z artykułem 18 ustęp trzeci ustawy o Policji z 1990 roku o użyciu wojska w takich przypadkach decyduje Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej na wniosek Prezesa Rady Ministrów.

– Zgadza się – Piątkowska podkreśliła swoje słowa teatralną mimiką – ale przecież zarówno prezydent, jak i premier są zakładnikami. I co wtedy?

Siwa głowa profesora pochyliła się lekko do przodu, palce obu dłoni złączyły się znamionując dostojną zadumę. Profesor odetchnął głęboko i poprzedzając wypowiedź efektowną pauzą, odparł:

– Takiej sytuacji ustawa nie przewiduje.

Po słowach profesora w studiu zapadła cisza. Tleniona blondyna po wyczerpaniu zapasu kabotyńskich min pozwoliła na krótką przerwę, podczas której zastosowała sprawdzony numer z szybkim oddechem i falującymi piersiami.

– Poza tym sytuację komplikuje fakt – ciągnął Wawrzyszew – że tak naprawdę nie wiadomo, kto w chwili obecnej jest prezydentem Rzeczypospolitej Polskiej. A tak – dodał z nieukrywaną dumą, widząc zdziwione miny obecnych w studiu. – Proszę zwrócić uwagę, że atak terrorystyczny nastąpił w momencie składania przysięgi przez nowo wybranego prezydenta Starynkiewicza. Formalnie rzecz biorąc, nie wiadomo, czy przysięgę dokończył,

czy nie.

– Jednym słowem należy otwarcie przyznać, że to terroryści są górą – ze złośliwą satysfakcją powiedział Kopeccki – bo mimo wyrzucenia ogromnych pieniędzy na procedury ochronne nikt nie miał tyle wyobraźni, żeby przewidzieć, że co najmniej raz na pięć lat odbywa się impreza, na której wszystkie grzybki gromadzą się w jednym barszczu. I wystarczy tylko w odpowiednim momencie przytrzasnąć je pokrywką. I to wy, moi państwo, musicie zeżreć ten barszczyk. Ze wszystkimi uszkami.

– Oglądali państwo wydanie specjalne „Monitora Codziennego”. – Piątkowska na zakończenie zaprezentowała serię sugestywnych tików nerwowych, uzupełnionych drżącym głosem. – Dziękuję gościom w studiu, dziękuję państwu. Oby te tragiczne chwile, które teraz przeżywamy, okazały się tylko koszmarnym snem... Dobranoc państwu... Dobranoc...

## Rozdział 11

Sen miał dziwny, niespokojny, ale nie koszmarny. Siedział za biurkiem w marszałkowskim gabinecie i patrzył przed siebie bez celu. Nagle z zielonego arrasu zeskokczyły postacie tancerzy i otoczyły go upiornym korowodem. Dał się im porwać i pisał w koło, trzymany za ręce przez kawalera w peruce i chłopkę w powłóczystej sukni. Kręcił się w lewo, w prawo, w lewo, w prawo...

– Obudź się!

Zani ocknął się tak szybko, że trzęsący nim Feri odskoczył przestraszony.

– Co się stało? – wymamrotał Zani, stwierdzając, że partnerzy do tańca przypadli w mrokach podświadomości. – Co się dzieje?

– Wszystko w porządku – odezwał się stojący w progu Arti i jego powolny głos zadziałał na komendanta jak balsam. – Wyzaczyłem warty w systemie trój zmianowym. Jedna trzecia śpi, reszta na pozycjach.

– Dobrze. – Zani podniósł się ociężale. – Ile czasu spałem?

– Jakies sześć godzin – odparł Arti.

– Niedobrze – komendant zmienił zdanie – trzeba było mnie obudzić wcześniej i...

– Napracowałeś się za wszystkich – przerwał flegmatycznie Arti – a poza tym jesteś szefem. Dłuższe spanie to twój przywilej, nie?

Feri uśmiechnął się niepewnie, a Zani machnął ręką i ziewając klepnął Artiego w ramię. Wyszli z gabinecziku do salonu, gdzie w międzyczasie chłopaki znieśli kilka telewizorów. Nastawione na różne stacje informacyjne, wypływały z siebie urywane zdania w różnych językach i przyciągały wzrok krwistymi napisami: „Breaking News” i „Live from Poland”.

W programie pierwszym Telewizji Publicznej wciąż królowało „Studio specjalne”, choć wycieńczoną wieczornymi popisami redaktor Piątkowską zastąpił nieco mniej efektowny redaktor Jaśkiewicz o chłopięcej, naiwnej buzi.

– Utrzymując kontakt z naszymi korespondentami przed Sejmem – produkował się redaktor – proponuję, by obejrzeni państwo sondę uliczną przeprowadzoną na warszawskich ulicach godzinę temu.

Jaśkiewicz znikł z kadru, zastąpiony przez robola w pomarańczowym kombinezonie.

– Jak pańskim zdaniem – zagadywała robola choleryczna redaktor Boznańska,

wymachując mu przed nosem mikrofonem z mało dyskretnym logo – wczorajszy zamach terrorystyczny wpłynie na przyszłość naszego kraju?

– To te dziady w Sejmie są terroryści, pani, kurde, w mordę! – ryknął prząsny i rumiany budowlaniec. – Na czarno, w mordę, musze robić, pani, a o robotę niełatwo, bo Ruskie, pani, za bezcen robią! A niech ich tam wszystkich wystrzelają!

– Pozdrawiamy wszystkich chłopaków terrorystów – wydierało się kilka nastolatków w wieku licealnym – a szczególnie tego przystojnego, co wczoraj był w telewizji! Chłopaki, jesteście za-je-biś-ci – wyskandowały radośnie. – Dziewczyny z liceum nr 51 pozdrawiają! Łaaaaaaa!

– Wreszcie w tym kraju nastąpiła jakaś zmiana – huczał wąsaty dziadzio. – Mój ojciec, proszę pani, to w dwudziestym szóstym z Marszałkiem na Warszawę szedł rozgonić tą sitwę! I wreszcie ktoś odważył się to zrobić ponownie!

– Żeby tylko co złego z tego nie wyszło – nieśmiało wtórowała mu uczepiona jego ramienia babina. – Biedni chłopcy...

– A co złego może wyjść? – zakrzyknął potomek piłsudczyka. – Ja walczyłem pod Monte Cassino, proszę pani, i mam czterysta złotych emerytury! Pięćdziesiąt lat pracy i co?

– Tak, tak, pani redaktor – babina poparła swego męża – pięćdziesiąt lat!

– Żeby jeszcze chłopaki na Wilno poszli – dziadzio nachylił się do kamery ze łzami w oczach. – Wie pani, proszę pani, tak z rozpędu... Sam bym poszedł...

– Taka sytuacja to wynik konformistycznej i krótkowzrocznej polityki rządu i parlamentu. – Inteligent-wymoczek w czarnym płaszczu poprawił nerwowo okulary w grubych oprawkach. – Prywata i sprzedajność znacznie nadwreżyła cierpliwość społeczeństwa. Nie pochwalam metod zastosowanych przez tych młodych ludzi, lecz w pełni identyfikuję się z ich ideałami.

– Ja nie widzę już żadnej przyszłości dla tego kraju – mówił przystojny młodzian. – Niech te chłopaki coś zmienią, to pierwszy im przyklasnę! A jeśli nic się nie zmieni, to lepiej niech znów będą zabory, bo w tym kraju bez pruskiego bata nie sposób funkcjonować.

– Ja bym na ich miejscu tych wszystkich politykierów od razu pod mur – oświadczył dziarski sześćdziesięciolatek, wymachując laską. – I Stalin to wiedział, i Piłsudski to wiedział, i porządek był, proszę pani. A dziś co? Złodziejstwo, proszę pani, szczeka o prawa, narkotyki, przemoc, agresja! Mafie się wypuszcza, proszę pani, morderców karze w zawieszeniu, do diabła z tym całym bałaganem. Niech młodzi z Sejmu przejmują władzę! Życzę im jak najlepiej, proszę pani!

– Ja widzę w tych młodzieńcach iskrę Bożą – melodyjnym głosem perorowała uduchowiona paniusia. – Ten młody człowiek, który wczoraj przemawiał w telewizji, miał twarz anioła. Jak go ujrzałam, to zaraz wiedziałam, że dobry Pan Bóg czuwa nad naszą ojczyzną i nie da jej zginąć.

Zani, Feri, Arti i cała reszta słuchali w skupieniu wypowiedzi kolejnych obywateli,

przewijających się przed mikrofonem redaktor Boznańskiej. Profesorów i młodych mamusiek, kur domowych i biznesmenów, inteligentów i robotli. Z każdym zdaniem i opinią Zani rozbudzał się coraz bardziej, dumnie brał się pod boki i udawał, że nie widzi pełnych uznania spojrzeń towarzyszy. Oto bowiem jego idea zaczynała sprawdzać się w praktyce – zwykli ludzie z ulicy udzielali mu spontanicznego poparcia.

– No, panowie – rzekł energicznie Zani – czas na pierwsze posiedzenie Rządu Tymczasowego.

Otoczony towarzyszami, ruszył w kierunku sali Konstytucji 3 Maja. Po drodze wstąpił jeszcze na galerię i spojrział z góry na sejmową salę. Wszystko wydawało się w najlepszym porządku. Bibi czuwał w prezydenckiej łoży ze swym RKM-em, trzech chłopaków pilnowało drzwi, a Roman stał koło łoży rządowej.

Planując atak na Sejm, już dawno ustalili skład rady tymczasowej, która zgodnie z ich ideą administrować miała państwem do czasu rozpisania nowych wyborów, zgodnych z nową konstytucją. Prezesem naturalnie miał zostać Zani, Arti odpowiadać miał za sprawy zagraniczne, Feri za propagandę i kontakty z prasą, Cichy za wywiad, obronę i sprawy wewnętrzne, Wyższy Ortalion za zdrowie, a Hrabia za finanse i gospodarkę.

Podziału dokonano na chybił trafił, dobierając „ministrów” przypadkowo z wyjątkiem Hrabiego, któremu Zani rzekł, przydzielając tekę:

– No, może wreszcie wyjdiesz na plus.

Hrabia uśmiechnął się wówczas gorzko. Gdyby pół roku wcześniej usłyszał, że z bronią w ręku będzie obalał system, popukałby się w małą główkę. Wykształcony, z pasją i dziurami w kieszeni, stworzył od podstaw prężną firmę komputerową, ucieleśniając nad siermiężną Wisłą amerykański sen. Przez dwa lata, nie tracąc czasu na sen i jedzenie, budował ją mozolnie, zatrudniając w najlepszym okresie ponad stu pracowników.

I nagle wszystko skończyło się jednym pociągnięciem pióra urzędniczki Urzędu Skarbowego, która dopatrzyła się niejasności w jego zeznaniach podatkowych i z miejsca zarzuciła mu szeroką gamę przestępstw gospodarczych. Hrabia walczył o uznanie swych racji, topił oszczędności w bezdennych adwokackich kiesach i kosztach procesowych. Gdy wreszcie udowodnił swoją niewinność i wygrał proces, nie miał już nic. Narzeczona odeszła, nie wytrzymując psychicznej presji, a pracownicy zasilili grono bezrobotnych. Ambicja i determinacja, które wcześniej stanowiły moc napędową jego firmy, teraz kazały mu mścić się na wszystkim, co uosabiał sobą tłusty babsztyl uzbrojony w pieczętkę.

– Powinienem chyba wygłosić expose – stwierdził Zani, gdy ustało szuranie krzesel. – W końcu musimy zachowywać się, jak na ministrów przystało.

Wypowiedział to takim tonem, że zgromadzeni nie wiedzieli, czy mówi poważnie, czy się z nich nabija.

– Pierwsza kwestia, którą musimy się zająć – ciągnął premier – to konferencja prasowa. Jestem w stałym kontakcie z pułkownikiem Langerem, który dowodzi tak zwanym sztabem

kryzysowym, ale to za mało.

– Wykorzystajmy sprawdzony sposób. – Feri jako główny propagandzista poczuł się wywołany do odpowiedzi. – Sprowadzimy tu ponownie ekipę i urządzimy konferencję.

– Ekipa nie jest potrzebna – odezwał się Cichy. – Zleciało się tylu pismaków, że wystarczy zaprosić ich w pobliże wyjścia głównego. Nie możemy ryzykować wpuszczenia do Sejmu kilkudziesięciu obcych ludzi. Gliny na zewnątrz na pewno skorzystają z okazji, żeby przebrać kilkunastu komandosów za dziennikarzy. A wtedy koniec z nami...

– Widzę, że mamy wśród nas jasnowidza – ironicznie zauważył Zani. – Cichy zna myśli naszych nieprzyjaciół.

– Pan premier swoje przemówienia może wygłaszać na zewnątrz – odpalił Cichy. – Korona z republikańskiej głowy nie spadnie!

– Nie podoba mi się twój ton, Cichy – warknął Zani. – Pamiętaj, do kogo mówisz!

– A mnie się nie podoba, że od początku traktujesz mnie jak uczniaka!

– Wszystkich traktuję jednakowo – Zani powoli wychodził z siebie – ale zauważyłem, że od początku wchodzisz mi w drogę! Ostrzegam cię!

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Wiesz dobrze! Ja tu dowodzę i nie będę znosił sprzeciwu!

– Aaa, wyszło szydło z wora – Cichy triumfalnie rozejrzał się dookoła. – Dowodzisz operacją, a tu jest posiedzenie rządu!

– Tak czy siak dowodzę!

– To po co ci rząd? Ogłoś się od razu dyktatorem!

Zaniem momentalnie krew nabiegła do twarzy. Zerwał się z krzesła i chwycił za pistolet. Wszyscy zgromadzeni instynktownie zamarli i przez chwilę wydawało się, że w Sali Konstytucji 3 Maja czas stanął w miejscu.

– Ci na zewnątrz o niczym bardziej nie marzą – rozległ się miarowy i spokojny głos Artiego – niż o tym, żebyśmy zaczęli skakać sobie do oczu. Obradujemy pod twoim przewodnictwem, Zani, i masz nasze pełne poparcie. Ale Cichy też ma trochę racji... ma prawo do wypowiedzenia swojego zdania. Mam więc dwa wnioski: po pierwsze proponuję nie używać słów w rodzaju „dyktator”, a po drugie w czasie obrad rządu odłożymy broń pod ściany. Rozumiecie: przepisy BHP przede wszystkim.

Flegmatyczne słowa Artiego, a w szczególności ustęp o BHP rozładowały nieco atmosferę. Panowie ministrowie odłożyli kałachy pod ścianę. Po chwili wahania Zani zrobił to samo ze swoim pistoletem. Wściekłego spojrzenia jednak nie zgasił i dysząc ciężko, wciąż wpatrywał się w Cichego.

– Procedujmy dalej – powiedział Arti ostrożnie, zerkając na opartą o ściany broń. – Skończyliśmy na kwestii konferencji prasowej. Myślę, że można ją zorganizować w holu głównym. Ustawi się kilku chłopaków na górze i na schodach, to ewentualnym komandosom przejdzie ochota do żarcików. No jak?

Propozycja wydawała się w miarę rozsądna, więc szacowny gabinet przytaknął jednogłośnie, żeby zamknąć wreszcie tę drażliwą kwestię. Zani odzyskiwał powoli naturalne kolory. W myślach przeklinał, że znowu dał się ponieść emocjom. Naprzeciwko bowiem siedział opanowany Cichy, który po jego wybuchu gniewu nie raczył nawet wstać, a teraz uśmiechał się bezczelnie. Co gorsza, reszta chłopaków przyglądała się temu gorszącemu widowisku, co raczej nie wpłynęło pozytywnie na notowania Zaniego.

– Dobrze więc. – Bezskutecznie próbował opanować drzenie głosu. – Przechodzimy do następnego punktu: do zakładniczek z Sali Kolumnowej. Uważam, że powinniśmy zwolnić te babska... Nie przydadzą nam się na nic, a tracimy tylko ludzi do ich pilnowania.

Patrzył na Cichego i czekał na kolejny sprzeciw z jego strony, Cichy jednak milczał. Odezwał się za to Feri:

– Możemy je zwolnić od razu, chociaż lepiej je wypuszczać partiami. Kiedy tamci będą się ociągać z wykonywaniem naszych poleceń, obiecamy im zwolnienie kilku kobitek...

– Nie ma się co z nimi targować – zaproponował Hrabia. – I tak spełnią wszystkie nasze żądania!

– Zakładniczki zwolnić, a resztę rozmieścić w kilku miejscach... Trzymanie wszystkich na sali plenarnej jest niebezpieczne – mówił Arti. – Komandosi będą mieli ułatwione zadanie! Wpuszczą tu gaz i będą jak u Ruskich w teatrze na Dubrowce!

– Można by szanowne damy wykorzystać jeszcze w inny sposób – powiedział Wyższy Ortalion. – Jeśli komandosi nas zaatakują, wypuści się na nich stado przerażonych bab. Nie będą mogli strzelać!

– Zwariowałeś! – Arti popukał się w czoło. – W razie ataku nie będzie na to czasu!

– Nie będziemy zasłaniać się kobietami – uciął Zani niezadowolony, że dyskusja przybiera coraz bardziej surrealistyczny obrót. – Nie damy wrogom do ręki argumentów przeciw nam! Po posiedzeniu zwolnimy je wszystkie. Jeśli to już wszystko...

– Pozostaje jeszcze kwestia faktycznej pozycji naszego rządu. – Feri starał się mówić spokojnie, ale zdradzał go charakterystyczny, niepewny i rozbiegany wzrok. – Moim zdaniem powinniśmy zażądać od wojska i policji, żeby wyraźnie zadeklarowali, że się nam podporządkowują.

– Nikt się nam nie podporządkuje, dopóki nie poznają naszych zamiarów – wytknął mu Cichy.

– Dlatego właśnie organizujemy konferencję. – Zani zgarnął papiery ze stołu na znak, że kończy dyskusję. – Zamykam posiedzenie. Na stanowiska, panowie. Arti zajmie się ewakuacją zakładniczek.

Ubrany w polowe mundury gabinet wstał i ruszył do drzwi. Zani szedł na czele, chociaż po tym posiedzeniu wcale nie był pewien, czy długo jeszcze pozostanie dowódcą. Jego ideały i marzenia, które doprowadziły do wypowiedzenia wojny całemu państwu, kruszyły się teraz jak zeschnięty chleb. On, który brzydził się wszelką dyktaturą i autokracją, on, który marzył o

silnej władzy wywodzącej się wprost z woli narodu, on, który gotów był oddać życie za ideę – został nazwany dyktatorem. Jak upiorny dzwon kołatał mu w głowie ten obrzydliwy wyraz, tłukł się niemiłosiernie pod czaszką. Dyktator! Dyktator! Zani szedł korytarzem i wciąż widział przed sobą szyderczą twarz Cichego, wciąż słyszał jego pogardliwy głos: Dyktator! Dyktator!

\* \* \*

- Pan nie będzie mi udzielał rad!
- A pan nie będzie łamał dyscypliny!
- Niech pan sobie nie wyobraża, że podporządkuję się rozkazom laika!
- Jak pan śmie nazywać starszego stopniem oficera laikiem! Postawię pana przed sądem!
- Nie pleć pan głupot! Nie jesteś pan u siebie nad morzem!
- Jestem wyższy rangą i stanowiskiem!
- Ale nie jesteś pan moim przełożonym!

Radosne trele dwóch skowronków, admirała Świrskiego i generała Weissa, powitały wschód słońca. Popisy wokalne tej pary weszły już na stałe do repertuaru namiotu sztabowego. Langer ze swoimi grubymi pretorianami zdążył się do nich przyzwyczaić. Nie zwracając uwagi na dwóch wokalistów, próbował bezskutecznie połączyć się z Zanim.

- Ja pana nauczę!
- Tak... chyba pływać!
- Osobiście zaprotestuję u Szefa Sztabu Generalnego!
- Ma pan okazję to zrobić. Siedzi pod lufą karabinu sto metrów stąd!
- Panowie, dosyć tych sporów – łagodził Langer tonem dobrotliwego proboszcza. – Zastanówmy się lepiej, jak skłonić ich do uwolnienia reszty zakładników.

U wejścia do namiotu stanęli policyjni Dawid i Goliat. Przedstawiali sobą obraz nędzy i rozpaczki – wymiętoszeni, niewyspani, z bladymi gębami i podkrążonymi oczami. Szczególnie gruby Wawrzyniak wyglądał jak siedem nieszczęść, musiał bowiem spędzić noc w ciasnym radiowozie, co naraziło go na znaczną niewygodę.

Tuż za nimi wkroczył niepozorny i dobrotliwy staruszek o wyglądzie doktora Dolittle, opatulony w długi staromodny kozuch. Pocziwina obdarzył wszystkich promiennym uśmiechem i skromnie stanął z boku.

– I jest pan profesor Wieńczysław Oberek z katedry psychologii społecznej Uniwersytetu Warszawskiego – oznajmił Wawrzyniak. – Pan profesor współpracuje z Komendą Stołeczną jako szef zespołu psychologów i negocjatorów.

Dziadzio skromnie spuścił wzrok w czasie prezentacji, onieśmielony widokiem tylu różnorodnych mundurów.

- Witamy pana profesora wśród nas. – Langer jak zwykle przejął pałeczkę. – Pozwoli



pan, że przedstawię mu resztę naszego sztabu, bo jak rozumiem, panów generałów Kopacza i Wawrzyniaka zdążył pan już poznać.

Langer dokonał pospiesznej prezentacji, a profesor nieśmiało ścisnął dłoń każdego z obecnych, znacznie się przy tym rumieniąc.

– Pan profesor pomoże nam sporządzić portrety psychologiczne zamachowców – wyjaśniał dalej Wawrzyniak. – To może mieć ogromne znaczenie przy ustalaniu strategii negocjacji.

– Psycholog... negocjacje... – Weiss wydał pogardliwie wargi. – Trzeba działać, a nie tracić czas na pierdoły! Jakie portrety, do cholery! Wydusić te ścierwa, póki jeszcze czas.

– O tak, najlepiej ostrzelać Sejm z dział – parsknął Świrski. – Oto właśnie typowe zupackie myślenie! Żadnej strategicznej finezji, żadnego pomysłu, tylko tępe hura!

– Strategiczną finezją możesz pan podrywać żonę sąsiada – wrzasnął Weiss – a my musimy zlikwidować tych bandytów, zanim nasz kraj diabli wezmą!

– Nie pozwolę ci na bezmyślną masakrę! – wrzeszczał Świrski. – Przez takich jak ty wojska lądowe to jeden wielki burdel! Z czym chcesz iść na Sejm? Z tą swoją zasraną brygadą gówniarzy?

– Jak śmiesz, ty... przerośnięty śledziu!

– A śmiem, ty tępy szczurze lądowy!

W kulminacyjnym punkcie ożywionej dyskusji, gdy wydawało się, że generał i admirał rzucą się na siebie z pięściami, między dwa żywioły wkroczył spokojnie profesor Oberek. Ujął admirała Świrskiego pod mankiet i spojrzawszy mu w oczy z dobrotliwym uśmiechem, rzekł:

– Pan musiał mieć trudne dzieciństwo, panie admirale. Dominujący ojciec i podporządkowana mu całkowicie matka nie potrafili przelać na pana szczerego uczucia... Ciepło i życzliwość, których jako dziecko łaknął pan najbardziej, stłumione zostały w domu rodzinnym i ostatecznie zanikły w akademii wojskowej, gdzie nie było mowy o pielęgnowaniu indywidualności. Surowa dyscyplina i wpajane siłą zasady zmieniły wrażliwego młodzieńca, którym zawsze podświadomie pan pozostał. To bardzo symptomatyczne z uwagi na ciemną stronę pana charakteru i wewnętrzną walkę, którą w pana duszy prowadzą skrajne namiętności. Ta postawa prześladowuje pana od zawsze, rzutuje na karierę i poczucie krzywdy, które pan w sobie tłumi. Wyraźnym tego symptomem jest poczucie niespełnienia, niezrozumienie przez przełożonych i najbliższych. Nie jest to łatwe...

Świrski z każdym słowem profesora bladł coraz bardziej i jego twarz coraz mocniej kontrastowała z granatowym mundurem. Admirał oddychał ciężko i wpatrywał się jak zahipnotyzowany w Oberka szeroko otwartymi, przekrwionymi oczami.

– Nie mogę... – dyszał ciężko marynarz – nie mogę... nie mogę się wyzwolić od tego ciężaru... Ja...

– Co to za pedalskie gadki? – z pogardą rzucił Weiss. – Tu nie czas ani miejsce na

kretyńskie sztuczki...

– Panu z kolei, drogi generale – staruszek obrócił się i spojrzął Weissowi w oczy – miłości i matczynego oparcia nigdy nie brakowało. Przeciwnie, otrzymywał pan nadmiar tych uczuć, które z wiekiem, zamiast słabnąć, narastały, osiągając niebywałe natężenie. Negacyjna strona pańskiej natury, skłonność do siłowego rozwiązywania wszelkich konfliktów i sporów wiąże się przypuszczalnie z nadopiekuńczością pańskiej matki i brakiem ojca... Tragedii pańskiej dopełnia zapewne nieudane życie rodzinne, odrzucenie pana zasad przez dorastające dzieci, niezrozumienie u żony, która z dnia na dzień staje się kimś obcym. A kochanki, alkohol i przewijające się coraz częściej myśli samobójcze nie poprawiają sytuacji...

Z każdym słowem Weiss upodabniał się do swego marynarskiego kolegi. Kiedy dobrotliwy staruszek zakończył swoje wywody, na środku namiotu stało dwóch bladych i roztrzęsionych wyższych oficerów. Doktor Dolittle kiwał tylko ze smutkiem głową. Langer i jego otyli adiutanci ze szczerym podziwem patrzyli na niepozorną postać psychologa.

– Jeśli pan profesor pozwoli – pułkownik przerwał w końcu przedłużającą się ciszę – chętnie usłyszelibyśmy podobną charakterystykę terrorystów, którzy zajęli Sejm.

– Cóż... dysponuję skąpym materiałem analitycznym – rzekł skromnie Oberek, podchodząc do stołu i starannie składając na nim swe włóczkowe rękawiczki – ale sądzić należy, że funkcje psychosomatyczne tych ludzi są znacznie rozwinięte, a ich progresja postępuje wraz z każdym ciężkim przeżyciem. Takich przeżyć doświadczają w każdej chwili i to pogłębia ich determinację...

– Ee... wybaczy pan, profesorze – uśmiechnął się Langer, kryjąc zakłopotanie – ale ma pan do czynienia z kompletnymi laikami. Wspomniał pan o funkcjach... ee... psycho.. sado...

– Psychosomatycznych – usłużnie wyjaśnił profesor, odwzajemniając uśmiech. – Ludzie ci, poddawani w przeszłości rygorom i dyscyplinie, ustawiani przez rodziców, opiekunów, nauczycieli i przełożonych w ściśle określonym miejscu drabiny społecznej, wyzwalają się teraz z okowów, w które ich siłą wtłoczono. Negują dotychczasowe normy moralne, odkrywając w sobie nieznane dotąd pokłady podświadomości. Sytuacja, w której znaleźli się obecnie, to modelowy wręcz przykład takich właśnie zachowań.

– Czyli to taki... bunt młodości? – zapytał Czernicki.

– O, niekoniecznie – zaprzeczył profesor. – Ich wiek ma tu naturalnie pewne znaczenie, lecz ważniejsza jest sytuacja, w której się wychowywali, i charakterystyczne dla nich poczucie mesjanistycznej misji. Z pewnością kierują się różnorodnymi pobudkami, ale tworząc jedną zhierarchizowaną grupę, zmuszeni są do takiego ujednoczenia swoich psychofizycznych dążeń i doznań, do jakiego zdolne jest ich ego. To typowa reakcja u ludzi znajdujących się w ściśle piramidalnej strukturze. Na przykład w wojsku.

Weiss i Świrski z przerażeniem przyjęli ostatnie słowa profesora, traktując je jako zapowiedź dalszej pogłębionej analizy ich mundurowych mózgowic. Na szczęście dla nich Czernicki, jako były prokurator wojskowy, skierował rozmowę na temat związany z jego

zainteresowaniami.

– Czyli innymi słowy, profesorze – pytał – ci ludzie są gotowi na wszystko?

– Cieszę się, że nie ja to powiedziałem – uśmiechnął się Oberek – ale trafnie to pan ujął. Istotnie, na tym etapie krystalizacji ich jaźni przewidywalność ich zachowań wydaje się znikoma.

– Cóż więc pan radzi? – zapytał Langer, patrząc na dziadka z nieukrywanym podziwem.

– Radzę poczekać, aż namiętności opadną i ich psychosomatyczne poszukiwania znajdą ujście w indywidualnych zachowaniach. Dopóki działają w stanie skrajnego stresu, kierują się raczej instynktem i odruchami. W miarę upływu czasu jednak nasilą się tłumione teraz indywidualne ciągoty i do głosu dojdą poszczególne jednostki. Zaowocuje to zapewne podziałami wewnątrz scalonej dotąd grupy, ujawnią się osobiste dążenia, a także te części świadomości, z których istnienia oni sami nie zdają sobie sprawy.

– Czy to jednak nie oznacza, że powinniśmy działać natychmiast? – zapytał były oberprokurator. – Teraz oni nie potrafią realnie ocenić sytuacji. Później, gdy się uspokoją, trudniej ich będzie podejść.

– Ale staną się wtedy przewidywalni – dziadzio miażdżył swym dobrotliwym głosem wszelkie argumenty – a ich działania, chcąc nie chcąc, wpasują się w pewne schematy. Atakując teraz, zetrzecie się z nieznanym żywiołem, zupełnie nieobliczalnym i przez to niebezpiecznym.

Profesor umilkł, jakby zażenowany efektem swojej prelekcji. Po jego słowach zapadła głucha cisza. Psychologiczne argumenty, choć podszyte kompletnie niezrozumiałą dla mundurowych fachową terminologią, dały słuchaczom wiele do myślenia. Bezbarwni dotąd terrorysty, oceniani jako homogeniczna całość, nabierali powoli ludzkich wymiarów.

Jedynie generał Weiss wyłamywał się z ogólnego nastroju powagi, wydymając pogardliwie grube wargi i szczerząc zęby w sardonicznym uśmiechu. Nie dopuszczał do siebie myśli, że jego pogarda jest w istocie stłumionym strachem. Świadomość, że on, generał brygady, lęka się tego szatańskiego dziadunia, była nie do zniesienia.

– To wszystko to jedno wielkie gówno – stwierdził autorytatywnie. – Nie zamierzam tracić czasu na słuchanie tych kretyńskich bredni!

Z tymi słowami generał wcisnął na czaszkę swój kuriozalny hełm i demonstracyjnie opuścił namiot krokiem wygwizdanej primadonny. Wychodząc, odprowadzany współczującym spojrzeniem psychologa, minął się z podinspektorem Balasem, który dziarsko wszedł do środka i oddał obecnym przepisowy sztywny ukłon. Rzeńska postawa antyterrorysty wywołała korzystne wrażenie i mile zaskoczyła zebranych, podobnie jak kontrastujące z zarośniętymi gębami Flipa i Flapa, gładko wygolone policzki.

– Panie pułkowniku, melduję, że w drodze czynności operacyjnych opracowałem wraz z moim zastępcą plan ataku na kompleks zabudowań sejmowych – wyrecytował Balas, meldując się ku niezadowoleniu zapyziałych nadinspektorów bezpośrednio Langerowi. –

Proszę o pozwolenie zreferowania.

– Czy pan, podinspektorze, nie zapomniał czasem o czymś? – kąśliwie odezwał się Kopacz. – Na przykład o tym, że jest pan policjantem i powinien się meldować swoim przełożonym?

– Tak jest – słowiański Rambo stracił nieco rezon. – A więc melduję, panie nadinspektorze, że w toku czynności operacyjnych...

– Jeśli już jesteśmy przy podległości służbowej – bąknął Wawrzyniak – to zdaje się, że ja jestem tu najwłaściwszą osobą do meldowania. W końcu ja tu jestem bezpośrednim przełożonym.

– Zdaje się, że już na ten temat rozmawialiśmy – zapiszczał Kopacz. – Ja jestem starszy rangą i ja będę przyjmował meldunki!

– Typowe objawy dysfunkcji mentalnej – odezwał się profesor Oberek, podchodząc do Kopacza. – Czy mogę zapytać, czy pański ojciec nie był przypadkiem z zawodu rzeźnikiem?

– Może innym razem – wtrącił szybko Langer, obawiając się, że dziadzio zrobi wodę z mózgu kolejnemu członkowi sztabu. – Teraz pozwólmy podinspektorowi Balasowi na przedstawienie planu.

Balas, dotychczas bierny obserwator kompetencyjnych sporów, położył na stole starannie wyrysowany plan z mnóstwem różnokolorowych strzałek i znaczków, świadczących o nadzwyczajnych zdolnościach plastycznych podinspektora. Zgromadzeni w namiocie otoczyli stół ciasnym kręgiem i wodzili oczyma za długopisem Balasa.

– Z przeprowadzonych czynności operacyjnych wynika, że nieprzyjaciel skupił swoje główne siły w rejonie sali posiedzeń Sejmu. Tam też znajduje się większość zakładników. Na nasze szczęście budynki kompleksu sejmowego są stosunkowo łatwym polem działania dla oddziałów antyterrorystycznych: duże i liczne okna, przestronne pomieszczenia, duża liczba wejść, przejścia podziemne i łączniki... To wszystko daje szerokie możliwości zastosowania różnorodnych wariantów taktycznych.

– Jakie warianty ma pan na myśli? – zapytał Kopacz, udając, że słowa Balasa to dla niego chleb powszedni.

– Proponuję następujące rozwiązanie: odcięcie sali plenarnej poprzez atak czterech grup szturmowych: dwóch głównych i dwóch rezerwowych. Grupa Alfa atakuje łącznik znajdujący się pomiędzy salą plenarną a budynkiem w kształcie litery „U” u zbiegu ulic Wiejskiej i Górnośląskiej...

– To budynek Kancelarii Sejmu – odezwał się Weiss. – Na dole znajduje się restauracja, a wyżej biblioteka sejmowa.

– Tak jest – potwierdził Balas i ciągnął: – Po zajęciu obu pięter łącznika grupa uderzeniowa Alfa zaatakuje salę plenarną od strony kuru... kulru...

– Kularów – podpowiedział Świrski, wznosząc oczy do nieba.

– Tak jest, kularów – powtórzył antyterrorysta – unieszkodliwiając wszystkich

przeciwników w kuruarach i na galerii. Grupa Beta odetnie salę plenarną z drugiej strony, atakując od strony Wiejskiej i budynku komisji Sejmu. – Palec antyterrorysty spoczął na czworoboku budynków kancelaryjnych, tworzących niewielki dziedziniec. – W tym samym czasie do akcji wejdą grupy rezerwowe Charlie i Delta. Charlie uderzy na ten długi budynek Kancelarii Senatu i łącznik z budynkami Sejmu, a Delta zabezpieczy skwer od strony Wiejskiej i zajmie się ewakuacją zakładników. Jednoczesny atak czterech grup pozwoli osiągnąć zaskoczenie i zminimalizuje straty wśród zakładników. To wszystko.

Balas zakończył referat i z kamienną twarzą oczekiwał na komentarze. Wawrzyniak i Kopacz udawali, że wszystko jest dla nich kryształowo jasne, a Langer analizował coś w głowie.

– Od razu widać, że to porządna policyjna szkoła – pochwalił Kopacz. – Klarowna, konkretna i przemyślana w każdym szczególe akcja. Brawo, brawo!

– Komenda Stołeczna nigdy nie zasypywała gruszek w popiele – rzekł Wawrzyniak, który również pragnął stać się jednym z ojców genialnego planu. – Nasz oddział AT jest najlepszy w kraju, mimo oczywistych przeszkód i cięć serwowanych nam przez Komendę Główną.

– Komenda Główna sprawiedliwie rozdziela fundusze – zapiszczał kurdupel, wyraźnie dotknięty ostatnim zdaniem grubasa – tylko lokalni komendanci nie zawsze potrafią je właściwie wykorzystać!

– Wykorzystanie tej jałmużny, którą nazywa pan funduszami...

– Jeśli można – zabrał głos milczący dotąd admirał Świrski – to chciałbym zwrócić uwagę na jedną drobną kwestię: czym innym jest techniczne zaplanowanie operacji, a czym innym przejęcie za nią odpowiedzialności. Kto będzie odpowiadał za ewentualną śmierć prezydenta, premiera czy ministrów? Przecież to jasne, że to do nich w pierwszej kolejności będą strzelać zamachowcy!

– Zgadzam się z panem admirałem – odezwał się wreszcie Langer. – Nie zapominajmy również, że sala plenarna jest zaminowana! Jeden niewłaściwy ruch i za naciśnięciem guzika władze państwowe przestaną istnieć. A to grozi nie żadną destabilizacją czy kryzysem... To grozi utratą niepodległości, proszę panów!

Złowieszcze słowa pułkownika zrobiły duże wrażenie na wszystkich obecnych, z wyjątkiem podinspektora Balasa, który nie za bardzo kapował, o co chodzi. Zgromadzeni pod łopoczącym płótnem namiotu powoli zaczęli zdawać sobie sprawę, jak straszne konsekwencje groziłyby państwu w przypadku niepowodzenia akcji.

– Póki negocjacje trwają, póty jest nadzieja na pokojowe rozwiązanie konfliktu – ciągnął Langer – musimy być jednak przygotowani na wszelkie ewentualności. Proszę dopracowywać dalej plan ataku, panie inspektorze Balas. My zastanówmy się wraz z panem profesorem, jaką strategię negocjacyjną podjąć.

Wywołany z szeregu Oberek delikatnie odstawił kubek z herbatą i podszedł do stołu, ale

Kopacz nie dopuścił go do głosu.

– A ja proponuję – pisnął, przekrzywiając główkę jak kurczak – żeby te sprawy pozostawić nam, fachowcom. Jeśli zdaniem podinspektora Balasa istnieją realne szanse na odbicie zakładników, to należy po prostu je wykorzystać!

– Ale... – Langer próbował protestować.

– Pan jest tylko żołnierzem – złośliwie kontynuował „fachowiec” – niech więc pan zajmie się sprawami wojskowymi, a negocjacje i szczegóły techniczne pozostawi policji. Bo na razie, panie pułkowniku, nie osiągnął pan nic! Podinspektorze Balas, prześledźmy jeszcze raz pański plan...

Policjanci pochylili się nad mapą, ignorując pułkownika i admirała. Świrski po pewnym wahaniu również przysunął się do tej grupy, Langer zaś, opanowując wściekłość, wyszedł z namiotu. Wirtualni antyterrorysty, prowadzeni palcem Balasa, znowu rozpoczęli akcję na pingpongowym stole.

## Rozdział 12

Pojawienie się Artiego w Sali Kolumnowej nie wywołało szczególnego poruszenia wśród dam. Słowo „damy” nie oddawało jednak wiernie obrazu sytuacji, bo leżące pokotem na podłodze matrony przypominały raczej tabor po urodzinach cygańskiego króla. Zmęczone, zapłakane i zmalretowane, powoli dochodziły do siebie po drugiej najgorszej nocy ich życia.

Za prezydialnym stołem, kontrastując z roztrzęsionymi babami, drzemał słodko sędziwy poseł Doliwa-Roztocki – jedyny mężczyzna w tym feministycznym gronie. Dziadzio, który nie umiał trzymać języka na wodzy, przez swoją ułańską fantazję i skłonność do pompatycznych gestów został skazany na odsiadkę z babsztylami.

Arti przeszedł swoim spokojnym, miarowym krokiem wzdłuż całej sali, dotarł do stołu prezydialnego i ogłosił:

– Proszę wszystkie panie o uwagę! Za chwilę zostaniecie panie odprowadzone do wyjścia i uwolnione. Proszę zachować...

Chóralne westchnienie radości wydobyło się spomiędzy kilkuset pozbawionych szminki warg, zagłuszając dalsze słowa Artiego i dość brutalnie budząc posła Doliwę. Damy, zgodnie z przewidywaniem Artiego, zaczęły gramolić się bezładnie, zbierając części zbytkownej garderoby i kłócąc się o porzrzucone drobiazgi. Arti ze swoimi ludźmi usiłowali zapanować nad zamieszaniem, ale z grubsza licząc wypadało po jednym bojowcu na setkę bab. Nawet uniwersalny sposób na uspokojenie zakładników, czyli salwa w sufit, nie odnosił już skutku. Arti wyciągnął telefon i połączył się z numerem Zaniego.

– Wszystko gotowe – oznajmił. – Damy na stanowiskach wyjściowych.

– W porządku – enigmatycznie mruknął Zani.

Rozłączył się i wybrał numer pewnego niezwykle uprzejmego wroga.

Pułkownik Langer chodził wzdłuż szpaleru radiowozów ustawionych naprzeciw parlamentu, starając się opanować irytację i patrząc niechętnie w kierunku namiotu sztabowego, gdzie gromada ignorantów planowała uderzenie zbrojne na Sejm.

Dźwięk telefonu wyrwał pułkownika z tępej zadumy. Langer przyłożył komórkę do zmarzniętego ucha.

– Moje uszanowanie – usłyszał znajomy głos młodziana, który w ciągu dwudziestu czterech godzin został premierem. – Co słyhać u wielkiego szefa operacji „Parlament”?

– Dziękuję, dobrze – odparł Langer. – Świeże powietrze wyśmienicie na mnie działa.

– Za chwilę zwolnimy żony posłów, ministrów i zaproszonych gości. Zechce pan dopilnować, żeby któryś nadgorliwiec nie przestrzelił jakiegoś jajnika, dobrze?

– Bez obaw – mruknął Langer. – Większość z nich nie trafiłaby nawet w macicę.

Obaj znawcy kobiecych narządów rodnych roześmieli się nagle i równie nagle urwali, przypomniawszy sobie kontekst tej ginekologicznej konwersacji.

– W zamian proszę o poinformowanie dziennikarzy i fotoreporterów, że planujemy dziś około południa konferencję prasową. W konferencji weźmie udział około trzydziestu wyznaczonych przez nas imiennie dziennikarzy. Proszę podać mi numer faksu, to wyślę panu całą listę. Tych pismaków znam z widzenia i zdjęć... to tak na wszelki wypadek, gdyby któryś z was wpadł na pomysł przebrania antyterrorystów za dziennikarzy. Jasne?

– Rozumiem. Faks. Lista – powtarzał Langer, nerwowo macając się w poszukiwaniu długopisu. – Wszystko jasne...

– Do tej grupy dołączę jeszcze kilkunastu pismaków, których mam tu u siebie w łoży prasowej. Co znacniejszych zakładników kazałem rozmieścić w różnych miejscach – kontynuował dumny z siebie Zani. – Jeśli więc przyjdzie wam coś głupiego...

– Nie przyjdzie – zapewnił stanowczo Langer, któremu nagle zaczęła świtać w łepetynie pewna myśl – zaręczam, że nie przyjdzie. Mam nadzieję, że uda nam się zakończyć ten konflikt na zasadzie *gentleman's agreement*.

– Bardzo chciałbym, żeby tak się stało – smutno powiedział Zani – ale obawiam się, że to nie zależy ani ode mnie, ani tym bardziej od pana.

– W każdym razie – ciągnął pułkownik, którego ubodła nieco ostatnia uwaga pana premiera – zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby tak się stało. Zatem zwolni pan resztę kobiet?

– Tak – potwierdził Zani – i dorzucę w promocji pewnego gadatliwego ułana.

Rozmowa zakończyła się, ale Langer trzymał jeszcze przez chwilę zimny telefon przy uchu. Ruszył w stronę sztabu wolnym kroczkiem, przyspieszając powoli. Gdy dotarł do namiotu, już prawie biegł. W półmroku wpadł na obłą sylwetkę Wawrzyniaka.

– Tak więc – mówił podinspektor Balas, pochylony nad stolikiem niczym księżę Wellington – uderzając z dwóch stron osiągniemy efekt zaskoczenia i...

Urwał nagle i podobnie jak pozostali spojrzął na Langerę, który na próżno starał się przybrać minę profesjonalnej obojętności.

– Proszę panów – zaczął uroczyście – wynegocjowałem właśnie zwolnienie wszystkich zakładniczek nie będących posłankami!

Sztab przybrał generalnie kretyńskie miny, pokój 240 uniósł nieznacznie brwi, a Kopacz spojrzął na Langerę z największą ironią, jaką wygenerować mogło jego wątłe ciało.

– Jak to wszystkie? Tak po prostu? Zwalniają je?

– Tak po prostu.



– Kiedy zostaną zwolnione? – spytał Wawrzyniak.

– Za chwilę.

– Czy użył pan jakiejś konkretnej techniki negocjacyjnej? – zapytał profesor Oberek, ciepło spoglądając na pułkownika.

– Tak, drogi profesorze – odparł Langer – użyłem techniki negocjacyjnej „Konkret”, czyli negocjowałem z właściwą osobą, zamiast tracić czas na planowanie masakry nakazanej przez ludzi, którzy kwestionują moje kompetencje!

Trafnie wymierzona uwaga uderzyła w Kopacza, który skurczył się jeszcze bardziej w swoim i tak przydużym uniformie.

– Ja nic nie kwestionuję – bronił się niezdarnie – ja tylko szukam alternatywnych źródeł...

– Niech pan poszuka alternatywnych źródeł prądu – bezlitośnie miażdżył kurdupla Langer. – Napiłbym się herbaty, a nasze agregaty ledwie zipią.

– Wstrzymam się z gratulacjami do czasu, gdy zobaczę te zakładniczki – odezwał się admirał Świrski – ale zawsze byłem zdania, że my, wojskowi lepiej nadajemy się do takiej finezyjnej sztabowej roboty. Dobrze się pan spisał, pułkowniku, tak trzymać!

Świrski promieniał dumą. Chętnie przejął na swe barki część sukcesu Langer. Ten nie protestował, pamiętając o starej zasadzie: kto nie smaruje, ten nie jedzie. Wiedział, że znacznie poprawi swoją nadszarpniętą pozycję w sztabie kryzysowym, jeśli wydostanie z gmachu Sejmu jak największą liczbę pań. Jedynie generał Weiss milczał niechętnie, widząc, że jego strategia negocjacyjna „Kupa Flaków” wyraźnie przegrywa z koncepcjami Langer. Na samą myśl, że młodszy stopniem może mieć rację, oblicze generała mieniło się wszystkimi kolorami tęczy.

Sztab wylażł niechętnie z ciepłego namiotu i popatrzył na ośnieżony budynek Sejmu, w którym Zani wykręcał właśnie numer wewnętrzny do Sali Kolumnowej.

– Załatwione – rzucił krótko do słuchawki.

Słyszając to, nawet zimnokrwisty Arti odetchnął dyskretnie z ulgą. Napięcie w sali sięgnęło bowiem zenitu i byle drobiazg mógł wywołać niewyobrażalne skutki. Arti dał znak Martinezowi, który radośnie wypalił z kałacha w sufit. Wystrzał wywołał kilka urywanych pisków, po czym zapadła względna cisza.

– Uwaga – krzyknął Arti, otwierając drzwi na klatkę schodową – ostatnie dziesięć pań zostaje!

Rozpalone żelazo przytknięte do końskiego zadu nie wywołałoby takiej reakcji, jak pogróżka Artiego. Babski peleton rzucił się do wyjścia jak stado oszalałych lemingów, przy akompaniamencie piekielnego klekotu obcasów. Na czele z rozwianymi włosami pędziły małżonki posłów nowicjuszy, którzy sprawowali mandat po raz pierwszy. Nie zdążyły jeszcze porządnie utyc na bogatym poselskim wikcie, dlatego też były najlżejsze. Za nimi, o dwie długości z tyłu, pędziły żony ministrów i sekretarzy stanu, solidnie już odpasione i demonstrujące obfite wdzięki na dowód, że mężom powodzi się całkiem nieźle. Maraton

zamykały połowice sejmowych wyjadaczy, sprawujących mandat nierzadko przez wszystkie kadencje, od Sejmu Kontraktowego począwszy. Te ważyły najwięcej, więc drałowały truchcikiem w jednej linii, wyglądając jak posągi z Wyspy Wielkanocnej.

Babski żywioł, niszczący wszystko, co stało mu na drodze, dotarł wreszcie do drzwi i dosłownie wysadził je z futryny. Potem fala runęła na lewo, w stronę szlabanu i księgarni sejmowej. Langer, który z pomocą Wawrzyniaka odizolował dziennikarzy i postronnych gapiów ciasnym policyjnym kordonem, z bezsilnym przerażeniem patrzył, jak niepowstrzymany żywioł wali na oślep przed siebie.

Matrony sforsowały szlaban, który pod ich naporem pękł jak zapalka, i ruszyły dalej z wrzaskiem, jakiego nie powstydzily się zaden pułk gwardyjski Armii Czerwonej. Kordon pieczołowicie ustawionych przez Wawrzyniaka gliniarzy rozsypał się w okamgnieniu i panowie władza pierzchli na lewo i prawo, ratując skórę przed rozszalałym tabunem. Dwóch czy trzech nieszczęśników nie zdążyło uskoczyć i choć walczyli dzielnie, znikli wkrótce pod falą bab jak rozbitkowie we wzburzonym oceanie. Pozostali gliniarze zdołali sformować dwa szeregi równoległe do toru babskiej tłuszczy, której główne siły galopowały w kierunku ulicy Matejki, a skrzydło boczne pędziło Wiejską w stronę placu Trzech Krzyży.

Nauczony doświadczeniem Langer czekał cierpliwie, wiedząc, że peleton mamusiek wkrótce wytraci przyspieszenie i na ostatniej prostej utknie w zaspach. Pojedyncze babony odpadały od stada, ryjąc nosem w śnieg i czyniąc zadość teoriom o naturalnej selekcji gatunków. Reszta zwolniła na wysokości ambasady kanadyjskiej i tylko najsilniejsze osobniki truchtały dalej. Langer odczekał jeszcze chwilę, po czym skinął ręką na Halberta i Gałązkę niczym księżę Wiśniowiecki na husarzy. Otyli lokatorzy pokoju 240 ruszyli zabawnym truchtem, wyrzucając z nozdrzy kłęby pary i wiodąc za sobą luźną tyralierę gliniarzy. Ci wyłapywali elitarne małżonki i odprowadzali je do pobliskiej szkoły podstawowej.

Nadinspektor Kopacz rażno ruszył za babami na swych krótkich nóżkach, żeby je przesłuchać i wypytać o szczegóły, ale Kujawa powstrzymał go, tłumacząc, że damy są nazbyt wzburzone, by udzielić logicznych i składnych wyjaśnień. Sytuacja powoli się uspokajała – policjanci i strażnicy miejscy pochwycili większość zakładniczek. W akcji brało też udział kilkudziesięciu żołnierzy Weissa, dla których ten upiorny berek stanowił nie lada radochę. Pancerniacy jednak osiągnęli w łapaniu słabe wyniki, bo uganiali się tylko za co ładniejszymi małżonkami, a tych było jak na lekarstwo.

Langer wraz ze swymi adiutantami ruszał już do namiotu sztabowego, gdy nagle Halbert wskazał na niewielkiego człowieczka, nadchodzącego powoli od strony Sejmu. Okutany w niemodną jesionkę dziadzio kroczył z niezmaconym spokojem po różnobarwnym kobiercu, ułożonym z fragmentów garderoby, które stado matron pogubiło w drodze ku wolności. Przeszedł przez ulicę Wiejską i zbliżył się do Langer, wyraźnie uradowany widokiem oficerskich gwiazdek.

– Poseł Doliwa-Roztockci jestem – przedstawił się dziarsko. – Dziewiąty Pułk Ułanów

Małopolskich, odznaczony Krzyżem Walecznych!

– Langer, pułkownik – rzekł szef kryzysowców, ubawiony dziarską miną ułana – odznaczony medalem „Zasłużony dla miasta Włocławka”. Czy pan poseł zechciałby odpowiedzieć nam na kilka pytań? Interesują nas wszelkie szczegóły na temat liczebności, uzbrojenia i morale terrorystów. Jest pan naszą jedyną nadzieją, bo od uwolnionych pań niewiele się dowiemy.

– Naturalnie – zgodził się poseł weteran. – Istotnie rozmowa z kobietami na takie tematy kończy się zwykle awanturą. Moja żona na ten przykład...

– Prosimy – przerwał mu Langer, wskazując namiot.

Zani wciąż jeszcze nie mógł dojść do siebie po niefortunnym posiedzeniu swojego gabinetu, kiedy Cichy obwołał go dyktatorem. To straszne słowo, którego ze wszech miar nienawidził, wracało do niego jak bumerang. Miotał się w bezsilnej złości, ale miotanie przerwał mu Arti, spokojny jak zwykle mimo stresogennej przeprawy z poselskimi małżonkami.

– Co z konferencją prasową?

Zani bez słowa wyciągnął kartkę z nazwiskami dziennikarzy, która stanowiła część planu zamachu na Sejm. W tygodniach poprzedzających akcję Zani wraz z Ferim wertowali najważniejsze gazety oraz internetowe strony massmediów, wyszukując dziennikarzy specjalizujących się w konstytucjonalizmie, polityce wewnętrznej, teorii państwa i prawa. Listę ponad trzydziestu nazwisk otwierało, a jakże, nazwisko bożyszczka TVM-u, Krzysia Tomaszewskiego.

– Przefaksujesz tę listę pułkownikowi Langerowi – rozkazał komendant. – Nikt spoza niej nie ma prawa nawet zbliżyć się do Sejmu. Konferencję urządzimy w holu głównym, punkt dwunasta.

Arti bez słowa przepisał numer faksu, który dotarł do Zaniego w formie SMS-a, i ruszył wykonać polecenie.

Komendant wszedł w półkoliste kuluary sali sejmowej, gdzie w ciągu ostatnich lat wybrańcy ludu załatwiali swoje interesy dla dobra narodu, rozumiejąc pod tym pojęciem głównie siebie. Zatrzymał się przy wejściu na salę posiedzeń usytuowanym pod prezydencką lożą i zajrzał do środka przez oszklone drzwi. Poranek, który wdarł się do sali sejmowej przez umieszczony na suficie świetlik, odsłonił otepiałe twarze posłów, senatorów i oficjeli. Ludzie z sekcji Cichego przechadzali się wzdłuż zewnętrznych ścian sali, a dwóch z nich spoglądało w dół z łoża prasowej.

Zani wszedł do sali i skierował się w stronę mównicy. Szara wykładzina tłumiła stukot jego podkutych wojskowych buciorów i komendant sunął powoli w dół, niemal niezauważony. Dochodząc do stanowiska stenografów skręcił w lewo i ruszył na podwyższenie, gdy nagle do jego uszu dotarły jakieś szepty. Komendant ruszył powoli

schodkami w górę i wyłonił się nagle tuż przy fotelu sekretarza marszałka Sejmu.

Na schodkach, prowadzących na podwyższenie, siedział Roman. Ujrzawszy Zaniego zerwał się gwałtownie, aż karabin wysunął mu się z rąk.

– Przestraszyłeś mnie – bąknął, maskując zdenerwowanie sztucznym uśmiechem.

– Co to za pogaduszki z zakładnikami? – burknął niezadowolony Zani. – Masz ich pilnować, a nie zabawiać rozmową.

– Jasne, oczywiście – gorliwie przytakiwał Roman, wskazując lufą na wystraszonego premiera Tkaczyka. – Ten tu chciał po prostu wyjść do kibla.

– A zatem odprowadź byłego pana premiera do toalety – rzekł niecierpliwie komendant. – A panowie będą łaskawi unikać pogaduszek z moimi ludźmi – dorzucił jeszcze w stronę prezydentów Rozwadowskiego i Starynkiewicza, głaszcząc się po kaburze. – To bardzo niezdrowe.

Roman ruszył do toalety z wystraszonym premierem, a komendant, wymijając leżących pokotem posłów i senatorów skierował się do głównego holu. Przestronne pomieszczenie doskonale nadawało się do zorganizowania konferencji. Komendant zlustrował je pobieżnie, w myślach ustawiając pismaków pod drzwiami wejściowymi, a siebie wraz z gabinetem na centralnie położonych schodach. Dochodziła dwunasta.

\* \* \*

– Mają od dwudziestu do trzydziestu ludzi, nie więcej. Każdy jest uzbrojony w karabin kbk AK, niektórzy w pistolety i granaty. W loży prezydenckiej założyli stanowisko RKM-u, który ma świetne pole ostrzału na wypełnioną salę. Dodatkowo cała sala oklejona jest materiałami wybuchowymi połączonymi drutem. Ale to, proszę panów, lipa.

Doliwa-Roztockie skończył mówić i tryumfalnie spojrzał na członków sztabu kryzysowego spod siwawych rzęs.

– Skąd pan wie, że to... lipa? – zapytał Halbert.

– Młody człowieku – rzekł protekcyjnie Doliwa, patrząc na grubasa – uczył się pan chodzić, gdy ja już broniłem ojczyzny. Znam się na zabawkach wybuchowych jak mało kto. W kampanii wrześniowej pod Uniejowem osobiście wysadziłem w powietrze most na...

– A zatem pańskim zdaniem rozmieszczone materiały wybuchowe nie są naprawdę materiałami wybuchowymi? – upewnił się admirał Świrski.

– To zwykła plastelina, trociny albo gips. W żadnym razie nie trotyl ani plastik!

– A co z zakładnikami? – zapytał Weiss. – Wszystkich trzymają na sali plenarnej czy zamknęli część gdzieś w odosobnieniu?

– Hm... – staruszek zamyślił się głęboko. – Gdy wychodziłem... to znaczy gdy ordynarnie mnie wyrzucono, widziałem, jak wyprowadzają obu prezydentów, premiera i partyjnych ważniaków gdzieś poza salę. Ale nie wiem, gdzie.

– Należy więc przypuszczać, że najważniejsi zakładnicy zostali umieszczeni w innym miejscu – wnioskował pułkownik. – W sumie to bardzo rozsądne z ich strony. Na ich miejscu zrobiłbym to samo..

– Odnoszę wrażenie, że chciałby pan znaleźć się na ich miejscu – sarkastycznie parsknął Weiss.

– Co pan generał ma na myśli? – warknął pułkownik, wyzywająco patrząc na starszego stopniem.

– To, że cacka pan się z nimi jak z bombką choinkową! – Weiss przypuścił ofensywę podniesionym głosem. – Trzeba działać, a my tracimy tylko czas!

– Jeśli pan generał uważa to za stratę czasu – admirał natychmiast wyczuł okazję do pogwałcenia zielonego – to droga wolna! Nikt pana nie zatrzymuje!

– Owszem, tracimy! Skoro pan Doliwa wyraźnie mówi, że materiały wybuchowe to jeden wielki kit, to nie mamy na co czekać! Uderzymy na nich i zmiażdżymy ich nędzne flaki na proch!

– Na razie wysłuchamy, co mają do powiedzenia na konferencji prasowej organizowanej w holu głównym...

– Konferencja prasowa! – Weiss przesadnym gestem złapał się za głowę jak kiepski aktor. – I co jeszcze? Może pozwolimy im zorganizować garden-party?

Potrzymał się jeszcze chwilę za łeb, po czym wymaszerował z namiotu, bezlitośnie szarpiąc płachtę brezentu wiszącą w progu. Świeże powietrze orzeźwiło go trochę. Dowódca brygady, wyrzucając ze swych przepastnych trzewi kłęby pary, miotał się po skwerze jak ranny buhaj.

– Pan generał nie podziela zdania pana pułkownika – usłyszał nagle za plecami. Obejrzał się i zobaczył czarne sylwetki Balasa i Dei.

– Nie dzielam? – wrzasnął. – To jakby powiedzieć, że Hitler był niegrzeczny! Nie tyle nie dzielam, co mam je wszystkie głęboko w...

– Zgadząmy się z panem – odparł Balas, nie pozwalając generałowi sprecyzować, gdzie dokładnie ma plany sztabu – ale nasi przełożeni też nie są zdecydowani...

– Do diabła z nimi – warknął generał. – To nie żadni przełożeni, tylko banda śmierdzących tchórzy. Trzeba ich postawić przed faktem dokonanym. Kiedy uwolnimy prezydentów i posłów, kto będzie pamiętał, że złamaliśmy jakieś tam nic nie warte rozkazy, co?

Weiss zapalił papierosa i łaskawie poczęstował policjantów.

– Musimy zaatakować i wytluc te hołotę – mówił, zaciągając się szlugiem – a jeśli zginie przypadkowo paru posłów, to nic wielkiego się nie stanie. Niech pan pomyśli: Weiss i Balas, dwóch bohaterów! Nie udźwigniemy wszystkich medali, którymi nas obsypią!

Podkomisarz Balas nie podzielał entuzjastycznej wiary generała w przyszłe zaszczyty – służba nauczyła go cierpliwości i pokory. Podobnie jak dla większości jego ludzi, oznaczała

spełnienie życiowych marzeń i sama w sobie stanowiła wyróżnienie. Generał, podniecający się wizją dodatkowych błyskotek na i tak już bogato obwieszonym mundurze, wydał się naraz Balasowi groteskową i błazeńską postacią.

– Czy ma pan jakieś sugestie? – zapytał Deja.

– Tak, mam jedną – Weiss ściszył głos, niedwuznacznie spoglądając na sztabowy namiot – działać szybko! Ta ich kretyńska konferencja prasowa to doskonała okazja! Zejdą się tam ci wszyscy bandyci i będziecie ich mieć jak na talerzu!

– My? – zapytali chóralnie Balas i Deja.

– No a kto? – zdziwił się Weiss. – Wy jesteście antyterrorystami, a nie ja. Wasi ludzie są szkoleni do walk w budynkach. Ja jestem żołnierzem przyzwyczajonym do walki w polu!

W ciągu swojej kariery wojskowej Weiss w polu walczył co najwyżej ze stonką i komarami, lecz komandosi nie musieli tego wiedzieć.

– Dobrze więc – zdecydował Balas. – Zmodyfikujemy tylko nasz plan. Gdzie ma się odbyć ta konferencja prasowa?

– Eeee... zdaje się... w holu głównym – odparł Weiss.

Balas rozwinął na śniegu szkic sytuacyjny Sejmu i mamrotał pod nosem:

– Alfa i Beta tu... my tu... konferencja i nieprzyjaciel tu i tu... Okay!

Podinspektor zwinął mapę i wyprostował się jak struna.

– Oddział Delta, zamiast zabezpieczać ewakuację, uderzy bezpośrednio na hol. Pan, panie generale, musi zabezpieczyć wyjście zakładników.

– Zrobione! – uśmiechnął się Weiss. – Ustalmy zatem godzinę „W”.

\* \* \*

Tłum pismaków okupujących ulicę Matejki jękiem zawodu przyjął listę kilkudziesięciu nazwisk, pospiesznie odczytaną im przez Langerę. Tu i ówdzie na tyłach podnosiły się głosy protestu, z przodu zaś promieniało oblicze Krzysia Tomaszewskiego, zadziwiające wszystkich wokół nienaganną fryzurą. Jego nazwisko figurowało na „liście Langerę” jako pierwsze, co dla Krzysia było zresztą rzeczą tak naturalną jak śnieg w zimie. Nabazgrołony przez Zaniego faks kończył się poleceniem, żeby wymienionym pismakom towarzyszył ten sam zespół techniczny, który obsługiwał pierwszą konferencję, z wyjątkiem „pana wizażysty”, co komendant wyróżnił drukowanymi literami.

Redaktor Dominek – naczelny nowo powstałego tabloidu „Springer” – cieszył się jak dziecko, widząc swoje nazwisko na rzeczonym faksie. Jego brukowiec, dobijany przez sezon ogórkowy, w ciągu ostatnich dwóch tygodni nie miał żadnych ciekawych tematów, a zdjęcie rozjechanego na miazgę przez traktor noworodka z Zabłudowa nie było dość krwawe i nie nadawało się na pierwszą stronę.

Wybuch entuzjazmu Dominka dobijał redaktora Kańtocha z konkurencyjnego „Super-

Newsa”, który do jutrzejszego wydania miał tylko głodzone staruszki z radomskiego domu opieki społecznej i babę, która zeszła na zawał w kolejce do okienka w ZUS-ie. Jęki i protesty niedocenionych na niewiele się jednak zdały i po dokładnym sprawdzeniu tożsamości orszak dziennikarzy, prowadzony przez Gałązkę, ruszył w kierunku głównego wejścia do Sejmu. Za nimi pomaszzerował zespół techniczny, pozostawiając w furgonetce kurtki i zawiedzionego młodego charakteryzatora, smętnie wpatzonego w swój kuferek z całą gamą szminek i pudrów.

Hol główny Sejmu, utrzymany w jasnej tonacji, jeszcze bardziej rozjaśniały promienie słońca, wpadające przez umieszczone nad wejściem okna. W niezwykłym jak na ludzi massmediów milczeniu gromada, zachęcona przez Martinezę, weszła nieśmiało do środka jak wycieczka dewotek do sanktuarium maryjnego. Do tej grupy dołączyli dziennikarz pochwyteni przez Zaniego w czasie ataku. Przez dłuższą chwilę ciszę zakłócało tylko sapanie ekipy technicznej, która z uwagi na doświadczenia dnia poprzedniego poczyniała sobie nieco śmieiej, sprawnie rozwijając kable i ustawiając dwie kamery.

Oczy pismaków rozglądały się chciwie, wypatrując niewidocznych zakładników. Zamiast nich dziennikarska zgraja ujrzała wycelowane w siebie lufy kałasznikowów, trzymanyh przez dwóch chłopaków z sekcji Feriego – Krzyża i Brokata, którzy stali na górnej kondygnacji z boku. Wprawne oko Krzysia Tomaszewskiego dostrzegło też stanowisko ręcznego karabinu maszynowego, umieszczonego w prowizorycznym gnieździe z przewróconych krzesel.

Pismacy oniemiałi na widok tej demonstracji siły, a co poniektórzy zaczęli nawet robić rachunek sumienia. Po kilkunastu minutach zawodowa niecierpliwość przeważyła jednak nad obawami i dziennikarskie sępy zaczęły nerwowo przestępować z nogi na nogę. Szuranie buciorami po wyfroterowanej marmurowej podłodze i szepty to wzmagaly się, to znów cichły, tłumione przez szcęk zamka któregoś kałacha.

Dwanaście po dwunastej, łapiąc się jeszcze na studencki kwadrans, współczesne wcielenie Dymitra Samozwańca w osobie Zaniego objawiło się zgromadzonym. Za nim kroczyła jego Duma Bojarska w osobach panów ministrów. Zeszli po schodach i stanęli na ostatnim stopniu, naprzeciwko dziennikarzy. Flesze strzeliły nagle jak na komendę, co dało mizerny efekt w pełnym słońca holu.

Obie strony mierzyły się przez chwilę wzrokiem, po czym na środek holu wystąpił nie kto inny, jak tylko pan Tomasz – sekretarz komisji rolnictwa, wyznaczony przez Zaniego do roli prowadzącego konferencję.

– Witam Państwa na konferencji prasowej – zaczął, mówiąc nerwowo przez nos. – Konferencja zostanie przeprowadzona w znanej państwu konwencji, z jednym wyjątkiem: rząd przejdzie od razu do odpowiadania na pytania, bez słowa wstępnego. A więc zaczynamy.

Las rąk podniósł się momentalnie i medialna gawiedź, nie bacząc na okoliczności, zaczęła się przepychać do przodu. Tomasz łaskawym wzrokiem sunął po gwiazdach dziennikarstwa,

doskonale czując się w roli prowadzącego, wreszcie doceniony i wyróżniony. Po krótkim wahaniu wskazał na olbrzymiego rudzielca w zmechaconym swetrze:

– Pan.

– Redaktor Obermeyer z dziennika „Republika” – przedstawił się tubalnie rudzielec. – Czy wczorajsze wydarzenia stanowią wstęp do przewrotu wojskowego? W czyim imieniu panowie działają?

– Proszę nie propagować spiskowej teorii dziejów – odparł Zani. – Działamy w imieniu całego narodu, choć przyznaję, że nie konsultowaliśmy z nim naszych poczynań. W chwili, gdy kraj znalazł się na skraju przepaści, potrzebny był ktoś, kto chwyci tę zgraję polityków za gardło. To nie przewrót wojskowy, a pokojowa rewolucja, która zmieniła system rządów w naszym kraju.

– Ma pan na myśli konstytucję, którą narzuciliście? – zapiszczał karłowaty redaktor Misiura z Polskiej Agencji Informacji i Prasy.

– Nie użyłbym słowa „narzuciliśmy”... Konstytucja jest słuszna i w najbliższym czasie poddana zostanie pod osąd narodu w referendum.

– Czy ma pan ambicje założenia radykalnej partii politycznej? – Tomasz przestawał panować nad pismakami. – Dlaczego nie zaproszono dziennikarzy zagranicznych? Czy wykluczacie możliwość poddania się?

– Proszę o spokój, panowie! – przekrzykiwał dziennikarzy Zani. – Po kolei, nie wszyscy naraz!

Stojący obok szefa Arti od niechcienia wyjął pistolet i zaczął okręcać go wokół palca. Gest ten natychmiast przyciszył gawieź jak pilot telewizyjny odbiornik i Zani mógł kontynuować.

– Nie założę kolejnej partii politycznej. Partie to żadne rozwiązanie, doprowadzają tylko do chaosu! Wrogowie nasi woleliby pewnie z dwojga złego widzieć nas na sejmowych stołkach, nie na stanowiskach strzeleckich. Moją jedyną ambicją jest przeforsowanie tej konstytucji.

– Czy to nie demagogia? – Redaktor Klonowicz z „Trybuny” przepchał się do przodu. – Czy to nie puste słowa, które okażą się mrzonką?

– Nie, szanowny panie... demagogii dość mieliśmy za poprzedniego reżimu. Teraz zapanuje nowy porządek, przejrzysty i ludzki. Naród wie, że to my mamy rację, i prędzej czy później nas doceni. Nieskromnie dodam, że uczyni to raczej prędzej niż później.

– A co z programem politycznym? – wołał jakiś blondas. – Czy oprócz konstytucji, która z definicji jest ogólna, macie panowie konkretne propozycje rozwiązania palących Polskę problemów? Uzdrowienia finansów, służby zdrowia, ograniczenia bezrobocia?

– Konstytucja to drugi krok. Pierwszym było zajęcie Sejmu... Cios, który pokazał całemu światu, że nie żartujemy. Cios, który obudzi sumienia...

Pierwszy upadł Krzyżu. Ze zdziwieniem spojrzął na powiększającą się na brzuchu plamę



krwi, po czym osunął się bezwładnie na schody. Głowa stojącego obok niego na schodach Brokata rozprysnęła się nagle jak arbuz, a Niższy Ortalion poczuł lodowaty powiew i ze zdziwieniem runął na posadzkę, starając się otworzyć konwulsyjnie zaciśnięte usta. Wszyscy zamarli na niewielki, naprawdę niewielki ułamek sekundy i w tej samej chwili usłyszeli straszliwy, koszmarny, niemal nieludzki krzyk Cichego:

– Na ziemię!

Wszyscy obecni natychmiast upadli na marmurowe płyty, jedni świadomie, inni ciągnięci przez towarzyszy, jeszcze inni skowycząc z bólu. Trzask lecących na ziemię kamer zmieszał się z terkotem wystrzałów i gryzącym, charakterystycznym zapachem prochowego dymu.

Zani upadł. Krew uderzyła mu do głowy i niemal rozsadziła uszy. Na mgnienie wszystko ucichło i widział tylko biegnące ku niemu nogi w czarnych wojskowych buciorach. Widział je jak w zwolnionym tempie z poziomu podłogi, czując nagle słodką, granicząca z orgazmem przyjemność. A więc już jest... już przyszła... tak wygląda śmierć... to w sumie nic straszego, tylko to piekielne ciśnienie w głowie...

Nadludzkim wysiłkiem dźwignął się na łokciu i oprzytomniał nagle. Odruchowo wyszarpnął z kabury pistolet i nie celując, strzelił w kierunku czarnych butów. W tej samej chwili zwała się na niego jakaś groteskowa czarna postać, co Zani w przeblysku świadomości uznał za naturalną konsekwencję swego strzału.

Kompania antyterrorystyczna sforsowała drzwi wejściowe, ale z rozpędu wpadła na leżących dziennikarzy, co skutecznie ją spowolniło. Sam nadkomisarz Deja, prowadzący szturm od strony głównego wejścia, był łaskaw zaczepić umięśnioną nogą o statyw przewróconej kamery. Głupcy! Gdyby wiedzieli, co mają z prawej strony!

Bibi nie spieszył się. Ślad wiecznego uśmiechu błąkał się po jego okolonej niewielkim zarostem, okrągłej facjacie. Powolutku dotknął ciepłym policzkiem zimnego drewna kolby i filuternie zmrużył oczko. Szcherbinka przepisowo zgrała się z okopconą muszką, a oba przyrządy celownicze skierowały bezbłędnie lufę ręcznego karabinu maszynowego PK w stronę antyterrorystów.

Prawie dwudziestu komandosów jednocześnie wpadło do holu i zatrzymało się na dziennikarskiej przeszkodzie. Przez mgnienie oka niemal wszyscy gliniarze znaleźli się w jednej linii. I w tę właśnie linię patrzyła z góry lufa, przytrzymywana przez ciepły, pulchny policzek.

Deja wyszarpnął nogę z objęć statywu i w tej samej chwili poczuł zimny podmuch, który dziwnie spowolnił jego ruchy. Instynktownie spojrział na prawo, a potem w górę, prosto w małe oczka Bibiego. Deja przymknął oczy i zobaczył swoją żonę, piękną, drobną dziewczynę o króciutkich, przystrzyżonych na chłopaka włosach. I te jej oczy... takie błękitne, takie głębokie...

Karabin Bibiego plunął ogniem. Upiorny terkot i brzęk wylatujących łusek zlał się z charkotem przebijanych gardeł, chrzęstem urywanych kończyn i kawałków ciała, trzaskiem

przewiercanych ołowiem głów. Jowialny grubasek dociskał policzkiem kolbę, powoli sunąc lufą od dołu aż do samej góry. Niewidzialny ołowiany walec miażdżył bezlitośnie komandosów, uwięzionych, spętanych, dziurawionych straszliwymi siedmiomilimetroowymi pociskami. Padali jak kręgle, pękali jak insekty nad ogniem, wypluwali z siebie poharatane wnętrzności i litry krwi. W niecałe dziesięć sekund dwudziestu dziarskich chłopca zmieniło się w czarno-czerwoną miazgę, ruszającą się jeszcze gdzieś tam, wstrząsaną konwulsjami, parującą i odrażającą.

Bibi odsunął policzek od kolby, teraz już ciepłej, rozgrzanej. Ostatnie łuski wyrzucone w powietrze opadły na marmurową podłogę brzęcząc metalicznie, niczym dzwonki kończące tę ponurą ofiarę krwi.

Zani zrzucił z siebie jęczącego komandosa – szczęściarza, który na skutek rany łydki nie dostał się pod rzeźnicki ogień karabinu maszynowego. Komendant wyglądał strasznie, utyłany we krwi komandosów, która rozlała się szerokim strumieniem po całej posadzce. Ten widok nawet go specjalnie nie przeraził – był tak surrealistyczny i nierealny, że mózg Zaniego po prostu nie przyjął go do wiadomości.

Cichy zareagował szybciej niż komendant, walczący z rozszalałym pulsem. Odwrócił się w stronę korytarza i szepnął:

– Prezydenci!

Wąski korytarz sejmowy wypełnił się nagle hukem jego podkutych butów. Cichy pędził jak szaleniec, mając nadzieję, że zdąży, że jeszcze jest szansa. Martinez rzucił się za nim głównie po to, żeby uciec z tej straszliwej rzeźni jak najdalej. Cichy dotarł niemal do połowy drogi, gdy usłyszał to, czego obawiał się najbardziej – krzyki z sali plenarnej. Dopadł wysokich drzwi i otworzył je z rozmachem, uderzając w coś twardego. Spojrzał w dół i spostrzegł, że na ziemi z rozrzuconymi rękami leży jeden z bojowców – WuWu. Twarz miał bladą, lecz spokojną, jakby spał, lecz straszna rana szyi wskazywała, że młody śpi już snem wiecznym. Cichy spojrział jeszcze na galerię, gdzie nagle zaroilo się od czarnych sylwetek, i rzucił się w stronę ławy rządowej.

Dwie czy trzy kule miękko uderzyły w ścianę tuż koło jego głowy. Nawet już się nie zastanawiał, co robi, tylko utkwiał wzrok w jednym punkcie – w przerażonej gębie prezydenta Starynkiewicza, za którym krył się Roman. Cichy wyszarpnął pistolet i naprężwszy mięśnie nóg, skoczył jak pantera na zszokowanego prezydenta elekta, krzycząc jednocześnie do Romana:

– Łap go!

Upadł ciężko na Starynkiewicza i kurczowo wczepił się pazurami w klapę jego eleganckiego garnituru „Zegny”. Szamotał się przez chwilę z prezydentem, przykładając mu lufę do głowy i ciągnąc w górę. Nagle rozluźnił uścisk, powietrze uwięzło mu w płucach, przed oczyma zawirowały czerwone płyty. Upadł na wznak, upuszczając pistolet. Ostatkiem świadomości wsparł się na lewym łokciu i spojrział w górę. Nad nim ze wściekłym wyrazem

twarży stał Roman, podnosząc swojego kałacha do ostatecznego ciosu.

– Zdrajco! – wrzasnął Cichy, instynktownie zasłaniając głowę przed uderzeniem, które wedle wszelkiego prawdopodobieństwa powinno mu zmiażdżyć czaszkę. Ale prawdopodobieństwo nie zadziało i Roman padł nagle jak podcięty, wydając z siebie tylko jęk. Cichy spojrzał przed siebie – w drzwiach z dymiącą lufą stał Martinez, który postrzelił Romana w lewą nogę.

Nie było jednak czasu na roztrząsanie kwestii zdrady. Zadanie ułatwił Cichemu sam Starynkiewicz, podnosząc się w szoku z uniesioną do góry ręką, jak uczeń w szkole. Cichy zerwał się z podłogi i bezceremonialnie wpakował Starynkiewiczowi pistolet pod brodę, a sam stanął za jego plecami, robiąc z niego żywą tarczę. Martinez przezornie skoczył za nich.

Ciemne postacie w czarnych goglach nagle znieruchomiały, powstrzymane gestem idącego na czele. Strzelanina ucichła i obie strony zamarły jak stop klatka włączona w czasie filmu akcji. Szturmujący na czele swych ludzi podinspektor Balas rozpoznał w trzęsącej się jak kukła sylwetce nowo wybranego prezydenta.

– Rzuć broń i poddaj się! – krzyknął policjant. – To wasza jedyna szansa! Inaczej po was!

– Tylko spróbuj – odkrzyknął Cichy – a odstrzelę mu łeb! Choćbym sam zginął, on też zginie!

Balas wiedział, że gdyby nawet snajper zdjął gówniarza, ten w śmiertelnym skurczu naciśnie spust, przenosząc się do wieczności w towarzystwie głowy państwa. Problem przerósł nieszczęsnego podkomisarza, któremu nagle przyszło decydować o losie pierwszego obywatela Najjaśniejszej Rzeczypospolitej.

– Rzućcie broń i poddajcie się – wrzasnął Cichy – bo go zastrzelę, a odpowiedzialność spadnie na was! Każ im rzucić broń! – warknął do struchlałego prezydenta.

– Rzu... rzu.. rzucić! – wyjąkał elekt. – Natychmiast... na miłość boską, rzućcie broń!

Ogłupiały Balas, nieprzywykły do roztrząsania konstytucyjnych zależności, nie potrafił odnaleźć właściwego rozwiązania. Rozkaz wydał prezydent, ale nie był regulaminowym przełożonym, zresztą działał pod przymusem. Z drugiej strony był bądź co bądź głową państwa, której należał się posłuch. Ale z kolei...

– Dowódco oddziału AT, proszę złożyć broń i poddać się!

Czysty, melodyjny głos wzbijał się nagle aż pod rozświetlony sufit sali sejmowej. Cichy rozejrzał się w poszukiwaniu jego właściciela, ale nie znalazł go. Odwrócił się nawet Balas, jego komandosi zaś, ubezpieczając się wzajemnie, dyskretnie lustrowali poselskie rzędy. Nagle Martinez stanął obok Cichego i podniósł palec, wskazując na prawą stronę sali. Pod ścianą w pogniecionym mundurze stał komendant główny policji, nadinspektor Graczyk.

– Proszę rzucić broń – powtórzył, zwracając się do Balasa. – To rozkaz!

Kamień spadł z Balasowego serca i wylądował na podłodze razem z karabinem MP5A5, upuszczonym przez dowódcę oddziału AT. Rozkaz komendanta głównego w pełnym, choć wymiętym umundurowaniu, wydany wobec kilkuset świadków, zdejmował z ramion Balasa

nieznośnie dużą odpowiedzialność.

Powoli, jeden po drugim czarni kładli broń na wykładzinę, podnosząc łapy w górę. Balas przełączył radio podłączone do hełmu i zakomenderował:

– Alfa zero jeden, odpuszczamy!

Zani z resztą chłopaków wpadli już na gotowe. Komendant i premier w jednej osobie zbaraniał widząc, jak Martinez z Cichym wzięli do niewoli pluton komandosów. I dopiero widok wymiotującego prezydenta Starynkiewicza, który ozdobił efektownym pawiem zieloną wykładzinę, pozwolił im zrozumieć, dlaczego polska odmiana Specnazu stoi z rękami w górze.

– Zebrać broń i skuć ich wszystkich – szepnął Zani – i zabezpieczcie... zabezpieczcie... teren...

Dopiero teraz napięte do granic ludzkich możliwości nerwy doszły do głosu i komendant zaczął dygotać jak w ataku febry. Cichy dostrzegł to natychmiast i choć sam wyczerpany, nadludzkim wysiłkiem wypchnął szefa za drzwi i przyparł do ściany.

– Człowieku, weź się w garść – szeptał, ale szept ten był straszniejszy od krzyku. – Ludzie nie mogą cię takim zobaczyć! Opanuj się!

– Wszystko stracone, wszystko – mamrotał Zani. – Porwaliśmy się z motyką na słońce, a oni nie żyją! Rozumiesz!? Nie żyją!

– Nic nie jest stracone! – wrzeszczał Cichy. – Wygraliśmy! Cudem, ale wygraliśmy! To nic nowego w historii Polski. I teraz nie możemy tego zaprzepaścić!

Zani opanował się jakoś, ale wciąż lekko dygotał. Spojrzał szklistym wzrokiem na Cichego i rzekł sucho:

– Drugiego cudu już nie będzie.

## Rozdział 13

- Balas?
- Zaginiony.
- Deja?
- Zginął.
- Straty?
- Około dwudziestu zabitych, wielu rannych, oddział Alfa zaginiony.

Langer usiadł ciężko na krześle. Zdający raport antyterrorysta w stopniu aspiranta usiadł także, trzymając się za ramię obandażowane przez doktora Ornatowskiego. Atmosfera przygnębienia i nieznośna cisza opanowała namiot sztabowy. Zgromadzeni patrzyli na siebie spode łba, daremnie usiłując zrozumieć to, co przed chwilą zaszło. Cisza nie trwała jednak długo.

– Kto... na miłość boską, kto śmiał – Langer z każdym słowem podnosił głos coraz bardziej – zaplanować ten pożałowania godny atak!? Kto śmiał narazić zakładników taką kretyńską decyzją! Kto!?

Ostatnie słowa, podkreślone walnięciem pięści o stół, wyrzeszczał już na całe gardło. Wrzask był zresztą retoryczny, bo niezwykle bladość generała Weissa jasno wskazywała winnego. Co więcej, jego dzielna brygada, mająca zgodnie z planem zabezpieczyć ewakuację zakładników, biegła tylko tam i z powrotem wokół Sejmu, czyniąc wielkie zamieszanie i zamieniając śnieg w brudnoszarą breję.

– Trzeba było spróbować – rzekł w końcu generał. – Nie sądziłem, że ci policjanci nie dadzą sobie rady. To oni za to odpowiadają...

– Odpowiedzieli własnym życiem! – zagrzemiał Langer. – Gdybyś miał trochę honoru, palnąłbyś sobie w łeb, ty kretynie!

Weiss skulił się jeszcze bardziej, tocząc naokoło pytającym wzrokiem i szukając w kamiennych twarzach zgromadzonych choćby odrobiny współczucia. Nie protestował nawet, gdy młodszy stopniem nazwał go kretynem.

– Istnieje poważne zagrożenie, że terroryści zrobią krzywdę zakładnikom – odezwał się dobrodusznie profesor Oberek. – Powinniśmy skupić się teraz na tym, żeby nie dopuścić do dalszego rozlewu krwi.

Łagodny profesorski głos ostudził nieco atmosferę i wpłynął uspokajająco na Langerę, który zamierzał pognać Weissa do końca. Teraz odetchnął głęboko i wolno, akcentując każde słowo, rzekł:

– Stała się rzecz straszna i niewybaczalna. Przez głupotę i prywatne ambicje narażono życie zakładników. To się nie może powtórzyć. W żadnym wypadku! Jeśli jeszcze raz któryś z was zrobi cokolwiek bez uzgodnienia ze sztabem, to jak mi Bóg miły, rozpiardolę mu łeb!

Langer upewnił się, że jego słowa dotarły do towarzystwa, po czym wydał dyspozycje.

– Weiss – z premedytacją pominął tytuł dowódcy brygady – rusz się pan i każ tym swoim baranom wycofać się z bezpośrednich okolic Sejmu. Pan, panie Wawrzyniak, zabezpieczy teren wokół i nakaze policjantom zachować absolutny spokój. Pan zaś, doktorze – zwrócił się do Ornatowskiego – zaalarmuje szpital. Ja spróbuję porozumieć się z zamachowcami. Jeśli będą chcieli ze mną rozmawiać, może uda się wyciągnąć stamtąd rannych...

Telefon Langerę rozdzwonił się nagle. Jeden rzut oka wystarczył pułkownikowi do ustalenia, kto chce z nim mówić. Odwrócił się do zgromadzonych i warknął:

– Wszystko jasne? Wykonać.

Zastęp nadzwyczaj karnie i zdyscyplinowanie ruszył do wyznaczonych zadań. Na czele truchtał poskromiony generał Weiss. Langer przeszedł w kąt namiotu i odebrał.

Przez chwilę milczeli obaj, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć. W końcu odezwał się Zani:

– Zaufałem panu, a pan zdradził...

– Nie! – zaprzeczył pułkownik. – To mnie zdradzono! Tę pożałowania godną akcję podjęto bez mojej wiedzy i zgody.

– Ta pożałowania godna akcja, jak pan to nazywa, kosztowała życie wielu ludzi! – krzyknął Zani – Robiłem wszystko, żeby tego uniknąć, ale pan nie umiał mi pomóc!

– Wiem, że jestem winny – przerwał Langer – ale proszę teraz o jedno: proszę umożliwić ewakuację rannych. Wielu z nich może umrzeć bez natychmiastowej pomocy!

– Dobrze – zgodził się Zani – ale nie więcej niż dziesięciu lekarzy. I uprzedzam: jeśli coś się stanie, osobiście odstrzelę prezydentowi łeb! Rozumie pan?!

– Nic się nie stanie, dopilnuję tego!

Jęk karettek uruchomionych przez niezastąpionego doktora Ornatowskiego zabrzmiał niecałą minutę po zakończeniu tej rozmowy. Białe, zlewające się ze śniegiem pojazdy z trudem przecisnęły się przez ciasny kordon policji, na który z jednakową determinacją nacierały szacowne małżonki i mniej szacowni pismacy. Langer przebiegł przez Wiejską i stanąwszy w pobliżu szlabanu, komenderował, wymachiwał rękami, starał się być jak najbardziej widoczny dla Zaniego i jego towarzyszy.

Lekarze i sanitariusze popędzili w stronę wejścia głównego, zgarniając po drodze ocalałych z rzezi zszokowanych dziennikarzy. Pismacy oszalali ze strachu i przerażenia, w większości ranni miotali się jak kukły po zaśnieżonym dziedzińcu. Jedynie Krzys

Tomaszewski, choć draśnięty w rękę, zachował zimną krew, tylko ulatujący lewą nogawką mocz świadczył, że nie wszystkich reakcji dało się upilnować.

Widok, który ukazał się lekarzom po wejściu do gmachu Sejmu, zmroził im krew w żyłach. Trzech czy czterech medyków zwymiotowało na samym progu, dwóch już w środku. Potrzaskane, splątane, szczipione śmiertelnymi konwulsjami ciała wyglądały tak potwornie, że lekarzom zdawało się, że trafili do piekła. Stali przez chwilę, nie wiedząc, co robić. Wreszcie jeden z nich, siwy brodac, mężnie dał przykład, chwytając nadludzkim wysiłkiem leżące najbliżej ciała. Ciało, ubrane w czarny uniform komandosa, ruszało się jeszcze, ale brodac, rzuciwszy okiem znawcy, wiedział, że to już ostatnie drgawki. Szukał więc dalej, wspomagany najpierw przez dwóch, później przez resztę swoich kolegów.

Śnieżnobiałe kitle szybko zmieniły kolor i lekarze wychodzący z Sejmu wyglądali jak związek zawodowy rzeźników po nadzwyczaj burzliwych obradach. Nawet napierający na gliniarzy pismacy rozdziawili ze zdumienia nieogolone gęby, zszokowani tym widokiem. Wśród dam natomiast rozległy się szloch, a kilka zademonstrowało szczególnie modne tego sezonu spazmy.

Zani zbiegł schodami w dół, ślizgając się we krwi. Właściwie dopiero teraz zauważył zmasakrowane ciała zalegające hol. Opanował się jednak i walcząc z zawrotami głowy, chwycił pod ramiona Krzyża. Wrzasnął na babrających się we krwi sanitariuszy:

– Do mnie!

Dwóch noszowych ruszyło w jego kierunku i po chwili troskliwie ułożony na noszach, nieprzytomny Krzyż został przetransportowany do karetki. Wyższy Ortalion rozejrzał się po sali i naraz krew odpłynęła mu z twarzy. Na ziemi oparty o ścianę siedział Niższy i skulony trzymał się za brzuch. Wyższy krzyknął przeraźliwie i rzucił się w stronę kumpla, płosząc pozostałych sanitariuszy.

– Chryste, co ci, co ci? – bezskutecznie starał się wyprostować skulone ciało. – Odezwij się, słyszysz?

Odpowiedział mu tylko cichy jęk. Wyższy odwrócił się i wrzasnął:

– Lekarza, tutaj!

Kłęczący nieopodal siwawy doktor, który opatrywał wyjącego z bólu komandosa, nie zareagował. Ortalion zerwał się z podłogi i z pistoletem w dłoni podszedł do lekarza.

– Najpierw tamtego – wskazał palcem na Niższego. – Ten może poczekać!

– Wykrwawi się, jeśli... – zaczął medyk, ale urwał szybko, widząc wycelowaną w siebie lufę. Zerwał się i chyżo podbiegł do rannego młodziana. Wraz z Wyższym ułożyli go na ziemi i delikatnie wyprostowali. Ranny jęknął, obejmując nadal brzuch sztywnymi rękami.

– Niech pan mi pomoże odciągnąć mu ręce – rzekł doktor.

Z niemałym wysiłkiem unieśli dłonie Niższego. Lekarz rozciął mu mundur i odsłonił straszną ranę. Kula trafiła w lewy bok, rozpruła brzuch i wyrwała dziurę z prawej strony. Wnętrznosci wychodziły z rany, krwawiąc obficie.

– Chryste, niech pan go ratuje – mamrotał Wyższy, głaszcząc kumpla po głowie drżącymi rękami, utyłanymi w jego krwi. – Ciii... leż spokojnie... oddychaj...

Medyk założył prowizoryczny opatrunek i skinął na noszowych. Wyższy przy pomocy Zaniego przeniósł Ortaliona na nosze.

– Pojedziesz z nimi do szpitala – powiedział Zani, kładąc dłoń na ramieniu Wyższego. – Weźmiesz ze sobą telefon i będziesz czuwać nad chłopakami. Uprzedzę Langerę, żeby nie robili ci przeszkód.

Ruszyli razem w stronę wyjścia, obchodząc pokiereszowane ciała.

– I jeszcze jedno – dodał Zani, ściskając prawicę Wyższego. – Dopilnujesz, żeby trzymano ich razem, i nie pozwolisz na żadne przesłuchania. Gwarancją twojej wolności będzie Starynkiewicz. Jeśli coś ci zrobią...

– Rozumiem – odparł Wyższy. – Możesz na mnie liczyć.

Zani wyciągnął telefon i odprowadził wzrokiem rannych niesionych do karettek. Obok szlabanu zauważył jakiegoś oficera komenderującego sanitariuszami, który machał rękami i krzyczał coś donośnie. Zani uzyskał połączenie i po chwili usłyszał znajomy głos.

– Tu... tu Lan...ger... – odezwał się zdyszany pułkownik. – Jestem...

– Co to, ma pan atak astmy? – zadrwił Zani. – Mam nadzieję, że nic się panu nie stało.

– Nie, nie... – zapewniał Langer, uspokajając oddech. – Kieruję teraz ruchem przed Sejmem.

Zaniego nagle coś tknęło. Odwrócił się gwałtownie i spojrzał w kierunku, gdzie jeszcze przed chwilą mundurowy wymachiwał ramionami jak oszalały dyrygent. Teraz stał nieruchomo z ręką przy uchu.

– Niech pan pomacha – rozkazał Zani.

– Co proszę?

– Niech pan pomacha prawą ręką.

– Macham... i co?

– Widzę pana...

Langer odwrócił się w stronę Sejmu i za krzątającymi się sanitariuszami dostrzegł sylwetkę Zaniego z uniesioną prawicą. Przez chwilę machali do siebie jak starzy kumple na kolejowym dworcu, przypatrując się sobie z ciekawością.

– W karetkach jest dwóch moich rannych kolegów – przerwał Zani tę idyllę. – Towarzyszy im jeden z moich ludzi. Osobiście odpowiada pan za ich bezpieczeństwo. Mają zostać skierowani do jednego szpitala, a mój człowiek ma mieć do nich bezpośredni dostęp. Każda próba przesłuchania go bądź zatrzymania sprawi, że dostanie pan w koszyku łeb prezydenta Starynkiewicza. Czy zostałem dokładnie zrozumiany?

– Tak jest – mimowolnie wyprężył się Langer. – Poślę z nimi jednego z moich zaufanych ludzi. On dopilnuje, żeby pańskim towarzyszom zapewniono najlepszą opiekę.

– Oby tak było – zakończył Zani i rozłączył się. Przez chwilę jeszcze trzymał uniesioną



rękę, po czym obrócił się i wolno poszedł w stronę wejścia do Sejmu.

– Teraz jeszcze jedna sprawa – mruknął do siebie, przesuwając kaburę z pistoletem na brzuch.

\* \* \*

W dolnej palarni pomiędzy salą plenarną a budynkiem Kancelarii Sejmu, w głębokich fotelach ustawionych w półkole siedział Cichy z towarzyszami. Na wykładzinie leżał Roman z przestrzelonym udem. Szok i przerażenie, podsycane lodowatymi spojrzeniami niedawnych kolegów i przyjaciół, skutecznie znieczulały ból w zranionej nodze.

Pod oknami, niczym wory ziemniaków, leżeli pokotem skrępowani członkowie oddziału Alfa razem ze swoim dowódcą, nieszczęsnym podinspektorem Balasem. Antyterrorysty spoczywali bez ruchu, gapiąc się bezmyślnie w przestrzeń i w milczeniu przeżywając wstyd. Dla nich – uważających się za elitę – niepojęte było, że ktoś mógł nie tylko ich pokonać, lecz dodatkowo schwytać i upokorzyć.

W kącie sali, na dwóch zestawionych stołach, leżały ciała WuWu i Brokata, nakryte zerwanymi z karnisza brązowymi kurtynami. Tam właśnie skierował się Zani, kiedy wszedł do palarni. Zdawał się nikogo nie zauważać, tylko przystanął obok stołów i wpatrywał się bez słowa w zakrwawione zasłony, okrywające ciała poszarpane kulami.

Wszyscy odruchowo wstali na ten widok. W palarni zaległa cisza, przerywana jedynie szcękaniem zębów rannego zdrajcy. Zani odwrócił się w jego stronę i popatrzył na niego przez łzy.

Roman nagle przestał się trząść. Napięte do granic wytrzymałości mięśnie rozluźniły się i zwiotczały. Ogarnął go przyjemny chłód. W załzawionych oczach komendanta wyczytał bowiem własną śmierć. Straciwszy wszelką nadzieję, poczuł przyływ desperackiej odwagi i bezczelności, jaka ogarnia czasem skazańca świadomego, że nie ma już dla niego ratunku. Gęba wykrzywiła mu się w dzikim, wyzywającym uśmiechu.

– No... na co jeszcze czekacie? – zapytał drżącym głosem. – No już, strzelajcie...

– Zdradziłeś... – głucho ni to stwierdził, ni to zapytał Zani.

– Jesteście szaleńcami! – wrzasnął nagle Roman. – Nie widzicie, coście zrobili!? To wszystko fikcja i wasze chore marzenia! Naprawdę myśleliście, że ta farsa się uda?

– Ty bezczelny śmieciu! – wyrwał się Martinez. – To ty podniosłeś rękę na jednego z nas!

– Spokój! – Zani podniósł rękę. – Zaraz wszystko się wyjaśni. Gadaj, z kim byłeś wzmowie!

– Pocałuj mnie w dupę. I wy wszyscy również, bando pomyleńców.

Zgromadzonych bojowców zaczęły śwędzić palce i zdawało się, że co poniektórzy zaraz wybuchną. Szczególnie Jurandowi, który stał przy oknie, wyraźnie puszczały nerwy. Zani tracił powoli kontrolę nad sytuacją, zaś sam zainteresowany dolewał tylko oliwy do ognia.

– Radzę ci po dobroci... – zaczął Zani i urwał widząc, że w drzwiach pojawił się Arti. Flegmatycznym krokiem, bardzo powoli wszedł do sali, jakby bał się, że stukot jego kroków zakłóci przesłuchanie.

– Jesteś wreszcie – sucho przywitał go Zani. – Długo mamy na ciebie czekać?

Arti nie odpowiedział, tylko podszedł powolutku do krzesła i usiadł na nim z wyraźną ulgą. Dopiero teraz komendant zauważył, że chłopak jest śmiertelnie blady i drżą mu ręce. Z satysfakcją stwierdził, że nawet zimnokrwisty Arti miał swoje chwile słabości.

– Gadaj! – krzyknął Cichy w stronę zdrajcy. – Nie będziemy się z tobą cackać. Gadaj, z kim byłeś w zмовie. No już!

Wyszarpnął pistolet i wstał z fotela.

– Cichy! – Zani zagroził mu drogę. – Siadaj!

– Jeśli powiesz nam wszystko, może ocalisz życie – odezwał się Arti, ocierając powolnym ruchem obfity pot z czoła. – To twoja jedyna szansa...

– Zwariowałeś! – Cichy ponownie zerwał się z fotela. – Darować mu życie? Temu zasranemu zdrajcy?! Na śmierć z nim!

– Na śmierć! Śmierć! – rozległy się wściekłe głosy. – Dość gadania, na śmierć!

– Spokój! Spokój, do kurwy nędzy! – wrzasnął Zani.

Przekleństwa w jego ustach wywarły pewne wrażenie na zgromadzonych. Arti nachylił się do Romana i szepnął:

– Mów, to twoja jedyna szansa... sam widzisz, co się dzieje.

Ranny zdrajca znowu oblał się zimnym potem. Nikła nadzieja, której już się wyżył, powróciła – bezczelny uśmiech natychmiast zniknął i pojawiła się wymuszona skrucha.

– Dobrze – rzekł oddychając ciężko – powiem... to prezydent... Starynkiewicz.

– Starynkiewicz kazał ci nas zdradzić? – upewnił się Zani.

– Starynkiewicz i premier Tkaczyk – mówił Roman coraz śmielej. – Pilnowałem ich, a oni obiecali, że jeśli im pomogę... nic mi nie zrobią. Załatwią schronienie za granicą i pieniądze... dużo pieniędzy... Więc zadzwoniłem... na 997 i powiedziałem, że będziecie wszyscy w holu głównym... na konferencji... że mogą atakować... salę plenarną.

Zani jak we śnie ujrzał scenę, kiedy nakrył szepczącego z prezydentami Romana. Że też wówczas, słysząc jego nieskładne i nieudolne wyjaśnienia, nie nabrał podejrzeń! Może ci dwaj nakryci zasłonami żyliby jeszcze?

– A to ścierwo! – warczał Cichy. – A wy chcecie darować mu to nędzne życie! Zajebać gnoja, a potem – spojrzał w stronę powiązanych komandosów – a potem zająć się tamtymi...

– Co jeszcze im powiedziałeś? – wykrztusił Arti, oddychając ciężko. – Mów!

– Po co w ogóle z nim gadasz – irytował się Cichy – i czemu chcesz mu darować życie?

Arti odwrócił się do Cichego i szepnął:

– W zamian za moje...

Zsunął się z krzesła i upadł na podłogę na wznak. Zani krzyknął straszliwie i doskoczył

do niego. Cichy przypadł również i trzęsącymi się rękoma rozpiął mu bluzę. Zielony podkoszulek nasiąknięty był czerwienią, z piersi po prawej stronie sączyła się krew.

– Twoja republika – wyszeptał konający do Zaniego. – Nie daj jej umrzeć... jak mnie...

Zani utkwiał wzrok w szklistych oczach przyjaciela, patrzących już w nicłość. Niemal czuł ulatującą z ciała duszę, która – jak przystało na Artiego – odchodziła spokojnie i powoli. Nic już do niego nie docierało. Nie widział, jak Jurand rzucił się wściekle w stronę Romana. Nie słyszał jego wściekłego wrzasku. Nie usłyszał strzału i nie dostrzegł, jak krew trysnęła z głowy zdrajcy, który jeszcze przez chwilę rzucał się w konwulsjach. Nie widział nic.

Wieczorem sztab kryzysowy w osobach pułkownika Langerera, generała brygady Weissa, admirała floty Świrskiego, starszego inspektora Halberta, podpułkownika Czernickiego, podpułkownika Kujawy, doktora nauk medycznych Ornatowskiego, profesora doktora habilitowanego Oberka, magistra Gąbczyńskiego, magistra Michalskiego i starszego ułana Doliwy-Roztockiego obserwował w milczeniu, jak po krótkiej modlitwie odmówionej przez księdza Węgielka trzy ciała nakryte biało-czerwonymi flagami przenoszono do stojących na ulicy Wiejskiej karet pogotowia. Do uszu sztabowców dotarły niewyraźne słowa komendy i trzy w miarę równe salwy z kałachów, które pożegnały Artiego, Brokata i WuWu. Ciało Romana, owinięte w okrwawione zasłony okienne, wyniesiono po zmroku i przekazano sanitariuszom.

\* \* \*

Ocknął się. Sen i jawa walczyły przez chwilę w jego głowie, niczym w piosence „Szumi dokoła las” armii Berlinga. Ostry młoteczek tłukł niemiłosiernie w czaszkę, w uszach to narastał, to zanikał irytujący szum. Prawy bark, zdrętwiały i obolały, dawał się silnie we znaki na dowód, że to jednak rzeczywistość.

Tomasz podniósł się powoli, sycząc z bólu. Oczy przyzwyczyały się do ciemności i sekretarz dostrzegł, że znajduje się w sali plenarnej. Wokół spoczywali przedstawiciele narodu, śpiąc lub rozmawiając szeptem. Czarne uzbrojone sylwetki, przechadzające się pod ścianami, świadczyły o tym, że zamachowcy czuwają.

Powoli do mózgu Tomasza docierać zaczęły strzępy wspomnień – terkot karabinów, wrzaski i krzyki, wreszcie koszmarnie jęki i wszechobecna krew. Natrętne, niemal surrealistyczne wizje przytłaczały go coraz bardziej. Czuł, że nie wytrzyma, że to ponad jego siły, że nie da rady... Oparł się o barierkę stenografów i łapał oddech. W kłębowisku uczuć, które nim szarpały, ku jego zdziwieniu najsilniej odzywała się złość. Nie strach, nie zgroza, ale zwykła, ludzka, narastająca złość. Odrzuciwszy młodzieńcze marzenia o przygodach, podróżach i adrenalinie, Tomasz świadomie i z premedytacją wybrał urzędniczą karierę w administracyjnych strukturach, wiedząc, że to praca spokojna i wygodna. Ileż to razy z politowaniem patrzył na swych rówieśników, harujących w prywatnych firmach i

wypruwających sobie żyły w szaleńczym wyścigu szczurów. Ile razy ironicznie unosił brew, wysłuchując ich opowieści o szefach pracoholikach, o weekendach spędzanych w firmie, o niebotycznych trudnościach z uzyskaniem choć jednego dnia urlopu. Te problemy były dla niego równie odległe jak orbita Jowisza. I nagle, w ciągu kilku chwil, grupka zamaskowanych koleś brutalnie przerwała tę sielankę.

– Kule, terroryści, wybuchy, trupy – warczał do siebie wściekle Tomasz. – Ot i mam spokojny etacik.

Rozmyślenia przerwał mu nagle hurgot otwieranych drzwi i głośnie kroki. Od strony łącznika weszło kilku zamachowców i zbliżyło się do ław rządowych, gdzie zasiadali obaj prezydenci, premier i ministrowie.

– Panie prezydencie Starynkiewicz – odezwał się Cichy z udaną powagą.

– Słucham panów? – rzekł prezydent, podnosząc się z fotela, na którym drzemał.

Uprzejma wymiana zdań zakończyła się równie nagle, jak się zaczęła. Stojący za Cichym Jurand błyskawicznie ściągnął kałacha z ramienia i wyrzucił Pierwszego Obywatela Rzeczypospolitej kolbą w brzuch. Starynkiewicz złożył się jak scyzoryk i padł z łoskotem na ziemię, jęcząc z bólu.

– Wystarczy – powiedział Cichy, widząc pytający wzrok Juranda i dodał: – Jeszcze raz, ścierwo, spróbujesz buntować kogokolwiek z moich ludzi, to przysięgam na pamięć mojej matki, że osobiście wyrwę ci ten kłamliwy jęzor! Jasne?!

Prezydent nie raczył udzielić odpowiedzi z poziomu podłogi, tylko instynktownie zasłonił głowę przed dalszymi uderzeniami.

– Podnieś go – rozkazał Cichy.

Jurand dźwignął obolałego nieszczęśnika z podłogi.

– Pójdzie pan z nami.

Cichy ruszył do drzwi, ciągnąc za sobą wystraszonego prezydenta, który polecał już Najwyższemu swą grzeszną duszę. Popychany przez bojowców, dreptał niezgrabnie, dygocząc i pocąc się obficie. Cichy otworzył drzwi gabinetu marszałka, wepchnął do środka prezydenta elekta i wskazał mu krzesło. Starynkiewicz usiadł niepewnie, przerażony, że chwilę zawiążą mu oczy i palną w łeb.

– Pewnie się pan zastanawia, czemu tu pana poprosiliśmy – rzucił złośliwie Cichy ku wyraźnemu rozbawieniu kumpli. – Otóż pańskie nierozsądne postępowanie wymaga podjęcia drastycznych środków.

Cichy świetnie się bawił, widząc, jak gęba pana prezydenta przybiera odcień gaszonego wapna, a rozszerzone źrenice wypełniają się panicznym strachem.

– Czego... czego ode mnie chcecie?

– Zarządzi pan w trybie pilnym referendum narodowe.

Kamień spadł Starynkiewiczowi z serca. A więc nie chodziło wcale o jego cenny żywot! Uspokoił się nieco i opanował drżenie rąk.

– Ale... Sejm musi...

– Zgodnie z nową, przyjętą przez Sejm konstytucją – pouczył go Cichy – Sejm nic nie musi. Konstytucja zezwala panu na zapytanie narodu, czy akceptuje ustawę zasadniczą przyjętą przez Zgromadzenie Narodowe. Zresztą według starej konstytucji ma pan prawo zwołać referendum ogólnokrajowe za zgodą Senatu. Dla spokojności pańskiego sumienia możemy zarządzić głosowanie. Tak się składa, że mamy Senat do dyspozycji – uśmiechnął się zjadliwie.

– Cóż więc mam robić?

– Nieszczęśliwym trafem przewodniczący Narodowej Komisji Wyborczej, sędzia Kramarz, nie znalazł się na liście zaproszonych na zaprzysiężenie gości. Skontaktujemy się z nim jutro, a pan zgodnie z uprawnieniami wyda mu polecenie zorganizowania referendum konstytucyjnego. Jasne?

– Tak... jasne... ale...

– Skoro wszystko jasne, to kończymy naradę.

– Mam jednakże kilka pytań...

– Na wszelkie pytania odpowie mój osobisty doradca – oświadczył Cichy, wskazując na Juranda. – Coś czuję, że ma chęć pogadać sobie z panem.

Starynkiewicz z przerażeniem spojrzął na dryblasza i odruchowo złapał się za brzuch. Widok Juranda istotnie mógł budzić przerażenie. Ogromne i nabite mięśniami ciało z daleka zwracało uwagę i tylko nieliczni wiedzieli, że kryło w sobie nieprzeciętny umysł. Starynkiewicz zdziwiłby się zapewne, gdyby wiedział, że stojący nad nim mięśniak był wielbicielem impresjonizmu i umiał sobie czas czytaniem *Braci Karamazow* w oryginale. Właśnie to dość niezwykle połączenie siły fizycznej z intelektem i determinacją sprawiło, że kumple najpierw ironicznie, a później już całkiem serio przyrównali go do Sienkiewiczowskiego jednookiego rycerza ze Spychowa.

Prezydent elekt stracił ochotę do zadawania pytań, zresztą zapomniał już, o co chciał zapytać. Odprowadzony przez Juranda, spoczął w ławie rządowej, oddychając ciężko. Premier Tkaczyk troskliwie powachlował go kartką papieru, a reszta członków rządu nachyliła się ciekawie i nadstawiła uszu.

– Torturowali pana? – szeptem spytał minister obrony.

– Czego chcieli? – pytali inni.

Siedzący niżej Tomasz, widząc prezydencki powrót, przełamał strach i powoli zaczął się przesuwając do góry, w stronę marszałkowskiego stolca. Mrok panujący w sali ułatwił mu zadanie. Po chwili Tomasz dotarł wyżej i skulił się na wąskich schodach.

– Te świny chcą mnie zmusić do ogłoszenia referendum – usłyszał chrapliwy z przejęcia głos Starynkiewicza. – Chcą, żeby motloch głosował za przyjęciem tej ich śmiesznej konstytucji...

– Nie mogą pana zmusić – pocieszył go Tkaczyk, przestając wachlować. – Tylko Sejm

może...

– Gównno może! – syknął ze złością pan prezydent. – Powiedzieli, że ich konstytucja nadaje mi takie uprawnienia.

– Bardzo się pan tym zmartwił, co? – z przekąsem odezwał się milczący dotąd eks-prezydent Rozwadowski.

– Pan lepiej niech milczy – zaperzył się Starynkiewicz. – Pan też ponosi odpowiedzialność za to, co się stało! To pan wysyłał naszych żołnierzy do Iraku zamiast ich szkolić do obrony kraju i oto efekt!

– Ciszej tam, pudrowana hołoto – zawołał głośno pilnujący sali Jurand – bo wam ręcznie pozamykam ryje!

Ława rządowa przycichła momentalnie, spoceni, śmierzący i wymięci ministrowie zgarbili się nad pulpitemi. Jurand, udzieliwszy im nagany, odszedł w stronę łoży prezydenckiej, lustrując pogrążone w półmroku ławy posłów prawicy.

– Nie możemy dopuścić do tego referendum za żadną cenę – ciągnął szeptem Starynkiewicz. – Ten operetkowy zamach to jedno, ale referendum narodowe to zupełnie coś innego. Jeśli zwykły motłoch dorwie się do głosu, to mogą poprzeć tę ich konstytucję!

– Ma pan ciekawą opinię o własnym narodzie – zauważył Rozwadowski. – Proszę nie zapominać, że dzięki głosom tego, jak pan to dyplomatycznie ujął, „motłochu” uzyskał pan prezydenturę.

– To, że raz podjęli słuszną decyzję, nie znaczy jeszcze, że zawsze będą tak robić – rzekł nadzwyczaj skromnie prezydent elekt. – Rzecz w tym, że nasi kochani rodacy uwielbiają takie romantyczne zrywy. I zniechęceni do nas mogą postawić na nich, rozumiecie? A jeśli tak, to leżymy!

– Jak to? – zdziwił się premier Tkaczyk.

– Jak to, jak to!!! – przedrzeźniał go Starynkiewicz wściekłym szeptem. – Zgnoją nas! Odstawią do lamusa, wywalą, postawią przed sądem! Mało macie machlojek na sumieniu?

– Pan też nie jest święty – zauważył siedzący w drugim rzędzie minister Gryficki.

– A czy ja mówię inaczej? Jeśli pozwolimy tym gówniarzom działać, stracimy wszystko, cośmy do tej pory osiągnęli: pieniądze, władzę, przywileje! Zrozumcie, barany, że jedziemy razem na tym samym wózku. Razem!

– A kraj? A dobro kraju?

– Ach, zamknijże się, człowieku! Nie jesteś przed kamerą!

Ławy umilkły ponownie, tym razem pod wpływem ciężkich słów prezydenta. Jego podyktowana okolicznościami szczerą jasno i wyraźnie uświadomiła wszystkim, że gra idzie o wielką stawkę – większą i ważniejszą dla niejednego z nich niż własne życie. Przerażenie powoli ustępowało miejsca oburzeniu, a niemoc i zwątpienie rozpląwały się pod wpływem poczucia krzywdy i niesprawiedliwości. Bo czy po to szarpali się przez całe życie? Czy po to zębami i pazurami przez długie lata wydrapywali sobie drogę na szczyty władzy?

Czy po to siwieli, łysieli, przechodzili zawały i wylewy, rozbijali swoje rodziny, podkładali świnię przyjaciołom? Czy po to sięgnęli wreszcie po upragnione najwyższe stanowiska, by teraz utracić je bezpowrotnie? O nie, nigdy! Instynkt samozachowawczy – ta podstawowa cecha wspólna dla populacji szczurów i polityków – zaczął powoli działać, zmuszając ospałych mamutów do ratowania własnej skóry.

– Cóż więc mamy robić, panie prezydencie – uniżenie zapytał minister spraw wewnętrznych Darowicz. – Tkwimy w pułapce, sami nie damy...

– Cii – Starynkiewicz przyłożył palec do ust i zamarł nagle.

Ze schodów prowadzących do fotela marszałka dobiegł jakiś szmer. Obaj prezydenci nasłuchiwali przez chwilę, aż w końcu odważniejszy Rozwadowski zapytał cicho:

– Kto tam?

Zamiast odpowiedzi zza barierek wychyliła się głowa młodziana ze zmierzwioną czupryną. Panowie ministrowie zatrzęśli się ze strachu, sądząc, że to jeden z zamachowców, a Starynkiewicz profilaktycznie dał nura pod krzesło.

– Spokojnie, nie jestem jednym z nich – odezwał się Tomasz. – Pracuję w Kancelarii Sejmu, w komisji rolnictwa. Pan minister Janas może potwierdzić.

Minister rolnictwa o kruczoczarnych włosach i twarzy upstrzonej brodawkami, siedzący w dalekiej trzeciej ławie, wyteńczył wzrok i szepnął:

– Zgadza się, współpracuję z tym młodym człowiekiem.

– Byłeś w kularach? Co się tam dzieje? – zapytał Starynkiewicz, który zdążył już się podnieść po tchórzliwym uniku. – Widziałeś coś?

– Byłem... – zaczął Tomasz, ale ministrowie pytali dalej, jeden przez drugiego:

– Co się tam dzieje, co z naszymi żonami, dużo tych terrorystów?

W ławach rządowych znowu wybuchło niewielkie zamieszanie, przyciągając uwagę ludzi Zaniego. Słyszając zbliżające się kroki, Tomasz rzucił się pod rządowe krzesła, na dostojne odnóża prezydentów.

– Co jest, nie słyszeliście, co mówiłem? – wrzasnął Jurand. – Mam któremuś przypierdolić, żeby była cisza?

– Eeeee... pan prezydent Rozwadowski zasnął – odparł z reflekssem Darowicz. – Czy mógłbym mu przynieść trochę wody?

– A niech zdycha – burknął Jurand z satysfakcją. – Żadnej wody, żadnego gadania, jasne?

Odszedł, mamrocząc coś pod nosem o wielkopańskich zachciankach, rząd zaś odetchnął z ulgą. Tomasz podniósł się z podłogi i kucnął, kryjąc się w mroku i pozostając niewidocznym dla obserwatorów z zewnątrz.

– Antyterrorysty zaatakowali w czasie konferencji prasowej w holu – mówił dalej. – To była straszna masakra. Nie wiem dokładnie, co się działo, bo straciłem przytomność i ocknąłem się dopiero tutaj. Porywacze się obronili, a cała akcja najwyraźniej spaliła na panewce.

– Bo pewnie zaplanował ją jakiś idiota – mruknął eks-prezydent Rozwadowski.

– Nie wydaje mi się – zaprzeczył Tomasz. – Pułkownik Langer, który dowodzi operacją, jest chyba rozsądnym człowiekiem. Trudno uwierzyć, że zaryzykowałby taką akcję bez dokładnego zaplanowania.

– Pułkownik Langer? A skąd pan wie, że on dowodzi? – zdziwił się Starynkiewicz.

– Bo z nim rozmawiałem.

– Rozmawiał pan? Jakim cudem?

Tomasz zawahał się. Urzędnicza lojalność zwyciężyła jednak w obliczu prezydenckiego majestatu i wyraziła się w słowach:

– Bo mam telefon...

– Masz telefon!? – Starynkiewicz znowu nieostrożnie podniósł głos, jednak Gryficki w ostatniej chwili przytomnie zatkał mu gębę owłosioną łapą.

Ława rządowa wyraźnie podnieciła się tą wiadomością. Prezydent, odepchnąwszy z obrzydzeniem kończynę ministra obrony, schwycił Tomasza za klapę wymiętej marynarki i syknął:

– Łącz mnie z tym Depnerem, czy jak mu tam...

– Langerem – poprawił Tomasz i uwolniwszy się z prezydenckiego uścisku wy dobył telefon.

Wskaźnik zużycia baterii niebezpiecznie zbliżał się do końca, należało więc działać szybko. Tomasz wyszukał numer Langer, lecz zanim podał aparat prezydentowi, zapytał nieśmiało:

– Co pan chce zrobić?

– Ratować nas wszystkich – oznajmił wyniośle elekt, zabierając z rąk młodzieńca Ericssona z klapką.

Dzwoniąca komórka Langer, nie wywołała w namiocie sztabowym większego zainteresowania. Admirał Świrski drzemał na krześle, owinięty w swój czarny płaszcz i oparty plecami o dogasający piecyk, zarekwirowany szkolnemu cieciewi mimo jego gorących protestów. Generał Weiss również drzemał, łypiąc jednak co chwila spod futrzanej czapki, którą włożył zamiast hełmu. Policjanci Kajko i Kokosz opuścili w ogóle namiot i ułożyli skrajnie odmienne ciała w policyjnej furgonetce. Jedyne profesor Oberek czuwał wytrwale przy stole, kładąc pasjansa i szeptem tłumacząc Czernickiemu, że jego problemy małżeńskie mają liczne warstwy i podłoża emocjonalne i nie można ich sprowadzać wyłącznie do kwestii oziębłości małżonki.

Langer podniósł aparat do ucha. Ze zmarszczonym czołem słuchał jakieś pięć, sześć sekund, po czym wyprężył się nagle jak struna, przewracając pingpongowy stół, który z łoskotem zwał się na nogi admirała Świrskiego. Admirał ocknął się z drzemki i wrzasnął, co postawiło na nogi cały namiot i sprowadziło kilku policjantów.

– Co pan wyprawia, do cholery? – wrzasnął wilk morski. – Postradał pan rozum?



– Tak jest, panie prezydencie – odparł Langer.

Admirał popatrzył na niego jak na wariata.

– Ma pan gorączkę?

– Rozumiem, panie prezydencie!

Świrski zgłupiał zupełnie i chciał coś dodać, ale Czernicki uciszył go gestem. Szarpiący uwięzioną nogą admirał dostrzegł wreszcie, że Langer trzyma w ręku telefon i tytułuje prezydentem zupełnie kogoś innego.

– Staramy się negocjować z porwaczami, panie prezydencie – mówił pułkownik. – Myślę, że zdołamy ich przekonać...

– Nie ma czasu na przekonywanie – szeptał Starynkiewicz. – To bezwzględni bandyci, których trzeba zlikwidować. Zastrzelili właśnie ministra spraw wewnętrznych, a minister obrony jest torturowany. Macie ponowić atak i zabić ich wszystkich! To rozkaz!

Siedzący za Starynkiewiczem minister Gryficki szczerze zdziwił się faktem, że był torturowany. Jeszcze bardziej zdumiał się minister spraw wewnętrznych Darowicz, który jak na nieboszczyka prezentował się całkiem nieźle.

– Panie prezydencie, następny atak jest bardzo ryzykowny – mówił Langer, wciąż napięty jak struna. – Myślę, że uda mi się przekonać...

– Niech pan nie myśli, tylko wykonuje rozkazy! – warknął prezydent. – W końcu dowodzi pan tą operacją!

– No, niezupełnie – sprostował pułkownik. – Właściwie ja tylko koordynuję...

– Koordynuje? – zdziwił się prezydent. – A kto tam właściwie u was dowodzi? Kto jest najstarszy stopniem?

– No... w zasadzie admirał Świrski, ale...

– Dawaj go pan do telefonu!

Langer zamknął oczy i westchnął przejmująco. Przez chwilę zaciskał powieki, po czym przekazał telefon admirałowi, który usłyszawszy swoje nazwisko, spoglądał pytająco na pułkownika.

– Prezydent chce z panem rozmawiać.

Świrski skoczył do aparatu jak hiena do padliny, zapomniawszy o chromej nodze. Zachłannie wyrwał aparat z ręki pułkownika i drżącym, uroczystym głosem wyrecytował:

– Panie prezydencie, admirał floty Romuald...

Urwał nagle i słuchał w ogromnym skupieniu, powtarzając co chwila: „Tak jest” i „Rozumiem”. Trwało to przez jakieś pięć minut, podczas których admirałska gęba rozpromieniła się piękną purpurą, a oczy zaświeciły niezwykłym blaskiem spod szpakowatych brwi. Przyspieszony oddech i wypięta chuda klata świadczyły wyraźnie, że admirał słucha rzeczy wielkich i wzniosłych.

– Oczywiście, panie prezydencie! Natychmiast, panie prezydencie! – wyskomlał do słuchawki ostatnie zdanie, po czym oddał telefon Langerowi.

– Mianowałem właśnie admirała... admirała... – usłyszał pułkownik.

– Świrskiego.

– No tak, Świrskiego, Wodzem Naczelnym. Od tej chwili jest on dowódcą całej operacji i macie mu się podporządkować. Czy to jasne!?

– Tak... jest... – wykrztusił z trudem pułkownik. – Zrozumiałem...

– Spieszcie się – dorzucił prezydent. – Nie ma chwili do...

W tym momencie wyczerpana bateria padła i Langer bezwiednie uzupełnił prezydenckie zdanie:

– ...stracenia.

## Rozdział 14

Cichy, tym razem zgodnie ze swym przydomkiem, nacisnął bezgłośnie, powolutku i z wyczuciem klamkę w drzwiach gabinetu marszałka. Stopniowo przebijał się wzrokiem przez półmrok panujący w środku. Wszedł dalej i pyszny kobierzec wyścielający podłogę wytłumił jego kroki.

Pod oknem, na podłodze, oparty plecami o ścianę siedział Zani. Z głową na podkurczonych kolanach gapił się bezmyślnie przed siebie, kiwając się powolutku w przód i w tył. Wejście Cichego zignorował zupełnie.

– Jak byłem mały – odezwał się Cichy po dłuższym milczeniu – i coś przeskrobałem, stary zamykał mnie w ciemnym pokoju. Według niego to miało mnie nakłonić do skruchy. Bardzo się złościł, bo zwykle po kilku minutach beczelnie zasypiałem.

Zani patrzył przez chwilę na Cichego, po czym wrócił do stanu odrętwienia. Cichy pierwotnie zamierzał dać szefowi ostrą reprimendę z powodu okazywania słabości w obliczu wroga, ale wspomnienia z dzieciństwa nastroiły go melancholijnie. Usiadł więc koło Zaniego i przez chwilę obaj w podobnej pozycji kontemplowali przeciwną ścianę.

– Chłopaki się niepokoją – powiedział wreszcie Cichy. – Nie widzą cię i nie wiedzą, co jest grane. Nie możesz tu siedzieć jak potępieniec.

– To wszystko nie ma już sensu – oświadczył pośpiesznie Zani. – Przeceniliśmy nasze siły. To miała być demonstracja, nie masakra...

– Ale to nas zaatakowali! – Cichy znów mimowolnie zaczął się unosić. – Co twoim zdaniem mieliśmy zrobić? Dać się wystrzelać jak wrony?

– Trzeba przede wszystkim chronić ludzi. Arti, WuWu, Brokat... Oni nie żyją! Nie żyją! Zani ukrył twarz w dłoniach, a Cichy zamknął się na chwilę.

– Drzewo wolności musi być podlewane krwią patriotów – przypomniał sobie nagle banał z czasów amerykańskiej rewolucji. – Przemoc jest konieczna. Musimy im pokazać, że nie żartujemy! Już teraz powinniśmy wyróżnić kilku ministrów i posłów! Od razu rura by im zmiękła! Zani! Zróbmy to!

Zani poderwał się z podłogi i chwycił Cichego za kłapy.

– Nie dość ci jeszcze krwi? – wycharczał z taką wściekłością, że Cichy przeraził się nie za żarty. – Nie dość? Idź, wyróżnij ich wszystkich! No, na co czekasz?

Cichy z niemałym trudem uwolnił się z żelaznego uścisku i wstał purpurowy ze złości.

– Okazujemy tylko słabość – wycedził. – To twoja wina! Ryzykujesz życie swoje i nasze!

– Nie będzie więcej krwi i ofiar. – Zani pod wpływem emocji odzyskał energię i opanowanie. – Teraz najważniejsze to zarządzić referendum. Jeśli machina ruszy, nikt już jej nie powstrzyma! Nikt!

– A zatem, moi panowie, nie ma chwili do stracenia!

Zachrypnięty nieco głos admirała floty rozbrzmiał w namiocie, docierając do wszystkich uszu. Świrski stał na środku niczym Cezar w Senacie, promieniując dostojeństwem i powagą. Przemawiał tonem nie znoszącym sprzeciwu:

– Prezydent Rzeczypospolitej złożył na mych barkach ciężar wielkiej odpowiedzialności. Po głębokim namyśle postanowiłem przyjąć oferowaną mi godność Naczelnego Wodza, aby ratować pogrążoną w chaosie ojczyznę. Każdy z panów ma święty obowiązek wspomóc mnie w tym wiekopomnym dziele!

Wawrzyniak i Kopacz słuchali admirała w najwyższym skupieniu. Profesor Oberek kiwał siwą głową z dobrodusznym wyrazem twarzy. Langer i jego kompania nie mówili nic, milczał też Weiss, choć jego skwaszona mina była wielce wymowna.

– Proponuję zatem, żeby w możliwie najszybszym czasie ponowić atak, odbić zakładników i zlikwidować bandytów. W czasie przygotowania ataku będziemy zwodzić nieprzyjaciela, pozornie zgadzając się na jego żądania. To dobry plan – ocenił Świrski sam siebie i zakończył przemowę.

– Pozwolę sobie zauważyć... – zaczął Langer.

– Pan już stanowczo za dużo sobie pozwolił, pułkowniku – przerwał admirał. – Teraz ograniczy się pan do wykonywania rozkazów Wodza Naczelnego.

– Jednostka antyterrorystyczna komendy stołecznej poniosła porażkę – odezwał się Kopacz, z trudem ukrywając satysfakcję – ale funkcjonariusze oddziału antyterrorystycznego Centralnego Biura Dochodzeniowego są gotowi do działania. W każdej chwili...

– Policjanci!? – admirał spojrział na karyplę z taką pogardą, że ten skurczył się do granic wytrzymałości kręgosłupa. – Po tym spektaklu amatorszczyzny, który widzieliśmy? Pan żartuje, mój panie! Operację przeprowadzi jednostka „Piorun”!

Zdumienie odmalowało się na twarzach zgromadzonych, a najbardziej zdziwił się Langer.

– Panie admirale, prawo zabrania użycia „Pioruna” na terenie kraju. – przypomniał.

– Prawo, prawo – przedrzeźniał go Świrski. – Kraj w niebezpieczeństwie, a pan mi tu wyjeżdża z paragrafami! Kogo to dziś obchodzi? Słuchając pana, mam wrażenie, że pańska sympatia leży po stronie tych bandytów! Ostrzegam pana, moja cierpliwość się kończy! Panie generale Weiss!

Wywołany z szeregu generał z wysiłkiem i niechęcią wyprostował się i wycedził:

– Słucham... panie admirale?

– Wezwie pan natychmiast dowódcę jednostki „Piorun”. Zdaje się, że jest nim... ee... pułkownik Garlicki.

– Pułkownik Garlicki został odwołany ponad dwa miesiące temu – oznajmił Langer. – Obecnie „Piorunem” dowodzi pułkownik Szalawski.

– No, wreszcie się pan na coś przydał – z przekąsem stwierdził Świrski. – Proszę więc wezwać pułkownika Szalawskiego. Piorunem!

\* \* \*

Wstawał świt. Ołowiane chmury sunęły powoli po niebie, rzucając ponurą zasłonę na przynębiającą scenerię ulicy Wiejskiej. Na jej tle kopuła Sejmu, pokryta białym puchem, wyglądała jak zamek z bajki. Jednak to, co rozgrywało się pod kopułą, żadną miarą nie dawało się do bajek zaliczyć.

Zani znowu stał przed prezydentami, a prezydenci znowu trzęśli się ze strachu. Juranda swędziała ręką, zaś poselski i senatorski tłum przypatrywał się tej scenie ze zwykłą tępą obojętnością.

Tym razem pan prezydent nie ociągał się ani chwili i podpisał bez czytania podsunięte mu dokumenty. Zani z grzeczności poinformował, że „pan prezydent podjął właśnie wiekopomną decyzję o zarządzeniu referendum konstytucyjnego, za co chwalić go będzie naród i historia”. Dla pewności, żeby całkowicie przekonać znanego formalistę sędziego Kramarza, który przewodniczył Narodowej Komisji Wyborczej, zebrano jeszcze podpisy wszystkich senatorów, czyniąc zadość wymogom starej konstytucji.

W myśl nowych obyczajów politycznych sędzia Kramarz o decyzji prezydenta dowiedział się telefonicznie, oficjalne pismo zaś, sygnowane przez senatorów, otrzymał faksem. Dowiedział się również, że opóźnianie w przeprowadzeniu referendum kosztować będzie głowy zakładników – w pierwszej kolejności sędziów Trybunału Stanu i Trybunału Konstytucyjnego, którzy znajdowali się w gościnnych rękach Rządu Tymczasowego. Pozbawienie ich łbów nie poprawiłoby i tak kiepskiej pozycji sędziego Kramarza wśród kolegów po fachu, którzy zazdrościli mu posady sownie opłacanej i nie wymagającej zbyt wiele pracy. Sprawny i konkretny przepływ informacji sprawił, że nieogolony i drżący sędzia Kramarz w otoczeniu swych współpracowników oświadczył punktualnie o godzinie dziesiątej rano na zwołanej naprędce konferencji prasowej, że referendum konstytucyjne odbędzie się w najbliższą niedzielę na bazie tych samych komisji wyborczych, które przed trzema miesiącami nadzorowały przebieg wyborów prezydenta Rzeczypospolitej.

Zani nie zapomniał również o właściwej kampanii informacyjnej, żeby obywatele głosowali w pełni uświadomieni. Kampanię promocyjną – w postaci zamachu stanu – uzbrojona w kałachy konstytuanta miała już za sobą, chodziło jedynie o udostępnienie tekstu obywatelom. Decyzją Zaniego tekst konstytucji rozesłano w formie elektronicznej do

zapiących jeszcze ministerstw i około południa witryny niemal wszystkich urzędów państwowych zaiskrzyły się nową ustawą zasadniczą.

Zgromadzony przed telewizorami naród pilnie śledził największy reality show w domach i miejscach pracy, o czym świadczyły wyludnione ulice. Nieliczni obywatele zadali sobie nawet trud zajrzenia do komputera i zapoznania się z konstytucją. Większości, która dostępu do sieci nie miała, pozostawało wyłącznie kineskopowe okienko.

W dwie godziny później zaprawione po poprzednich wyborach maszyny drukarskie Rządowej Fabryki Papierów Wartościowych rozpoczęły pracę. Sędzia Kramarz, krytykowany do tej pory za błędy proceduralne i posądzany o prawicową stronniczość, znalazł wreszcie sposób na poprawę swego zszarganego w mediach wizerunku. Sprawne zorganizowanie referendum w obliczu kryzysu państwa stanowiło dla siwiejącego papugi szansę, żeby z otchłani zapomnienia wypłynąć na szerokie wody. Praca szła szybko i sprawnie, więc Wódz Naczelny, admirał floty Romuald Świrski, po otrzymaniu depechy mógł poinformować sztab:

– Panowie, wszystko idzie zgodnie z planem. Jak pan widzi, panie pułkowniku Szalawski, ja i moi ludzie nie traciliśmy czasu.

Niski, drobny i lekko zgarbiony czterdziestolatek, stojący po admirałkiej prawicy, spojrzał na matrosa szklistym wzrokiem. Nawet najmniejszy grymas nie przemknął po jego twarzy, pokrytej drobną szczecina. Nieznany mediom, trzymający się w cieniu pułkownik Szalawski wyglądał na pierwszy rzut oka jak handlarz warzywami. Nieliczni tylko mundurowi wiedzieli, że pod tą maską niewinności kryje się jeden z najsprawniejszych komandosów Najjaśniejszej Rzeczypospolitej. Drobna postura czyniła go jeszcze bardziej niebezpiecznym, o czym od czasu do czasu przekonywały się grupy dresiarzy, regularnie masakrowane przez pułkownika w nocnych autobusach. Szalawski należał do ojców założycieli jednostki „Piorun” i dzielnie bronił jej przed genialnymi pomysłami polityków, próbujących nieraz wykorzystać sławę oddziału dla swoich celów bądź przyporządkować go najróżniejszym decydom.

– A zatem prezydent Starynkiewicz osobiście nakazał, żeby jednostka wbrew przepisom wzięła udział w akcji?

– Tak – potwierdził admirał – prezydent ma wielkie zaufanie do...

– Rozumiem – zakończył twardo Szalawski.

I tyle. Żadnych pytań, wątpliwości, uwag, refleksji, spostrzeżeń czy wniosków. Mózgownica pułkownika Szalawskiego, zestawivszy proste fakty, wygenerowała równie prostą konkluzję. Trzydzieści cztery minuty później w rejon ulicy Wiejskiej cicho i niepostrzeżenie zajechało sześć volkswagenów transporterów. Pułkownik Szalawski wolnym krokiem ruszył w ich kierunku.

– Pan, panie pułkowniku – polecił Świrski Langerowi – skontaktuje się z przywódcą bandy i powie mu, że referendum zostało zarządzane. To powinno ich uspokoić i osłabić czujność... przed... ostatecznym rozwiązaniem.

Dwa ostatnie złowieszcze słowa, znane już z historii, i tym razem nie wróżyły niczego dobrego. Świrski widział już przed sobą świetlaną przyszłość – nie w admirałskim mundurze, który teraz wydał mu się lichą kapotą, lecz w równie czarnym i nienagannie odprasowanym prezydenckim fraku. Jediną przeszkodą, jaka dzieliła wilka morskiego od szafy z frakiem, stanowiło kilkunastu gnojków z karabinami.

Langer spojrział na dumającego o splendorach admirała. Wyraz jego twarzy nie pozostawiał żadnych wątpliwości, że admirałskie ostateczne rozwiązanie powinno zaprowadzić zamachowców za cmentarną bramę.

– Pan admirał rezygnuje z negocjacji? – stwierdził raczej, niż zapytał Langer.

– Pan admirał działa stosownie do sytuacji – uaktywnił się nagle generał Weiss, któremu widać udzieliły się myśli dowódcy floty – a pan, pułkowniku, ma wykonywać rozkazy, a nie podawać w wątpliwość słowa przełożonych.

Świrski udzielił Weissowi łaskawej pochwały wzrokowej, konstatuując z zadowoleniem, że ostatnie wypadki bezspornie udowodniły wyższość marynarki wojennej nad innymi rodzajami wojsk. Panowie z 240 zignorowali ten pokaz wazeliniarstwa, Langer zaś mechanicznie sięgnął po telefon.

– Negocjacje nic nie dadzą – pojednawczym tonem zakończył admirał. – Jesteśmy żołnierzami i szkolono nas, żeby działać w sytuacjach nadzwyczajnych.

Langer połączył się z numerem Zaniego. Komendant odebrał niemal natychmiast, nieprofesjonalnie zdradzając, że zależy mu na rozmowie.

– Mam przyjemność poinformować – mówił Langer głucho i dobitnie – że polecenia pańskie dotyczące się referendum zostały zrealizowane. Komisja sędziego Kramarza przystąpiła do pracy.

– Doskonale, mój drogi pułkowniku – Zani z trudem ukrywał radość. – Wierzyłem w wasz zdrowy rozsądek. Widzę, że ostatnia lekcja czegoś was nauczyła.

– Tak – chrapliwie przerwał Langer – nauczyła...

– Źle się pan czuje?

– Nie, nie – zaprzeczył szybko pułkownik, a widząc dziwaczne gesty admirała, dodał: – Pan admirał Świrski chciałby zamienić z panem słowo, jeśli pan się zgodzi.

Z drugiej strony słuchawki zapadło milczenie. Langer zakładał, że rozmówca potrzebuje nieco czasu do namysłu, czekał więc cierpliwie.

– Dobrze – rzucił w końcu Zani – dawaj go pan. Świrski schwycił telefon i dziwnie łagodnym, słodziutkim głosem zapytał:

– Halo?

– Słucham pana, admirał – powiedział Zani.

– Chciałem tylko pana zapewnić, że wszystkie pańskie polecenia są wykonywane – trajkotał Świrski. – Mamy nadzieję, że uda nam się osiągnąć kompromis i uniknąć przykrych zdarzeń. Wyrażam panu głęboką wdzięczność za zrozumienie...

– Dobrze już, dobrze – przerwał mu Zani. – Proszę mi jeszcze na chwilę dać pułkownika Langerera.

Wódz Naczelny niechętnie oddał słuchawkę pułkownikowi.

– Słońce Bałtyku jest dziś nadzwyczaj uprzejme – stwierdził Zani. – Najważniejsze, że procedura referendum ruszyła. Cieszy mnie tak sprawna organizacja.

– Czy w zamian mógłbym zasugerować panu premierowi – Langer błyskawicznie wszedł komendantowi w słowo – rozważenie zwolnienia kilkudziesięciu zakładników? Gest dobrej woli podkreśliłby dążenie do kompromisu przez obie strony.

– Niech pan do mnie nie gada jak z telewizora – zaprotestował Zani. – Ale co do zakładników ma pan rację. Zwolnię kilkudziesięciu. Może pan przekazać dobre wieści temu pańskiemu towarzystwu wzajemnej adoracji.

Zani odłożył telefon i milczał przez dłuższą chwilę. Chłopaki przyglądali mu się, zaciekawieni słowami o sprawnej organizacji i wypuszczeniu zakładników.

– I co, i co, będzie referendum? – dopytywał się niepewnie Feri, patrząc na szefa rozbieganymi oczami. – Zwalniamy kogoś?

– Co powiedział Langer? – zapytał Cichy, dość bezceremonialnie odsuwając Feriego. – O co chodzi z tym zwalnianiem jeńców?

Zani milczał uparcie, analizując coś w głowie i mrucząc:

– Coś tu nie gra... są za bardzo serdeczni... za bardzo układni...

Cichy przebierał nogami i coraz bardziej się niecierpliwił.

– Dobrze – powiedział Zani głośno, raczej do siebie. – Nakazuję wzmóc czujność. Strzeżonego Pan Bóg strzeże. Wytypujemy trochę zakładników do zwolnienia, zrobi się przestronniej i pilnować ich będzie łatwiej. Jeśli chodzi o referendum, zgodzili się. Głosowanie odbędzie się w niedzielę.

Feri skwitował dobre wieści nerwowym śmiechem. Reszta też odetchnęła z ulgą, bowiem na horyzoncie rysować się poczęły zręby zwycięstwa w tej nierównej walce, jaką toczyli z systemem.

– Czy to zwalnianie zakładników – mówił Cichy, doganiając Zaniego, który szybkim krokiem przemierzał korytarz – to na pewno rozsądne? Może powinniśmy się wstrzymać?

– Uwolnienie zakładników będzie aktem dobrej woli – odparł Zani. – Zwolnimy starszych i mniej znanych posłów... to zjedna nam sympatię mediów i pozbawi balastu. Nie możemy pozwolić, żeby któryś nam tu wykorkował.

Szybkim krokiem weszli na salę. Panował tu zwykły zaduch, ale przez uchylone drzwi trochę świeżego powietrza wpadało z kularów, gdzie otwarto kilka okien. Zaduch był na rękę zamachowcom – ostatecznie osłabił i zobojętnił więźniów, stłumił wszelkie myśli o ucieczce czy stawieniu oporu. Zani rozejrzał się po sali, oceniając pobieżnie ewentualnych kandydatów do zwolnienia i jego wzrok padł na młodzieńca siedzącego pod stanowiskiem stenograficznym.



– Eee... Tomek, czy tak?

– Dokładnie tak – Tomasz podniósł się, rozcierając zdrtwiałe od bezruchu nogi.

– Dobrze, że jesteś, pomożesz mi. Weź coś do pisania i chodź.

Zani wlaź na stolik stenograficzny i oznajmił donośnym głosem:

– Uwaga! Dla odciążenia sali część z państwa przeniesiemy do innych pomieszczeń.

Proszę zachować spokój i porządek!

Wbrew obawom Zaniego, który spodziewał się wybuchu zbiorowej hysterii, informacja o przeprowadzce nie wzbudziła w wymęczonych zakładnikach większego zainteresowania. Zgodnie z teoriami profesora Oberka, który starał się zainteresować mundurowy sztab meandrami psychiki ludzi znajdujących się pod presją, zakładnicy przechodzili teraz z fazy buntu do fazy bierności względnej, charakteryzującej się obojętnością i zrezygnowaniem.

Komendant wraz z Tomaszem i Martinezem ruszyli pomiędzy stłoczonych przedstawicieli narodu, niczym dziedzice doglądający swoich łąnów. Tomasz, zaopatrzony w notatnik, zapisywał skrętnie nazwiska wskazanych przez Zaniego osób – głównie leciwych posłanek i podstarzałych posłów. Dodatkowe kryteria wyboru stanowił udreńczony wyraz twarzy i ogólne osłabienie. Zaiste, niektórzy wskazani nie mogli się podnieść o własnych siłach i musieli korzystać z pomocy innych. Martinez kierował nestorów w kierunku środkowego wyjścia z sali sejmowej, prowadzącego do kularów. Tomasz zauważył, że wśród wyprowadzanych znalazł się pocziwy i długouchy poseł Różański. Nie zabrakło też posłanki Ożelskiej, troskliwie prowadzonej przez posła Warmińskiego. W przeciwieństwie jednak do swojej rozmamłanej towarzyszkę poseł Warmiński zachował czerstwą sylwetkę, więc bez słowa odesłano go z powrotem na miejsce. Zani przeszedł przez sektory posłów Partii Rodzin Katolickich i Partii Liberalnej, wmieszawszy się między zalatujących specyficzną aurą posłów obu stronnictw chłopskich. Ci, zdecydowanie najbardziej wytrzymali i przyzwyczajeni do niewygód, najlepiej znosili spartańskie warunki uwięzienia, stąd Zani miał pewien problem we wskazaniu kandydatów do opuszczenia Sejmu.

Po dogłębnym namyśle palec komendanta skierował się ku poźółklej twarzy, skrytej za ciemnymi szklami i podsypanej obficie łupieżem. Wskazany osobnik podniósł się niezgrabnie, drżąc jak osika. Był to król sejmowych intryg, demon zakulisowych uzgodnień, ajatollah kruczków prawnych – poseł Józef Stryjek.

Tomasz uśmiechnął się ironicznie. Nie zdziwił się wcale, że oblicze posła wzruszyło Zaniego – Stryjek bowiem nawet w normalnych warunkach wyglądał jak zwłoki w stanie posuniętego rozkładu. Trzydniowa niewola nie pogorszyła zresztą w widoczny sposób wyglądu Stryjka, dla którego zatłoczona i zatechła sejmowa sala stanowiła w pewnym sensie środowisko naturalne. Poseł ruszył w kierunku wyjścia, lecz nagle ze środka sali dobiegł krótki okrzyk:

– Nie!

Leciwi posłowie wychodzący do kularów oraz eskortujący ich bojowcy obejrzeli się i

zobaczyli jednego z zamachowców, ściągającego powoli karabin z ramienia. Zani rozpoznał Juranda i zestawivszy go w myślach z posłem Strykiem, błyskawicznie zrozumiał.

– Uspokój się! – zawołał, biegnąc wśród leżących w jego stronę. – Odłóż broń, powtarzam!

Dopał Juranda i szamotali się przez chwilę.

– Nie wypuścisz go – sapał wściekle Jurand. – Nie wypuścisz tego sukinsyna... Zapłacę mu za to, co mi zrobił... Za Mariolę...

– Oddaj mi karabin. – Zani mówił cicho, ale dobitnie. – Oddaj...

Jurand dyszał ciężko i głośno, wbijając stalowe oczy w kiwającego się opodał ludowego zombiego, który nie kapował za bardzo, o co chodzi. Powoli, mocując się ze sobą, oddał komendantowi kałacha, co dla Stryjka nie stanowiło jednak żadnego zabezpieczenia, bo chłopak gotów był go rozszarpać na strzępy gołymi rękami.

– Nie możesz go zabić z zemsty – szeptał dalej Zani. – Nasza sprawa musi stać nad prywatnymi porachunkami. Rozumiesz?

Jurand rozluźnił napięte do granic wytrzymałości mięśnie. W stalowych, pozornie zimnych oczach pojawiły się łzy.

– Chcę... chcę go zobaczyć – powiedział.

Zani zastanowił się chwilę, po czym ostrożnie pociągnął Juranda za sobą. Trzymał go za rękę i pilnował, żeby furia nie przeważała nad zdrowym rozsądkiem. Szli tak razem w kierunku przygarbionego trolla, patrzącego na nich z przerażeniem.

– Oto człowiek, któremu przejechałeś siostrę. – Zani bezceremonialnie zapoznał ze sobą obu panów. – Chciał ci spojrzeć w oczy.

Stryjek natychmiast ściągnął okulary, traktując przerośniętą jako rozkaz i prezentując dorodne wory pod oczami. Spojrzał kaprawymi ślepiami w twarz Juranda. Twarz znikła, a zamiast niej ujrzał strzaskaną przednią szybę swojego opla. Tamtego wieczoru nie wypił znów tak dużo, a ona... jakoś tak dziwnie nawinęła mu się pod koła... zupełnie przypadkiem... i ta jej twarz... taka spokojna, jakby uśpiona...

Upał, a właściwie osunął się na skrawek wolnej podłogi. Jakaś posłanka krzyknęła, inna uznała za stosowne zemdleć, kilku posłów podniosło się i ciekawie wyciągnęło szyje. Zabawne, że niewyraźne, nijakie i bezbarwne oczy posła Stryjka nabrały blasku dopiero w chwili śmierci.

\* \* \*

Smutna i długa kolumna staruszków okutanych w byle jakie palta, zabrane na chybcika z sejmowej szatni, wypełzła powoli z bocznego wyjścia budynku parlamentu. Sztab Langera, a właściwie Świrskiego, z niepokojem obserwował tę scenę, przyzwyczajony raczej do sprintu zakładników niż do miarowego, spokojnego człapania.

– Z pewnością nafaszerowali ich narkotykami – rzekł bystro admirał, który mianowany Wodzem Naczelnym uznał, że musi mieć wyjaśnienie na każdą okoliczność.

– To pewne jak w banku – dorzucił przymilnie Weiss, który przemyślawszy wszystkie za i przeciw, całkowicie zmienił podejście do Świrskiego.

Langer dał dyskretny znak Halbertowi i Gałazce, który wrócił właśnie ze szpitala na Koszykowej, gdzie towarzyszył Wyższemu. Obaj zwolnili policjantów, których pułkownik kazał ustawić pamiętając o poprzednim exodusie zakładników. Teraz policjanci troskliwie odprowadzali staruszków do pobliskiej podstawówki, pilnując, żeby nie przekroczyć ulicy Wiejskiej. Zwłoki posła Stryjka wyniesiono na końcu.

Admirał Świrski wraz ze świtą, zaskoczeni widokiem trupa, podeszli w milczeniu do dźwigających go sanitariuszy. Kujawa uchylił prześcieradła i oczom zgromadzonych ukazała się ziemską pozostałość po pośle Stryjku.

– Mój Boże, zabili go – szepnął Świrski. – Przekłęci bandyci... Spójrzcie, jak on wygląda: podbite oczy, żółta skóra... z pewnością go torturowali. Zwyródniały!

– Zbrodniarze – uzupełnił usłużnie Weiss. – Takich to tylko gąsienicami czołgów, na miazgę...

– Panowie! Oddajmy honory bohaterowi!

Admirał uniósł rękę do daszka czapki; reszta wojskowego towarzystwa poszła za jego przykładem, salutując. Do grona żałobników dołączył jeszcze poseł Różański, prowadzący pod rękę zwiotczałą, lecz dzielnie się trzymającą posłankę Ożelską. Różański spojrzał smutno na swego partyjnego kolegę, po czym ściągnął futrzaną czapę, ukazując sztabowi kryzysowemu parę okazałych małżowin i bujną jak na swój wiek czuprynę.

– Umarł biedaczysko, umarł – rzekł melodyjnym głosem, świszcząc lekko. – Nie wytrzymał tego napięcia... Serce nie wytrzymało.

– Pan tam był, prawda? – zapytał admirał. – Za co ci bandyci torturowali tego człowieka?

Różański spojrzał na wilka morskiego zdziwionym wzrokiem.

– Kogo torturowali? Kto?

– Za co zabili tego denata?

– Ee... panie... on tak sam z siebie, panie. Stał... i umarł, panie. Niezbadane są wyroki boskie. Niezbadane...

Różański pociągnął za sobą Ożelską i odszedł, odprowadzony przez policjantów.

– Z pewnością jest w szoku – zawyrokował admirał. – Staruszek nie wie, co mówi. To przecież oczywiste, że tego człowieka męczono długie godziny. To widać na pierwszy rzut oka!

– Dziadek bredzi – pokiwał głową Weiss. – Najlepiej go w ogóle zignorować.

Świrski odwrócił się w stronę swego sztabu i pompatycznym głosem zaczął:

– Panowie! Sytuacja wymyka się spod kontroli. W tej sytuacji nie możemy dalej czekać. Jednostka „Piorun” musi jak najszybciej wejść do akcji!

– Przecież zwolnili zakładników... – zaczął Langer.

– I to mnie właśnie niepokoi – oświadczył admirał.

Pułkownik spojrział na marynarza ze zdumieniem, w pełni podzielonym przez sztab.

– Zwolnienie zakładników to ewidentny objaw ich słabości – orzekł współczesny Nelson.

– Nie wiedzą, co robić! W takiej sytuacji, kto wie, czy za chwilę nie przyjdzie im ochota rozstrzelać rząd i podpalić cały budynek? Myślę, że nasz psychiatra potwierdzi moje spostrzeżenia.

– Psycholog – poprawił skromnie profesor Oberek wywołany do odpowiedzi. – Myślę, że pan admirał ma sporo racji. Istotnie trudno teraz jednoznacznie określić stan psychiki poszczególnych zamachowców. Przyznam się, że nie doceniłem ich odporności psychicznej, nadzwyczajnej w tak młodym wieku. Ludzie starsi, jak na przykład pan admirał, są bardziej przewidywalni...

– Dobrze, dobrze – rzucił pospiesznie Świrski przestraszony, że rozmowa przybiera niebezpieczny dla niego obrót. – Skupmy się na tych bandziorach. A więc miałem rację, że są nieprzewidywalni?

– Pozorna zgoda pana admirała na referendum konstytucyjne z pewnością zwiększyła optymizm tych chłopców. Z drugiej jednak strony napięcie i traumatyczne przeżycia związane ze śmiercią towarzyszy z pewnością odcisnęły piętno na ich psychice. Stąd też ich zachowanie staje się coraz bardziej impulsywne...

– Tak, tak, impulsywne – Świrski przerwał wykład. – Zatem wniosek z tego taki, że trzeba ich jak najprędzej zli... unieszkodliwić.

– Wytluc jak robactwo – dorzucił krwawej wazelinki Weiss. – Zgnieść, stłamsić, zrównać z ziemią!

– Panie admirale! Sądzę, że zwolnienie zakładników to widoczny sygnał, że ci ludzie chcą rozmawiać! – Langer nie dawał za wygraną. – Zostawmy rozwiązanie siłowe na koniec!

– Tak, chcą rozmawiać. – Wódz Naczelny pokiwał ironicznie siwą głową i wskazując na sanitariuszy ładujących świętej pamięci posła Stryjka do karetki, dodał: – Z tamtym już porozmawiali.

– Nie mamy pewności...

– Dość! – krzyknął zniecierpliwiony admirał. – Jeszcze słowo, a każę pana aresztować. Nie pozwolę na żadne defe... de... defetystyczne gadanie! Wyjątkowa sytuacja wymaga wyjątkowych środków!

– Absolutnie wyjątkowych – uzupełnił Weiss i oczy dwóch wojskowych spotkały się w czułym spojrzeniu, znamionującym wzajemne zrozumienie.

Sztab ruszył powoli za admirałem w stronę namiotu, który dawał osłonę przed coraz silniejszymi podmuchami zimnego wietrzyska. Po godzinie dołączyli do nich również Czernicki i Kujawa. Próba przesłuchania uwolnionych zakładników doprowadziła ich do stanu przygnębienia. Szczególnie Czernicki, jako były prokurator wojskowy, nadzwyczaj

boleśnie odczuł niepowodzenie – zakładnicy bowiem, zmaltretowani i wyczerpani, nie mieli najmniejszej ochoty zeznawać.

W relacjach uwolnionych babć i dziadziów liczba zamachowców wahała się od tuzina do dwustu pięćdziesięciu. Jeszcze ciekawsze były spostrzeżenia uwolnionych na temat uzbrojenia bojowców. Zani i jego towarzysze zdziwiliby się pewnie, słysząc, że oprócz broni myśliwskiej i wyrzutni rakiet dysponują również haubicą przeciwpancerną, baterią moździerzy oraz co najmniej dwoma miotaczami ognia. Do tego arsenału posłanka Piwińska dorzuciła jeszcze bombę atomową, polecając jednocześnie Kujawie, żeby zapoznał się bliżej z ostatnią księgą Nowego Testamentu traktującą o Armagedonie.

Ustny raport Kujawy dowódca jednostki „Piorun” przyjął grzecznie i niezwykle cierpliwie. Powstrzymał również admirała Świrskiego, który na wieść o miotaczach ognia chciał zaalarmować lotnicze jednostki straży pożarnej. Pułkownik Szalawski podziękował za informacje i znów oddalił się wolnym krokiem, tym razem w kierunku Skarpy Wiślanej.

Kwadrans później w stronę budynku parlamentu przemknęło kilkanaście zamaskowanych postaci. Wykorzystując wczesny mrok, zabawili w obrębie zabudowań niespełna pół godziny, po czym rozplynęli się w powietrzu, niezauważeni przez nikogo. Szalawski, który irytował admirała ciągłym pojawianiem się i znikaniem, wszedł do namiotu i zastał wysokie grono pograżone w sporze kompetencyjnym, którego meritum stanowiła kwestia: czy admirał, choćby i Wódz Naczelny, może dowodzić policją stołeczną.

– Panie pułkowniku Szalawski – odezwał się admirał szczęśliwy, że może chwilowo przerwać bezowocną dyskusję. – Ja rozumiem, że wy, komandosi, macie swoje sposoby, ale musimy działać. Tymczasem obserwuję pana spacerującego sobie po parku i nie widzę, żeby pan cokolwiek zrobił.

Szalawski, który pierwotnie zamierzał grzecznie zaprosić mundurowe towarzystwo do punktu obserwacyjnego, po admirałskiej reprimendzie mruknął tylko:

– Za mną, panowie, jeśli można prosić...

Sztab zwlekał jeszcze przez chwilę. Pierwszy ruszył się nadinspektor Kopacz, dla którego Szalawski stanowił dowód, że niscy i szczupli ludzie nadają się na kierownicze stanowiska. Załoga admirała wyszła z namiotu i przez śnieżnobłotną maź poczłapała w stronę ulicy Matejki, gdzie w ciszy i pozornym spokoju stały furgonetki.

– Z braku miejsca będę prosił panów kolejno – zapowiedział dowódca „Pioruna”, otwierając boczne drzwi volkswagena transportera. – Proszę za mną, panie admirale.

Świrski wgramolił się niezgrabnie do środka, zawadzając czapką o dach pojazdu. Przez chwilę widział tylko dwa rzędy monitorów świecących jaskrawym blaskiem. Dopiero po minucie sterane oczy matrosa wypatrzyły dwóch zamaskowanych koleśków, siedzących na obrotowych krzeselkach.

– A cóż to takiego? – zapytał w końcu, zdradzając wrodzoną bystrość.

– Niech pan się przypatrzy monitorom.

Świrski począł oklepywać swój wojskowy płaszcz w poszukiwaniu okularów, co zajęło mu dobrą chwilę. Reszta „sztabowców” ciekawie zaglądała do środka, niczym sikorki do wnętrza Kmicicowej chaty. Świrski nałożywszy na nos grube szkła, stanowiące odtąd wątpliwą ozdobę admiralskiej facjaty, spojrział uważniej na monitory, po czym wyprostował się nagle, po raz drugi sprawdzając czaszką wytrzymałość dachu pojazdu.

– Ależ to Sejm! – wykrzyknął. – Ale skąd... wy... Co to...

Zwabieni admiralskim wrzaskiem członkowie sztabu zaczęli pchać się do środka furgonetki. Niewielki Kopacz po raz pierwszy skorzystał z dobrodziejstw swej mizernej sylwetki, wślizgując się do wewnątrz. Jego tłusty kolega Wawrzyniak był w znacznie gorszej sytuacji i z konieczności musiał podziwiać ekranową galerię z półdystansu. Langer również zdołał się wcisnąć do furgonetki, wyprzedzając profesora Oberka oraz generała Weissa, i spojrział na monitory.

Przed nim na ośmiu ekranach rysował się wyraźny i klarowny obraz z kamer telewizyjnych. Prócz sali plenarnej, holu i kilku korytarzy widać było kuluary sejmowe oraz terrorystów spacerujących z bronią. Pomimo panującego wewnątrz półmroku zielonkawy obraz kamer noktowizyjnych umożliwiał swobodny i nieograniczony podgląd sytuacji w budynku.

– Ależ to cud! – Admirał wszedł w kompetencje księdza Węgielka. – Jakim sposobem udało się wam...

– Pan admirał nas nie docenia – skromnie przerwał Szalawski. – To standardowe procedury.

– Ha, to ci zuchy! – promieniał wilk morski. – W podległej mi marynarce coś podobnego nie mogło... – tu przerwał, orientując się, że nieco się zaplątał.

– Dysponowanie takim sprzętem ułatwi planowanie akcji – z uznaniem przemówił Weiss.  
– Ile czasu pan potrzebuje, drogi pułkowniku?

– Około dwóch dni – odparł szybko Szalawski.

– Dwóch dni? – Uśmiech zniknął z admiralskiej gęby, ustępując lekkiemu rozczarowaniu.  
– Aż tyle? Proszę pamiętać, że lada chwila w Sejmie może się stać coś złego. Nasz psychiatra wyraźnie to powiedział!

– Musimy przeprowadzić dokładne rozpoznanie – tłumaczył Szalawski. – Konieczne jest ustalenie dokładnej liczby zakładników, liczby terrorystów, ich zwyczajów i uzbrojenia. Nie możemy dopuścić do chaotycznej akcji, jaka miała miejsce wczoraj.

– Tak, to oczywiste. – Pewność siebie wróciła pod białą czapkę. – Sam miałem to zaproponować!

– My, wojskowi, jesteśmy ludźmi czynu – służalczo dorzucił Weiss – lecz wiemy, że cierpliwość może przynieść wymierne owoce!

– A zatem do roboty. – Admirał łaskawie uściśnął prawicę dowódcy „Pioruna”. – Proszę meldować o postępach w planowaniu akcji! Co wojsko, to wojsko! Od razu widać, że nasi

chłopcy nie zasypywali gruszek w...

– Jeśli można – Szalawski z kwaśną miną przerwał peany Świrskiego – to chciałbym zamienić jeszcze z panem admirałem słówko na osobności.

– Oczywiście! – zgodził się wilk morski. – Zechcą panowie poczekać na mnie w sztabie!

Langer ruszył do namiotu, oglądając się na czarną sylwetkę Wodza Naczelnego. Coraz wyraźniej zdawał sobie sprawę, że czarniejsze od admirałkiego płaszczka jest chyba tylko admirałskie sumienie. Spojrzał na rysującą się na tle nieba charakterystyczną sylwetkę sali sejmowej, którą marynarski megaloman chciał zmienić w rzeźnię.

Stał tak jeszcze dłuższą chwilę, wdychając rześkie i mroźne powietrze, gdy nagle poczuł czyjąś dłoń na ramieniu. Odwrócił się nerwowo i ujrzał postać admirała, okutanego w złowrogi płaszczdło.

– Przestraszyłem pana? – zapytał Świrski. – Proszę wybaczyć. Widzę, że zdecydował się pan zaczerpnąć świeżego powietrza... Tak, ci terroryści, zamieszanie, kryzys w państwie, to wszystko rzuca się na głowę, fakt...

Langer nie wiedział, czemu zawdzięcza tak przyjacielski ton Wodza Naczelnego, milczał więc, patrząc w dal.

– Taka sytuacja to coś nowego dla nas – paplał dalej Świrski dziwnie podnieconym głosem. – Swoją drogą ta akcja terrorystów była nieźle pomyślana, nie? Jeden celnie wymierzony atak, kilkudziesięciu ludzi i proszę: państwo sparaliżowane. Na to musiał wpaść jakiś wybitny umysł... Ci gówniarze to tylko ślepe narzędzia w rękach jakiegoś tajemniczego i demonicznego szaleńca. Szaleństwo i geniusz często idą ze sobą w parze...

– Znacznie częściej szaleństwo idzie w parze z głupotą – wyrwało się Langerowi.

– Tak, tak, ma pan rację – Świrski nie załapał delikatnej uszczypliwości – ale nie nam to oceniać. Jesteśmy żołnierzami i musimy wykonywać rozkazy.

– Nie musimy wykonywać rozkazów niezgodnych z prawem i naszym sumieniem – oświadczył Langer, patrząc na admirała. – Inaczej ponosimy za nie pełną odpowiedzialność.

– Przysięgaliśmy bronić konstytucji i granic. – Świrski znów włączył standardową płytę.

– Granice póki co są nienaruszone – przerwał ze złością Langer – a wymordowanie z zimną krwią grupki romantycznych zapaleńców nikomu z nas nie przyniesie chwały!

– Mamy rozkazy! A rozkaz trzeba wykonać za wszelką cenę!

– Ciekawe – Langer zbliżył twarz do oblicza admirała – zbrodniarze z Norymbergi używali dokładnie tych samych argumentów.

Świrski umilkł, zbity z tropu słowami pułkownika. Po raz pierwszy euforia i wybujałe marzenia przybladły, a na ich miejscu wykiełkował strach. Brzemie odpowiedzialności, nieodłącznie związane z zaszczytną nominacją na Naczelnego Wodza, zaciążyło nagle na barkach admirała.

– Pan sobie za dużo pozwala, pułkowniku. – Nic mądrzejszego nie przyszło Świrskiemu do głowy. – Od moich oficerów oczekuję... a zresztą mamy przecież jeszcze dwa dni! –

Admirał doznał nagle olśnienia. – Dwa dni! A przez dwa dni wiele może się zdarzyć!

– Co pan ma na...

– Tak, dwa dni, dwa dni – powtarzał Świrski jak w gorączce. – W ciągu dwóch dni z pewnością wszystko się dobrze skończy! Dwa dni! Uwolnią zakładników i wszystko wróci do normy! Dwa dni!

Świrski, uradowany własnym spostrzeżeniem, oddalił się w stronę namiotu sztabowego, pozostawiając zdumionego pułkownika. Langer długo się zastanawiał nad dziwnym zachowaniem admirała, który jeszcze przed godziną żądał krwawej rozprawy, a teraz nagle zmienił się w kompromisowo nastawionego optymistę. Jednak wahania nastrojów wśród generalicji to normalna rzecz, toteż Langer złożył zachowanie Świrskiego na karb umysłowego przeciążenia, spowodowanego zapewne dłuższą przerwą w obcowaniu ze słońcą i wodą.

Pułkownik uchylił płachtę namiotu. W niedoświetlonym wnętrzu panowała niezwykajna dla tego miejsca cisza i spokój. Gruby Wawrzyniak drzemał na krześle, opierając puzaty policzek o ramię generała Weissa. Obok tej policyjno-wojskowej hybrydy kimał nadinspektor Kopacz, przypominając irlandzkiego skrzata, który przycupnął na swoim garnku ze złotem. Nawet Gałązka z Kujawą zapadli w sen i pochrapywali rytmicznie na dwa głosy, prowadząc oryginalny dialog. Gąbczyński i Michalski siedzieli z księdzem Węgielkiem w szkole podstawowej, udzielając odpowiednio posługi cielesnej i duchowej.

Sielankowy nastrój psuła wyłącznie czarna sylwetka Wodza Naczelnego, który nie wiedzieć czemu miotał się tam i z powrotem jak po silnej dawce koksu. Świrski, który zwykle o tej porze spał wtulony w fałdy swego szynela, nagle dostał zastrzyk energii.

– Źle się pan czuje, panie admirale? – zapytał troskliwie Langer, zasłaniając wejście do namiotu. – Nie wygląda pan najlepiej.

– Co? – Świrski, spocony pomimo przenikliwego zimna, spojrzał na pułkownika niewidzącym wzrokiem. – Nic, nic... to minie...

Obdarzył Langerę wymuszonym uśmiechem i dodał:

– To wkrótce minie...

W palarni sejmowej, w głębokich, obitych skórą fotelach siedzieli Zani, Feri i Martinez. Cichy ćmił powoli papierosa przy uchylonym oknie. Reszta chłopaków pilnowała sali sejmowej i położonego na skraju budynku Senatu, z którego roztaczał się widok na park na wiślańskiej skarpie. W mrocznym pomieszczeniu panowała cisza i spokój, podobnie jak w Langerowym namiocie. Sielankową atmosferę psuła nieco rząd skrupowanych komandosów, leżących pokotem pod oknami.

– Jak myślicie – Feri przerwał milczenie – dostaniemy duże wyroki?

Cichy dalej męczył papierosa, Martinez uśmiechnął się drwiąco, a Zani z pogodną miną zamknął oczy.

– Myślę, że jednak nam nie darują – Feri gadał dalej, nie zrażony milczeniem kumpli. –



Ja bym...

– Jak wygramy referendum, nikt nie ośmieli się nas tknąć – stwierdził Martinez, gładząc leżący przed nim w luźnych kartkach tekst nowej konstytucji. – Niech tylko spróbują... ludzie powywieszają ich na latarniach!

– Albo potopią w Wiśle – dorzucił Zani.

– Ja bym ich potopił w Wiśle – rzucił Cichy, wskazując dymiącym petem na skrzepowany oddział Balasa. – Banda bezmózgich morderców.

– Oni mają obowiązek wykonywać rozkazy – wytknął mu Feri.

– Szkoda, że nie mają obowiązku myśleć – zripostował Cichy. – Powinniśmy ukatrupić kilku, to i ewentualnym naśladowcom rura by zmiękła. A pierwsza kula dla tego.

Cichy trącił butem ostrzyżony łeb Balasa, który dysponując swobodą ruchów godną wora z ziemniakami, przymknął tylko oczy i zacisnął imponujące szczęki w poczuciu bezsilności.

– Cichy – Zani otworzył oczy – podnieca cię kopanie leżącego i związanego?

– Gdybyśmy wytlukli kilku, referendum już by się odbyło.

– O strategii decyduję ja. – Głos Zaniego brzmiał coraz bardziej stanowczo. – Bądź łaskaw o tym nie zapominać.

– Za często o tym gadasz, żeby ktokolwiek z nas mógł zapomnieć!

– Chcesz coś jeszcze powiedzieć? – Zani powoli podniósł się z fotela. – Zdaje się, że ty ciągle masz jakieś problemy, człowieku!

– Źle ci się zdaje – Cichy beczelnie spojrzał na komendanta.

– Mam nadzieję. – Zani udał, że nie dostrzega spojrzenia Cichego, i zwrócił się do wszystkich: – Właśnie ważą się losy naszej sprawy. Kilka dni temu nie mogliśmy nawet marzyć o tym, od czego teraz dzieli nas ledwie kilka kroków. Teraz poprze nas cały naród! Nawet ci, którzy w tej chwili otaczają Sejm!

– Widzę, że świetnie orientujesz się w nastrojach społeczeństwa – ironizował Cichy. – Można zapytać, na jakich podstawach opierasz te błyskotliwe wnioski?

– A na przykład pułkownik Langer? Chociaż dowodzi drugą stroną, ma dla nas zrozumienie, a kto wie, czy nie sympatię? Rozmawiałem z nim wielokrotnie i sprawia wrażenie realisty.

– Twoje prywatne konszachty z nieprzyjacielem nie wystarczą jeszcze...

Zani zerwał się wściekle z fotela i skoczył na Cichego, który od impetu uderzenia stracił równowagę i upadł. Przez chwilę obaj tarzali się po podłodze, wpadając na skrzepowanych komandosów. Martinez i Feri rzucili się, żeby rozdzielić walczących. Spokojna dotąd palarnia sejmowa zmieniła się w arenę zapaśniczą.

– Jeszcze raz zarzucisz mi konszachty z wrogiem – wrzeszczał Zani – a rozwalę ci łeb, ty zdrajco!

– Spróbuj – Cichy szarpał się wściekle – no, spróbuj! Jesteś słaby i przez ciebie to wszystko się rozleci!

Dyszeli wściekle, przytrzymywani przez towarzyszy, patrząc na siebie z nienawiścią. Tłumione urazy wybuchły w nich teraz ze zdwojoną siłą. Zani dygotał wściekle – krew uderzyła mu do głowy, szczęki zacisnęły się konwulsyjnie, oddech stał się szybki i krótki, w uszy wwiercał się jakiś irytujący pisk... Pisk? To dzwonek... Telefon...

Zani odruchowo sięgnął do bocznej kieszeni spodni i wy dobył telefon. Odebrał połączenie, odwracając wzrok do okna. Nagle pociemniało mu w oczach. Zmącony wściekłością umysł w jednej sekundzie odzyskał jasność, przez rozpalone ciało przeszedł lodowaty dreszcz. Komendant upuścił bezwiednie aparat i spojrzął na Cichego jak we śnie. W głowie coraz głośniejszy dźwięczały mu słowa, które usłyszał przed chwilą. Straszliwe, ostrzegawcze słowa: „Ratujcie się! Na miłość boską, ratujcie się!”

\* \* \*

– No... chyba już można... Baczość!

Kopacz poderwał się nagle jak prymus na widok równania. Wawrzyniak, śpiący ramię w ramię z Weissem, podskoczył jak ukłuty i obaj panowie boleśnie przekonali się nawzajem o twardości swoich łepetyń. Gałązka wstał powoli, a Kujawa raczył jedynie odemknąć lewe oko. Langer, studiujący plany Sejmu, podniósł wzrok znad stołu.

– Baczość! – powtórzył admirał Świrski, stając na środku namiotu w pozie, której nie powstydziliby się ksiądz Skarga.

Zaspany sztab kryzysowy otrzeźwiał nieco i spoglądał na Wodza Naczelnego z niewyraźnymi minami. Świrski potoczył wkoło błędnym wzrokiem i biorąc się pod boki, rzekł w natchnieniu:

– Panowie! Oto nadeszła dziejowa chwila! Za chwilę upadła Rzeczypospolita dźwignie się z nizin i dzięki nam z powrotem uzyska należne jej miejsce pośród wielkich narodów Europy!

Zgromadzeni rozejrzeli się za jakąś pustą flaszką, która by tłumaczyła patetyczny bełkot Wodza Naczelnego, ale stół świecił pustką. Świrski, upajając się pytającymi spojrzeniami, kontynuował:

– Za chwilę oddziały niepokonanej jednostki „Piorun” ruszą na mój rozkaz do szturmowania Sejmu, by zgasić ognisko buntu i przywrócić legalne i demokratyczne władze. Oczekuję, że każdy z panów w tej dziejowej chwili wypełni do końca swój żołnierski obowiązek i murem stanie za...

Świrski przerwał, widząc, że pułkownik Langer zbladł jak ściana i zatoczył się, opierając się ręką o stół. Spojrzął na admirała i oddychając ciężko, szepnął:

– Atak... Przecież sam pan mówił, że dwa dni...

– To było konieczne! Wziąłem na siebie ciężar tajemnicy i celowo dezinformowałem panów. Nie wynikało to oczywiście z braku zaufania, lecz... moim obowiązkiem było podjąć

wszelkie niezbędne kroki, żeby do ostatniej chwili utrzymać atak w sekrecie. Tak zrobiłby każdy wielki wódz! Za trzy minuty, panowie, kraj znowu będzie wolny i niepodległy!

Langer podniósł rękę do oczu i mało nie upadł, w ostatniej chwili podtrzymany przez generała Weissa. W jednej chwili zrozumiał dziwaczne zachowanie admirała, który zamiast spać, miotał się nerwowo po namiocie.

Gałązka z Kujawą podbiegli do chwiejącego się szefa, chwycili go pod pachy i wyprowadzili z namiotu. Zza pleców usłyszeli jeszcze ironiczny głos admirała:

– Cóż... widzę, że nawet żelaznemu pułkownikowi puszczają nerwy!

Mroźne powietrze orzeźwiło nieco Langerę. Nadludzkim wysiłkiem wyszarpnął się z objęć grubasów, odbiegł kilka kroków i upadł w śnieg. Wściekle odtrącił wyciągnięte pomocne ręce, podniósł się i ukląkł w białym puchu. W głowie mu huczało, świat wirował, oficerskie serce łomotało jak szalone, bijąc rekordy uderzeń na minutę. W oddali sejmowa sala rysowała się na tle księżyca, spokojna, uśpiona, niewzruszona.

Langer zdecydował się w jednej chwili. Z wewnętrznej kieszeni płaszcza wydobył telefon i drżącymi palcami wybrał numer, który przez ostatnie kilkadziesiąt godzin wrył mu się w pamięć. Sygnał wybierania dobiegł do pułkownikowskiego ucha z daleka, jakby z zaświatów. Zmieniona w wieczność sekunda upłynęła i Langer słysząc cichy trzask odbieranego telefonu, zacharzał:

– Ratujcie się! Na miłość boską, ratujcie się! Atakują!

\* \* \*

To sen. Tak zadziwiający i niesamowity, że nie do uwierzenia. Sen, który zrodzony gdzieś w podświadomości ulatuje błyskawicznie, pozostawiając w umyśle resztki obrazów i głosów, strzaskanych jak odłamki potłuczonego lustra. Twarze, które się w nim odbijają – przyjazne i wrogie, nieznane i znajome – wirują wokół, zlewając się w jedną kolorową mozaikę.

Postąpił kilka kroków i spojrzał na twarze – zdziwione, pytające, zaskoczone. Przez sekundę upajał się ich niewiedzą, nie zdając sobie sprawy, że minutę wcześniej podobnie postąpił jego najzacieklejszy wróg, po czym krzyknął:

– Alarm... Alarm... Alarm!

Feri stał na środku, nic nie rozumiejąc. Martinez patrzył na komendanta z niepokojem. Jedynie Cichy, zanim jeszcze upuszczony przez Zaniego telefon dotknął podłogi, zrozumiał.

– Co się dzieje? – pytał Feri żalonym głosem, jak zagubione na dworcu dziecko. – Co się stało?

– Atakują nas! – wrzasnął nagle Martinez, doznawszy olśnienia. – Atakują!

Chwycił karabin i przeładował go w panice, rozglądając się za niewidocznym wrogiem, kurczył się i z przestrachem obserwował zasłonięte okna palarni. Tylko Cichy zachował

spokój i powoli wyciągnął z kabury pistolet.

– Głupcy – rzucił wściekle. – Przekłęci głupcy! Nic nie rozumieją!

– Cichy!

– Przekłęci zdrajcy...

– Cichy!

– Zapłacicie mi za to! Wszyscy!

– Cichy! – wrzasnął Zani po raz trzeci.

Lecz ten nie słuchał. Powoli, z pistoletem w ręku podszedł do związanych komandosów i wymierzył w pierwszego z brzegu.

– Za wszystko mi zapłacicie...

– Cichy!

Huknął wystrzał. Leżący na ziemi policjant zwinął się w konwulsjach, szarpiąc więzy na skrępowanych przegubach. Zani rzucił się na Cichego, który z obłędem w oczach zastrzelił właśnie drugiego policjanta. Komendant chwycił szaleńca za gardło, lecz ten uwolnił się z uścisku i wymierzył pistolet w Zaniego. Pistolet plunął ogniem, kula trafiła Zaniego w prawy bok. Ranny ponownie rzucił się na Cichego. Szczepieni, upadli na podłogę i szamotali się wściekle. Ich towarzysze, podobnie jak skrępowani gliniarze, obserwowali niczym zahipnotyzowani ten śmiertelny pojedynek. Cichy, siedząc okrakiem na Zanim, wbił mu łokieć w krtań; ten ostatkiem świadomości wyrznął go pięścią w bok. Cichy upadł na plecy, a Zani rzucił się na niego całym ciężarem.

Stłumiony huk czy raczej trzask wstrząsnął powietrzem. Cichy rozluźnił uścisk i spojrzał na Zaniego ze zdziwieniem. Przekrwione oczy szaleńca odzyskały na chwilę rozumny wyraz. Popatrzył na własną dłoń, trzymającą jeszcze dymiący pistolet. Z ust sączyła mu się strużka krwi. Spróbował się podnieść, ale głowa opadła mu na podłogę, podtrzymywana delikatnie przez Zaniego. Oddech, krótki i poszarpany, ustał nagle.

Ostatnie sekundy śmiertelnej ciszy upływały powoli. Zani podparł się ramieniem i spróbował wstać. Postrzelony prawy bok krwawił, ale komendant nie czuł już niczego i niczego nie słyszał. Podniósł się z trudem, podszedł do stołu i zgarnął leżące tam kartki z tekstem konstytucji.

Coś szarpnęło nim silnie, lecz nadludzkim wysiłkiem utrzymał się na nogach i uparcie kroczył przed siebie. Nie widział już Feriego, który padł jak podcięty, wyrzucając ręce przed siebie. Nie czuł silnego podmuchu, który ogłuszył Martineza i powalił na ziemię, przeciętego niemal na pół serią z karabinu.

Zani wszedł w wąski korytarz prowadzący na nieoświetlone i mroczne galerie. Instynktownie parł do przodu, wlokąc za sobą drętwiejącą prawą nogę. W ręku ścisnął kurczowo kartki nasiąkające jego krwią.

Przez drzwi rozmieszczone w półkolistej ścianie wdzierali się na salę sejmową żołnierze jednostki „Piorun”. Bibi, dobrze zamaskowany i obłożony ryzami papieru, bronił się

wściekle, waląc w przeciwległe drzwi, które prowadziły do kularów. Komandos ostrzeliwali go, lecz kule mijały grubasa. Za to jego karabin kosił jednego napastnika po drugim. Snajper atakującej sekcji komandosów wziął go na cel, ale padł nagle, rażony kulą między oczy; jego partnerowi pocisk oderwał szczękę wraz z kawałkiem gardła; ohydna czerwona maź bryznęła na przeszklone drzwi. Następnym dwóm nieszczęśnikom kule Bibiego roztrzaskały kolana.

Z przeciwległej strony galerii ostrzeliwał się mały Hrabia, celując w drzwi pod stanowiskiem Bibiego. Krótkowidz nie strzelał jednak celnie, a jego blond czupryna rzucała się w oczy, toteż karabin malca szybko zamilkł, a on sam zawisł na barierce z przestrzeloną pierśią. Trzech ludzi z Jurandem na czele, którzy znajdowali się na sali, ostrzeliwali się rozpaczliwie spod mównicy, ale stanowili łatwy cel dla atakujących. Grubszy padł od razu, zastrzelony w chwili, gdy biegł ze środka sali w kierunku stanowisk stenotypistów. Brocząc obficie krwią, przewrócił się na poselskie ławy; tuż obok niego zaległ śmiertelnie ranny poseł Arciszewski, trafiony zbłąkaną kulą w plecy. Niższy i drobny Juno, wmieszany między posłów chłopskich siedzących nieco na lewo od środka sali, ruszył pochylony w stronę stołu marszałka, gdzie podwyższenie dawało możliwość osłony. Chłopak zbliżał się już do celu, gdy nagle zauważył młodziutką posłankę Andrzejewską, która trafiona w dłoń wstała zszokowana i znalazła się na linii ognia.

– Uważaj! – wrzasnął niezwykle jak na niego silnym głosem Juno i rzucił się w jej stronę.

Przebiegł kilka metrów dzielących go od dziewczyny, chwycił ją za głowę i ściągnął w dół. Przeznaczona dla niej kula trafiła go w kręgosłup i utknęła między łopatkami. Juno oparł głowę na piersiach dziewczyny. Poczul jeszcze jej ciepło, zanim skonał. Miał zdecydowanie najpiękniejszą śmierć ze wszystkich.

Zakładnicy, nauczeni już poprzednim atakiem, tkwili biernie i nieruchomo pod sejmowymi ławkami. Nieliczni starali się uciec w panice, ale wyjścia z sali były zablokowane przez szturmujących. Panikarze hamowali więc komandosów, co bezlitośnie wykorzystywał Bibi, zdejmując po kolei czarne sylwetki. I jego dosięgła wreszcie pierwsza kula, gruchocząc mu lewe ramię. Gruby nie przejął się tym jednak, ponieważ doskonale zdawał sobie sprawę, że ramię nie będzie mu już potrzebne. Druga kula musnęła mu czaszkę i rozcięła skórę na głowie. Skóra, podobnie jak ramię, była już spisana na straty, ale krew z rany zalała Bibiemu oczy i uniemożliwiła celowanie. Karabin PK umilkł więc, co komandos pospiesznie zapisali na swoje konto sukcesów.

Oficer dowodzący sekcją szturmującą od strony prawicy podbiegł wraz z trzema ludźmi do ławy rządowej, za załosem której na schodach krył się Jurand. Ostrzeliwał on środkowe wejście do Sejmu, gdzie z trudem sięgnąć mógł karabin Bibiego. Komandos nie spieszył się – poczekał sekundę, aż chłopakowi skończą się naboje w magazynku, i wyrósł przed Jurandem jak anioł śmierci.

Jurand spojrział w jego stronę, ale już go nie widział. Zobaczył za to biegnącą ku niemu dziewczynkę – ośmiolatkę z rozwianymi czarnymi włosami i roześmianą twarzą.

Wyciągnął ku niej rękę i szepnął:

– Mariola... Mariolka...

Bibi otarł krew z oczu. Trzej komandosi wciąż stali nad ciałem Juranda, odwrócenii plecami do prezydenckiej łoży. Nie spieszył się, podobnie jak za pierwszym razem. Powoli wycelował i nacisnął spust. W mgnieniu oka obok Juranda upadły trzy ciała zalane krwią. Niczym Longinus Podbipięta, Bibi celną serią odciął im niemal głowy od korpusów, mierząc w odsłonięte szyje.

Wściekłe przekleństwa i bluzgi przebiegły przez mikrofony i słuchawki, którymi połączeni byli szturmujący komandosi elitarnego „Pioruna”. Gardłowe rozkazy Szalawskiego, który prowadził sekcję atakującą od strony Senatu, nakazywały zlikwidować siedzącego w łoży szatana. Sam pułkownik również się nie popisał straciwszy trzech ludzi, kiedy dwóch zaskoczonych, ale przytomnych bojowców Zaniego obrzuciło jego bohaterów granatami w budynku Senatu. Stary komandos nie dał jednak szans dwóm studencikom i osobiście zastrzelił obu, nie przejmując się zbytnio podniesionymi w geście poddania rękami jednego z nich.

Zani wyszedł półprzytomny z wąskiego korytarza i opierając się o łukowatą ścianę, ruszył w kierunku wyjścia z galerii. Ciągnął za sobą prawą nogę, którą obejmował zimny, koszmarny paraliż. Mgła powoli przesłaniała mu gasnący wzrok. Rozróżniał już tylko niewyraźne plamy światła i ciemności. Nadal jednak prawą ręką kurczowo przyciskał do krwawiącej rany kartki z konstytucją. Kule świsnęły wokół niego, lecz żadna nie drasnęła nawet ociemniałego komendanta.

Przy wyjściu z galerii do holu głównego potknął się o rozciągnięte na podłodze korytarza i drgające jeszcze w ostatnich konwulsjach ciało jednego ze swych ludzi. Drugiego – Maksyma, który odrzuciwszy karabin klęczał na podłodze pod oknami i kołysał się, jakby postradał zmysły, Zani już nie zobaczył. Nie widział, jak chłopak wodzi dookoła nieprzytomnym wzrokiem, jak ślini się i bełkocze, kiwając się niczym marionetka, wreszcie jak zastyga w pozycji klęczącej, trafiony w serce.

Karabin Bibiego też już zamilkł. Czarni żołnierze nie chcieli ryzykować i postanowili wykończyć go w inny sposób. Jeden z nich, wychyliwszy się zza marszałkowskiego stołu, zatoczył łuk ręką. Granat odbił się od ściany za plecami grubego i upadł tuż pod jego nogi. Ostatnią sekundę życia Bibi wykorzystał na pojednanie się ze Stwórcą – mając na muszce swego zabójcę, zdjął palec ze spustu i szepnął:

– Wybaczam...

Zani wstał. Z wysiłkiem uchwycił prawą ręką złoconą poręcz, wyrzeźbioną w formie wijącego się węża. Przez głowę przemknęła mu ostatnia, całkiem jasna myśl, że nieprzypadkowo w tym budynku wąż – symbol zdrady – wita wchodzących już przy samym wejściu. Trafienia nawet nie poczuł. Zdołał jeszcze uczynić krok, po czym runął na schody. Pokrwawione kartki z jego konstytucją, wyrzucone konwulsyjnym ruchem, zawirowały w

powietrzu. Komandosi „Pioruna”, obserwujący tę scenę, zgodnie stwierdzili później, że wyglądało to tak, jakby z brzucha wyleciało chłopakowi stado białych gołębi. Szkliste i spokojne już oczy spoglądały nie ku ziemskiej, lecz niebieskiej... Czwartej Rzeczypospolitej.

## Epilog

Wszystko ucichło momentalnie, jak ucięte nożem. Tomasz podniósł się ostrożnie zza sejmowego stolca i spojrzał na salę. Gdzieś pod ław wyłaniały się poselskie łepetyny, rozglądające się niepewnie, gotowe w każdej chwili ponownie dać nura pod względnie bezpieczne siedzenia. Gryzące, siwe opary dymu prochowego unosiły się w sali, utrudniając widoczność i oddychanie. Tu i ówdzie rozlegały się słabe jęki, prośby o pomoc, a także bełkotliwe, niezrozumiałe wyrazy, co akurat w tej sali nie było szczególną nowością.

Nad klęczącą władzą ustawodawczą górowały czarne sylwetki komandosów, bezszelestnie poruszające się gęsiego po sali. Wyglądały jak czarne gąsienice pełzające w przejściach. Mijały się i rozglądały, badając każdy szczegół, porozumiewając się ze sobą dziwnym zestawem niewerbalnych znaków. Groteskowy taniec trwał przez kilka minut, po czym komandosi obstawili wszystkie wyjścia z sali sejmowej.

– Uwaga! – Jeden z „kominiarzy” podniósł rękę. – Wszyscy wychodzimy! Jesteście państwo wolni! Proszę zachować spokój i porządek!

Zakładnicy, którzy zdążyli w międzyczasie przywyknąć do rozkazów wydawanych im przez uzbrojonych i umundurowanych panów, ruszyli gremialnie do wyjść. Uodporniony już na wszystko, zobojętniały poselski tłum wypłynął z cuchnącej sali sejmowej. Tym razem żołnierze Weissa przydali się na coś – zielony szpaler wojaków ciągnął się wzdłuż ulicy Wiejskiej od wejścia do Sejmu aż do szkoły nr 21 na rogu Górnośląskiej i Jazdów. Na to jednak, żeby żołnierze pomogli wynieść ciała zabitych bojowców, troskliwy generał Weiss nie wyraził zgody, ograniczając się do rady: „Rzucić te ścierwa psom pod płot”. Pułkownik Szalawski pozwolił sobie nie skorzystać z generalskiej sugestii i komandosi po opróżnieniu sali plenarnej wynieśli ciała dwunastu ludzi Zaniego.

Tomasz usiadł samotnie na barierce odgradzającej stolik stenotypistów. Wokół uwijali się antyterroryści, do środka wpadli też lekarze z doktorem Ornatowskim na czele. Medycy nie mieli zbyt wiele do roboty i ich rola ograniczyła się głównie do nakrywania trupów ceratowymi foliami.

– Co ci jest, chłopcze? – Ornatowski spojrzał na Tomasza zza swoich wielkich okularów.  
– Jesteś ranny?

Tomasz potrząsnął tylko głową i minąwszy lekarza, ruszył w kierunku wyjścia. Stojący



tam komandos podejrzliwie zlustrował młodego człowieka, który mógł być sprytnym terrorystą, usiłującym zbiec w przebraniu. Toteż gdy pułkownik Langer wszedł do holu sejmowego, Tomasz leżał rozciągnięty na podłodze z rękami skutymi na plecach, starając się zgłębić zmienność ludzkich losów i nie dotykać głową zimnej posadzki.

– Kim pan jest? – usłyszał niski, dziwnie znajomy głos.

Z trudem przekreślił się na bok i spojrział w górę.

– Pracownikiem Kancelarii Sejmu – wyjąkał. – Jestem sekretarzem komisji rolnictwa, nazywam się To...

– Pan Tomasz! – wrzasnął Langer, ściskając serdecznie skute z tyłu dłonie chłopaka, co wywołało na jego twarzy grymas bólu. – Więc to ty, chłopcze! To ty! Natychmiast go rozkuć!

Komandos, który z odrobiną zażenowania patrzył, jak pułkownik szarpie skutego młodzieńca, wyjął kluczyk od kajdanek i po chwili pan sekretarz stał wolny, rozcierając sobie przeguby.

– Nawet pan sobie nie zdaje sprawy, jak bardzo nam pan pomógł. – Nic ciekawszego nie przyszło Langerowi do głowy. – Łączność z panem...

Przerwał, bo Tomasz wyminął go nagle i ruszył do schodów. Oparłszy się o poręcz, po której wciąż pełzał mosiężny wąż, patrzył w dół, na leżącego na pokrwawionych kartkach chłopaka. Potem zszedł niżej, stąpając bezszelestnie po rozsypanych papierach, które niczym całun zaścielały całe schody. Usiadł powolutku, jakby się bał, że obudzi martwego. Wpatrywał się w jego twarz i oczy, które widziały już to, czego żaden żywy nie mógł zobaczyć. Langer stanął za plecami Tomasza i zapytał, mimowolnie ścisząc głos:

– A to kto?

Tomasz oparł brodę na rękę i nie odwracając się, rzekł:

– Człowiek...

\* \* \*

– Ta wielka narodowa tragedia, która rozegrała się w tych murach, niechaj będzie przestrogą i lekcją dla naszej młodej demokracji! Demokracji, która w dniu dzisiejszym pokazała swoją wyższość nad bezmyślną agresją i siłą, która zwyciężyła widmo terroryzmu. Gratuluję panu admirałowi Świrskiemu, Wodzowi Naczelnemu Sił Zbrojnych, sprawnie przeprowadzonej akcji, która ocaliła nam życie i uratowała kraj.

Opatulony w policyjny płaszcz prezydent Starynkiewicz uściśnął dłoń admirała. Obaj panowie zastygli na dłuższą chwilę, szczerząc zęby w potoku fleszy, które ich oświeciły. Eksprezydent Rozwadowski i premier Tkaczyk również wciskali głowy w objęcia obiektywów, lecz cieszyli się daleko mniejszym zainteresowaniem. Dziennikarska gawiedź napierała na otoczonych przez komandosów oficjeli, wrzeszcząc we wszystkich możliwych językach. Ochroniający prezydenta zamaskowani żołnierze „Pioruna” sprawnie i dyskretnie punktowali

pięściami co bardziej natrętnych pismaków, starając się zaprowadzić jako taki porządek.

– Sztab kryzysowy, którym miałem zaszczyt dowodzić – huczał Świrski – wykazał się pełnym profesjonalizmem i oddaniem w chwili zagrożenia bezpieczeństwa państwa. Przybywszy na miejsce, od razu objąłem dowodzenie i skoordynowałem działania wszystkich służb, co było gigantycznym wyzwaniem. Z początku panował tu pewien nieporządek, co w podległej mi marynarce nie mogłoby się zdarzyć, ale szybko zażegnałem indywidualne ciągoty niektórych... młodszych oficerów i przejąłem pełnię władzy w swoje ręce... Podkreślić muszę, że moi podwładni również wykazali się karnością i fachowością. Szczególnie wyróżnić pragnę zasługi generała Weissa i panów inspektorów Kopacza i Wawrzyniaka, którzy wykonując moje polecenia, przyczynili się do rozbicia terrorystów.

– Służba pod dowództwem admi... Wodza Naczelnego – Weiss dorwał się wreszcie do mikrofonu – była dla mnie i moich żołnierzy wielkim zaszczytem! Nie waham się stwierdzić, że Wódz Naczelnny ocalił naszą ojczyznę przed upadkiem! Nazywam się Weiss... przez dwa „s”.

– Nie sposób również pominąć zasług dowódcy jednostki „Piorun”, pana pułkownika Szalawskiego – ciągnął admirał. – To jego ludzie, oczywiście zgodnie z planem opracowanym przeze mnie, przeprowadzili tę wspaniałą akcję.

– Najważniejsze, że uwolniono prawowite i demokratycznie wybrane władze Rzeczypospolitej – oświadczył prezydent Starynkiewicz niezadowolony, że wojskowi słodzą sobie nawzajem, pomijając jego osobę. – Nawet będąc w niewoli, wraz z rządem trwaliliśmy wiernie na straży jedynej prawowitej konstytucji!

– Niezłomna postawa pana prezydenta – uzupełnił usłużnie Wódz Naczelnny – stanowiła otuchę dla moich żołnierzy, jak i dla całego narodu zjednoczonego w tej ciężkiej chwili.

Dziennikarze, wyraźnie zniecierpliwieni wzajemnymi grzecznościami uwalniających i uwolnionych, zagłuszyli dalsze słowa Wodza. Posypały się niewygodne pytania o straty, o los zamachowców i ogólny bałagan, którego pismacy byli świadkami od czterech dni.

– Wkrótce wydam stosowne oświadczenie. – Starynkiewicz uciszył dziennikarzy uniesioną ręką. – Teraz bezzwłocznie muszę objąć ster rządów. Czarny cień terrorizmu zniknął z jasnego nieba naszej demokratycznej ojczyzny. Dzięki takim ludziom jak pan admirał i panowie generałowie naród odzyska wiarę w niezłomną moc demokratycznej i Najjaśniejszej Rzeczypospolitej!

Policjanci i żołnierze „Pioruna” utworzyli szpaler i prezydent wraz z mundurowo-cywilną świtą pochlebców ruszył majestatycznie w stronę podstawionych pospiesznie limuzyn. Pismacy podążyli za nim, błyskając fleszami aparatów.

Pułkownik Langer patrzył za nimi. Śnieg prószył na jego odkrytą głowę i maskował pasemka siwizny, której przybyło mu w ciągu ostatnich godzin. Pułkownik spojrzął na kopułę sali sejmowej, która wciąż górowała nad otoczeniem, samotna, dostojna, niewzruszona. Odwrócił się nagle i ruszył przed siebie, jak najdalej od tego miejsca, nazwanego przez

prezydenta przywróconym symbolem demokracji. Odtąd dla skromnego pułkownika stanowić ono będzie wyłącznie symbol hańby.

\* \* \*

Dzień po posiedzeniu Komisji Rolnictwa i Obszarów Wiejskich, dyrektor Departamentu Modernizacji Wsi Ministerstwa Rolnictwa, Romuald Kukułka, przeszedł na wczesną emeryturę.

\* \* \*

Zgodnie z raportem policji Wyższy Ortalion popełnił samobójstwo w stanie szoku po śmierci Niższego, który zmarł w szpitalu w wyniku powikłań pooperacyjnych. Dlaczego leworęczny Wyższy Ortalion strzelił sobie w prawą skroń – tego raport już nie precyzował.

\* \* \*

Wzmiankę o wyfruwających z brzucha gołębiach wykreślono z raportu dowódcy jednostki „Piorun”, przedłożonego ministrowi spraw wewnętrznych. Jej autor został ukarany naganą z wpisem do akt.

\* \* \*

Krzyś Tomaszewski został zwolniony z pracy w TVM przez ziemistego prezesa Modela. Pracę natychmiast zaproponował mu prezes Sat-Polu Sandrowski, podwyższając mu gażę. Swoim zwyczajem Krzyś zaczął natychmiast najeżdżać na swego byłego pracodawcę. Za pierwszą wypłatę wykupił półroczną terapię u psychoterapeuty i zoperował sobie łuki brwiowe.

\* \* \*

Rachunek telefoniczny pułkownika Langerera wyniósł dwa tysiące czterysta dziewięćdziesiąt dwa złote i czterdzieści osiem groszy. Wskutek oficjalnej interwencji ministra łączności sumę tę rozłożono pułkownikowi na sześć równych rat, aby spłata długu nie nastęczyła mu zbyt trudności.